

BOLESŁAW PRUS

LALKA

Bolesław Prus

Lalka

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843662

Lalka:

Аннотация

Lalka to naj słynniejsza powieść Bolesława Prusa, pierwotnie ukazywała się na łamach „Kuriera Codziennego”, po raz pierwszy została wydana w 1890 roku. Głównym bohaterem powieści jest Stanisław Wokulski, bogaty warszawski kupiec, filantrop, nieszczęśliwie zakochany w arystokratce, Izabeli Łęckiej. Choć wątek Wokulskiego wydaje się wysuwać na pierwszy plan, w Lalce niezwykle ważny jest również Pamiętnik starego subiekta, pisany przez Ignacego Rzeckiego, w którym wspomina czasy sięgające Wiosny Ludów, a także komentuje wydarzenia współczesne. W powieści zapisany zostaje również bezcenny obraz XIX-wiecznej Warszawy: zarówno realia społeczne – relacje warstw społecznych – jak i topograficzne. Lalka to powieść polifoniczna, wielowątkowa, ukazująca wydarzenia i postaci z różnych perspektyw, uznawana za jedno z największych dzieł epoki.

Содержание

Tom I	4
I. Jak wygląda firma J. Mincel i S. Wokulski przez szkło butelek?	4
II. Rządy starego subiekta	13
III. Pamiętnik starego subiekta	29
IV. Powrót	52
V. Demokratyzacja pana i marzenia panny z towarzystwa	69
VI. W jaki sposób nowi ludzie ukazują się nad starymi horyzontami	93
VII. Gołąb wychodzi na spotkanie węża	122
VIII. Medytacje	136
IX. Kładki, na których spotykają się ludzie różnych światów	173
X. Pamiętnik starego subiekta	222
XI. Stare marzenia i nowe znajomości	295
XII. Wędrówki za cudzymi interesami	339
Конец ознакомительного фрагмента.	362

Bolesław Prus

Lalka

Tom I

I. Jak wygląda firma J. Mincel i S. Wokulski przez szkło butelek?

W początkach roku 1878, kiedy świat polityczny zajmował się pokojem san-stefańskim¹, wyborem nowego papieża² albo szansami europejskiej wojny³, warszawscy kupcy tudzież

¹ *pokój san-stefański* – traktat zawarty między Rosją a Turcją dn. 3 marca 1878 r. w San Stefano (pod Konstantynopolem). Turcja, pokonana uprzednio w wojnie z Rosją (1877–1878), musiała uznać niepodległość swych dotychczasowych państw lenniczych: Rumunii, Serbii i Czarnogórza, przy czym granice tych dwóch ostatnich zostały znacznie rozszerzone. Jednocześnie utworzono rozległe Księstwo Bułgarskie z dostępem do Morza Egejskiego (obejmujące Macedonię). Poza tym Turcja została zmuszona do ustępstw terytorialnych na rzecz Rosji w Azji i do zapłaty wysokiej kontrybucji. [przypis redakcyjny]

² *wybór nowego papieża* – 20 lutego 1878 r., po śmierci Piusa IX, został papieżem kardynał Joachim Pecci jako Leon XIII, znany później ze swych wystąpień przeciw ruchowi socjalistycznemu. [przypis redakcyjny]

³ *szanse europejskiej wojny* – zwycięstwa Rosji w wojnie z Turcją, możliwość zajęcia Konstantynopola przez wojska rosyjskie, a potem pokój w San Stefano wywołały silne niezadowolenie Anglii. Z początkiem 1878 r. nastąpiło zaostrzenie konfliktu, grożące

inteligencja pewnej okolicy Krakowskiego Przedmieścia⁴ niemniej gorąco interesowała się przyszłością galanteryjnego sklepu pod firmą J. Mincel i S. Wokulski.

W renomowanej jadłodajni, gdzie na wieczorną przekąskę zbierali się właściciele składów bielizny i składów win, fabrykanci powozów i kapeluszy, poważni ojcowie rodzin, utrzymujący się z własnych funduszków, i posiadacze kamienic bez zajęcia, równie dużo mówiono o uzbrojeniach Anglii⁵, jak o firmie J. Mincel i S. Wokulski. Zatopieni w kłębach dymu cygar i pochyleni nad butelkami z ciemnego szkła obywatele tej dzielnicy, jedni zakładali się o wygraną lub przegraną Anglii, drudzy o bankructwo Wokulskiego; jedni nazywali geniuszem Bismarcka⁶, drudzy – awanturnikiem Wokulskiego; jedni krytykowali postępowanie prezydenta MacMahona⁷, inni

wybuchem wojny między Anglią a Rosją. [przypis redakcyjny]

⁴ *Krakowskie Przedmieście* – jedna z głównych ulic warszawskich. Prawdopodobnie Prus w wyobraźni swej umieszczał sklep Mincel i Wokulski”, tj. stary sklep Wokulskiego, na Krakowskim Przedmieściu nr 9. Dom ten zwany kamienicą Beyera został zupełnie zniszczony w czasie powstania warszawskiego, a ruiny rozebrano w grudniu 1946. Stojący obecnie w tym miejscu budynek, wzniesiony w 1949 r. wg projektu B. Pniewskiego, nie nawiązuje do dawnego stylu. [przypis redakcyjny]

⁵ *uzbrojenia Anglii* – przedsięwzięte w związku z naprężoną sytuacją polityczną. [przypis redakcyjny]

⁶ *Bismarck, Otto* (1815–1898) – kanclerz Rzeszy Niemieckiej, przywódca obszarników pruskich, dokonał zjednoczenia Niemiec (1871); zwalczał ruch socjalistyczny; prowadził politykę antypolską. [przypis redakcyjny]

⁷ *MacMahon, Patrice* (1808–1893) – marszałek Francji, dowodził wojskami wersalczyków przeciw Komunie Paryskiej, następnie jako prezydent republiki (1873–1879) usiłował przywrócić monarchię. [przypis redakcyjny]

twierdzili, że Wokulski jest zdecydowanym wariatem, jeżeli nie czymś gorszym...

Pan Deklewski, fabrykant powozów, który majątek i stanowisko zawdzięczał wytrwałej pracy w jednym fachu, tudzież radca Węgrowicz, który od dwudziestu lat był członkiem-opiekunem⁸ jednego i tego samego Towarzystwa Dobroczynności⁹, znali S. Wokulskiego najdawniej i najgłośniej przepowiadali mu ruinę. – Na ruinie bowiem i niewypłacalności – mówił pan Deklewski – musi skończyć człowiek, który nie pilnuje się jednego fachu i nie umie uszanować darów łaskawej fortuny. – Zaś radca Węgrowicz, po każdej również głębokiej sentencji swego przyjaciela, dodawał:

– Wariat! wariat!... Awanturnik!... Józiu, przynieś no jeszcze piwa. A która to butelka?

– Szósta, panie radco. Służę piorunem!... – odpowiadał Józio.

– Już szósta?... Jak ten czas leci!... Wariat! wariat! – mruczał radca Węgrowicz.

Dla osób posilających się w tej co radca jadłodajni, dla jej właściciela, subiektów i chłopców przyczyny klęsk mających paść na S. Wokulskiego i jego sklep galanteryjny były tak jasne, jak gazowe płomyki oświetlające zakład. Przyczyny te

⁸ *członek-opiekun* – członek Towarzystwa Dobroczynności opiekujący się ubogimi określonej dzielnicy. [przypis redakcyjny]

⁹ *Towarzystwo Dobroczynności* – Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności, arystokratyczno-mieszczańska instytucja filantropijna, założona w r. 1814; opiekowała się starcami i chorymi, udzielała zapomóg, utrzymywała ochronki. [przypis redakcyjny]

tkwiły w niespokojnym charakterze, w awanturniczym życiu, zresztą w najświeższym postępku człowieka, który mając w rękę pewny kawałek chleba i możliwość uczęszczania do tej oto tak przyzwoitej restauracji, dobrowolnie wyrzekł się restauracji, sklep zostawił na Opatrzności boskiej, a sam z całą gotówką odziedziczoną po żonie pojechał na turecką wojnę¹⁰ robić majątek.

– A może go i robi... Dostawy dla wojska to gruby interes – wtrącił pan Szprot, agent handlowy¹¹, który bywał tu rzadkim gościem.

– Nic nie robi – odparł pan Deklewski – a tymczasem porządny sklep diabli wezmą. Na dostawach bogacą się tylko Żydzi i Niemcy; nasi do tego nie mają głowy.

– A może Wokulski ma głowę?

– Wariat! wariat!... – mruknął radca. – Podaj no, Józiu, piwa. Która to?...

– Siódma buteleczka, panie radco. Służę piorunem.

– Już siódma?... Jak ten czas leci, jak ten czas leci...

Agent handlowy, który z obowiązków stanowiska potrzebował mieć o kupcach wiadomości wszechstronne i wyczerpujące, przeniósł swoją butelkę i szklankę do stołu radcy i topiąc słodkie wejrzenie w jego załzawionych oczach, spytał zniżonym głosem:

¹⁰ *turecka wojna* – wojna rosyjsko–turecka (1877–1878). [przypis redakcyjny]

¹¹ *agent handlowy* – przedstawiciel firmy handlowej trudniący się sprzedażą jej towarów, za co otrzymywał prowizję (pewien procent od sumy sprzedaży). [przypis redakcyjny]

– Przepraszam, ale... Dlaczego pan radca nazywa Wokulskiego wariatem?... Może mogę służyć cygarkiem... Ja trochę znam Wokulskiego. Zawsze wydawał mi się człowiekiem skrytym i dumnym. W kupcu skrytość jest wielką zaletą, duma wadą. Ale żeby Wokulski zdradzał skłonności do wariacji, tegom nie spostrzegł.

Radca przyjął cygaro bez szczególnych oznak wdzięczności. Jego rumiana twarz, otoczona pękami siwych włosów nad czołem, na brodzie i na policzkach, była w tej chwili podobna do krwawnika¹² oprawionego w srebro.

– Nazywam go – odparł, powoli ogryzając i zapalając cygaro – nazywam go wariatem, gdyż go znam lat... Zaczekaj pan... Piętnaście... siedemnaście... osiemnaście... Było to w roku 1860... Jadaliśmy wtedy u Hopfera¹³. Znałeś pan Hopfera?...

– Phi...

– Otóż Wokulski był wtedy u Hopfera subiektem i miał już ze dwadzieścia parę lat.

– W handlu win i delikatesów?

– Tak. I jak dziś Józio, tak on wówczas podawał mi piwo, zrazy nelsonskie¹⁴...

– I z tej branży przerzucił się do galanterii? – wtrącił agent.

¹² *krwawnik* – kamień półszlachetny barwy czerwonej. [przypis redakcyjny]

¹³ *u Hopfera* – dzisiejsza kawiarnia „U Hopfera” (ul. Krakowskie Przedmieście 54), której nazwa nawiązuje do tradycji *Lalki*, mieści się w dawnym lokalu Karola Lesisza. [przypis redakcyjny]

¹⁴ *zrazy nelsonskie* – duszone mięso z kartoflami i grzybami. [przypis redakcyjny]

– Zaczekaj pan – przerwał radca. – Przerzucił się, ale nie do galanterii, tylko do Szkoły Przygotowawczej¹⁵, a potem do Szkoły Głównej¹⁶, rozumie pan?... Zachciało mu się być uczonym!...

Ajent począł chwiać głową w sposób oznaczający zdziwienie.

– Istna heca – rzekł. – I skąd mu to przyszło?

– No, skąd! Zwyczajnie – stosunki z Akademią Medyczną¹⁷, ze Szkołą Sztuk Pięknych¹⁸... Wtedy wszystkim paliło się we łbach, a on nie chciał być gorszym od innych. W dzień służył gościom przy bufecie i prowadził rachunki, a w nocy uczył się...

– Licha musiała to być usługa.

– Taka jak innych – odparł radca, niechętnie machając ręką. – Tylko że przy posłudze był, bestia, niemiły; na najniewinniejsze słówko marszczył się jak zbój... Rozumie się, używaliśmy na nim, co wlażło, a on najgorzej gniewał się, jeżeli nazwał go kto

¹⁵ *Szkoła Przygotowawcza* – kurs wstępny do Szkoły Głównej, otwarty w 1861 r. [przypis redakcyjny]

¹⁶ *Szkoła Główna* – wyższa uczelnia, założona w Warszawie w r. 1862, z polskim językiem wykładowym. Kształcili się w niej najwybitniejsi przedstawiciele pozytywizmu polskiego (Prus, Świętochowski, Sienkiewicz, Dygasiński, Chmielowski i in.). W roku 1869 została zamieniona przez władze carskie na uniwersytet z rosyjskim językiem wykładowym. [przypis redakcyjny]

¹⁷ *Akademia Medyczna* – właśc. Akademia Medyko-Chirurgiczna; wyższa szkoła w Warszawie, otwarta w r. 1858, wcielona w r. 1862 do Szkoły Głównej jako jej wydział. [przypis redakcyjny]

¹⁸ *Szkoła Sztuk Pięknych* – średnia uczelnia artystyczna w Warszawie, istniała w latach 1844–1866. [przypis redakcyjny]

„panem konsyliarzem¹⁹”. Raz tak zwymyślał gości, że mało obaj nie porwali się za czuby.

– Naturalnie, handel cierpiał na tym.

– Wcale nie! Bo kiedy po Warszawie rozeszła się wieść, że subiekt Hopfera chce wstąpić do Szkoły Przygotowawczej, tłumy zaczęły tam przychodzić na śniadanie. Osobliwie roiła się studenteria.

– I poszedł też do Szkoły Przygotowawczej?

– Poszedł i nawet zdał egzamin do Szkoły Głównej. No, ale co pan powiesz – ciągnął radca uderzając ajenta w kolano – że zamiast wytrwać przy nauce do końca, niespełna w rok rzucił szkołę...

– Cóż robił?

– Otóż, co... Gotował wraz z innymi piwo, które do dziś dnia pijemy²⁰, i sam w rezultacie oparł się aż gdzieś koło Irkucka²¹.

– Heca, panie! – westchnął ajent handlowy.

– Nie koniec na tym... W roku 1870 wrócił do Warszawy z niewielkim fundusikiem. Przez pół roku szukał zajęcia, z daleka omijając handle korzenne, których po dziś dzień nienawidzi, aż nareszcie przy protekcji swego dzisiejszego

¹⁹ konsyliarz – w ten sposób tytułowano dawniej lekarza. [przypis redakcyjny]

²⁰ *gotował wraz z innymi piwo, które do dziś dnia pijemy* – mowa o udziale Wokulskiego w powstaniu styczniowym. Warto zwrócić uwagę na fakt, że Bolesław Prus używa w tym miejscu języka ezopowego, czyli nie mówi wprost o powstaniu styczniowym, a jedynie sugeruje czytelnikowi utajone treści. Języka ezopowego używali pisarze, by uniknąć ingerencji cenzury. [przypis redakcyjny]

²¹ *Irkuck* – miasto we wschodniej Syberii nad rzeką Angara. [przypis redakcyjny]

dysponenta²², Rzeckiego, wkręcił się do sklepu Minclowej, która akurat została wdową, i w rok potem ożenił się z babą grubo starszą od niego.

– To nie było głupie – wtrącił agent.

– Zapewne. Jednym zamachem zdobył sobie byt i warsztat, na którym mógł spokojnie pracować do końca życia. Ale też miał on krzyż Pański z babą!

– One to umieją...

– Jeszcze jak! – prawił radca. – Patrz pan jednakże, co to znaczy szczęście. Półtora roku temu baba objadła się czegoś i umarła, a Wokulski po czteroletniej katordze został wolny jak ptaszek, z zasobnym sklepem i trzydziestu tysiącami rubli w gotowiźnie, na którą pracowały dwa pokolenia Minclów.

– Ma szczęście.

– Miał – poprawił radca – ale go nie uszanował. Inny na jego miejscu ożeniłby się z jaką uczciwą panienką i żyłby w dostatkach; bo co to, panie, dziś znaczy sklep z reputacją i w doskonałym punkcie!... Ten jednak, wariat, rzucił wszystko i pojechał robić interesa na wojnie. Milionów mu się zachciało czy kiego diabła.

– Może je będzie miał – odezwał się agent.

– Ehe! – zachnął się radca. – Daj no, Józiu, piwa. Myślisz pan, że w Turcji znajdzie jeszcze bogatszą babę aniżeli nieboszcza Minclowa?... Józiu!...

– Służę piorunem!... Jedzie ósma...

²² *dysponent* – zastępca kierownika w zakładzie handlowym. [przypis redakcyjny]

– Ósma? – powtórzył radca – to być nie może. Zaraz... Przedtem była szósta, potem siódma... – mruzczał zasłaniając twarz dłonią. – Może być, że ósma. Jak ten czas leci!...

Mimo posępne wróżby ludzi trzeźwo patrzących na rzeczy, sklep galanteryjny pod firmą J. Mincel i S. Wokulski nie tylko nie upadł, ale nawet robił dobre interesy. Publiczność zaciekawiona pogłoskami o bankructwie coraz liczniej odwiedzała magazyn, od chwili zaś kiedy Wokulski opuścił Warszawę, zaczęli zgłaszać się po towary kupcy rosyjscy. Zamówienia mnożyły się, kredyt za granicą istniał, weksle były płacone regularnie, a sklep roił się gośćmi, którym ledwo mogli wydołać trzech subiekci: jeden mizerny blondyn, wyglądający, jakby co godzinę umierał na suchoty, drugi szatyn z brodą filozofa, a ruchami księcia i trzeci elegant, który nosił zabójcze dla płci pięknej wąsiki, pachnąc przy tym jak laboratorium chemiczne.

Ani jednak ciekawość ogółu, ani fizyczne i duchowe zalety trzech subiektów, ani nawet ustalona reputacja sklepu może nie uchroniłyby go od upadku, gdyby nie zawiadował nim czterdziestoletni pracownik firmy, przyjaciel i zastępca Wokulskiego, pan Ignacy Rzecki.

II. Rządy starego subiekta

Pan Ignacy od dwudziestu pięciu lat mieszkał w pokoiku przy sklepie. W ciągu tego czasu sklep zmieniał właścicieli i podłogę, szafy i szyby w oknach, zakres swojej działalności i subiektów; ale pokój pana Rzeckiego pozostał zawsze taki sam. Było w nim to samo smutne okno, wychodzące na to samo podwórze, z tą samą kratą, na której szczeblach zwieszała się, być może, ćwierćwiekowa pajęczyna, a z pewnością ćwierćwiekowa firanka, niegdyś zielona, obecnie wypłowiwała z tęsknoty za słońcem.

Pod oknem stał ten sam czarny stół obity suknem, także niegdyś zielonym, dziś tylko poplamionym. Na nim wielki czarny kałamarz wraz z wielką czarną piaseczniczką²³, przymocowaną do tej samej podstawki – para mosiężnych lichtarzy do świec łojowych, których już nikt nie palił, i stalowe szczypce, którymi już nikt nie obcinał knotów²⁴. Żelazne łóżko z bardzo cienkim materacem, nad nim nigdy nie używana dubeltówka, pod nim pudło z gitarą, przypominające dziecinną trumienkę, wąska kanapka obita skórą, dwa krzesła również skórą obite,

²³ *piaseczniczka* – naczynko do piasku, używanego zamiast bibuły do suszenia świeżego pisma atramentowego. [przypis redakcyjny]

²⁴ *para mosiężnych lichtarzy do świec łojowych, których już nikt nie palił, i stalowe szczypce, którymi już nikt nie obcinał knotów* – w tym czasie do powszechnego użytku weszła lampa naftowa. [przypis edytorski]

duża blaszana miednica i mała szafa ciemnowiśniowej barwy stanowiły umeblowanie pokoju, który, ze względu na swoją długość i mrok w nim panujący, zdawał się być podobniejszym do grobu aniżeli do mieszkania.

Równie jak pokój, nie zmieniły się od ćwierć wieku zwyczaje pana Ignacego.

Rano budził się zawsze o szóstej; przez chwilę słuchał, czy idzie leżący na krześle zegarek, i spoglądał na skazówki, które tworzyły jedną linię prostą. Chciał wstać spokojnie, bez awantur; ale że chłodne nogi i nieco zeszywniałe ręce nie okazywały się dość uległymi jego woli, więc zrywał się, nagle wyskakiwał na środek pokoju i rzuciwszy na łóżko szlafmycę²⁵, biegł pod piec do wielkiej miednicy, w której mył się od stóp do głów, rżąc i parszając jak wiekowy rumak szlachetnej krwi, któremu przypomniawszy się wyścig.

Podczas obrządku wycierania się kosmatymi ręcznikami, z upodobaniem patrzył na swoje chude łydki i zarośnięte piersi, mruczając:

„No, przecie nabieram ciała.”

W tym samym czasie zeskakiwał z kanapki jego stary pudel Ir z wybitym okiem i mocno otrząsnawszy się, zapewne z resztek snu, skrobał do drzwi, za którymi rozlegało się pracowite dmuchanie w samowar. Pan Rzecki, wciąż ubierając się z pośpiechem, wypuszczał psa, mówił dzień dobry służącemu, wydobywał z szafy imbryk, mylił się przy zapinaniu mankietów,

²⁵ *szlafmyca* – czapka nocna. [przypis redakcyjny]

biegł na podwórze zobaczyć stan pogody, parzył się gorącą herbatą, czesał się nie patrząc w lustro i o wpół do siódmej był gotów.

Obejrzawszy się, czy ma krawat na szyi, a zegarek i portmonetkę w kieszeniach, pan Ignacy wydobywał ze stolika wielki klucz i trochę zgarbiony, uroczyście otwierał tylne drzwi sklepu obite żelazną blachą. Wchodzili tam obaj ze służącym, zapalali parę płomyków gazu i podczas gdy służący zamiatał podłogę, pan Ignacy odczytywał przez binokle ze swego notatnika rozkład zajęć na dzień dzisiejszy.

„Oddać w banku osiemset rubli, aha... Do Lublina wysłać trzy albumy, tuzin portmonetek... Właśnie!... Do Wiednia przekaz na tysiąc dwieście guldenów²⁶... Z kolei odebrać transport... Zmonitować²⁷ rymarza²⁸ za nieodesłanie walizek... Bagatela²⁹!... Napisać list do Stasia... Bagatela...”

Skończywszy czytać, zapalał jeszcze kilka płomieni i przy ich blasku robił przegląd towarów w gablotkach i szafach.

„Spinki, szpilki, portmonety... dobrze... Rękawiczki, wachlarze, krawaty... tak jest... Laski, parasole, sakwojaże³⁰...

²⁶ *gulden* – austriacka moneta srebrna. [przypis redakcyjny]

²⁷ *Zmonitować* – napomnieć. [przypis redakcyjny]

²⁸ *rymarz* – rzemieślnik wyrabiający uprząż, siodła i inne akcesoria jeździeckie (przede wszystkim ze skóry). [przypis edytorski]

²⁹ *Bagatela* – drobnostka [przypis edytorski]

³⁰ *sakwojaż* – walizka (podróżna). [przypis edytorski]

A tu – albumy, neseserki³¹... Szafirowy wczoraj sprzedano, naturalnie!... Lichtarze, kałamarze, przyciski... Porcelana... Ciekawym, dlaczego ten wazon odwrócili?... Z pewnością... Nie, nie uszkodzony... Lalki z włosami, teatr, karuzel... Trzeba na jutro postawić w oknie karuzel, bo już fontanna spowszedniała. Bagatela!... Ósma dochodzi... Założyłbym się, że Klejn będzie pierwszy, a Mraczewski ostatni. Naturalnie... Poznał się z jakąś guwernantką i już jej kupił neseserkę na rachunek i z rabatem... Rozumie się... Byle nie zaczął kupować bez rabatu i bez rachunku...”

Tak mruczał i chodził po sklepie przygarbiony, z rękoma w kieszeniach, a za nim jego pudel. Pan od czasu do czasu zatrzymywał się i oglądał jakiś przedmiot, pies przysiadł na podłodze i skrobał tylną nogą gęste kudły, a rzędem ustawione w szafie lalki małe, średnie i duże, brunetki i blondynki, przypatrywały się im martwymi oczami.

Drzwi od sieni skrzypnęły i ukazał się pan Klejn, mizerny subiekt, ze smutnym uśmiechem na posiniałych ustach.

– A co, byłem pewny, że pan przyjdiesz pierwszy. Dzień dobry – rzekł pan Ignacy. – Paweł! gaś światło i otwieraj sklep.

Służący wbiegł ciężkim kłusem i zakręcił gaz. Po chwili rozległo się zgrzytanie ryglów, szczekanie sztab i do sklepu wszedł dzień, jedyny gość, który nigdy nie zawodzi kupca. Rzecki usiadł przy kantorku³² pod oknem, Klejn stanął na

³¹ *neseserka* – mała podróżna walizka. [przypis redakcyjny]

³² *kantorek* – dawna nazwa biurka. [przypis redakcyjny]

zwykłym miejscu przy porcelanie.

– Pryncypał³³ jeszcze nie wraca, nie miał pan listu? – spytał Klejn.

– Spodziewam się go w połowie marca, najdalej za miesiąc.

– Jeżeli go nie zatrzyma nowa wojna.

– Staś... Pan Wokulski – poprawił się Rzecki – pisze mi, że wojny nie będzie.

– Kursa jednak spadają, a przed chwilą czytałem, że flota angielska wpłynęła na Dardanele³⁴.

– To nic, wojny nie będzie. Zresztą – westchnął pan Ignacy – co nas obchodzi wojna, w której nie przyjmie udziału Bonaparte.

– Bonapartowie skończyli już karierę.

– Doprawdy?... – uśmiechnął się ironicznie pan Ignacy. – A na czyjaż korzyść MacMahon z Ducrotem układali w styczniu zamach stanu³⁵?... Wierz mi, panie Klejn, bonapartyzm³⁶ to

³³ *Pryncypał* – przełożony, osoba najważniejsza w danej instytucji. [przypis edytorski]

³⁴ *flota angielska wpłynęła na Dardanele* – w czasie wojny z Rosją Turcja odwołała się do interwencji państw zachodnich. W związku z tym Anglia zażądała od Rosji wstrzymania kroków wojennych. Ponieważ ze strony Rosji nie było odpowiedzi, flota angielska w połowie lutego przepłynęła Dardanele i zajęła stanowisko naprzeciw Konstantynopola. [przypis redakcyjny]

³⁵ *MacMahon z Ducrotem układali w styczniu zamach stanu* – August Aleksander Ducrot (1817–1882) generał francuski, monarchista. Jako dowódca korpusu w Bourges brał udział w przygotowaniach do monarchistycznego zamachu stanu, który nie powiódł się jednak, m.in. wskutek niezdecydowanego stanowiska MacMahona. Skompromitowany Ducrot otrzymał dymisję 18 stycznia 1878 r. [przypis redakcyjny]

³⁶ *bonapartyzm* – tu: ideologia i ruch polityczny popierający ród Bonaparte w dążeniach do władzy. [przypis redakcyjny]

potęga!...

– Jest większa od niej.

– Jaka? – oburzył się pan Ignacy. – Może republika³⁷ z Gambetta³⁸?... Może Bismarck?...

– Socjalizm... – szepnął mizerny subiekt kryjąc się za porcelaną.

Pan Ignacy mocniej zasadził binokle i podniósł się na swym fotelu, jakby pragnąc jednym zamachem obalić nową teorię, która przeciwstawiała się jego poglądom, lecz popłatało mu szyki wejście drugiego subiekta z brodą.

– A, moje uszanowanie panu Lisieckiemu! – zwrócił się do przybyłego. – Zimny dzień mamy, prawda? Która też godzina w mieście, bo mój zegarek musi się spieszyć. Jeszcze chyba nie ma kwadransa na dziewiątą?...

– Także koncept!... Pański zegarek zawsze spieszy się z rana, a późni wieczorem – odparł cierpko Lisiecki ocierając szronem pokryte wąsy.

– Założę się, żeś pan był wczoraj na preferansie³⁹.

³⁷ republika... – po klęsce cesarza Napoleona III, we Francji 3 września 1870 r. została proklamowana republika. Ustrój republikański został ostatecznie wprowadzony konstytucją 1875 roku. Skrajna prawica dążyła jednak do przywrócenia monarchii. Poszczególne odłamy monarchistów wysuwały na tron różnych kandydatów, m. in. syna Napoleona III, który przybrał imię Napoleona IV. [przypis redakcyjny]

³⁸ Leon Gambetta (1838–1882) – wybitny polityk francuski; należał do umiarkowanego skrzydła partii republikańskiej; proklamował w r. 1870 republikę. [przypis redakcyjny]

³⁹ preferans – rodzaj gry w karty na trzy osoby. [przypis redakcyjny]

– Ma się wiedzieć. Cóż pan myślisz, że mi na całą dobę wystarczy widok waszych galanterii i pańskiej siwizny?

– No, mój panie, wolę być trochę szpakowatym aniżeli łysym – oburzył się pan Ignacy.

– Koncept!... – syknął pan Lisiecki. – Moja łysina, jeżeli ją kto dojrzy, jest smutnym dziedzictwem rodu, ale pańska siwizna i gderliwy charakter są owocami starości, którą... chciałbym szanować.

Do sklepu wszedł pierwszy gość: kobieta ubrana w salopę⁴⁰ i chustkę na głowie, żądająca mosiężnej spluwaczki... Pan Ignacy bardzo nisko uklonił się jej i ofiarował krzesło, a pan Lisiecki zniknął za szafami i wróciwszy po chwili doręczył interesantce ruchem pełnym godności żądany przedmiot. Potem zapisał cenę spluwaczki na kartce, podał ją przez ramię Rzeckiemu i poszedł za gablotkę z miną bankiera, który złożył na cel dobroczynny kilka tysięcy rubli.

Spór o siwiznę i łysinę był zażegnany.

Dopiero około dziewiątej wszedł, a raczej wpadł do sklepu pan Mraczewski, piękny, dwudziestokilkoletni⁴¹ blondynek, z oczyma jak gwiazdy, ustami jak korale, z wąsikami jak zatrute sztylety. Wbiegł ciągnąc za sobą od progu smugę woni i zawołał:

– Słowo honoru daję, że musi już być wpół do dziesiątej. Letkiewicz jestem, gałgan jestem, no – podły jestem, ale coś zrobię, kiedy matka mi zachorowała i musiałem szukać doktora.

⁴⁰ *salopa* – watowany płaszcz damski, z peleryną. [przypis redakcyjny]

⁴¹ *dwudziestokilkoletni* – dziś: kilkudziesięcioletni. [przypis edytorski]

Byłem u sześciu...

– Czy u tych, którym dajesz pan neseserki? – spytał Lisiecki.

– Neseserki?... Nie. Nasz doktor nie przyjąłby nawet szpilki. Zaczny człowiek... Prawda, panie Rzecki, że już jest wpół do dziesiątej? Stał mi zegarek.

– Dochodzi *dziewiąta*... – odparł ze szczególnym naciskiem pan Ignacy.

– Dopiero *dziewiąta*?... No, kto by myślał! A tak projektowałem sobie, że dziś przyjdę do sklepu pierwszy, wcześniej od pana Klejna...

– Ażeby wyjść przed ósmą – wtrącił pan Lisiecki.

Mraczewski utkwiał w nim błękitne oczy, w których malowało się najwyższe zdumienie.

– Pan skąd wie?... – odparł. – No, słowo honoru daję, że ten człowiek ma zmysł proroczy! Właśnie dziś, słowo honoru... muszę być na mieście przed siódmą, choćbym umarł, choćbym... miał podać się do dymisji...

– Niech pan od tego zacznie – wybuchnął Rzecki – a będzie pan wolny przed jedynastą⁴², nawet w tej chwili, panie Mraczewski. Pan powinieneś być hrabią, nie kupcem, i dziwię się, że pan od razu nie wstąpił do tamtego fachu, przy którym zawsze ma się czas, panie Mraczewski. Naturalnie!

– No, i pan w jego wieku latałeś za spódniczkami – odezwał się Lisiecki. – Co tu bawić się w morały.

⁴² *jedynasta* – forma konsekwentnie używana przez Prusa; dziś: jedenasta. [przypis edytorski]

– Nigdy nie latałem! – krzyknął Rzecki uderzając pięścią w kantorek.

– Przynajmniej raz wygadał się, że całe życie jest niedołęgą – mruknął Lisiecki do Klejna, który uśmiechał się podnosząc jednocześnie brwi bardzo wysoko.

Do sklepu wszedł drugi gość i zażądał kaloszy. Naprzeciw niego wysunął się Mraczewski.

– Kaloszyków żąda szanowny pan? Który numer, jeżeli wolno spytać? Ach, szanowny pan zapewne nie pamięta! Nie każdy ma czas myśleć o numerze swoich kaloszy, to należy do nas. Szanowny pan pozwoli, że przymierzemy?... Szanowny pan raczy zająć miejsce na taburecie⁴³. Paweł! przynieś ręcznik, zdejść panu kalosze i wytrzyj obuwie...

Wbiegł Paweł ze ścierką i rzucił się do nóg przybyłemu.

– Ależ, panie, ależ przepraszam!... – tłumaczył się⁴⁴ odurzony gość.

– Bardzo prosimy – mówił prędko Mraczewski – to nasz obowiązek. Zdaje mi się, że te będą dobre – ciągnął podając parę szczepionych nitką kaloszy. – Doskonałe, pysznie wyglądają; szanowny pan ma tak normalną nogę, że niepodobna mylić się co do numeru. Szanowny pan życzy sobie zapewne literki; jakie mają być literki?...

– L. P. – mruknął gość czując, że tonie w bystrym potoku wymowy grzecznego subiekta.

⁴³ *taburet* – dziś: taboret, stółek. [przypis edytorski]

⁴⁴ *tłumaczył* – dziś: tłumaczył. [przypis edytorski]

– Panie Lisiecki, panie Klejn, przybijcie z łaski swojej literki. Szanowny pan każe zawinać dawne kalosze? Paweł! wytrzymaj kalosze i okręć w bibułę. A może szanowny pan nie życzy sobie dźwigać zbytecznego ciężaru? Paweł! rzuć kalosze do paki... Należy się dwa ruble kopiejek pięćdziesiąt... Kaloszy z literkami nikt szanownemu panu nie zamieni, a to przykra rzecz znaleźć w miejsce nowych artykułów dziurawe graty... Dwa ruble pięćdziesiąt kopiejek do kasy, z tą karteczką. Panie kasjerze, pięćdziesiąt kopiejek reszty dla szanownego pana...

Nim gość oprzytomniał, ubrano go w kalosze, wydano resztę i wśród niskich ukłonów odprowadzono do drzwi. Interesant stał przez chwilę na ulicy, bezmyślnie patrząc w szybę, spoza której Mraczewski darzył go słodkim uśmiechem i ognistymi spojrzeniami. Wreszcie machnął ręką i poszedł dalej, może myśląc, że w innym sklepie kalosze bez literek kosztowałyby go dziesięć złotych⁴⁵.

Pan Ignacy zwrócił się do Lisieckiego i kiwał głową w sposób oznaczający podziw i zadowolenie. Mraczewski dostrzegł ten ruch kątem oka i podbiegłszy do Lisieckiego, rzekł półgłosem:

– Niech no pan patrzy, czy nasz stary nie jest podobny z profilu do Napoleona III⁴⁶? Nos... wąs... hiszpanka⁴⁷...

⁴⁵ *dziesięć złotych* – do poł. XIX w. mennica w Warszawie wybijała polskie monety; posługiwano się nimi długo, mimo wprowadzenia w Królestwie waluty rosyjskiej, rublowej. 1 zł polski równał się wartości 15 kopiejek, a 10 groszy wartości 5 kopiejek. [przypis redakcyjny]

⁴⁶ Napoleon III – Ludwik Napoleon Bonaparte, ur. w 1808 r., bratanek Napoleona I; w grudniu 1848 r. obrany został, głównie głosami chłopstwa, prezydentem republiki;

– Do Napoleona, kiedy chorował na kamień⁴⁸ – odparł Lisiecki.

Na ten dowcip pan Ignacy skrzywił się z niesmakiem. Swoją drogą Mraczewski dostał urlop przed siódmą wieczorem, a w parę dni później w prywatnym katalogu Rzeckiego otrzymał notatkę:

„Był na *Hugonotach*⁴⁹ w ósmym rzędzie krzeseł z niejaką Matyldą...???”

Na pociechę mógłby sobie powiedzieć, że w tym samym katalogu równie posiadają notatki dwaj inni jego koledzy, a także inkasent, posłańcy, nawet – służący Paweł. Skąd Rzecki znał podobne szczegóły z życia swych współpracowników? Jest to tajemnica, z którą przed nikim się nie zwierzał⁵⁰.

2 grudnia 1851 r., mając poparcie wojska i wykorzystując osłabienie burżuazji i proletariatu wzajemną walką, dokonał zamachu stanu; rozwiązał Zgromadzenie Ustawodawcze, przedłużył swoje pełnomocnictwo na lat 10 i rozszerzył zakres władzy prezydenta. W rok później, 2 grudnia 1852 r., po przeprowadzeniu plebiscytu ogłosił się cesarzem. Lawirując między klasami społecznymi Napoleon III w rzeczywistości służył interesom wielkiej burżuazji. Swą zaborczą politykę zagraniczną pozorował obroną narodów walczących o wyzwolenie i zjednoczenie polityczne (Włochy, Polska). Zdetronizowany, po klęsce w wojnie francusko-niemieckiej w r. 1870, zmarł na wygnaniu w Anglii w r. 1873. [przypis redakcyjny]

⁴⁷ *hiszpanka* – tu: bródka przycięta spiczasto na sposób hiszpański. [przypis redakcyjny]

⁴⁸ *chorował na kamień* – mowa o kamieniach żółciowych lub nerkowych, cierpieniu bardzo bolesnym, zmieniającym nawet wyraz twarzy chorego. [przypis redakcyjny]

⁴⁹ „*Hugonoci*” (1836) – opera G. Meyerbeera (1791–1864) często wówczas grywana; *hugonoci* – protestanci francuscy, kalwini. [przypis redakcyjny]

⁵⁰ *tajemnica, z którą (...) się nie zwierzał* – dziś: tajemnica, z której się nie zwierzał.

Około pierwszej w południe pan Ignacy zdawszy kasę Lisieckiemu, któremu pomimo ciągłych sporów ufał najbardziej, wymykał się do swego pokoiku, ażeby zjeść obiad przyniesiony z restauracji. Współcześnie z nim wychodził Klejn i wracał do sklepu o drugiej; potem obaj z Rzeckim zostawali w sklepie, a Lisiecki i Mraczewski szli na obiad. O trzeciej znowu wszyscy byli na miejscu.

O ósmej wieczór zamykano sklep; subiekci rozchodzili się i zostawał tylko Rzecki. Robił dzienny rachunek, sprawdzał kasę, układał plan czynności na jutro i przypominał sobie: czy zrobiono wszystko, co wypadało na dziś? Każdą zaniedbaną sprawę opłacał długą bezsennością i smętnymi marzeniami na temat ruiny sklepu, stanowczego upadku Napoleonidów⁵¹ i tego, że wszystkie nadzieje, jakie miał w życiu, były tylko głupstwem.

„Nic nie będzie! Giniemy bez ratunku” – wzdychał przewracając się na twardej pościeli.

Jeżeli dzień udał się dobrze, pan Ignacy był kontent⁵². Wówczas przed snem czytał historię konsulatu i cesarstwa⁵³ albo wycinki z gazet opisujących wojnę włoską z roku 1859⁵⁴, albo

[przypis edytorski]

⁵¹ *Napoleonidzi* – krewni Napoleona i ich potomkowie. [przypis redakcyjny]

⁵² *kontent* – zadowolony. [przypis edytorski]

⁵³ *historia konsulatu i cesarstwa* – Rzecki czyta dzieło prawicowego polityka i historyka francuskiego Adolfa Thiersa (1797–1877) *Historia konsulatu i cesarstwa*, które ukazało się w latach 1845–1862. *Konsulat* – okres dyktatorskich rządów Napoleona Bonapartego w latach 1799–1804. [przypis redakcyjny]

⁵⁴ *wojna włoska z r. 1859* – wojna Królestwa Sardynii i Francji przeciw Austrii,

też, co trafiało się rzadziej, wydobywał spod łóżka gitarę i grał na niej *Marsza Rakoczego*⁵⁵ przyśpiewując wątpliwej wartości tenorem.

Potem śniły mu się obszerne węgierskie równiny, granatowe i białe linie wojsk, przysłoniętych chmurą dymu... Nazajutrz miewał posepny humor i skarżył się na ból głowy.

Do przyjemniejszych dni należała u niego niedziela; wówczas bowiem obmyślał i wykonywał plany wystaw okiennych na cały tydzień.

W jego pojęciu okna nie tylko streszczały zasoby sklepu, ale jeszcze powinny były zwracać uwagę przechodniów bądź najmodniejszym towarem, bądź pięknym ułożeniem, bądź figlem. Prawe okno przeznaczone dla galanterij zbytkownych mieściło zwykle jakiś brąz, porcelanową wazę, całą zastawę buduarowego⁵⁶ stolika, dokoła których ustawiały się albumy, lichtarze, portmonety, wachlarze, w towarzystwie lasek, parasoli i niezliczonej ilości drobnych, a eleganckich przedmiotów. W lewym znowu oknie, napełnionym okazami krawatów, rękawiczek, kaloszy i perfum, miejsce środkowe zajmowały zabawki, najczęściej poruszające się.

Niekiedy podczas tych samotnych zajęć w starym subieckie budziło się dziecko. Wydobywał wtedy i ustawiał na stole

jeden z etapów walk o zjednoczenie Włoch. [przypis redakcyjny]

⁵⁵ „*Marsz Rakoczego*” – narodowy marsz węgierski, skomponowany w połowie XVII w. dla księcia siedmiogrodzkiego, Franciszka II Rakoczego. [przypis redakcyjny]

⁵⁶ *buduarowy* – buduar: elegancki pokój damski. [przypis redakcyjny]

wszystkie mechaniczne cacka. Był tam niedźwiedź wdrapujący się na słup, był piejący kogut, mysz, która biegła, pociąg, który toczył się po szynach, cyrkowy pajac, który cwałował na koniu, dźwigając drugiego pajaca, i kilka par, które tańczyły walca przy dźwiękach niewyraźnej muzyki. Wszystkie te figury pan Ignacy nakręcał i jednocześnie puszczał w ruch. A gdy kogut zaczął pisać łopocząc sztywnymi skrzydłami, gdy tańczyły martwe pary, co chwilę potykając się i zatrzymując, gdy ołowiani pasażerowie pociągu, jadącego bez celu, zaczęli przypatrywać mu się ze zdziwieniem i gdy cały ten świat lalek, przy drgającym świetle gazu, nabrał jakiegoś fantastycznego życia, stary subiekt podparłszy się łokciami śmiał się cicho i mruczał:

– Hi! hi! hi! dokąd wy jedziecie, podróżni?... Dlaczego narażasz kark, akrobato?... Co wam po uściskach, tancerze?... Wykręca się sprężyny i pójdziecie na powrót do szafy. Głupstwo, wszystko głupstwo!... a wam, gdybyście myśleli, mogłoby się zdawać, że to jest coś wielkiego!...

Po takich i tym podobnych monologach szybko składał zabawki i rozdrażniony chodził po pustym sklepie, a za nim jego brudny pies.

„Głupstwo handel... głupstwo polityka... głupstwo podróż do Turcji... głupstwo całe życie, którego początku nie pamiętamy, a końca nie znamy... Gdzież prawda?...”

Ponieważ tego rodzaju zdania wypowiadał niekiedy głośno i publicznie, więc uważano go za bzik, a poważne damy, mające córki na wydaniu, nieraz mówiły.

– Oto do czego prowadzi męzczyznę starokawalerstwo!

Z domu pan Ignacy wychodził rzadko i na krótko i zwykle kręcił się po ulicach, na których mieszkali jego koledzy albo oficjaliści⁵⁷ sklepu. Wówczas jego ciemnozielona algierka⁵⁸ lub tabaczkowy surdut⁵⁹, popielate spodnie z czarnym lampasem i wypłowiały cylinder, nade wszystko zaś jego nieśmiałe zachowanie się zwracały powszechną uwagę. Pan Ignacy wiedział to i coraz bardziej zniechęcał się do spacerów. Wolał przy świetle kłaść się na łóżku i całymi godzinami patrzeć w swoje zakratowane okno, za którym widać było szary mur sąsiedniego domu, ozdobiony jednym jedynym, również zakratowanym oknem, gdzie czasami stał garnczek masła albo wisiły zwłoki zająca.

Lecz im mniej wychodził, tym częściej marzył o jakiejś dalekiej podróży na wieś lub za granicę. Coraz częściej spotykał we snach zielone pola i ciemne bory, po których błakałby się, przypominając sobie młode czasy. Powoli zbudziła się w nim głucha tęsknota do tych krajobrazów, więc postanowił natychmiast po powrocie Wokulskiego wyjechać gdzieś na całe lato.

– Choć raz przed śmiercią, ale na kilka miesięcy – mówił kolegom, którzy nie wiadomo dlaczego uśmiechali się z tych

⁵⁷ *ofcjalista* – niższy pracownik umysłowy. [przypis redakcyjny]

⁵⁸ *algierka* – rodzaj męskiego ubioru futrzanego. [przypis redakcyjny]

⁵⁹ *surdut* – ówczesnie nazwa wizytowego ubioru męskiego, zwykle ciemnego, z dwoma rzędami guzików. [przypis redakcyjny]

projektów.

Dobrowolnie odcięty od natury i ludzi, utopiony w wartkim, ale ciasnym wirze sklepowych interesów, czuł coraz mocniej potrzebę wymiany myśli. A ponieważ jednym nie ufał, inni go nie chcieli słuchać, a Wokulskiego nie było, więc rozmawiał sam z sobą i – w największym sekrecie pisywał pamiętnik.

III. Pamiętnik starego subiekta

...Ze smutkiem od kilku lat uważam, że na świecie jest coraz mniej dobrych subiektów i rozumnych polityków, bo wszyscy stosują się do mody. Skromny subiekt co kwartał ubiera się w spodnie nowego fasonu, w coraz dziwniejszy kapelusz i coraz inaczej wykładany kołnierzyk. Podobnież dzisiejsi politycy co kwartał zmieniają wiarę: onegdaj wierzyli w Bismarcka, wczoraj w Gambettę, a dziś w Beaconsfielda⁶⁰, który niedawno był Żydkiem.

Już widać zapomniano, że w sklepie nie można stroić się w modne kołnierzyki, tylko je sprzedawać, bo w przeciwnym razie gościom zabraknie towaru, a sklepowi gości. Zaś polityki nie należy opierać na szczęśliwych osobach, tylko na wielkich dynastiach. Metternich⁶¹ był taki sławny jak Bismarck, a Palmerston⁶² sławniejszy od Beaconsfielda i – któż dziś o nich pamięta? Tymczasem ród Bonapartych trząsł Europą za Napoleona I, potem za Napoleona III, a i dzisiaj, choć niektórzy

⁶⁰ *Beaconsfield* – właściwie Benjamin Disraeli (1804–1881), polityk angielski, przywódca konserwatystów, w tym czasie premier i kierownik polityki zagranicznej Wielkiej Brytanii. [przypis redakcyjny]

⁶¹ Klemens Metternich (1773–1859) – dyplomata austriacki, przywódca europejskiej reakcji politycznej po roku 1815, wróg liberalizmu i ruchów narodowowyzwoleńczych. [przypis redakcyjny]

⁶² Henry Palmerston (1784–1865) – wybitny polityk angielski, przywódca liberałów. [przypis redakcyjny]

nazywają go bankrutem, wpływa na losy Francji przez wierne swoje sługi, MacMahona i Ducrota.

Zobaczycie, co jeszcze zrobi Napoleon IV⁶³, który po cichu uczy się sztuki wojennej u Anglików! Ale o to mniejsza. W tej bowiem pisaninie chcę mówić nie o Bonapartym, ale o sobie, ażeby wiadano, jakim sposobem tworzyli się dobrzy subiekci i choć nie uczeni, ale rozsądni politycy. Do takiego interesu nie trzeba akademii, lecz przykładu – w domu i w sklepie.

Ojciec mój był za młodu żołnierzem, a na starość woźnym w Komisji Spraw Wewnętrznych⁶⁴. Trzymał się prosto jak sztaba, miał nieduże faworyty⁶⁵ i wąż do góry; szyję okręcał czarną chustką i nosił srebrny kolczyk w uchu.

Mieszkaliśmy na Starym Mieście z ciotką, która urzędnikom prała i łątała bieliznę. Mieliśmy na czwartym piętrze dwa pokoiki, gdzie niewiele było dostatków, ale dużo radości, przynajmniej dla mnie. W naszej izdebce najokazalszym sprzętem był stół, na którym ojciec powróciwszy z biura kleił koperty; u ciotki zaś pierwsze miejsce zajmowała balia. Pamiętam, że w pogodne dni puszczałem na ulicy latawce, a w razie słoty wydmuchiwałem w izbie bańki mydlane.

⁶³ Napoleon IV – Eugeniusz Ludwik (1856–1879), syn Napoleona III, od roku 1870 przebywał w Anglii. Po śmierci ojca, w r. 1874 przybrał imię Napoleona IV jako pretendent do tronu cesarskiego. [przypis redakcyjny]

⁶⁴ *Komisja Spraw Wewnętrznych* – naczelny organ administracyjny w Królestwie Kongresowym, odpowiadający ministerstwu, ustanowiony konstytucją 1815 r., zniesiony w r. 1868. [przypis redakcyjny]

⁶⁵ *faworyty* – bokobrody. [przypis redakcyjny]

Na ścianach u ciotki wisieli sami święci; ale jakkolwiek było ich sporo, nie dorównali jednak liczbą Napoleonom, którymi ojciec przyozdabiał swój pokój. Był tam jeden Napoleon w Egipcie, drugi pod Wagram, trzeci pod Austerlitz, czwarty pod Moskwą, piąty w dniu koronacji, szósty w apoteozie⁶⁶. Gdy zaś ciotka zgorszona tyloma świeckimi obrazami, zawiesiła na ścianie mosiężny krucyfiks, ojciec, ażeby – jak mówił – nie obrazić Napoleona, kupił sobie jego brązowe popiersie i także umieścił je nad łóżkiem.

– Zobaczysz, niedowiarku – lamentowała nieraz ciotka – że za te sztuki będą cię pławić w smole.

– I!... Nie da mi cesarz zrobić krzywdy – odpowiadał ojciec.

Często przychodzili do nas dawni koledzy ojca: pan Domański, także woźny, ale z Komisji Skarbu⁶⁷, i pan Raczek, który na Dunaju⁶⁸ miał stragan z zieleniną. Prości to byli ludzie (nawet pan Domański trochę lubił anyżówkę), ale roztropni politycy. Wszyscy, nie wyłączając ciotki, twierdzili jak najbardziej stanowczo, że choć Napoleon I umarł w niewoli⁶⁹,

⁶⁶ *jeden Napoleon w Egipcie...* – obrazy przedstawiały niektóre ważniejsze momenty z życia Napoleona: wyprawę do Egiptu (1798), zwycięstwo nad Austrią pod Wagram (1809), zwycięstwo nad Austrią i Rosją pod Austerlitz (1805), wyprawę na Moskwę (1812), koronację Napoleona na cesarza (1804). [przypis redakcyjny]

⁶⁷ *Komisja Skarbu* – Komisja Finansów i Skarbu odpowiadała dzisiejszemu Ministerstwu Finansów; ustanowiona przez konstytucję 1815 r., zniesiona w r. 1867. [przypis redakcyjny]

⁶⁸ Dunaj – ulica w Warszawie na Starym Mieście (zupełnie zniszczona w czasie powstania warszawskiego). [przypis redakcyjny]

⁶⁹ *Napoleon I umarł w niewoli* – angielskiej w r. 1821 na wyspie Św. Heleny (na

ród Bonapartych jeszcze wypłynie. Po pierwszym Napoleonie znajdzie się jakiś drugi, a gdyby i ten źle skończył, przyjdzie następny, dopóki jeden po drugim nie uporządkują świata.

– Trzeba być zawsze gotowym na pierwszy odgłos! – mówił mój ojciec.

– Bo nie wiecie dnia ani godziny – dodawał pan Domański.

A pan Raczek, trzymając fajkę w ustach, na znak potwierdzenia pluł aż do pokoju ciotki.

– Napluj mi acan⁷⁰ w balie, to ci dam!... – wołała ciotka.

– Może jejmość i dasz, ale ja nie wezmę – mruknął pan Raczek plując w stronę komina.

– U... cóż to za chamy te całe grenadierzyska! – gniewała się ciotka.

– Jejmości zawsze smakowali ułani. Wiem, wiem...

Później pan Raczek ożenił się z moją ciotką...

...Chcąc, ażebym zupełnie był gotów, gdy wybije godzina sprawiedliwości, ojciec sam pracował nad moją edukacją.

Nauczył mnie czytać, pisać, kleić koperty, ale nade wszystko – musztrować się. Do musztry zapędzał mnie w bardzo wczesnym dzieciństwie, kiedy mi jeszcze zza pleców wyglądała koszula. Dobrze to pamiętam, gdyż ojciec komenderując: „Pół obrotu na prawo!” albo „Lewe ramię naprzód – marsz!...”, ciągnął mnie w odpowiednim kierunku za ogon tego ubrania.

Oceanie Atlantyckim). [przypis redakcyjny]

⁷⁰ acan – wyrażenie lekceważące, skrócone, zamiast „wasz-mość pan”. [przypis redakcyjny]

Była to najdokładniej prowadzona nauka.

Nieraz w nocy budził mnie ojciec krzykiem: „Do broni!...”, musztrował pomimo wymyślań i łez ciotki i kończył zdaniem:

– Ignaś! zawsze bądź gotów, wisusie, bo nie wiemy dnia ani godziny... Pamiętaj, że Bonapartów Bóg zesłał, ażeby zrobili porządek na świecie, a dopóty nie będzie porządku ani sprawiedliwości, dopóki nie wypełni się testament cesarza.

Nie mogę powiedzieć, ażeby niezachwianą wiarę mego ojca w Bonapartych i sprawiedliwość podzielali dwaj jego koledzy. Nieraz pan Raczek, kiedy mu dokuczył ból w nodze, kląć i stękając mówił:

– E! wiesz, stary, że już za długo czekamy na nowego Napoleona. Ja siwieć zaczynam i coraz gorzej podupadam, a jego jak nie było, tak i nie ma. Niedługo porobią się z nas dziady pod kościół, a Napoleon po to chyba przyjdzie, ażeby z nami śpiewać godzinki.

– Znajdzie młodych.

– Co za młodych! Lepsi z nich przed nami poszli w ziemię, a najmłodsi – diabła warci. Już są między nimi i tacy, co o Napoleonie nie słyszeli.

– Mój słyszał i zapamięta – odparł ojciec mrugając okiem w moją stronę.

Pan Domański jeszcze bardziej upadał na duchu.

– Świat idzie do gorszego – mówił trzęsąc głową. – Wikt coraz droższy, za kwaterę zabraliby ci całą pensję, a nawet co się tyczy anyżówki, i w tym jest szachrajstwo. Dawniej rozweseliłeś się

kieliszkiem, dziś po szklance jesteś taki czczy, jakbyś się napił wody. Sam Napoleon nie doczekałby się sprawiedliwości!

A na to odpowiedział ojciec:

– Będzie sprawiedliwość, choćby i Napoleona nie stało. Ale i Napoleon się znajdzie.

– Nie wierzę – mruknął pan Raczek.

– A jak się znajdzie, to co?... – spytał ojciec.

– Nie doczekamy tego.

– Ja doczekam – odparł ojciec – a Ignas doczeka jeszcze lepiej.

Już wówczas zdania mego ojca głęboko wyrzywały mi się w pamięci, ale dopiero późniejsze wypadki nadały im cudowny, nieomal proroczy charakter.

Około roku 1840 ojciec zaczął niedomagać. Czasami po parę dni nie wychodził do biura, a wreszcie na dobre legł w łóżku.

Pan Raczek odwiedzał go co dzień, a raz patrząc na jego chude ręce i wyżółkłe policzki szepnął:

– Hej! stary, już my chyba nie doczekamy się Napoleona.

Na co ojciec spokojnie odparł:

– Ja tam nie umrę, dopóki o nim nie usłyszę.

Pan Raczek pokiwał głową, a ciotka łyzy otarła myśląc, że ojciec bredzi. Jak tu myśleć inaczej, jeżeli śmierć już kołatała do drzwi, a ojciec jeszcze wyglądał Napoleona...

Było już z nim bardzo źle, nawet przyjął ostatnie sakramenta, kiedy w parę dni później wbiegł do nas pan Raczek dziwnie wzburzony i stojąc na środku izby zawołał:

– A wiesz, stary, że znalazł się Napoleon⁷¹?...

– Gdzie? – krzyknęła ciotka.

– Jużci we Francji.

Ojciec zerwał się, lecz znowu upadł na poduszki. Tylko wyciągnął do mnie rękę i patrząc wzrokiem, którego nie zapomnę, wyszeptał:

– Pamiętaj!... Wszystko pamiętaj...

Z tym umarł.

W późniejszym życiu przekonałem się, jak proroczymi były poglądy ojca. Wszyscy widzieliśmy drugą gwiazdę napoleońską, która obudziła Włochy i Węgry⁷²; a chociaż spadła pod Sedanem⁷³, nie wierzę w jej ostateczne zgaśnięcie. Co mi tam Bismarck, Gambetta albo Beaconsfield! niesprawiedliwość dopóty będzie władać światem, dopóki nowy Napoleon nie urośnie.

W parę miesięcy po śmierci ojca pan Raczek i pan Domański

⁷¹ *znalazł się Napoleon* – mowa o Ludwiku Napoleonie (tj. Napoleonie III), który jako pretendent do tronu francuskiego próbował go dwukrotnie zdobyć przez zamach stanu. Drugi zamach miał miejsce dnia 6 sierpnia 1840 r., kiedy Ludwik Napoleon powrócił z Anglii, gdzie przebywał na emigracji, i z grupą oficerów–bonapartystów wylądował w Wimereux. W Boulogne oddał się pod jego rozkazy tamtejszy garnizon wojskowy. [przypis redakcyjny]

⁷² *druga gwiazda napoleońska...* – Rzecki w naiwnym kulcie dla dynastii napoleońskiej i w przekonaniu, że o biegu historii decydują wielcy ludzie, uważa Wiosnę Ludów za rezultat działalności Ludwika Napoleona. [przypis redakcyjny]

⁷³ *pod Sedanem* – w Ardenach, nad Mozą. W czasie wojny francusko-niemieckiej, 2 września 1870 wojska francuskie poniosły tam straszną klęskę, a Napoleon III dostał się do niewoli. [przypis redakcyjny]

wraz z ciotką Zuzanną zebrali się na radę: co ze mną począć? Pan Domański chciał mnie zabrać do swoich biur i powoli wypromować na urzędnika; ciotka zalecała rzemiosło, a pan Raczek zieleniarstwo. Lecz gdy zapytano mnie: do czego mam ochotę? odpowiedziałem, że do sklepu.

– Kto wie, czy to nie będzie najlepsze – zauważył pan Raczek.
– A do jakiegoż byś chciał kupca?

– Do tego na Podwalu⁷⁴, co ma we drzwiach pałasz, a w oknie kozaka.

– Wiem – wtrąciła ciotka. – On chce do Mincla.

– Można spróbować – rzekł pan Domański. – Wszyscy przecież znamy Mincla⁷⁵.

Pan Raczek na znak zgody plunął aż w komin.

– Boże miłosierny – jęknęła ciotka – ten drab już chyba na mnie pluć zacznie, kiedy brata nie stało... Oj! nieszczęśliwa ja sierota!...

– Wielka rzecz! – odezwał się pan Raczek. – Wyjdź jejmość za mąż, to nie będziesz sierotą.

– A gdzież ja znajdę takiego głupiego, co by mnie wziął?

– Phi! może i ja bym się ożenił z jejmością, bo nie ma mnie kto smarować – mruknął pan Raczek, ciężko schylając się do ziemi, ażeby wypukać popiół z fajki. Ciotka rozplakała się,

⁷⁴ Podwale – jedna z ruchliwych ulic na Starym Mieście, wychodząca z placu Zamkowego. [przypis redakcyjny]

⁷⁵ Mincel – wśród mieszkańców Lublina do dziś utrzymuje się wersja, że pierwowzorem Minclów z *Lalki* byli lubelscy kupcy tegoż nazwiska. [przypis redakcyjny]

a wtedy odezwał się pan Domański:

– Po co robić duże ceregiele. Jejmość nie masz opieki, on nie ma gospodyni; pobierzcie się i przygarnijcie Ignasia, a będziecie nawet mieli dziecko. Jeszcze tanie dziecko, bo Mincel da mu wikt i kwaterę, a wy tylko odzież.

– He?... – spytał pan Raczek patrząc na ciotkę.

– No, oddajcie pierwaj chłopca do terminu, a potem... może się odważyć – odparła ciotka. – Zawsze miałam przeczucie, że marnie skończę...

– To i jazda do Mincla! – rzekł pan Raczek podnosząc się z krzeselka. – Tylko jejmość nie zrób mi zawodu! – dodał grożąc ciotce pięścią.

Wyszli z panem Domańskim i może w półtorej godziny wrócili obaj mocno zarumienieni. Pan Raczek ledwie oddychał, a pan Domański z trudnością trzymał się na nogach, podobno z tego, że nasze schody były bardzo niewygodne.

– Cóż?... – spytała ciotka.

– Nowego Napoleona wsadzili do prochowni!⁷⁶ – odpowiedział pan Domański.

– Nie do prochowni, tylko do fortecy. A–u... A–u... – dodał pan Raczek i rzucił czapkę na stół.

– Ale z chłopcem co?

⁷⁶ *Nowego Napoleona wsadzili do prochowni* – zamach stanu Ludwika Napoleona w r. 1840 nie powiódł się. Ludwik Napoleon został wzięty do niewoli, skazany przez Izbę Parów na dożywotnie więzienie i 7 października 1840 r. osadzony w twierdzy Ham (w północnej Francji). Prochownią nazywano więzienie w Warszawie, które mieściło się w dawnej prochowni przy ulicach Rybaki i Bolesć. [przypis redakcyjny]

– Jutro ma przyjść do Mincla z odzieniem i bielizną – odrzekł pan Domański. – Nie do fortecy A–u..., A–u... tylko do Ham–ham czy Cham... bo nawet nie wiem...

– Zwariowaliście, pijaki! – krzyknęła ciotka chwytając pana Raczkę za ramię.

– Tylko bez poufałości! – oburzył się pan Raczek. – Po ślubie będzie poufałość, teraz... Ma przyjść do Mincla jutro z bielizną i odzieniem... Nieszczęsny Napoleonie!...

Ciotka wypchnęła za drzwi pana Raczkę, potem pana Domańskiego i wyrzuciła za nimi czapkę.

– Precz mi stąd, pijaki!

– Wiwat Napoleon! – zawołał pan Raczek, a pan Domański zaczął śpiewać:

Przechodniu, gdy w tę stronę zwrócisz swoje oko,

Przybliż się i rozważaj ten napis głęboko...

Przybliż się i rozważaj ten napis głęboko.

Głos jego stopniowo cichnął, jakby zagłębiając się w studni, potem umilkł na schodach, lecz znowu doleciał nas z ulicy. Po chwili zrobił się tam jakiś hałas, a gdy wyjrzałem oknem, zobaczyłem, że pana Raczkę policjant prowadził do ratusza⁷⁷.

Takie to wypadki poprzedziły moje wejście do zawodu kupieckiego.

⁷⁷ Ratusz mieścił się w przebudowanym pałacu Jabłonowskiego na placu Teatralnym (zniszczony w czasie powstania warszawskiego). W budynku ratusza znajdowały się biura policyjne. [przypis redakcyjny]

Sklep Mincla znałem od dawna, ponieważ ojciec wysyłał mnie do niego po papier, a ciotka po mydło. Zawsze biegłem tam z radosną ciekawością, ażeby napatrzeć się wiszącym za szybami zabawkom. O ile pamiętam, był tam w oknie duży kozak, który sam przez się skakał i machał rękoma, a we drzwiach – bęben, pałasz i skórzany koń z prawdziwym ogonem.

Wnętrze sklepu wyglądało jak duża piwnica, której końca nigdy nie mogłem dojrzeć z powodu ciemności. Wiem tylko, że po pieprz, kawę i liście bobkowe szło się na lewo do stołu, za którym stały ogromne szafy od sklepienia do podłogi napełnione sufladami. Papier zaś, atrament, talerze i szklanki sprzedawano przy stole na prawo, gdzie były szafy z szybami, a po mydło i krochmal szło się w głąb sklepu, gdzie było widać beczki i stosy pak drewnianych.

Nawet sklepienie było zajęte. Wisiały tam długie szeregi pęcherzy naładowanych gorczycą i farbami, ogromna lampa z daszkiem, która w zimie paliła się cały dzień, sieć pełna korków do butelek, wreszcie – wypchany krokodylek, długi może na półtora łokcia⁷⁸.

Właścicielem sklepu był Jan Mincel, starzec z rumianą twarzą i kosmykiem siwych włosów pod brodą. W każdej porze dnia siedział on pod oknem na fotelu obitym skórą, ubrany w niebieski barchanowy kaftan, biały fartuch i takąż szlafmycę. Przed nim na stole leżała wielka księga, w której notował dochód, a tuż

⁷⁸ łokieć – dawna miara długości, łokieć warszawski – ok. 58 cm. [przypis redakcyjny]

nad jego głową wisiał pęk dyscyplin⁷⁹, przeznaczonych głównie na sprzedaż. Starzec odbierał pieniądze, zdawał gościom resztę, pisał w księdze, niekiedy drzemał, lecz pomimo tylu zajęć, z niepojętą uwagą czuwał nad biegiem handlu w całym sklepie. On także, dla uciechy przechodniów ulicznych, od czasu do czasu pociągał za sznurek skaczącego w oknie kozaka i on wreszcie, co mi się najmniej podobało, za rozmaite przestępstwa karmił nas jedną z pęka dyscyplin.

Mówię: nas, bo było nas trzech kandydatów do kary cielesnej: ja tudzież dwaj synowcy starego – Franc i Jan Minclowie.

Czułości pryncypała i jego biełości w używaniu sarniej nogi⁸⁰ doświadczyłem zaraz na trzeci dzień po wejściu do sklepu.

Franc odmierzył jakiejś kobiecie za dziesięć groszy rodzyneków. Widząc, że jedno ziarno upadło na kontuar (stary miał w tej chwili oczy zamknięte), podniosłem je nieznacznie i zjadłem. Chciałem właśnie wyjąć pestkę, która wcisnęła mi się między zęby, gdy uczułem na plecach coś, jakby mocne dotknięcie rozpalonego żelaza.

– A, szelma! – wrzasnął stary Mincel i nim zdałem sobie sprawę z sytuacji, przeciągnął po mnie jeszcze parę razy dyscyplinę, od wierzchu głowy do podłogi.

Zwinąłem się w kłębek z bólu, lecz od tej pory nie śmiałem wziąć do ust niczego w sklepie. Migdały, rodzyнки, nawet różki

⁷⁹ *dyscyplina* – przyrząd (kilka rzemieni umocowanych do rękojeści) służący do wymierzania kar cielesnych. [przypis edytorski]

⁸⁰ *sarnia noga* – rękojeść dyscypliny z wykonana z sarniej nogi. [przypis redakcyjny]

miały dla mnie smak pieprzu.

Urządziwszy się ze mną w taki sposób, stary zawiesił dyscyplinę na pęku, wpisał rodzyнки i z najdobrodusznieszą miną począł ciągnąć za sznurek kozaka. Patrząc na jego półuśmiechniętą twarz i przymrużone oczy, prawie nie mogłem wierzyć, że ten jowialny staruszek posiada taki zamach w rękę. I dopiero teraz spostrzegłem, że ów kozak widziany z wnętrza sklepu wydaje się mniej zabawnym niż od ulicy.

Sklep nasz był kolonialno-galanteryjno-mydlarski. Towary kolonialne wydawał gościom Franc Mincel, młodzieniec trzydziestokilkuletni, z rudą głową i zaspaną fizjognomią⁸¹. Ten najczęściej dostawał dyscyplinę od stryja, gdyż palił fajkę, późno wchodził za kontuar, wymykał się z domu po nocach, a nade wszystko niedbale ważył towar. Młodszy zaś, Jan Mincel, który zawiadywał galanterią i obok niezgrabnych ruchów odznaczał się łagodnością, był znowu bity za wykradanie kolorowego papieru i pisywanie na nim listów do panien.

Tylko August Katz, pracujący przy mydle, nie ulegał żadnym surowcowym⁸² upomnieniom. Mizerny ten człeczyna odznaczał się niezwykle punktualnością. Najraniej przychodził do roboty, krajał mydło i ważył krochmal jak automat; jadł, co mu podano, w najciemniejszym kącie sklepu, prawie wstydząc się tego, że doświadcza ludzkich potrzeb. O dziesiątej wieczorem gdzieś znikał.

⁸¹ *fizjognomia* (a. *fizjonomia*) – twarz. [przypis edytorski]

⁸² *surowcowy* – surowiec: rzemień wyrznięty ze skóry surowej. [przypis redakcyjny]

W tym otoczeniu upłynęło mi osiem lat, z których każdy dzień był podobny do wszystkich innych dni, jak kropla jesiennego deszczu do innych kropli jesiennego deszczu. Wstawałem rano o piątej, myłem się i zmyślałem sklep. O szóstej otwierałem główne drzwi tudzież okiennicę. W tej chwili gdzieś z ulicy zjawiał się August Katz, zdejmował surdut, kładł fartuch i milcząc stawał między beczką mydła szarego a kolumną ułożoną z cegiełek mydła żółtego. Potem drzwiami od podwórka wbiegał stary Mincel mrucząc: *Morgen!*⁸³, poprawiał szlafmycę, dobywał z szuflady księgę, wciskał się w fotel i parę razy ciągnął za sznurek kozaka. Dopiero po nim ukazywał się Jan Mincel i ucałowawszy stryja w rękę stawał za swoim kontuarem, na którym podczas lata łapał muchy, a w zimie kreślił palcem albo pięścią jakieś figury.

Franca zwykle sprowadzano do sklepu. Wchodził z oczyma zaspanymi, ziewający, obojętnie całował stryja w ramię i przez cały dzień skrobał się w głowę w sposób, który mógł oznaczać wielką senność lub wielkie zmartwienie. Prawie nie było ranka, ażeby stryj patrząc na jego manewry nie wykrzywił mu się i nie pytał:

– No... a gdzie, ty szelma, latała?

Tymczasem na ulicy budził się szmer i za szybami sklepu coraz częściej przesuwali się przechodnie. To służąca, to drwal, jejmość w kapturze, to chłopak od szewca, to jegomość

⁸³ *Morgen* – skrócone powitanie poranne w języku niemieckim: dzień dobry.
[przypis redakcyjny]

w rogatywce szli w jedną i drugą stronę jak figury w ruchomej panoramie⁸⁴. Środkiem ulicy toczyły się wozy, beczki, bryczki – tam i na powrót... Coraz więcej ludzi, coraz więcej wozów, aż nareszcie utworzył się jeden wielki potok uliczny, z którego co chwilę ktoś wpadał do nas za sprawunkiem.

– Pieprzu za trojaka⁸⁵...

– Proszę funt⁸⁶ kawy...

– Niech pan da ryżu...

– Pół funta mydła...

– Za grosz liści bobkowych...

Stopniowo sklep zapełniał się po największej części służącymi i ubogo odzianymi jejmościami. Wtedy Franc Mincel krzywił się najwięcej: otwierał i zamykał szuflady, obwijał towar w tutki⁸⁷ z szarej bibuły, wbiegał na drabinę, znowu zwiżał, robiąc to wszystko z żalosną miną człowieka, któremu nie pozwalają ziewnąć. W końcu zbierało się takie mnóstwo interesantów, że i Jan Mincel, i ja musieliśmy pomagać Francowi w sprzedaży.

Stary wciąż pisał i zdawał resztę, od czasu do czasu dotykając palcami swojej białej szlafmicy, której niebieski kutasik zwieszał mu się nad okiem. Czasem szarpnął kozaka, a niekiedy

⁸⁴ *panorama* – rozległy obraz wewnątrz okrągłego budynku, dający widzom złudzenie rzeczywistości. [przypis redakcyjny]

⁸⁵ *trojak* – trzy grosze (pół kopiejki), drobna polska moneta będąca jeszcze wówczas w obiegu. [przypis redakcyjny]

⁸⁶ *funt* – dawna jednostka wagi, funt warszawski był równy dzisiejszym 405 gramom. [przypis redakcyjny]

⁸⁷ *tutki* – (z niem.) tu: zwinięte torebki papierowe. [przypis redakcyjny]

z szybkością błyskawicy zdejmował dyscyplinę i ćwiknął⁸⁸ nią którego ze swych synowców. Nader rzadko mogłem zrozumieć: o co mu chodzi? synowcy bowiem niechętnie objaśniali mi przyczyny jego popędliwości.

Około ósmej napływ interesantów zmniejszał się. Wtedy w głębi sklepu ukazywała się gruba służąca z koszem bułek i kubkami (Franc odwracał się do niej tyłem), a za nią – matka naszego pryncypała, chuda staruszka w żółtej sukni, w ogromnym czepcu na głowie, z dzbankiem kawy w rękach. Ustawiwszy na stole swoje naczynie, staruszka odzywała się schrypniętym głosem:

– *Gut Morgen, meine Kinder! Der Kaffee ist schon fertig...*⁸⁹

I zaczynała rozlewać kawę w białe fajansowe kubki.

Wówczas zbliżał się do niej stary Mincel i całował ją w rękę mówiąc:

– *Gut Morgen, meine Mutter!*⁹⁰

Za co dostawał kubek kawy z trzema bułkami.

Potem przychodził Franc Mincel, Jan Mincel, August Katz, a na końcu ja. Każdy całował staruszkę w suchą rękę, porysowaną niebieskimi żyłami, każdy mówił:

– *Gut Morgen, Grossmutter!*⁹¹

⁸⁸ ćwiknąć (gwar.) – uderzyć. [przypis redakcyjny]

⁸⁹ *Gut Morgen, meine Kinder! Der Kaffee ist schon fertig...* (niem.) – dzień dobry, moje dzieci, kawa jest już gotowa. [przypis redakcyjny]

⁹⁰ *Gut Morgen, meine Mutter!* (niem.) – dzień dobry, moja matko! [przypis redakcyjny]

⁹¹ *Gut Morgen, Grossmutter* (niem.) – dzień dobry, babciu! [przypis redakcyjny]

I otrzymywał należny mu kubek tudzież trzy bułki.

A gdyśmy z pośpiechem wypili naszą kawę, służąca zabierała pusty kosz i zamazane kubki, staruszka swój dzbanek i obie znikwały.

Za oknem wciąż toczyły się wozy i płynął w obie strony potok ludzki, z którego co chwila odrywał się ktoś i wchodził do sklepu.

– Proszę krochmalu...

– Dać migdałów za dziesiątkę...

– Lukrecji⁹² za grosz...

– Szarego mydła...

Około południa zmniejszał się ruch za kontuarem towarów kolonialnych, a za to coraz częściej zjawiali się interesanci po stronie prawej sklepu, u Jana. Tu kupowano talerze, szklanki, żelazka, młynki, lalki, a niekiedy duże parasole, szafirowe lub pąsowe. Nabywcy, kobiety i mężczyźni, byli dobrze ubrani, rozsiadali się na krzesłach i kazali sobie pokazywać mnóstwo przedmiotów targując się i żądając coraz to nowych.

Pamiętam, że kiedy po lewej stronie sklepu męczyłem się bieganiną i zawijaniem towarów, po prawej – największe strapienie robiła mi myśl: czego ten a ten gość chce naprawdę i – czy co kupi? W rezultacie jednak i tutaj dużo się sprzedawało; nawet dzienny dochód z galanterii był kilka razy większy aniżeli z towarów kolonialnych i mydła.

Stary Mincel i w niedzielę bywał w sklepie. Rano modlił

⁹² *Lukrecja* – wyciąg z korzenia drzewa lukrecjowego o charakterystycznym słodko-miętłym smaku, stosowany w lecznictwie. [przypis redakcyjny]

się, a około południa kazał mi przychodzić do siebie na pewien rodzaj lekcji.

– *Sag mir*⁹³ – powiedz mi: *was ist das?* co to jest? *Das ist Schublade* – to jest szublada. Zobacz, co jest w te szublade. *Es ist Zimmt* – to jest cynamon. Do czego potrzebuje się cynamon? do zupe, do legumine potrzebuje się cynamon. Co to jest cynamon? Jest taki kora z jedne drzewo. Gdzie mieszka taki drzewo cynamon? W Indii mieszka taki drzewo. Patrz na globus – tu leży Indii. Daj mnie za dziesiątkę cynamon... *O, du Spitzbub!*⁹⁴ jak tobie dam dziesięć razy dyscyplin, ty będziesz wiedział, ile sprzedać za dziesięć groszy cynamon...

W ten sposób przechodziliśmy każdą szufladę w sklepie i historię każdego towaru. Gdy zaś Mincel nie był zmęczony, dyktował mi jeszcze zadania rachunkowe, kazał sumować księgi albo pisywać listy w interesach naszego sklepu.

Mincel był bardzo porządny, nie cierpiał kurzu, ścierał go z najdrobniejszych przedmiotów. Jednych tylko dyscyplin nigdy nie potrzebował okurzać dzięki swoim niedzielnym wykładom buchalterii⁹⁵, geografii⁹⁶ i towaroznawstwa.

Powoli, w ciągu paru lat, tak przywykliśmy do siebie, że stary Mincel nie mógł obejść się beze mnie, a ja nawet jego

⁹³ *Sag mir* (niem.) – powiedz mi. (Tu i w dalszym ciągu rozmowy stary Mincel sam tłumaczy łamaną polszczyzną wyrażenia niemieckie.) [przypis redakcyjny]

⁹⁴ *O, du Spitzbub!*... (niem.) – O, ty łobuzie!... [przypis redakcyjny]

⁹⁵ *buchalteria* – księgowość, rachunkowość. [przypis edytorski]

⁹⁶ *jeografia* – geografia. [przypis edytorski]

dyscypliny począłem uważać za coś, co należało do rodzinnych stosunków. Pamiętam, że nie mogłem utulić się z żalu, gdy raz zepsułem kosztowny samowar, a stary Mincel zamiast chwycić za dyscyplinę – odezwał się:

– Co ty zrobiła, Ignac?... Co ty zrobiła!...

Wolałbym dostać cięgi wszystkimi dyscyplinami, aniżeli znowu kiedy usłyszeć ten drżący głos i zobaczyć wylęknione spojrzenie pryncypała.

Obiady w dzień powszedni jadalіśmy w sklepie, naprzód dwaj młodzi Minclowie i August Katz, a następnie ja z pryncypałem. W czasie święta wszyscy zbieraliśmy się na górze i zasiadaliśmy do jednego stołu. Na każdą Wigilię Bożego Narodzenia Mincel dawał nam podarunki, a jego matka w największym sekrecie urządzała nam (i swemu synowi) choinkę. Wreszcie w pierwszym dniu miesiąca wszyscy dostawaliśmy pensję (ja brałem 10 złotych). Przy tej okazji każdy musiał wylegitymować się z porobionych oszczędności: ja, Katz, dwaj synowcy i służba. Nierobienie oszczędności, a raczej nieodkładanie co dzień choćby kilku groszy, było w oczach Mincla takim występkiem jak kradzież. Za mojej pamięci przewinęło się przez nasz sklep paru subiektów i kilku uczniów, których pryncypał dlatego tylko usunął, że nic sobie nie oszczędzili. Dzień, w którym się to wydało, był ostatnim ich pobytu. Nie pomogły obietnice, zakłęcia, całowania po rękach, nawet upadanie do nóg. Stary nie ruszył się z fotelu⁹⁷, nie patrzył na petentów⁹⁸, tylko

⁹⁷ *fotelu* – tej formy Prus używa konsekwentnie w całym utworze; dziś: fotela.

wskazując palcem drzwi wymawiał jeden wyraz: *fort! fort!...*⁹⁹ Zasada robienia oszczędności stała się już u niego chorobliwym dziwactwem.

Dobry ten człowiek miał jedną wadę, oto – nienawidził Napoleona. Sam nigdy o nim nie wspominał, lecz na dźwięk nazwiska Bonapartego dostawał jakby ataku wścieklizny; siniął na twarzy, pluł i wrzeszczał: szelma! szpitzbub! rozbójnik!...

Usłyszawszy pierwszy raz tak szkaradne wymysły nieomal straciłem przytomność. Chciałem coś hardego powiedzieć staremu i uciec do pana Raczka, który już ożenił się z moją ciotką. Nagle dostrzegłem, że Jan Mincel zasłoniwszy usta dłonią coś mruczy i robi miny do Katza. Wyteżam słuch i – oto co mówi Jan:

– Baje stary, baje! Napoleon był chwat, choćby za to samo, że wygnał hyclów Szwabów. Nieprawda, Katz?

A August Katz zmrużył oczy i dalej krajał mydło.

Oślupiałem ze zdziwienia, lecz w tej chwili bardzo polubiłem Jana Mincla i Augusta Katza. Z czasem przekonałem się, że w naszym małym sklepie istnieją aż dwa wielkie stronnictwa, z których jedno, składające się ze starego Mincla i jego matki, bardzo lubiło Niemców, a drugie, złożone z młodych Minclów i Katza, nienawidziło ich. O ile pamiętam, ja tylko byłem neutralny.

[przypis edytorski]

⁹⁸ *petent* – tu: proszący. [przypis redakcyjny]

⁹⁹ *fort! fort!...* (niem.) – precz! precz!... [przypis redakcyjny]

W roku 1846 doszły nas wieści o ucieczce Ludwika Napoleona z więzienia¹⁰⁰. Rok ten był dla mnie ważny, gdyż zostałem subiektem, a nasz pryncypał, stary Jan Mincel, zakończył życie z powodów dosyć dziwnych.

W roku tym handel w naszym sklepie nieco osłabnął, już to z racji ogólnych niepokojów¹⁰¹, już z tej, że i pryncypał za często i za głośno wymyślał na Ludwika Napoleona. Ludzie poczęli zniechęcać się do nas, a nawet ktoś (może Katz?...) wybił nam jednego dnia szybę w oknie.

Otóż wypadek ten, zamiast całkiem odstręczyć publiczność, zwabił ją do sklepu i przez tydzień mieliśmy tak duże obroty jak nigdy; aż zazdrościli nam sąsiedzi. Po tygodniu jednakże sztuczny ruch na nowo osłabnął i znowu były w sklepie pustki.

Pewnego wieczora w czasie nieobecności pryncypała, co już

¹⁰⁰ *ucieczka Ludwika Napoleona z więzienia* – 25 maja 1846 r. Ludwikowi Napoleonowi udało się uciec z francuskiej twierdzy Ham do Anglii. [przypis redakcyjny]

¹⁰¹ *ogólne niepokoje...* – od roku 1840 wzmogła się we wszystkich zaborach działalność spiskowa. Tajne organizacje demokratyczne przygotowywały ogólnopolskie powstanie, wyznaczając termin na 22 lutego 1846 roku. W Warszawie spisek rozgałęziony był głównie wśród inteligencji i drobnomieszczaństwa, docierał również do proletariatu. Policja pruska i rosyjska wpadły jednak na trop organizacji i przeprowadziły liczne aresztowania, co udaremniło wybuch powstania (poza Krakowskiem). W Królestwie jedyną próbą walki był nieudany napad Pantaleona Potockiego na Siedlce. W następstwie tego władze carskie ogłosiły stan oblężenia; czterech uczestników napadu skazano na śmierć, wiele osób na zesłanie i ciężkie roboty. W początkach 1847 roku działalność konspiracyjna została w Królestwie wznowiona. Na wiosnę 1848 roku policja aresztowała niektórych uczestników spisku, a w ciągu dwu następnych lat rozgromiła go zupełnie. [przypis redakcyjny]

stanowiło fakt niezwykle, wpadł nam drugi kamień do sklepu. Przestraszeni Minclowie pobiegli na górę i szukali stryja, Katz poleciał na ulicę szukać sprawcy zniszczenia, a wtem ukazało się dwu policjantów ciągnących... Proszę zgadnąć kogo?... Ani mniej, ani więcej – tylko naszego pryncypała oskarżając go, że to on wybił szybę teraz, a zapewne i poprzednio...

Na próżno staruszek wypierał się: nie tylko bowiem widziano jego zamach, ale jeszcze znaleziono przy nim kamień... Poszedł też nieborak do ratusza.

Sprawa po wielu tłumaczeniach i wyjaśnieniach naturalnie zatarła się; ale stary od tej chwili zupełnie stracił humor i zaczął chudnąć. Pewnego zaś dnia usiadłszy na swym fotelu pod oknem już nie podniósł się z niego. Umarł oparty brodą na księdze handlowej, trzymając w ręce sznurek, którym poruszał kozaka.

Przez kilka lat po śmierci stryja synowcy prowadzili wspólnie sklep na Podwalu i dopiero około 1850 roku podzielili się w ten sposób, że Franc został na miejscu z towarami kolonialnymi, a Jan z galanterią i mydłem przeniósł się na Krakowskie, do lokalu, który zajmujemy obecnie. W kilka lat później Jan ożenił się z piękną Małgorzatą Pfeifer, ona zaś (niech spoczywa w spokoju) zostawszy wdową oddała rękę swoją Stasiowi Wokulskiemu, który tym sposobem odziedziczył interes prowadzony przez dwa pokolenia Minclów.

Matka naszego pryncypała żyła jeszcze długi czas; kiedy w roku 1853 wróciłem z zagranicy, zastałem ją w najlepszym zdrowiu. Zawsze schodziła rano do sklepu i zawsze mówiła:

– *Gut Morgen meine Kinder! Der Kaffee ist schon fertig...*

Tylko głos jej z roku na rok przyciszał się, dopóki wreszcie nie umilknął na wieki.

Za moich czasów pryncypał był ojcem i nauczycielem praktykantów i najczujniejszym sługą sklepu; jego matka lub żona były gospodyniami, a wszyscy członkowie rodziny pracownikami. Dziś pryncypał bierze tylko dochody z handlu, najczęściej nie zna go i najwięcej troszczy się o to, ażeby jego dzieci nie zostały kupcami. Nie mówię tu o Stasiu Wokulskim, który ma szersze zamiary, tylko myślę w ogólności, że kupiec powinien siedzieć w sklepie i wyrabiać sobie ludzi, jeżeli chce mieć porządných.

Słysząc, że Andrassy zażądał sześćdziesięciu milionów guldenów na nieprzewidziane wydatki¹⁰². Więc i Austria zbroi się, a tymczasem Staś pisze mi, że – nie będzie wojny. Ponieważ nigdy nie był fanfaronem, więc chyba być musi bardzo wtajemniczonym w politykę; a w takim razie siedzi w Bułgarii nie przez miłość do handlu.

Ciekawym, co on robi! Ciekawym!...

¹⁰² Andrassy zażądał sześćdziesięciu milionów guldenów – po zawarciu pokoju w San Stefano, w marcu 1878 r., zebrały się w Wiedniu delegacje sejmu austriackiego i parlamentu węgierskiego, od których ówczesny minister spraw zagranicznych, hr. Juliusz Andrassy (1823–1890), zażądał nadzwyczajnych kredytów w wysokości 60 milionów guldenów [przypis redakcyjny]

IV. Powrót

Jest niedziela, szkaradny dzień marcowy; zbliża się południe, lecz ulice Warszawy są prawie puste. Ludzie nie wychodzą z domów albo kryją się w bramach, albo skuleni uciekają przed siekącym ich deszczem i śniegiem. Prawie nie słychać turkotu dorożek, gdyż dorożki stoją. Dorożkarze opuściwszy kozioł wchodzą pod budy swoich powozów, a zmoczone deszczem i zasypane śniegiem konie wyglądają tak, jakby pragnęły schować się pod dyszel i nakryć własnymi uszami.

Pomimo, a może z powodu tak brzydkiego czasu pan Ignacy siedzący w swoim zakratowanym pokoju jest bardzo wesół. Interesa sklepowe idą wybornie, wystawa w oknach na przyszły tydzień już ułożona, a nade wszystko – lada dzień ma powrócić Wokulski. Nareszcie pan Ignacy zda komuś rachunki i ciężar kierowania sklepem, najdalej zaś za dwa miesiące wyjedzie sobie na wakacje. Po dwudziestu pięciu latach pracy – i jeszcze jakiej! – należy mu się ten wypoczynek. Będzie rozmyślał tylko o polityce, będzie chodził, będzie biegał i skakał po polach i lasach, będzie świstał, a nawet śpiewał jak za młodu. Gdyby nie te bóle reumatyczne, które zresztą na wsi ustąpią...

Więc choć deszcz ze śniegiem bije w zakratowane okna, choć pada tak gęsto, że w pokoju jest mrok, pan Ignacy ma wiosenny humor. Wydobywa spod łóżka gitarę, dostraja ją i wzięwszy kilka akordów, zaczyna śpiewać przez nos pieśń bardzo romantyczną:

Wiosna się budzi w całej naturze
Witana rzewnym słowików pieniem;
W zielonym gaju, ponad strumieniem,
Kwitną prześliczne dwie róże.

Czarowne te dźwięki budzą śpiącego na kanapie pudła, który poczyną przypatrywać się jedynym okiem swemu panu. Dźwięki te robią więcej, gdyż wywołują na podwórzu jakiś ogromny cień, który staje w zakratowanym oknie i usiłuje zajrzeć do wnętrza izby, czym zwraca na siebie uwagę pana Ignacego.

„Tak, to musi być Paweł” – myśli pan Ignacy.

Ale Ir jest innego zdania, zeskakuje bowiem z kanapy i z niepokojem wacha drzwi, jakby czuł kogoś obcego.

Słychać szmer w sieniach. Jakaś ręka poszukuje klamki, nareszcie otwierają się drzwi i na progu staje ktoś odziany w wielkie futro upstrzone śniegiem i kroplami deszczu.

– Kto to? – pyta się pan Ignacy i na twarz występują mu silne rumieńce.

– Jużes o mnie zapomniał, stary?... – cicho i powoli odpowiada gość.

Pan Ignacy miesza się coraz bardziej. Zasadza na nos binokle, które mu spadają, potem wydobywa spod łóżka trumienkowate pudło, śpiesznie chowa gitarę i toż samo pudełko wraz z gitarą kładzie na swoim łóżku.

Tymczasem gość zdjął wielkie futro i baranią czapkę, a jednooki Ir obwąchawszy go poczyną kręcić ogonem, łasić się

i z radosnym skomleniem przypadać mu do nóg.

Pan Ignacy zbliża się do gościa wzruszony i zgarbiony więcej niż kiedykolwiek.

– Zdaje mi się... – mówi zacierając ręce – zdaje mi się, że mam przyjemność...

Potem gościa prowadzi do okna mrugając powiekami.

– Staś... jak mi Bóg miły!...

Klepie go po wypukłej piersi, ściska za prawą i za lewą rękę, a nareszcie oparłszy na jego ostrzyżonej głowie swoją dłoń wykonywa nią taki ruch, jakby mu chciał maść wetrzeć w okolice ciemienia.

– Cha! cha! cha! – śmieje się pan Ignacy. – Staś we własnej osobie... Staś z wojny!... Cóż to, dopiero teraz przypomniałeś sobie, że masz sklep i przyjaciół? – dodaje, mocno uderzając go w łopatkę. – Niech mię diabli wezmą, jeżeli nie jesteś podobny do żołnierza albo marynarza, ale nigdy do kupca... Przez osiem miesięcy nie był w sklepie!... Co za pierś... co za łeb...

Gość także się śmiał. Objął Ignacego za szyję i po kilka razy gorąco ucałował go w oba policzki, które stary subiekt kolejno nadstawiał mu, nie oddając jednak pocałunków.

– No i cóż słysząc, stary, u ciebie? – odezwał się gość. – Wychudłeś, pobladłeś...

– Owszem, trochę nabieram ciała.

– Posiwiasteś... Jakże się masz?

– Wybornie. I w sklepie jest nieźle, trochę zwiększyły się nam obroty. W styczniu i lutym mieliśmy targu za dwadzieścia

pięć tysięcy rubli... Staś kochany!... Osiem miesięcy nie było go w domu... Bagatela... Może siądziesz?

– Rozumie się – odpowiedział gość siadając na kanapie, na której wnet umieścił się Ir i oparł mu głowę na kolanach.

Pan Ignacy przysunął sobie krzesło.

– Może co zjesz? Mam szynkę i trochę kawioru.

– Owszem.

– Może co wypijesz? Mam butelkę niezłego węgryzyna, ale tylko jeden cały kieliszek.

– Będę pił szklanką – odparł gość.

Pan Ignacy zaczął dreptać po pokoju, kolejno otwierając szafę, kuferek i stolik.

Wydobył wino i schował je na powrót, potem rozłożył na stole szynkę i kilka bułek. Ręce i powieki drżały mu i sporo czasu upłynęło, nim o tyle się uspokoił, że zgromadził na jeden punkt poprzednio wyliczone zapasy. Dopiero kieliszek wina przywrócił mu silnie zachwianą równowagę moralną.

Wokulski tymczasem jadł.

– No, cóż nowego? – rzekł spokojniejszym tonem pan Ignacy trącając gościa w kolano.

– Domyślałem się, że ci chodzi o politykę – odparł Wokulski.
– Będzie pokój.

– A po cóż zbroi się Austria?

– Zbroi się za sześćdziesiąt milionów guldenów?... Chce zabrać Bośnię i Hercegowinę¹⁰³.

¹⁰³ zabrać Bośnię i Hercegowinę – Bośnia; kraina w północno-zachodniej części

Ignacemu rozszerzyły się źrenice.

– Austria chce zabrać?... – powtórzył. – Za co?...

– Za co? – uśmiechnął się Wokulski. – Za to, że Turcja nie może jej tego zabronić.

– A cóż Anglia?

– Anglia także dostanie kompensatę.

– Na koszt Turcji?

– Rozumie się. Zawsze słabi ponoszą kosztą zatargów między silnymi.

– A sprawiedliwość? – zawołał Ignacy.

– Sprawiedliwym jest to, że silni mnożą się i rosną, a słabi giną. Inaczej świat stałby się domem inwalidów, co dopiero byłoby niesprawiedliwością.

Ignacy posunął się z krzesłem.

– I ty to mówisz, Stasiu?... Na serio, bez żartów?

Wokulski zwrócił na niego spokojne wejrzenie.

– Ja mówię – odparł. – Cóż w tym dziwnego? Czyliż to samo prawo nie stosuje się do mnie, do ciebie, do nas wszystkich?... Za dużo płakałem nad sobą, ażebym się miał rozczulać nad Turcją.

Pan Ignacy spuścił oczy i umilkł. Wokulski jadł.

– No, a jakże tobie poszło? – zapytał Rzecki już zwykłym tonem.

Wokulskiemu błysnęły oczy. Położył bułkę i oparł się

Jugosławii na południe od rzeki Sawy (główne miasto Sarajewo). Hercegowina znajduje się między Bośnią a Czarnogórzem. Po zawarciu pokoju w San Stefano Austria zażądała okupacji Bośni i Hercegowiny, które należały wówczas do Turcji.
[przypis redakcyjny]

o poręcz kanapy.

– Pamiętasz – rzekł – ile wzięłem pieniędzy, gdy z stąd wyjeżdżałem?

– Trzydzieści tysięcy rubli, całą gotówkę.

– A jak ci się zdaje: ile przywożem?

– Pięćdziesiąt... ze czterdzieści tysięcy... Zgadłem?... – pytał Rzecki, niepewnie patrząc na niego.

Wokulski nalał szklankę wina i wypił ją powoli.

– Dwieście pięćdziesiąt tysięcy rubli, z tego dużą część w złocie – rzekł dobitnie. – A ponieważ kazałem zakupić banknoty, które po zawarciu pokoju sprzedam, więc będę miał przeszło trzysta tysięcy rubli...

Rzecki pochylił się ku niemu i otworzył usta.

– Nie bój się – ciągnął Wokulski. – Grosz ten zarobiłem uczciwie, nawet ciężko, bardzo ciężko. Cały sekret polega na tym, że miałem bogatego wspólnika i że kontentowałem się cztery i pięć razy mniejszym zyskiem niż inni. Toteż mój kapitał ciągle wzrastający był w ciągłym ruchu. – No – dodał po chwili – miałem też szalone szczęście... Jak gracz, któremu dziesięć razy z rzędu wychodzi ten sam numer w rulecie. Gruba gra?... prawie co miesiąc stawiałem cały majątek, a co dzień życie.

– I tylko po to jeździłeś tam? – zapytał Ignacy.

Wokulski drwiąco spojrzał na niego.

– Czy chciałeś, ażeby zostawiałem tureckim Wallenrodem?...¹⁰⁴

¹⁰⁴ *Czy chciałeś, ażeby zostawiałem tureckim Wallenrodem?* – aluzja do bohatera poematu Mickiewicza *Konrad Wallenrod* (1823). Wokulski zostawiał „tureckim Wallenrodem”,

– Narażać się dla majątku, gdy się ma spokojny kawałek chleba!... – mruknął pan Ignacy kiwając głową i podnosząc brwi. Wokulski zadrżał z gniewu i zerwał się z kanapy.

– Ten spokojny chleb – mówił zaciskając pięści – dławił mnie i dusił przez lat sześć!... Czy już nie pamiętasz, ile razy na dzień przypominano mi dwa pokolenia Minclów albo anielską dobroć mojej żony? Czy był kto z dalszych i bliższych znajomych, wyjąwszy ciebie, który by mię nie dręczył słowem, ruchem, a choćby spojrzeniem? Ileż to razy mówiono o mnie i prawie do mnie, że karmię się z fartucha żony, że wszystko zawdzięczam pracy Minclów, a nic, ale to nic – własnej energii, choć przecie ja podźwignąłem ten kramik, zdwoiłem jego dochody...

Mincle i zawsze Mincle!... Dziś niech mnie porównają z Minclami. Sam jeden przez pół roku zarobiłem dziesięć razy więcej aniżeli dwa pokolenia Minclów przez pół wieku. Na zdobycie tego, com ja zdobył pomiędzy kulą, nożem i tyfusem, tysiąc Minclów musiałoby się pocić w swoich sklepikach i szlafmycach. Teraz już wiem, ilu jestem wart Minclów, i jak mi Bóg miły, dla podobnego rezultatu drugi raz powtórzyłbym moją grę! Wolę obawiać się bankructwa i śmierci aniżeli wdzięczyc się do tych, którzy kupią u mnie parasol, albo padać do nóg tym, którzy w moim sklepie raczą zaopatrywać się w waterklozety...

– Zawsze ten sam! – szepnął Ignacy.

gdyby wykorzystując swoje stanowisko dostawcy armii rosyjskiej działał na jej szkodę w interesach Turcji. Tym ironicznym pytaniem Wokulski podkreśla, że jego działalność nie miała żadnego związku z polityką. [przypis redakcyjny]

Wokulski ochłonał. Oparł się na ramieniu Ignacego i zaglądając mu w oczy rzekł łagodnie:

– Nie gniewasz się, stary?

– Czego? Albo nie wiem, że wilk nie będzie pilnował baranów... Naturalnie...

– Cóż u was słyszać? – powiedz mi.

– Akurat tyle, co pisałem ci w raportach. Interesa dobrze idą, towarów przybyło, a jeszcze więcej zamówień. Trzeba jednego subiekta.

– Weźmiemy dwu, sklep rozszerzymy, będzie wspaniały.

– Bagatela!

Wokulski spojrzał na niego z boku i uśmiechnął się widząc, że stary odzyskuje dobry humor.

– Ale co w mieście słyszać? W sklepie, dopóki ty w nim jesteś, musi być dobrze.

– W mieście...

– Z dawnych kundmanów¹⁰⁵ nie ubył kto? – przerwał mu Wokulski, coraz szybciej chodząc po pokoju.

– Nikt! Przybyli nowi.

– A... a...

Wokulski stanął jakby wahając się. Nalał znowu szklanę wina i wypił duszkiem.

– A Łęcki kupuje u nas?...

– Częściej bierze na rachunek.

– Więc bierze... – Tu Wokulski odetchnął. – Jakże on stoi?

¹⁰⁵ *kundman* (z niem.) – stały odbiorca. [przypis redakcyjny]

– Zdaje się, że to skończony bankrut i bodajże w tym roku zlicytują mu nareszcie kamienicę.

Wokulski pochylił się nad kanapą i zaczął bawić się z Irem.

– Proszę cię... A panna Łęcka nie wyszła za mąż?

– Nie.

– A nie wychodzi?...

– Bardzo wątpię. Kto dziś ożeni się z panną mającą wielkie wymagania, a żadnego posagu? Zestarzeje się, choć ładna. Naturalnie...

Wokulski wyprostował się i przeciągnął. Jego surowa twarz nabrała dziwnie rzewnego wyrazu.

– Mój kochany stary! – mówił biorąc Ignacego za rękę – mój pocziwy stary przyjacielu! Ty nawet nie domyślasz się, jakim ja szczęśliwy, że cię widzę, i jeszcze w tym pokoju. Pamiętasz, ilem ja tu spędził wieczorów i nocy... jak mnie karmiłeś... jak oddawałeś mi co lepsze odzienie... Pamiętasz?...

Rzecki uważnie spojrzał na niego i pomyślał, że wino musi być dobre, skoro aż tak rozwiązało usta Wokulskiemu.

Wokulski usiadł na kanapie i oparłszy głowę o ścianę mówił jakby do siebie:

– Nie masz pojęcia, co ja wycierpiałem, oddalony od wszystkich, niepewny, czy już kogo zobaczę, tak strasznie samotny. Bo widzisz, najgorszą samotnością nie jest ta, która otacza człowieka, ale ta pustka w nim samym, kiedy z kraju nie wyniósł ani cieplejszego spojrzenia, ani serdecznego słówka, ani nawet iskry nadziei...

Pan Ignacy poruszył się na krześle z zamiarem protestu.

– Pozwól sobie przypomnieć – odezwał się – że z początku pisywałem listy bardzo życzliwe, owszem, może nawet za sentymentalne. Zraziły mnie dopiero twoje krótkie odpowiedzi.

– Alboż ja do ciebie mam żal?...

– Tym mniej możesz go mieć do innych pracowników, którzy nie znają cię tak jak ja.

Wokulski ocknął się.

– Ależ ja do żadnego z nich nie mam pretensji. Może – odrobinę – do ciebie, żeś tak mało pisał o... mieście... W dodatku bardzo często ginął „Kurier”¹⁰⁶ na pocztach, robiły się luki w wiadomościach, a wtedy męczyły mnie najgorsze przeczucia.

– Z jakiej racji? Wszakże u nas nie było wojny – odparł ze zdziwieniem pan Ignacy.

– Ach tak!... Nawet dobrze bawiliście się. Pamiętam, w grudniu mieliście świetne żywe obrazy¹⁰⁷. Kto to w nich występował?...

– No, ja na takie głupstwa nie chodzę.

– To prawda. A ja tego dnia dałbym – bodaj – dziesięć tysięcy rubli, ażeby je zobaczyć. Głupstwo jeszcze większe!... Czy nie

¹⁰⁶ „Kurier” – „Kurier Warszawski”, popularna gazeta konserwatywnych sfer mieszczańskich i arystokratycznych w Warszawie (wychodziła od r. 1821). [przypis redakcyjny]

¹⁰⁷ *żywe obrazy* – rozrywka towarzyska polegająca na tym, że grupa osób, przebranych w odpowiednie kostiumy, przedstawiała jakąś scenę historyczną albo alegoryczną. [przypis redakcyjny]

tak?...

– Zapewne – chociaż dużo tu tłumaczy samotność, nudy...

– A może tęsknota – przerwał Wokulski. – Zjadała mi ona każdą chwilę wolną od pracy, każdą godzinę odpoczynku. Należ mi wina, Ignacy.

Wypił, zaczął znowu chodzić po pokoju i mówić przyciszonym głosem:

– Pierwszy raz spadło to na mnie w czasie przeprawy przez Dunaj trwającej od wieczora do nocy. Płynąłem sam i Cygan przewoźnik. Nie mogąc rozmawiać przypatrywałem się okolicy. Były w tym miejscu piaszczyste brzegi, jak u nas. I drzewa podobne do naszych wierzb, wzgórza porośnięte leszczyną i kępy lasów sosnowych. Przez chwilę zdawało mi się, że jestem w kraju, i że nim noc zapadnie, znowu was zobaczę. Noc zapadła, ale jednocześnie zniknęły mi z oczu brzegi. Byłem sam na ogromnej smudze wody, w której odbijały się nikłe gwiazdy.

Wówczas przyszło mi na myśl, że tak daleko jestem od domu, że dziś ostatnim między mną i wami łącznikiem są tylko te gwiazdy, że w tej chwili u was może nikt nie patrzy na nie, nikt o mnie nie pamięta, nikt!... Uczułem jakby wewnętrzne rozdarcie i wtedy dopiero przekonałem się, jak głęboką mam ranę w duszy.

– Prawda, że nigdy nie interesowały mnie gwiazdy – szepnął pan Ignacy.

– Od tego dnia uległem dziwnej chorobie – mówił Wokulski.

– Dopóki rozpisywałem listy, robiłem rachunki, odbierałem

towary, rozsyłałem moich agentów, dopókim bodaj dźwigał i wyładowywał zepsute wozy albo czuwał nad skradającym się grabieżcą, miałem względny spokój. Ale gdym oderwał się od interesów, a nawet gdym na chwilę złożył pióro, czułem ból, jakby mi – czy ty rozumiesz, Ignacy? – jakby mi ziarno piasku wpadło do serca. Bywało, chodzę, jem, rozmawiam, myślę przytomnie, rozpatruję się w pięknej okolicy, nawet śmieję się i jestem wesół, a mimo to czuję jakieś tępe ukłucie, jakiś drobny niepokój, jakąś nieskończenie małą obawę.

Ten stan chroniczny, męczący nad wszelki wyraz, lada okoliczność rozdmuchiwała w burzę. Drzewo znajomej formy, jakiś obdarty pagórek, kolor obłoku, przelot ptaka, nawet powiew wiatru bez żadnego zresztą powodu budził we mnie tak szaloną rozpacz, że uciekałem od ludzi. Szukałem ustroni tak pustej, gdzie bym mógł upaść na ziemię i nie podsłuchany przez nikogo, wyć z bólu jak pies.

Czasami w tej ucieczce przed samym sobą doganiała mnie noc. Wtedy spoza krzaków, zwalonych pni i rozpadlin wychodziły naprzeciw mnie jakieś szare cienie i smutnie kiwały głowami o wyblakłych oczach. A wszystkie szelesty liści, daleki turkot wozów, szmery wód zlewały się w jeden głos żałosny, który mnie pytał: „Przechodniu nasz, ach! co się z tobą stało? ...”¹⁰⁸

¹⁰⁸ *Przechodniu nasz, ach! co się z tobą stało?* – cytat z wiersza Mickiewicza *Do H *** (Wezwanie do Neapolu)*. Prus przytacza jak zwykle z pamięci; u Mickiewicza: „Pielgrzymie nasz...” [przypis redakcyjny]

Ach, co się ze mną stało...

– Nic nie rozumiem – przerwał Ignacy. – Cóż to za szal?

– Co?... Tęsknota

– Za czym?

Wokulski drgnął.

– Za czym? No... za wszystkim... za krajem...

– Dlaczegożeś nie wracał?

– A cóż by mi dał powrót?... Zresztą – nie mogłem.

– Nie mogłeś? – powtórzył Ignacy.

– Nie mogłem... i basta! Nie miałem po co wracać – odparł

niecierpliwie Wokulski. – Umrzeć tu czy tam, wszystko jedno...
daj mi wino – zakończył nagle, wyciągając rękę.

Rzecki spojrzał w jego rozgorączkowaną twarz i odsunął
butelkę.

– Daj pokój – rzekł – już i tak jesteś rozdrażniony...

– Dlatego chcę pić...

– Dlatego nie powinieneś pić – przerwał Ignacy. – Za wiele
mówisz... może więcej, aniżeli byś chciał – dodał z naciskiem.

Wokulski cofnął się. Zastanowił się i odparł potrząsając
głową:

– Mylisz się.

– Zaraz ci dowiodę – odpowiedział Ignacy przyciszonym
głosem. – Ty nie jeździłeś tam wyłącznie dla zrobienia
pieniędzy...

– Zapewne – rzekł Wokulski po namyśle.

– Bo i na co trzysta tysięcy rubli tobie, któremu wystarczało

tyś na rok?...

– To prawda.

Rzecki zbliżył swoje usta do jego ucha.

– Jeszcze ci powiem, że pieniędzy tych nie przywiozłeś dla siebie...

– Kto wie, czyś nie zgadł.

– Zgaduję więcej, aniżeli myślisz...

Wokulski nagle roześmiał się.

– Aha, więc tak sądzisz? – zawołał. – Upewniam cię, że nic nie wiesz, stary marzycielu.

– Boję się twojej trzeźwości, pod wpływem której gadasz jak wariat. Rozumiesz mnie, Stasiu?...

Wokulski wciąż się śmiał.

– Masz rację, nie przywykłem pić i wino uderzyło mi do głowy. Ale – już zebrałem zmysły. Powiem ci tylko, że mylisz się gruntownie. A teraz, ażeby ocalić mnie od zupełnego upicia, wypij sam – za pomyślność moich zamiarów.

Ignacy nalał kieliszek i mocno ściskając rękę Wokulskiemu, rzekł:

– Za pomyślność wielkich zamiarów...

– Wielkich dla mnie, ale w rzeczywistości bardzo skromnych.

– Niech i tak będzie – mówił Ignacy. – Jestem tak stary, że mi wygodniej nic nie wiedzieć; jestem już nawet tak stary, że pragnę tylko jednej rzeczy – pięknej śmierci. Daj mi słowo, że gdy przyjdzie czas, zawiadomisz mnie...

– Tak, gdy przyjdzie czas, będziesz moim swatem.

– Już byłem i nieszczęśliwie... – rzekł Ignacy.

– Z wdową przed siedmioma laty?

– Przed piętnastoma¹⁰⁹.

– Znowu swoje – roześmiał się Wokulski. – Zawsze ten sam!

– I tyś ten sam. Za pomyślność twoich zamiarów...

Jakiegokolwiek są, wiem jedno, że muszą być godne ciebie. A teraz – milczę...

To powiedziawszy Ignacy wypił wino, a kieliszek rzucił na ziemię. Szkło rozbiło się z brzękiem, który obudził Ira.

– Chodźmy do sklepu – rzekł Ignacy. – Bywają rozmowy, po których dobrze jest mówić o interesach.

Wydobył ze stolika klucz i wyszli. W sieni wionął na nich mokry śnieg. Rzecki otworzył drzwi sklepu i zapalił kilka lamp.

– Co za towary! – zawołał Wokulski. – Chyba wszystko nowe?

– Prawie. Chcesz zobaczyć?... Tu jest porcelana. Zwracam ci uwagę...

– Później... Daj mi księgę.

– Dochodów?...

– Nie, dłużników.

Rzecki otworzył biurko, wydobył księgę i podsunął fotel. Wokulski usiadł i rzuciwszy okiem na listę, wyszukał w niej jedno nazwisko.

– Sto czterdzieści rubli – mówił czytając. – No, to wcale niedużo...

¹⁰⁹ *Przed piętnastoma* – w domyśle: laty, a więc w r. 1863; pojawia się tu kolejna aluzja do udziału Wokulskiego w powstaniu styczniowym. [przypis redakcyjny]

– Któż to? – zapytał Ignacy. – A... Łęcki...

– Panna Łęcka ma także otwarty kredyt... bardzo dobrze – ciągnął Wokulski zbliżywszy twarz do księgi, jakby w niej pismo było niewyraźne. – A... a... Onegdaj wzięła portmonetkę... Trzy ruble?... to chyba za drogo...

– Wcale nie – wtrącił Ignacy. – Portmonetka doskonała, sam ją wybierałem.

– Z którychże to? – spytał niedbale Wokulski i zamknął księgę.

– Z tej gablotki. Widzisz, jakie to cacka.

– Musiała jednak dużo między nimi przerzucić... Jest podobno wymagająca...

– Wcale nie przerzucała, dlaczego miałyby przerzucać? – odparł Ignacy. – Obejrzała tę...

– Tę?...

– A chciała wziąć tę...

– Ach, tę... – szepnął Wokulski biorąc do ręki portmonetkę.

– Ale ja poradziłem jej inną, w tym guście...

– Wiesz co, że to jednak jest ładny wyrób.

– Tamta, którą ja wybrałem, była jeszcze ładniejsza.

– Ta bardzo mi się podoba. Wiesz... ja ją wezmę, bo moja już na nic...

– Czekaj, znajdę ci lepszą – zawołał Rzecki.

– Wszystko jedno. Pokaż inne towary, może jeszcze co mi się przyda.

– Spinki masz?... Krawat, kalosze, parasol...

– Daj mi parasol, no... i krawat. Sam wybierz. Będę dziś jedynym gościem i w dodatku zapłacę gotówką.

– Bardzo dobry zwyczaj – odparł uradowany Rzecki. Prędko wydobył krawat z szuflady i parasol z okna i podał je ze śmiechem Wokulskiemu. – Po strąceniu rabatu – dodał – jako handlujący, zapłacisz siedem rubli. Pyszny parasol... Bagatela...

– To już wrócimy do ciebie – rzekł Wokulski.

– Nie obejrzysz sklepu? – spytał Ignacy.

– Ach, co mnie to ob...

– Nie obchodzi cię twój własny sklep, taki piękny sklep?... – zdziwił się Ignacy.

– Gdzież znowu, czy możesz przypuszczać... Ale jestem trochę zmęczony.

– Słusznie – odparł Rzecki. – Co racja, to racja. Więc idźmy.

Pozakręcał lampy i, przepuściwszy Wokulskiego, zamknął sklep. W sieni znowu spotkał ich mokry śnieg i Paweł niosący obiad.

V. Demokratyzacja pana i marzenia panny z towarzystwa

Pan Tomasz Łęcki z jedyną córką Izabelą i kuzynką panną Florentyną nie mieszkał we własnej kamienicy, lecz wynajmował lokal, złożony z ośmiu pokoiów, w stronie Alei Ujazdowskiej¹¹⁰. Miał tam salon o trzech oknach, gabinet własny, gabinet córki, sypialnię dla siebie, sypialnię dla córki, pokój stołowy, pokój dla panny Florentyny i garderobę, nie licząc kuchni i mieszkania dla służby, składającej się ze starego kamerdynera Mikołaja, jego żony, która była kucharką, i panny służącej, Anusi.

Mieszkanie posiadało wielkie zalety. Było suche, ciepłe, obszerne, widne. Miało marmurowe schody, gaz, dzwonki elektryczne i wodociągi. Każdy pokój w miarę potrzeby łączył się z innymi lub tworzył zamkniętą w sobie całość. Sprzętów wreszcie miało liczbę dostateczną, ani za mało, ani za wiele, a każdy odznaczał się raczej wygodną prostotą aniżeli skaczącymi do oczu ozdobami. Kredens budził w widzu uczucie pewności, że z niego nie zginą srebra; łóżko przywodziło na myśl bezpieczny spoczynek dobrze zasłużonych; stół można było obciążyć, na krześle usiąść bez obawy załamania się, na fotelu

¹¹⁰ Aleja Ujazdowska – najpiękniejsza, nigdyś głównie spacerowa aleja w Warszawie. Wznoszą się wzdłuż niej zabytkowe pałace, rozciągają stare parki. Poważnie zniszczona w czasie powstania warszawskiego, została całkowicie odbudowana (obecnie przecina ją Trasa Łazienkowska). [przypis redakcyjny]

marzyć.

Kto tu wszedł, miał swobodę ruchu; nie potrzebował lękać się, że mu coś zastąpi drogę lub że on coś zepsuje. Czekając na gospodarza nie nudził się, otaczały go bowiem rzeczy, które warto było oglądać. Zarazem widok przedmiotów, wyrobionych nie wczoraj i mogących służyć kilku pokoleniom, nastrajał go na jakiś ton uroczysty.

Na tym poważnym tle dobrze zarysowywali się jego mieszkańcy.

Pan Tomasz Łęcki był to sześćdziesięciokilkoletni człowiek, niewysoki, pełnej tuszy, krwisty. Nosił nieduże wąsy białe i do góry podczesane włosy, tej samej barwy. Miał siwe, rozumne oczy, postawę wyprostowaną, chodził ostro. Na ulicy ustępowano mu z drogi – a ludzie prości mówili: oto musi być pan z panów.

Istotnie, pan Łęcki liczył w swoim rodzie całe szeregi senatorów. Ojciec jego jeszcze posiadał miliony, a on sam za młodu krocie¹¹¹. Później jednak część majątku pochłonęły zdarzenia polityczne¹¹², resztę – podróże po Europie i wysokie stosunki. Pan Tomasz bywał bowiem przed rokiem 1870 na dworze francuskim, następnie na wiedeńskim i włoskim. Wiktor Emanuel¹¹³, oczarowany pięknnością jego córki, zaszczycał go

¹¹¹ *krocie* – tysiące (liczba bardzo duża, ściślej nie określona). [przypis redakcyjny]

¹¹² *zdarzenia polityczne* – zapewne powstanie styczniowe, a następnie represje rządu rosyjskiego oraz reforma uwłaszczeniowa. [przypis redakcyjny]

¹¹³ Wiktor Emanuel II (1820–1878) – król Sardynii w latach 1849–1861, po

swoją przyjaźnią i nawet chciał mu nadać tytuł hrabiego. Nie dziw, że pan Tomasz po śmierci wielkiego króla przez dwa miesiące nosił na kapeluszu krepeę.

Od paru lat pan Tomasz nie ruszał się z Warszawy, za mało mając już pieniędzy, ażeby błyszczeć na dworach. Za to jego mieszkanie stało się ogniskiem eleganckiego świata i było nim aż do czasu rozejścia się pogłosek, że pan Tomasz postradał nie tylko swój majątek, ale nawet posag panny Izabeli.

Pierwsi cofnęli się epuzerowie¹¹⁴, za nimi damy mające brzydkie córki, z pozostałą zaś resztą zerwał sam pan Tomasz i ograniczył swoje znajomości wyłącznie do stosunków z rodziną. Lecz gdy i tu zauważył niżenie się uczuciowej temperatury, zupełnie wycofał się z towarzystwa, a nawet ku zgorszeniu wielu szanownych osób, jako właściciel domu w Warszawie, wpisał się do Resursy Kupieckiej¹¹⁵. Chciano go tam zrobić prezesem, ale nie zgodził się.

Tylko jego córka bywała u sędziwej hrabiny Karolowej i paru jej przyjaciółek, co znowu dało początek pogłosce, że pan Tomasz jeszcze posiada majątek i że zerwał z towarzystwem w części przez dziwactwo, w części dla poznania rzeczywistych przyjaciół i wybrania córce męża, który by ją kochał dla niej

zjednoczeniu Włoch w r. 1861 król włoski. [przypis redakcyjny]

¹¹⁴ *epuzer* – kandydat do małżeństwa. [przypis redakcyjny]

¹¹⁵ *Resursa* – dosłownie: źródło pomocy, dochodu. Nazwa związków towarzyskich oraz należących do nich lokali. – W Warszawie istniały dwie resursy: wielka, czyli Kupiecka, i Obywatelska, przy czym właśnie Resursa Obywatelska miała bardziej mieszczański charakter. [przypis redakcyjny]

samej, nie dla posagu.

Więc znowu dokoła panny Łęckiej począł zbierać się tłum wielbicieli, a na stoliku w jej salonie stosy biletów wizytowych. Gości jednak nie przyjmowano, co zresztą między nimi nie wywołało zbyt wielkiego oburzenia, ponieważ rozeszła się trzecia z kolei pogłoska, że Łęckiemu licytują kamienicę.

Tym razem w towarzystwie powstał zamęt. Jedni twierdzili, że pan Tomasz jest zdeklarowanym bankrutem, drudzy gotowi byli przysiąc, że zataił majątek, aby zapewnić szczęście jedynaczce. Kandydaci do małżeństwa i ich rodziny znaleźli się w dręczącej niepewności. Ażeby więc nic nie ryzykować i nic nie stracić, składali hołdy pannie Izabeli nie angażując się zbyt mocno i po cichu rzucali w jej domu swoje karty, prosząc Boga, ażeby ich czasem nie zaproszono przed wyklarowaniem się sytuacji.

O rewizytach ze strony pana Tomasza nie było mowy. Usprawiedliwiano go ekscentrycznością i smutkiem po Wiktorze Emanuelu.

Tymczasem pan Tomasz w dzień spacerował po Alejach, a wieczorem grywał w wista¹¹⁶ w resursie. Fizjognomia jego była zawsze tak spokojna, a postawa tak dumna, że wielbiciele jego córki zupełnie potracili głowy. Rozważniejsi czekali, ale śmielsi poczęli znowu darzyć ją powłóczystymi spojrzeniami, cichym westchnieniem lub drżącym uściskiem ręki, na co panna odpowiadała lodowatą, a niekiedy pogardliwą obojętnością.

Panna Izabela była niepospolicie piękną kobietą. Wszystko

¹¹⁶ *wist* – czteroosobowa gra w karty. [przypis redakcyjny]

w niej było oryginalne i doskonałe. Wzrost więcej niż średni, bardzo kształtna figura, bujne włosy blond z odcieniem popielatym, nosek prosty, usta trochę odchyłone, zęby perłowe, ręce i stopy modelowe¹¹⁷. Szczególne wrażenie robiły jej oczy, niekiedy ciemne i rozmarzone, niekiedy pełne iskier wesołości, czasem jasnoniebieskie i zimne jak lód.

Uderzająca była gra jej fizjognomii. Kiedy mówiła, mówiły jej usta, brwi, nozdrza, ręce, cała postawa, a nade wszystko oczy, którymi zdawało się, że chce przelać swoją duszę w słuchacza. Kiedy słuchała, zdawało się, że chce wypić duszę z opowiadającego. Jej oczy umiały tulić, pieścić, płakać bez łez, palić i mrozić. Niekiedy można było myśleć, że rozmarzona otoczy kogoś rękami i oprze mu głowę na ramieniu; lecz gdy szczęśliwy topniał z rozkoszy, nagle wykonywała jakiś ruch, który mówił, że schwycić jej niepodobna, gdyż albo wymknie się, albo odepchnie, albo po prostu każe lokajowi wyprowadzić wielbiciela za drzwi...

Ciekawym zjawiskiem była dusza panny Izabeli.

Gdyby ją kto szczerze zapytał: czym jest świat, a czym ona sama? niezawodnie odpowiedziałaby, że świat jest zaczarowanym ogrodem, napełnionym czarodziejskimi zamkami, a ona – boginią czy nimfą uwięzioną w formy cielesne.

Panna Izabela od kolebki żyła w świecie pięknym i nie tylko nadludzkim, ale – nadnaturalnym. Sypiała w puchach, odziewała się w jedwabie i hafty, siadała na rzeźbionych i wyściełanych

¹¹⁷ *modelowy* – tu w znaczeniu wzorowej piękności. [przypis redakcyjny]

hebanach¹¹⁸ lub palisandrach¹¹⁹, piła z kryształów, jadła ze sreber i porcelany kosztownej jak złoto.

Dla niej nie istniały pory roku, tylko wiekuista wiosna, pełna łagodnego światła, żywych kwiatów i woni. Nie istniały pory dnia, gdyż nieraz przez całe miesiące kładła się spać o ósmej rano, a jadła obiad o drugiej po północy. Nie istniały różnice położen jeograficznych, gdyż w Paryżu, Wiedniu, Rzymie, Berlinie czy Londynie znajdowali się ci sami ludzie, te same obyczaje, te same sprzęty, a nawet te same potrawy: zupy z wodorostów Oceanu Spokojnego, ostrygi z Morza Północnego, ryby z Atlantyku albo z Morza Śródziemnego, zwierzyna ze wszystkich krajów, owoce ze wszystkich części świata. Dla niej nie istniała nawet siła ciężkości, gdyż krzesła jej podsuwano, talerze podawano, ją samą na ulicy wieziono, na schody wprowadzano, na góry wnoszono.

Woalka chroniła ją od wiatru, kareta od deszczu, sobole od zimna, parasolka i rękawiczki od słońca. I tak żyła z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc, z roku na rok, wyższa nad ludzi, a nawet nad prawa natury. Dwa razy spotkała ją straszna burza, raz w Alpach, drugi – na Morzu Śródziemnym. Truchleli najodważniejsi, ale panna Izabela ze śmiechem przysłuchiwała się łoskotowi druzgotanych skał i trzeszczeniu okrętu, ani

¹¹⁸ *heban* – drzewo rosnące w ciepłych krajach o naturalnym czarnym kolorze, bardzo twarde i ciężkie, używane w meblarstwie. [przypis redakcyjny]

¹¹⁹ *palisander* – drewno z drzew południowo-amerykańskich (jacarandy), używane na forniry. [przypis redakcyjny]

przypuszczając możliwości niebezpieczeństwa. Natura urządziła dla niej piękne widowisko z piorunów, kamieni i morskiego odmetu, jak w innym czasie pokazała jej księżyc nad Jeziorem Genewskim¹²⁰ albo nad wodospadem Renu¹²¹ rozdarła chmury, które zakrywały słońce. To samo przecie robią co dzień maszyniści teatrów i nawet w zdenerwowanych damach nie wywołują obawy.

Ten świat wiecznej wiosny, gdzie szeleściły jedwabie, rosły tylko rzeźbione drzewa, a glina pokrywała się artystycznymi malowidłami, ten świat miał swoją specjalną ludność. Właściwymi jego mieszkańcami były księżniczki i książęta, hrabianki i hrabiowie tudzież bardzo stara i majątna szlachta obojej płci. Znajdowały się tam jeszcze damy zameżne i panowie żonaci w charakterze gospodarzy domów, matrony strzegące wykwintnego obejścia i dobrych obyczajów i starzy panowie, którzy zasiadali na pierwszych miejscach przy stole, oświadczaali młodzież, błogosławili ją i grywali w karty. Byli też biskupi, wizerunki Boga na ziemi, wysocy urzędnicy, których obecność zabezpieczała świat od nieporządków społecznych i trzęsienia ziemi, a nareszcie dzieci, małe cherubiny, zesłane z nieba po to, ażeby starsi mogli urządzać kinderbale¹²².

¹²⁰ Jezioro Genewskie – największe i bardzo malownicze jezioro szwajcarskie na granicy Szwajcarii i Francji. [przypis redakcyjny]

¹²¹ *wodospad Renu* – w górnym biegu Ren tworzy wiele wodospadów, np. pod Szafuzą w Szwajcarii. [przypis redakcyjny]

¹²² *kinderbal* (z niem.) – zabawa dla dzieci. [przypis redakcyjny]

Wśród stałej ludności zaczarowanego świata ukazywał się od czasu do czasu zwykły śmiertelnik, który na skrzydłach reputacji potrafił wzbić się aż do szczytów Olimpu¹²³. Zwykle bywał nim jakiś inżynier, który łączył oceany albo wiercił czy też budował Alpy. Był jakiś kapitan, który w walce z dzikimi stracił swoją kompanię, a sam okryty ranami ocalał dzięki miłości murzyńskiej księżniczki. Był podróżnik, który podobno odkrył nową część świata, rozbił się z okrętem na bezludnej wyspie i bodaj czy nie kosztował ludzkiego mięsa.

Bywali tam wreszcie sławni malarze, a nade wszystko natchnieni poeci, którzy w sztambuchach¹²⁴ hrabianek pisywali ładne wiersze, mogli kochać się bez nadziei i uwieczniać wdzięki swoich okrutnych bogiń naprzód w gazetach, a następnie w oddzielnych tomikach, drukowanych na welinowym papierze¹²⁵.

Cała ta ludność, między którą ostrożnie przesuwali się wygalonowani¹²⁶ lokaje, damy do towarzystwa, ubogie kuzynki i łaknący wyższych posad kuzyni, cała ta ludność obchodziła wieczne święto.

Od południa składano sobie i oddawano wizyty i rewizyty albo zjeżdżano się w magazynach. Ku wieczorowi bawiono się

¹²³ *Olimp* – najwyższe pasmo górskie w Grecji; w greckiej mitologii siedziba bogów. [przypis redakcyjny]

¹²⁴ *sztambuch* – album, pamiętnik. [przypis redakcyjny]

¹²⁵ *welinowy papier* – biały gładki papier, wysokiego gatunku. [przypis redakcyjny]

¹²⁶ *wygalonowani* – w liberii obszytej galonami, czyli złotą lub srebrną taśmą. [przypis redakcyjny]

przed obiadem, w czasie obiadu i po obiedzie. Potem jechano na koncert lub do teatru, ażeby tam zobaczyć inny sztuczny świat, gdzie bohaterowie rzadko kiedy jedzą i pracują, ale za to wciąż gadają sami do siebie – gdzie niewierność kobiet staje się źródłem wielkich katastrof i gdzie kochanek, zabity przez męża w piątym akcie, na drugi dzień zmartwychwstaje w pierwszym akcie, ażeby popełniać te same błędy i gadać do siebie nie będąc słyszany przez osoby obok stojące. Po wyjściu z teatru znowu zbierano się w salonach, gdzie służba roznosiła zimne i gorące napoje, najęci artyści śpiewali, młode mężatki słuchały opowiadań porąbanego kapitana o murzyńskiej księżniczce, panny rozmawiały z poetami o powinowactwie dusz, starsi panowie wykładali inżynierom swoje poglądy na inżynierię, a damy w średnim wieku półsłówkami i spojrzeniami walczyły między sobą o podróżnika, który jadł ludzkie mięso. Potem zasiadano do kolacji, gdzie usta jadły, żołądki trawiły, a bućki rozmawiały o uczuciach lodowatych serc i marzeniach głów niezawrotnych. A potem – rozjeżdżano się, ażeby w śnie rzeczywistym nabrać sił do snu życia.

Poza tym czarodziejskim był jeszcze inny świat – zwyczajny. O jego istnieniu wiedziała panna Izabela i nawet lubiła mu się przypatrywać z okna karety, wagonu albo z własnego mieszkania. W takich ramach i z takiej odległości wydawał on się jej malowniczym i nawet sympatycznym. Widywała rolników powoli orzących ziemię – duże fury ciągnięte przez chudą szkapę – roznosicieli owoców i jarzyn – starca, który tłukł

kamienie na szosie – posłańców idących gdzieś z pośpiechem – ładne i natrętne kwiaciarki – rodzinę złożoną z ojca, bardzo otyłej matki i czworga dzieci, parami trzymających się za ręce – eleganta niższej sfery, który jechał dorożką i rozpierał się w sposób bardzo zabawny – czasem pogrzeb. I mówiła sobie, że tamten świat, choć niższy, jest ładny; jest nawet ładniejszy od obrazów rodzajowych¹²⁷, gdyż porusza się i zmienia co chwilę.

I jeszcze wiedziała panna Izabela, że jak w oranżeriach rosną kwiaty, a w winnicach winogrona, tak w tamtym, niższym świecie, wyrastają rzeczy jej potrzebne. Stamtąd pochodzi jej wierny Mikołaj i Anusia, tam robią rzeźbione fotele, porcelany, kryształ i firanki, tam rodzą się froterzy¹²⁸, tapicerowie, ogrodnicy i panny szyjące suknie. Będąc raz w magazynie kazała zaprowadzić się do szwalni i bardzo ciekawym wydał się jej widok kilkudziesięciu pracownic, które krajały, fastrygowały i układały na formach fałdy ubrań. Była pewna, że robi im to wielką przyjemność, ponieważ te panny, które brały jej miarę albo przymierzały suknie, były zawsze uśmiechnięte i bardzo zainteresowane tym, ażeby strój leżał na niej dobrze.

I jeszcze wiedziała panna Izabela, że na tamtym, zwyczajnym świecie trafiają się ludzie nieszczęśliwi. Więc każdemu ubogiemu, o ile spotkał ją, kazała dawać po kilka złotych; raz

¹²⁷ *obrazy rodzajowe* przedstawiają ludzi jako typy pewnych warstw społecznych wśród codziennych zajęć. [przypis redakcyjny]

¹²⁸ *froter* – pracownik zajmujący się woskowaniem i polerowaniem podłóg. [przypis redakcyjny]

spotkawszy mizerną matkę z bladym jak воск dzieckiem przy piersi oddała jej bransoletę, a brudne, żebrzące dzieci obdarzała cukierkami i całowała z pobożnym uczuciem. Zdawało się jej, że w którymś z tych biedaków, a może w każdym, jest utajony Chrystus, który zastąpił jej drogę, ażeby dać okazję do spełnienia dobrego czynu.

W ogóle dla ludzi z niższego świata miała serce życzliwe. Przychodziły jej na myśl słowa Pisma świętego: „W pocie czoła pracować będziesz.”¹²⁹. Widocznie popełnili oni jakiś ciężki grzech, skoro skazano ich na pracę; ależ tacy jak ona aniołowie nie mogli nie ubolewać nad ich losem. Tacy jak ona, dla której największą pracą było dotknięcie elektrycznego dzwonka albo wydanie rozkazu.

Raz tylko niższy świat zrobił na niej potężne wrażenie.

Pewnego dnia, we Francji, zwiedzała fabrykę żelazną. Zjeżdżając z góry, w okolicy pełnej lasów i łąk, pod szafirowym niebem zobaczyła otchłań wypełnioną obłokami czarnych dymów i białych par i usłyszała głuchy łoskot, zgrzyt i sapanie machin. Potem widziała piece, jak wieże średniowiecznych zamków, dyszące płomieniami – potężne koła, które obracały się z szybkością błyskawic – wielkie rusztowania, które same toczyły się po szynach – strumienie rozpalonego do białości żelaza i półnagich robotników, jak spiżowe posągi, o ponurych wejrzeniach. Ponad tym wszystkim – krwawa luna, warczenie

¹²⁹ *W pocie czoła pracować będziesz* – w Starym Testamencie słowa Boga skierowane do Adama po popełnieniu przez niego grzechu pierworodnego. [przypis redakcyjny]

kół, jęki miechów, grzmot młotów i niecierpliwe oddechy kotłów, a pod stopami dreszcz wylęknionej ziemi.

Wtedy zdało się jej, że z wyżyn szczęśliwego Olimpu zstąpiła do beznadziejnej otchłani Wulkanu¹³⁰, gdzie cyklopowie¹³¹ kuja pioruny mogące zdruzgotać sam Olimp. Przyszły jej na myśl legendy o zbuntowanych olbrzymach, o końcu tego pięknego świata, w którym przebywała, i pierwszy raz w życiu ją, boginię, przed którą gięli się marszałkowie i senatorzy, zdjęła trwoga.

– To są straszni ludzie, papo... – szepnęła do ojca.

Ojciec milczał, tylko mocniej przycisnął jej ramię.

– Ale kobietom oni nic złego nie zrobią?

– Tak, nawet oni – odpowiedział pan Tomasz.

W tej chwili pannę Izabelę ogarnął wstyd na myśl, że troszczyła się tylko o kobiety. Więc szybko dodała:

– A jeżeli nam, to i wam nie zrobią nic złego...

Ale pan Tomasz uśmiechnął się i potrząsnął głową. W owym czasie dużo mówiono o zbliżającym się końcu starego świata, a pan Tomasz głęboko odczuwał to, z wielkimi trudnościami wydobywając pieniądze od swoich pełnomocników.

Odwiedziny fabryki stanowiły ważną epokę w życiu panny Izabeli. Z religijną czcią czytywała ona poezje swego dalekiego

¹³⁰ *Wulkan* – w mitologii rzymskiej bóg ognia i opiekun kowalstwa. [przypis redakcyjny]

¹³¹ *cyklopowie* – w mitologii greckiej demony ognia, jednookie olbrzymy, które sporządzały dla Zeusa pioruny. [przypis redakcyjny]

kuzyna, Zygmunta¹³², i zdawało się jej, że dziś znalazła ilustrację do *Nie-Boskiej komedii*. Odtąd często marzyła o zmroku, że na górze kąpiącej się w słońcu, skąd zjeżdżał jej powóz do fabryki, stoją Okopy Św. Trójcy¹³³, a w tej dolinie zasnutą dymami i parą było obozowisko zbuntowanych demokratów, gotowych lada chwila ruszyć do szturm i zburzyć jej piękny świat.

Teraz dopiero zrozumiała, jak gorąco kocha tę swoją duchową ojczyznę, gdzie kryształowe pajaki zastępują słońce, dywany – ziemię, posągi i kolumny – drzewa. Tę drugą ojczyznę, która ogarnia arystokrację wszystkich narodów, wykwinność wszystkich czasów i najpiękniejsze zdobycze cywilizacji.

I to wszystko miałoby runąć, umrzeć albo rozpierzchnąć się! ... Rycerska młodzież, która śpiewa z takim uczuciem, tańczy z wdziękiem, pojedynkuje się z uśmiechem albo skacze na środku jeziora w wodę za zgubionym kwiatkiem? ... Mają zginąć te ukochane przyjaciółki, które okrywały ją tyloma pieśczętami albo siedząc u jej nóg opowiadały jej tyle drobnych tajemnic, albo oddalone od niej pisywały takie długie, bardzo długie listy, w których tkliwe uczucia mieszały się z nader wątpliwą ortografią?

A ta dobra służba, która ze swymi panami postępuje tak, jakby zaprzysięgała im dozgonną miłość, wierność

¹³² *Zygmunt* – mowa o Zigmuncie Krasińskim. [przypis redakcyjny]

¹³³ *Okopy Św. Trójcy* – dawna warownia przy ujściu Zbrucza do Dniestru, pod Kamieńcem Podolskim. W *Nie-Boskiej komedii* (1835) Krasiński przedstawił Okopy Św. Trójcy jako ostatnią twierdzę, gdzie broni się arystokracja. [przypis redakcyjny]

i posłuszeństwo? A te modystki, które zawsze witają ją z uśmiechem i tak pamiętają o najdrobniejszym szczególe jej toalety, tak dokładnie wiedzą o jej triumfach? A te piękne konie, którym jaskółka mogłaby zazdrościć lotu, a te psy mądre i przywiązane jak ludzie, a te ogrody, gdzie ręka ludzka powznosiła pagórki, wylewała strumienie, modelowała drzewa? ... I to wszystko miałoby kiedyś zniknąć?...

Od tych rozmyślań przybył pannie Izabeli na twarz nowy wyraz – łagodnego smutku, który ją robił jeszcze piękniejszą. Mówiono, że już zupełnie dojrzała.

Rozumiejąc, że wielki świat jest wyższym światem, panna Izabela dowiedziała się powoli, że do tych wyżyn wzbić się można i stale na nich przebywać tylko za pomocą dwóch skrzydeł: urodzenia i majątku. Urodzenie zaś i majątek są przywiązane do pewnych wybranych rodzin, jak kwiat i owoc pomarańczy do pomarańczowego drzewa. Bardzo też jest możliwym, że dobry Bóg widząc dwie dusze z pięknymi nazwiskami, połączone węzłem sakramentu, pomnaża ich dochody i zsyła im na wychowanie aniołka, który w dalszym ciągu podtrzymuje sławę rodów swoimi cnotami, dobrym ułożeniem i pięknnością. Stąd wynika obowiązek oględnego zawierania małżeństw, na czym najlepiej znają się stare damy i sędziwi panowie. Wszystko znaczy trafny dobór nazwisk i majątków. Miłość bowiem, nie ta szalona, o jakiej marzą poeci, ale prawdziwie chrześcijańska, zjawia się dopiero po sakramencie i najzupełniej wystarcza, ażeby żona umiała pięknie

prezentować się w domu, a mąż z powagą asystować jej w świecie.

Tak było dawniej i było dobrze, według zgodnej opinii wszystkich matron. Dziś zapomniano o tym i jest źle: mnożą się mezalianse i upadają wielkie rodziny.

„I nie ma szczęścia w małżeństwach” – dodawała po cichu panna Izabela, której młode mężatki opowiedziały niejeden sekret domowy.

Dzięki nawet tym opowiadaniom nabrała dużego wstrętu do małżeństwa i lekkiej wzgardy dla mężczyzn.

Mąż w szlafroku, który ziewa przy żonie, całuje ją mając pełne usta dymu z cygar, często odzywa się: „A dajże mi spokój”, albo po prostu: „Głupia jesteś!...” – ten mąż, który robi hałasy w domu za nowy kapelusz, a za domem wydaje pieniądze na ekwipaże dla aktorek, to wcale nieciekawe stworzenie. Co najgorsze, że każdy z nich przed ślubem był gorącym wielbicielem, mizerniał nie widząc długo swej pani, rumienił się, kiedy ją spotkał, a nawet niejeden obiecywał zastrzelić się z miłości.

Toteż mając lat osiemnaście, panna Izabela tyranizowała mężczyzn chłodem. Kiedy Wiktor Emanuel raz pocałował ją w rękę, uprosiła ojca, że tego samego dnia wyjechali z Rzymu. W Paryżu oświadczył się jej pewien bogaty hrabia francuski; odpowiedziała mu, że jest Polką i za cudzoziemca nie wyjdzie. Podolskiego magnata odepchnęła zdaniem, że odda swoją rękę tylko temu, kogo pokocha, a na co się jeszcze nie

zanosi, a oświadczyły jakiegoś amerykańskiego milionera zbyła wybuchem śmiechu.

Takie postępowanie na kilka lat wytworzyło dokoła panny pustkę. Podziwiano ją i wielbiono, ale z daleka; nikt bowiem nie chciał narażać się na szyderczą odmowę.

Po przejściu pierwszego niesmaku panna Izabela zrozumiała, że małżeństwo trzeba przyjąć takim, jakie jest. Była już zdecydowana wyjść za mąż, pod tym wszakże warunkiem, aby przyszły towarzysz – podobał się jej, miał piękne nazwisko i odpowiedni majątek. Rzeczywiście, trafiali się jej ludzie piękni, majątni i utytułowani; na nieszczęście jednak, żaden nie łączył w sobie wszystkich trzech warunków, więc – znowu upłynęło kilka lat.

Nagle rozeszły się wieści o złym stanie interesów pana Tomasza i – z całego legionu konkurentów – zostało pannie Izabeli tylko dwu poważnych: pewien baron i pewien marszałek¹³⁴, bogaci, ale starzy.

Teraz spostrzegła panna Izabela, że w wielkim świecie usuwa jej się grunt pod nogami, więc zdecydowała się obniżyć skalę wymagań. Ale że baron i marszałek pomimo swoich majątków budzili w niej niepokonaną odrazę, więc odkładała stanowczą decyzję z dnia na dzień. Tymczasem pan Tomasz zerwał z towarzystwem. Marszałek nie mogąc się doczekać odpowiedzi wyjechał na wieś, strapiony baron za granicę i – panna Izabela

¹³⁴ *marszałek* – tu przedstawiciel szlachty z całej guberni prowadzący zarazem księgi rodowodowe szlachty. [przypis redakcyjny]

pozostała kompletnie samą. Wprawdzie wiedziała, że każdy z nich wróci na pierwsze zawołanie, ale – którego tu wybrać?... jak przytłumić wstręt?... Nade wszystko zaś, czy podobna robić z siebie taką ofiarę mając niejaka pewność, że kiedyś odzyska majątek, i wiedząc, że wówczas znowu będzie mogła wybierać. Tym razem już wybierze, poznawszy, jak ciężko jej żyć poza towarzystwem salonów...

Jedna rzecz w wysokim stopniu ułatwiała jej wyjście za mąż dla stanowiska. Oto panna Izabela nigdy nie była zakochaną. Przyczyniał się do tego jej chłodny temperament, wiara, że małżeństwo obejdzie się bez poetycznych dodatków, nareszcie miłość idealna, najdziwniejsza, o jakiej słyszano. Raz zobaczyła w pewnej galerii rzeźb posąg Apollina¹³⁵, który na niej zrobił tak silne wrażenie, że kupiła piękną jego kopię i ustawiła w swoim gabinecie. Przypatrywała mu się całymi godzinami, myślała o nim i kto wie, ile pocałunków ogrzało ręce i nogi marmurowego bóstwa?... I stał się cud: pieszczony przez kochającą kobietę głaz ożył. A kiedy pewnej nocy zapłakana usnęła, nieśmiertelny zstąpił ze swego piedestału i przyszedł do niej w laurowym wieńcu na głowie, jaśniejący mistycznym¹³⁶ blaskiem.

Siadł na krawędzi jej łóżka, długo patrzył na nią oczyma,

¹³⁵ *posąg Apollina* – Apollo: w greckiej mitologii starożytnej bóg słońca i sztuk pięknych, zwykle przedstawiany w sztuce jako idealnie piękny młodzieniec. [przypis redakcyjny]

¹³⁶ *mistyczny* – tu w znaczeniu: tajemniczy, nadprzyrodzony. [przypis redakcyjny]

z których przeglądała wieczność, a potem objął ją w potężnym uścisku i pocałunkami białych ust ocierał łzy i chłodził jej gorączkę.

Odtąd nawiedzał ją coraz częściej i omdlewającej w jego objęciach szeptał on, bóg światła, tajemnice nieba i ziemi, jakich dotychczas nie wypowiedziano w śmiertelnym języku. A przez miłość dla niej sprawił jeszcze większy cud, gdyż w swym boskim obliczu kolejno ukazywał jej upiększone rysy tych ludzi, którzy kiedykolwiek zrobili na niej wrażenie.

Raz był podobnym do odmłodzonego generała-bohatera, który wygrał bitwę i z wyżyn swego siodła patrzył na śmierć kilku tysięcy walecznych. Drugi raz przypominał twarz najślawniejszego tenora, któremu kobiety rzucały kwiaty pod nogi, a mężczyźni wyprzęgali konie z powozu. Inny raz był wesołym i pięknym księciem krwi jednego z najstarszych domów panujących; inny raz dzielnym strażakiem, który za wydobycie trzech osób z płomieni na piątym piętrze dostał legię honorową¹³⁷; inny raz był wielkim rysownikiem, który przytłaczał świat bogactwem swojej fantazji, a inny raz weneckim gondolierem albo cyrkowym atletą nadzwyczajnej urody i siły.

Każdy z tych ludzi przez pewien czas zaprzętał tajemne myśli panny Izabeli, każdemu poświęcała najcichsze westchnienia rozumiejąc, że dla tych czy innych powodów kochać go nie

¹³⁷ *legia honorowa* – najwyższy order francuski ustanowiony przez Napoleona w 1802 r. [przypis redakcyjny]

może i – każdy z nich za sprawą bóstwa ukazywał się w jego postaci, w półrzeczywistych marzeniach. A od tych widzeń oczy panny Izabeli przybrały nowy wyraz – jakiegoś nadziemskiego zamyślenia. Niekiedy spoglądały one gdzieś ponad ludzi i poza świat; a gdy jeszcze jej popielate włosy na czole ułożyły się tak dziwnie, jakby je rozwał tajemniczy podmuch, patrzącym zdawało się, że widzą anioła albo świętą.

Przed rokiem w jednej z takich chwil zobaczył pannę Izabelę Wokulski. Odtąd serce jego nie zaznało spokoju.

Prawie w tym samym czasie pan Tomasz zerwał z towarzystwem i na znak swoich rewolucyjnych usposobień zapisał się do Resursy Kupieckiej. Tam z pomiatanymi niegdyś garbarzami, szczotkarzami i dystylatorami¹³⁸ grywał w wista, głosząc na prawo i na lewo, że arystokracja nie powinna zasklepić się w wyłączności, ale przodować oświeconemu mieszczaństwu, a przez nie narodowi. Za co wywzajemniając się dumni dziś garbarze, szczotkarze i dystylatorzy raczyli przyznawać, że pan Tomasz jest jedynym arystokratą, który pojął swe obowiązki względem kraju i spełnia je sumiennie. Mogli byli dodać: spełnia co dzień od dziewiątej wieczór do północy.

I kiedy w ten sposób pan Tomasz dźwigał jarzmo stanowiska, panna Izabela trawiła się w samotności i ciszy swego pięknego lokalu. Nieraz Mikołaj już twardo drzemał w fotelu, panna Florentyna, zatkawszy sobie uszy watą, na dobre spała, a do

¹³⁸ *dystylator* – tu: fabrykant wódek (dziś: destylator). [przypis redakcyjny]

pokoju panny Izabeli sen jeszcze nie zapukał odpędzany przez wspomnienia. Wtedy zrywała się z łóżka i odziana w lekki szlafroczek całymi godzinami chodziła po salonie, gdzie dywan głuszył jej kroki i tylko tyle było światła, ile go rzucały dwie skąpe latarnie uliczne.

Chodziła, a w ogromnym pokoju tłoczyły się jej smutne myśli i widziadła osób, które tu kiedyś bywały. Tu drzemie stara księżna; tu dwie hrabiny informują się u prałata¹³⁹, czy można dziecko ochrzcić wodą różaną¹⁴⁰? Tu rój młodzieży zwraca ku niej tęskne spojrzenia albo udanym chłodem usiłuje podniecić w niej ciekawość; a tam girlanda panien, które pieszczą ją wzrokiem, podziwiają albo jej zazdroszczą. Pełno światel, szelestów, rozmów, których większa część, jak motyle około kwiatów, krążyły około jej piękności. Gdzie ona się znalazła, tam obok niej wszystko bladło; inne kobiety były jej tłem, a mężczyźni niewolnikami.

I to wszystko przeszło!... I dziś w tym salonie – chłodno, ciemno i pusto... Jest tylko ona i niewidzialny pajak smutku, który zawsze zasnuwa szarą siecią te miejsca, gdzie byliśmy szczęśliwi i skąd szczęście uciekło. Już uciekło!... Panna Izabela wyłamywała sobie palce, ażeby pohamować się od łez, których wstyd jej było nawet w pustce i w nocy.

Wszyscy ją opuścili, z wyjątkiem – hrabiny Karolowej, która, kiedy wezbrał jej zły humor, przychodziła tu i szeroko zasiadłszy

¹³⁹ *prałat* – wyższy duchowny w Kościele katolickim. [przypis redakcyjny]

¹⁴⁰ *woda różana* – roztwór wodny olejku różanego. [przypis redakcyjny]

na kanapie, prawiała wśród westchnień:

– Tak, droga Belciu, musisz przyznać, że popełniłaś kilka błędów nie do darowania. Nie mówię o Wiktorze Emanuelu, bo tamto był przelotny kaprys króla trochę liberalnego¹⁴¹ i zresztą bardzo zadłużonego. Na takie stosunki trzeba mieć więcej – nie powiem: taktu, ale – doświadczenia – ciągnęła hrabina, skromnie spuszczaając powieki. – Ale wypuścić czy – jeśli chcesz – odrzucić hrabiego Saint-Auguste, to już daruj!... Człowiek młody, majątny, bardzo dobrze, i jeszcze z taką karierą!... Teraz właśnie przewodniczy jednej deputacji¹⁴² do Ojca świętego i zapewne dostanie specjalne błogosławieństwo dla całej rodziny, no a hrabia Chambord¹⁴³ nazywa go *cher cousin*¹⁴⁴... Ach, Boże!

– Myślę, ciociu, że martwić się tym już za późno – wtrąciła panna Izabela.

– Alboż ja chcę cię martwić, biedne dziecko! I bez tego czekają cię ciosy, które ukoić może tylko głęboka wiara. Zapewne wiesz, że ojciec stracił wszystko, nawet resztę twego posagu?

– Cóż ja na to poradzę?

– A jednak ty tylko możesz radzić i powinnaś – mówiła hrabina z naciskiem. – Marszałek nie jest wprawdzie

¹⁴¹ *liberalny* – tu: w znaczeniu zwolennika swobody obyczajów. [przypis redakcyjny]

¹⁴² *deputacja* – poselstwo. [przypis redakcyjny]

¹⁴³ hrabia Chambord (1820–1883) – potomek rodu Bourbonów, wnuk Karola X, pretendent do tronu francuskiego, znany pod imieniem Henryka V. [przypis redakcyjny]

¹⁴⁴ *cher cousin* (fr.) – drogi kuzynie. [przypis redakcyjny]

Adonisem¹⁴⁵, no – ale... Gdyby nasze obowiązki były do spełnienia łatwe, nie istniałaby zasługa. Zresztą, mój Boże, któż nam broni mieć na dnie duszy jakiś ideał, o którym myśl osładza najcięższe chwile? Na koniec, mogę cię zapewnić, że położenie pięknej kobiety, mającej starego męża, nie należy do najgorszych. Wszyscy interesują się nią, mówią o niej, składają hołdy jej poświęceniu, a znowu stary mąż jest mniej wymagający od męża w średnim wieku...

– Ach, ciociu...

– Tylko bez egzaltacji, Belciu! Nie masz lat szesnastu i na życie musisz patrzeć serio. Nie można przecie dla jakiejś idiosynkrazji¹⁴⁶ poświęcić bytu ojca, a choćby Flory i waszej służby. Wreszcie pomyśl, ile ty przy twym szlachetnym serduszkku mogłabyś zrobić dobrego rozporządzając znacznym majątkiem.

– Ależ, ciociu, marszałek jest obrzydliwy. Jemu nie żony trzeba, ale niańki, która by mu ocierała usta.

– Nie upieram się przy marszałku, więc baron...

– Baron jeszcze starszy, farbuje się, różuje i ma jakieś plamy na rękach.

Hrabina podniosła się z kanapy.

– Nie nalegam, moja droga, nie jestem swatką, to należy

¹⁴⁵ *Adonis* – w mit. gr. piękny młodzieniec, kochanek bogini Afrodyty. [przypis redakcyjny]

¹⁴⁶ *idiosynkrazja* – wstręt do pewnych przedmiotów, pokarmów, osób. [przypis redakcyjny]

do pani Meliton. Zwracam tylko uwagę, że nad ojcem wisi katastrofa.

– Mamy przecie kamienicę.

– Którą sprzedają najdalej po św. Janie, tak że nawet twoja suma spadnie.

– Jak to – dom, który kosztował sto tysięcy, sprzedadzą za sześćdziesiąt?...

– Bo on nie wart więcej, bo ojciec za dużo wydał. Wiem to od budowniczego, który oglądał go z polecenia Krzeszowskiej.

– Więc w ostateczności mamy serwis... srebra... – wybuchnęła panna Izabela załamując ręce.

Hrabina ucałowała ją kilkakrotnie.

– Drogie, kochane dziecko – mówiła łkając – że też właśnie ja muszę tak ranić ci serce!... Słuchaj więc... Ojciec ma jeszcze długi wekslowe, jakieś parę tysięcy rubli. Otóż te długi... uważasz... te długi ktoś skupił... kilka dni temu, w końcu marca. Domyślamy się, że to zrobiła Krzeszowska...

– Cóż za nikczemność! – szepnęła panna Izabela. – Ale mniejsza o nią... Na pokrycie paru tysięcy rubli wystarczy mój serwis i srebra.

– Są one warte bez porównania więcej, ale – kto dziś kupi rzeczy tak kosztowne?

– W każdym razie spróbuję – mówiła rozgorączkowana panna Izabela. – Poproszę panią Meliton, ona mi to ułatwi...

– Zastanów się jednak, czy nie szkoda tak pięknych pamiątek. Panna Izabela roześmiała się.

– Ach, ciociu... Więc mam wahać się pomiędzy sprzedaniem siebie i serwisu?... Bo na to, ażeby zabierano nam meble, nigdy nie pozwolę... Ach, ta Krzeszowska... to wykupywanie weksli... co za ohyda!

– No, może to jeszcze nie ona.

– Więc chyba znalazł się jakiś nowy nieprzyjaciół, gorszy od niej.

– Może to ciotka Honorata – uspokajała ją hrabina – czy ja wiem? Może chce dopomóc Tomaszowi, ale zawieszając nad nim groźbę. Lecz bądź zdrowa, moje kochane dziecko, *adieu*¹⁴⁷...

Na tym skończyła się rozmowa w języku polskim, gęsto ozdobionym francuszczyzną, co robiło go podobnym do ludzkiej twarzy okrytej wysypką.

¹⁴⁷ *adieu* (fr.) – do widzenia. [przypis redakcyjny]

VI. W jaki sposób nowi ludzie ukazują się nad starymi horyzontami

Początek kwietnia, jeden z tych miesięcy, które służą za przejście między zimą i wiosną. Śnieg już zniknął, ale nie ukazała się jeszcze zieloność; drzewa są czarne, trawniki szare i niebo szare: wygląda jak marmur poprzecinany srebrnymi i złotawymi nitkami.

Jest około piątej po południu. Panna Izabela siedzi w swoim gabinecie i czyta najnowszą powieść Zoli¹⁴⁸: *Une page d'amour*¹⁴⁹. Czyta bez uwagi, co chwilę podnosi oczy, spogląda w okno i półświadomie formułuje sąd, że gałązki drzew są czarne, a niebo szare. Znowu czyta, spogląda po gabinecie i półświadomie myśli, że jej meble kryte błękitną materią i jej niebieski szlafroczek mają jakiś szary odcień i że festony białej firanki są podobne do wielkich sopli śniegu. Potem zapomina, o czym myślała w tej chwili, i pyta się w duchu: „O czym ja myślałam?... Ach, prawda, o kweście wielkotygodniowej...” I nagle czuje ochotę przejechania się kareta, a jednocześnie czuje żal do nieba, że jest takie szare, że złotawe żyłki na nim są tak

¹⁴⁸ Zola Emil (1840–1902) – znakomity powieściopisarz francuski, twórca naturalizmu w literaturze. [przypis redakcyjny]

¹⁴⁹ „*Une page d'amour*” (fr.) – *Kartka miłości*, powieść Zoli, wówczas nowość wydawnicza. W dalszym ciągu Prus wspomina o bohaterce powieści Helenie Grandjean, w której kocha się pan Rambaud. [przypis redakcyjny]

wąskie... Dręczy ją jakiś cichy niepokój, jakieś oczekiwanie, ale nie jest pewna, na co czeka: czy na to, ażeby chmury się rozdarły, czy na to, ażeby wszedł lokaj i wręczył jej list zapraszający na wielkotygodniową kwestę? Już taki krótki czas, a jej nie proszą.

Znowu czyta powieść, ten rozdział, kiedy podczas gwiazdzistej nocy p. Rambaud naprawiał zepsutą lalkę małej Joasi. Helena tonęła we łzach bezprzedmiotowego żalu, a opat¹⁵⁰ Jouve radził, ażeby wyszła za mąż. Panna Izabela odczuwa ten żal i kto wie, czy gdyby w tej chwili ukazały się na niebie gwiazdy, zamiast chmur, czy nie rozplakałaby się tak jak Helena. Wszak to już ledwo parę dni do kwesty, a jej jeszcze nie proszą. Że zaproszą, o tym wie, ale dlaczego zwłóczy¹⁵¹?...

„Te kobiety, które zdają się tak gorąco szukać Boga, bywają niekiedy nieszczęśliwymi istotami, których serce wzburzyła namiętność. Idą do kościoła, ażeby tam wielbić mężczyznę” – mówił opat Jouve.

„Pocziwy opat, jak on chciał uspokoić tę biedną Helenę!” – myśli panna Izabela i nagle odrzuca książkę. Opat Jouve przypomniał jej, że już od dwu miesięcy haftuje pas do kościelnego dzwonka i że go jeszcze nie skończyła. Podnosi się z fotelu i przysuwa do okna stolik z tamburkiem¹⁵², z pudełkiem różnokolorowych jedwabów z kolorowym deseniem; rozwija

¹⁵⁰ *opat* – tytuł przełożonego w niektórych klasztorach. [przypis redakcyjny]

¹⁵¹ *zwłóczyć* – dziś: zwlekać; ociągać się. [przypis edytorski]

¹⁵² *tamburek* – bębenek, na którym naciąga się materiał do haftowania. [przypis redakcyjny]

pas i zaczyna gorliwie wyszywać na nim róże i krzyże. Pod wpływem pracy w sercu budzi się otucha. Kto tak, jak ona, służy Kościołowi, nie może być zapomnianym przy wielkotygodniowej kweście. Wybiera jedwabie, nawłóczy¹⁵³ igły i szyje wciąż. Oko jej przebiega od wzoru do haftu, ręka spada z góry na dół, wznosi się z dołu do góry, ale w myśli zaczyna rodzić się pytanie dotyczące kostiumu na groby i toalety na Wielkanoc. Pytanie to wkrótce zapełnia jej całą uwagę, zasłania oczy i zatrzymuje rękę. Suknia, kapelusz, okrywka i parasolka, wszystko musi być nowe, a tu tak niewiele czasu i nie tylko nic nie zamówione, ale nawet nie wybrane!...

Tu przypomina sobie, że jej serwis i srebra już znajdują się u jubilera, że już trafia się jakiś nabywca i że dziś lub jutro będą sprzedane. Panna Izabela czuje ściśnięcie serca za serwisem i srebrami, lecz doznaje niejakiej ulgi na myśl o kweście i nowej toalecie. Może mieć bardzo piękną, ale jaką?...

Odsuwa tamburek i ze stolika, na którym leżą Szekspir, Dante, album europejskich znakomitości tudzież kilka pism, bierze: „Le Moniteur de la Mode”¹⁵⁴ i zaczyna go przeglądać z największą uwagą. Oto jest toaleta obiadowa; oto ubiory wiosenne dla panienek, panien, mężatek, młodych mężatek i ich matek; oto suknie wizytowe, ceremonialne, spacerowe; sześć nowych form kapeluszy, z dziesięć materiałów, kilkadziesiąt barw... Co tu

¹⁵³ nawłóczyć – dziś: nawlekać. [przypis edytorski]

¹⁵⁴ „Le Moniteur de la Mode” (fr.) – monitor mody: tytuł żurnala mód paryskich (monitor: doradca, nauczyciel). [przypis redakcyjny]

wybrać, o Boże?... Niepodobna wybierać bez naradzenia się z panną Florentyną i z magazynierką...

Panna Izabela z niechęcią odrzuca monitora mody i siada na szeszlunku¹⁵⁵ w postaci półleżącej. Ręce splecione jak do modlitwy opiera na poręczach, głowę na rękach i patrzy w niebo rozmarzonymi oczyma. Kwesta wielkotygodniowa, nowa toaleta, chmury na niebie, wszystko miesza się w jej wyobraźni na tle żalu za serwisem i lekkiego uczucia wstydu, że go sprzedaje.

„Ach, wszystko jedno!” – mówi sobie i znowu pragnie, ażeby chmury rozdarły się choć na chwilę. Ale chmury zgęszczają się, a w jej sercu wzrasta żal, wstyd i niepokój. Spojrzenie jej pada na stolik stojący tuż obok szeszlunku i na książkę do nabożeństwa oprawną w kość słoniową. Panna Izabela bierze do rąk książkę i powoli, kartka za kartką, wyszukuje w niej modlitwy: *Acte de resignation*¹⁵⁶, a znalazłszy, zaczyna czytać:

„*Que votre nom soit beni à jamais, bien qui avez voulu m'éprouver par cette peine.*”¹⁵⁷. W miarę jak czyta, szare niebo wyjaśnia się, a przy ostatnich słowach... „*et d'attendre en paix votre divin secours...*”¹⁵⁸, chmury pękają, ukazuje się kawałek czystego błękitu, gabinet panny Izabeli napętnia się światłem,

¹⁵⁵ *szeszlunek* – rodzaj wyściełanej sofy. [przypis redakcyjny]

¹⁵⁶ *Acte de resignation* (fr.) – akt poddania się woli bożej. [przypis redakcyjny]

¹⁵⁷ *Que votre nom soit beni à jamais...* (fr.) – „Niech imię Twoje będzie błogosławione na wieki, mimo że chciałeś mnie doświadczyć przez to cierpienie.” [przypis redakcyjny]

¹⁵⁸ ...*et d'attendre en paix votre divin secours...* (fr.) – „...i oczekiwać w pokoju Twej boskiej pomocy.” [przypis redakcyjny]

a jej dusza spokojem. Teraz jest pewna, że modły jej zostały wysłuchane, że będzie miała najpiękniejszą toaletę i najlepszy kościół do kwesty.

W tej chwili delikatnie otwierają się drzwi gabinetu; staje w nich panna Florentyna, wysoka, czarno ubrana, nieśmiała, trzyma w dwu palcach list i mówi cicho:

– Od pani Karolowej.

– Ach, w sprawie kwesty – odpowiada panna Izabela z czarującym uśmiechem. – Cały dzień nie zaglądałaś do mnie, Florciu.

– Nie chcę ci przeszkadzać.

– W nudzeniu się?... – pyta panna Izabela. – Kto wie, czy nie byłoby nam weselej nudzić się w jednym pokoju.

– List... – mówi nieśmiała osoba w czarnej sukni, wyciągając rękę do Izabeli.

– Znam jego treść – przerywa panna Izabela. – Posiedź trochę u mnie i jeżeli nie zrobi ci subiekcji¹⁵⁹, przeczytaj ten list.

Panna Florentyna siada nieśmiało na fotelu, delikatnie bierze z biurka nożyk i z największą ostrożnością przecina kopertę. Kładzie na biurku nożyk, potem kopertę, rozwija papier i cichym, melodyjnym głosem czyta list pisany po francusku:

„Droga Belu! wybaczone, że odzywam się w sprawie, którą tylko ty i twój ojciec macie prawo rozstrzygać. Wiem, drogie dziecię, że pozbywasz się tego serwisu i sreber, sama mi zresztą o tym mówiłaś. Wiem też, że znalazł się nabywca, który ofiarowuje

¹⁵⁹ *subiekcja* – kłopot. [przypis edytorski]

wam pięć tysięcy rubli, moim zdaniem za mało, choć w tych czasach trudno spodziewać się więcej. Po rozmowie jednak, jaką miałam w tej materii z Krzeszowską, zaczynam lękać się, ażeby piękne te pamiątki nie przeszły w niewłaściwe ręce.

Chciałabym temu zapobiec, proponuję ci więc, jeżeli zgodzisz się, trzy tysiące rubli pożyczki na zastaw wspomnianego serwisu i sreber. Sądzę, że dziś wygodniej będzie im u mnie, gdy ojciec twój znajduje się w takich kłopotach. Odebrać je będziesz mogła, kiedy zechcesz, a w razie mojej śmierci nawet bez zwracania pożyczki.

Nie narzucam się, tylko proponuję. Rozważ, jak ci będzie wygodniej, a nade wszystko pomyśl o następstwach.

O ile cię znam, byłabyś boleśnie dotkniętą usłyszawszy kiedyś, że nasze rodzinne pamiątki zdobią stół jakiego bankiera albo należą do wyprawy jego córki.

Zasłałam ci tysiące pocałunków.

Joanna

P. S. Wyobraź sobie, co za szczęście spotkało moją ochronkę. Będąc wczoraj w sklepie tego sławnego Wokulskiego przymówiłam się o mały datek dla sierot. Liczyłam na jakie kilkanaście rubli, a on, czy uwierzysz, ofiarował mi tysiąc, wyraźnie: tysiąc rubli, i jeszcze powiedział, że na moje ręce nie śmiałby złożyć mniejszej sumy. Kilku takich Wokulskich, a czuję, że na starość zostałamby demokratką.”

Panna Florentyna skończywszy list nie śmiała oderwać od niego oczu. Wreszcie odważyła się i spojrzała: panna Izabela

siedziała na szeszlengu blada, z zaciśniętymi rękami.

– Cóż ty na to, Florciu? – spytała po chwili.

– Myślę – odparła cicho zapytana – że pani Karolowa na początku listu najtrafniej osądziła swoje stanowisko w tej sprawie.

– Co za upokorzenie! – szepnęła panna Izabela, nerwowo bijąc ręką w szeszleng.

– Upokorzeniem jest proponować komuś trzy tysiące rubli na zastaw sreber, i to wówczas, gdy obcy ofiarowują pięć tysięcy... Innego nie widzę.

– Jak ona nas traktuje... My chyba naprawdę jesteśmy zrujnowani...

– Ależ, Belciu!... – przerwała ożywiając się panna Florentyna.

– Właśnie ten cierpki list dowodzi, że nie jesteście zrujnowani. Ciotka lubi być cierpką, ale umie oszczędzać nieszczęście. Gdyby wam groziła ruina, znaleźlibyście w niej tkliwą i delikatną pocieszycielkę.

– Dziękuję za to.

– I nie potrzebujesz obawiać się tego. Jutro wpłynie nam pięć tysięcy rubli, za które można prowadzić dom przez pół roku... choćby przez kwartał. Za parę miesięcy...

– Zlicytują nam kamienicę...

– Prosta forma, i nic więcej. Owszem, możecie zyskać, podczas gdy dzisiaj kamienica jest tylko ciężarem. No, a po ciotce Hortensji dostaniesz ze sto tysięcy rubli. Zresztą – dodała po chwili panna Florentyna podnosząc brwi – ja sama nie jestem

pewna, czy i ojciec nie ma jeszcze majątku. Wszyscy są tego zdania...

Panna Izabela wychyliła się z szezlonga i ujęła rękę panny Florentyny.

– Florciu – rzekła zniżając głos – komu ty to mówisz?... Więc naprawdę uważasz mnie tylko za pannę na wydaniu, która nic nie widzi i niczego nie pojmuje?... Myślisz, że nie wiem – domówiła jeszcze ciszej – że już miesiąc, jak pieniądze na utrzymanie domu pożyczasz od Mikołaja...

– Może właśnie ojciec chce tego...

– Czy i tego chce, ażebyś mu co rano podkładała kilka rubli do pugilaresu?

Panna Florentyna spojrzała jej w oczy i poruszyła głową.

– Za dużo wiesz – odparła – ale nie wszystko. Już od dwu tygodni, może od dziesięciu dni widzę, że ojciec miewa po kilkanaście rubli...

– Więc zaciąga długi...

– Nie, ojciec nigdy nie zaciąga długów w mieście. Każdy wierzyciel przychodzi z pożyczką do domu i w gabinecie ojca dostaje kwit albo procent. Nie znasz go pod tym względem.

– Więc skądże teraz ma pieniądze?

– Nie wiem. Widzę, że ma, i słyszę, że zawsze je miał.

– Po cóż w takim razie zezwala na sprzedaż sreber? – pytała natarczywie panna Izabela.

– Może chce zirytować rodzinę.

– A kto wykupił jego weksle?

Panna Florentyna zrobiła rękoma ruch oznaczający rezygnację.

– Nie wykupiła ich Krzeszowska – rzekła – to wiem na pewno.

– Więc – albo ciotka Hortensja, albo...

– Albo?...

– Albo sam ojciec. Czy nie wiesz, ile rzeczy robi ojciec, ażeby zaniepokoić rodzinę, a potem śmiać się...

– Za cóż chciałby mnie, nas niepokoić?

– Myśli, że ty jesteś spokojna. Córka powinna nieograniczenie ufać ojcu.

– Ach, tak!... – szepnęła panna Izabela zamyślając się.

Czarno ubrana kuzynka z wolna podniosła się z fotelu i cicho wyszła.

Panna Izabela znowu poczęła patrzeć na swój pokój, który wydał się jej popielatym, na czarne gałązki, które chwiały się za oknem, na parę wróbli świergoczących może o budowie gniazda, na niebo, które stało się jednolicie szarym, bez żadnej jaśniejszej prążki. W jej pamięci znowu odżyła sprawa kwesty i nowej toalety, ale obie wydały się jej tak małymi, tak prawie śmiesznymi, że myśląc o nich nieznacznie wzruszyła ramionami.

Dreczyły ją inne pytania: czyby nie oddać serwisu hrabinie Karolowej – i – skąd ojciec ma pieniądze? Jeżeli miał je dawniej, dlaczego pozwolił na zaciąganie długów u Mikołaja?... A jeżeli nie miał, z jakiego źródła czerpie je dziś?... Jeżeli ona odda serwis i srebra ciotce, może stracić okazję do korzystnego pozbycia się ich, a jeżeli sprzeda za pięć tysięcy, pamiątki

te naprawdę mogą dostać się w niewłaściwe ręce, jak pisała hrabina.

Nagle przerwał się ten bieg myśli: bystre jej ucho usłyszało w dalszych pokojach szmer. Było to męskie stąpanie, miarowe, spokojne. W salonie stłumił je nieco dywan, w pokoju jadalnym wzmocniło się, w jej sypialni przycichło, jakby ktoś szedł na palcach.

– Proszę, papo – odezwała się panna Izabela usłyszawszy pukanie do swych drzwi.

Wszedł pan Tomasz. Ona podniosła się z szezlonga, ale ojciec nie pozwolił na to. Objął ją w ramiona, ucałował w głowę i zanim usiadł przy niej, rzucił okiem w duże lustro na ścianie. Zobaczył tam swoją piękną twarz, siwe wąsy, swój ciemny żakiet¹⁶⁰ bez zarzutu, gładkie spodnie, jakby dopiero co wyszły od krawca, i uznał, że wszystko jest dobrze.

– Słyszę – rzekł do córki uśmiechając się – że panienka odbiera korespondencje, które jej psują humor.

– Ach, papo, gdybyś wiedział, jakim tonem przemawia ciotka...

– Zapewne tonem osoby chorej na nerwy. Za to nie możesz mieć do niej żalu.

– Gdyby tylko żal. Ja boję się, że ona ma rację i że nasze srebra mogą naprawdę znaleźć się na jakim bankierskim stole.

Przytuliła głowę do ramienia ojca. Pan Tomasz spojrzał niechęć w lusterko na stoliku i przyznał w duchu, że oboje w tej

¹⁶⁰ *żakiet* – długa marynarka maska z zaokrąglonymi połami. [przypis redakcyjny]

chwili tworzą bardzo piękną grupę. Szczególniej dobrze odbijała obawa rozlana na twarzy córki od jego spokoju. Uśmiechnął się.

– Bankierskie stoły!... – powtórzył. – Srebra naszych przodków bywały już na stołach Tatarów, Kozaków, zbuntowanych chłopów, i nie tylko nam to nie uchybiało, ale nawet przynosiło zaszczyt. Kto walczy, naraża się na straty.

– Tracili przez wojnę i na wojnie – wtrąciła panna Izabela.

– A dziś nie ma wojny?... Zmieniła się tylko broń: zamiast kosą albo jataganem¹⁶¹ walczą rublem. Joasia dobrze to rozumiała sprzedając nie serwis – ale rodzinny majątek, albo rozbierając na wybudowanie spichlerza ruiny zamku.

– Więc jesteśmy zwyciężeni!... – szepnęła panna Izabela.

– Nie, dziecko – odparł pan Tomasz prostując się. – My dopiero zaczniemy triumfować i bodaj czy nie tego boi się moja siostra i jej koteria¹⁶². Oni tak głęboko zasnęli, że razi ich każdy objaw żywotności, każdy mój śmielszy krok – dodał jakby do siebie.

– Twój, papo?

– Tak. Myśleli, że poproszę ich o pomoc. Sama Joasia chętnie zrobiłaby mnie swoim plenipotentem. Ja natomiast podziękowałem im za emeryturę i zbliżyłem się do mieszczaństwa. Zyskałem u tych ludzi powagę, która zaczyna

¹⁶¹ *jatagan* – wschodnia broń sieczna pośrednia między nożem a szablą [przypis redakcyjny]

¹⁶² *koteria* – grupa osób popierająca się wzajemnie, ze szkodą dla ogółu. [przypis redakcyjny]

trwożyć nasze sfery. Myśleli, że zejść na drugi plan, a widzą, że mogą wysunąć się na pierwszy.

– Ty, papo?

– Ja. Dotychczas milczałem nie mając odpowiednich wykonawców. Dziś znalazłem takiego, który zrozumiał moje idee, i zacznę działać.

– Któż to jest? – spytała panna Izabela, ze zdumieniem patrząc na ojca.

– Niejaki Wokulski, kupiec, żelazny człowiek. Przy jego pomocy zorganizuję nasze mieszczaństwo, stworzę towarzystwo do handlu ze Wschodem, tym sposobem dźwignę przemysł...

– Ty, papo?

– I wówczas zobaczymy, kto wysunie się naprzód, choćby przy możliwych wyborach do rady miejskiej¹⁶³...

Panna Izabela słuchała z szeroko otwartymi oczyma.

– Czy ten człowiek – szepnęła – o którym mówisz, papo, nie jest jakim aferzystą, awanturnikiem?...

– Nie znasz go więc? – spytał pan Tomasz. – On jednak jest jednym z naszych dostawców.

– Sklep znam, bardzo ładny – mówiła panna Izabela zamyślając się. – Jest tam stary subiekt, który wygląda trochę na dziwaka, ale nadzwyczajnie uprzejmy... Ach, zdaje mi się, że kilka dni temu poznałam i właściciela... Wygląda na gbura...

– Wokulski gbur?... – zdziwił się pan Tomasz. – Jest on

¹⁶³ przy możliwych wyborach do rady miejskiej – miasta w Królestwie, poza krótkim okresem rządów Wielopolskiego, nie posiadały samorządu. [przypis redakcyjny]

wprawdzą trochę sztywny, ale bardzo grzeczny.

Panna Izabela wstrząsnęła głową.

– Niemiły człowiek – odpowiedziała z ożywieniem. – Teraz przypominam go sobie... Będąc we wtorek w sklepie zapytałam go o cenę wachlarza. Trzeba było widzieć, jak spojrzał na mnie!... Nie odpowiedział nic, tylko wyciągnął swoją ogromną czerwoną rękę do subiekta (nawet dość eleganckiego chłopca) i mruknął głosem, w którym czuć było gniew: panie Morawski czy Mraczewski (bo nie pamiętam), pani zapytuje o cenę wachlarza. A... nieciekawego znalazł papo współnika!... – śmiała się panna Izabela.

– Szalonej energii człowiek, żelazny człowiek – odparł pan Tomasz. – Oni tacy. Poznasz ich, bo myślę urządzić w domu parę zebrań. Wszyscy oryginalni, ale ten oryginalniejszy od innych.

– Papa tych panów chce przyjmować?...

– Muszę naradzać się z niektórymi. A co do naszych – dodał patrząc w oczy córce – zapewniam cię, że gdy usłyszą, kto u mnie bywa, ani jednego nie zabraknie w salonie.

W tej chwili weszła panna Florentyna zapraszając na obiad. Pan Tomasz podał rękę córce i przeszli we troje do jadalnego pokoju, gdzie już znajdowała się waza tudzież Mikołaj odziany we frak i wielki biały krawat.

– Śmieję się z Belci – rzekł pan Tomasz do kuzynki, która nalewała rosół z wazy. – Wyobraź sobie, Floro, że Wokulski zrobił na niej wrażenie gbura. Czy ty go znasz?

– Któż by dziś nie znał Wokulskiego – odpowiedziała panna

Florentyna podając Mikołajowi talerz dla pana. – No, elegancki on nie jest, ale – robi wrażenie...

– Pnia z czerwonymi rękoma – wtrąciła ze śmiechem panna Izabela.

– On mi przypomina Trostiego, pamiętasz, Belu, tego pułkownika strzelców w Paryżu – odpowiedział Pan Tomasz.

– A mnie posąg triumfującego gladiatora¹⁶⁴ – melodyjnym głosem dodała panna Florentyna. – Pamiętasz Belu, we Florencji, tego z podniesionym mieczem? Twarz surowa, nawet dzika, ale piękna.

– A czerwone ręce?... – zapytała panna Izabela.

– Odmroził je na Syberii – wtrąciła panna Florentyna z akcentem.

– Cóż on tam robił?

– Pokutował za uniesienia młodości – rzekł pan Tomasz. – Można mu to przebaczyć.

– Ach, więc jest i bohaterem!...

– I milionerem – dodała panna Florentyna.

– I milionerem? – powtórzyła panna Izabela. – zaczynam wierzyć, że papo zrobił dobry wybór przyjmując go na współnika. Chociaż...

– Chociaż?... – spytał ojciec.

– Co powie świat na tę spółkę?

– Kto ma siłę w rękach, ma świat u nóg.

¹⁶⁴ *gladiator* – zapaśnik w starożytnym Rzymie, walczący na publicznych igrzyskach.
[przypis redakcyjny]

Właśnie Mikołaj obniósł połędwicę, gdy w przedpokoju zadzwoniono. Stary służący wyszedł i po chwili wrócił z listem na srebrnej, a może platerowanej tacy.

– Od pani hrabiny – rzekł.

– Do ciebie, Belu – dodał pan Tomasz biorąc list do ręki. – Pozwolisz, że cię zastąpię w połknięciu tej nowej pigułki.

Otworzył list, zaczął go czytać i ze śmiechem podał pannie Izabeli.

– Oto – zawołał – cała Joasia jest w tym liście. Nerwy, zawsze nerwy!...

Panna Izabela odsunęła talerz i z niepokojem przebiegła papier oczyma. Lecz stopniowo twarz jej wypogodziła się.

– Słuchaj, Florciu – rzekła – bo to ciekawe.

„Droga Belu! – pisze ciotka. – Zapomnij, aniołku, o moim poprzednim liście. W rezultacie twój serwis nic mnie nie obchodzi i znajdziemy inny, gdy będziesz szła za mąż. Ale chodzi mi, ażebyś koniecznie kwestowała tylko ze mną, i właśnie o tym miałam zamiar pisać poprzednio, nie o serwisie. Biedne moje nerwy! jeżeli nie chcesz ich do reszty rozstroić, musisz zgodzić się na moją prośbę.

Grób w naszym kościele będzie cudowny. Mój poczciwy Wokulski daje fontannę, sztuczne ptaszki śpiewające, pozytywkę¹⁶⁵, która będzie grała same poważne kawałki,

¹⁶⁵ *pozytywka* – rodzaj małej katarynki, samogrającej po nakręceniu. [przypis redakcyjny]

i mnóstwo dywanów. Hozer¹⁶⁶ dostarcza kwiatów, a amatorowie urządzają koncert na organ¹⁶⁷, skrzypce, wiolonczelę i głosy. Jestem zachwycona, ale gdyby mi wśród tych cudów zabrakło ciebie, rozchorowałabym się. A więc tak?... Ściskam cię i całuję po tysiąc razy, kochająca ciotka.

Joanna

Postscriptum. Jutro jedziemy do magazynu zamówić dla ciebie kostium wiosenny. Umarłabym, gdybyś go nie przyjęła.”

Panna Izabela była rozpromieniona. List ten spełniał wszystkie jej nadzieje.

– Wokulski jest nieporównany! – rzekł śmiejąc się Pan Tomasz. – Szturmem zdobył Joasię, która nie tylko nie będzie mi wymawiała współnika, lecz nawet gotowa o niego walczyć ze mną.

Mikołaj podał kurczęta.

– Musi to być jednakże genialny człowiek – zauważyła panna Florentyna.

– Wokulski?... no, nie – mówił pan Tomasz. – Jest to człowiek szalonej energii, ale co się tyczy daru kombinowania, nie powiem, ażeby posiadał go w wysokim stopniu.

– Zdaje mi się, że składa tego dowody.

¹⁶⁶ *Hozer* – właściwie: Hoser; założona przez Piotra Hosera ok. 1848 r. znana firma ogrodnicza Braci Hoser zajmowała się hodowlą i sprzedażą drzew owocowych, ozdobnych oraz kwiatów. [przypis redakcyjny]

¹⁶⁷ *organ* – dziś: organy. [przypis edytorski]

– Wszystko to są dowody tylko energii – odpowiedział pan Tomasz. – Dar kombinacji, genialny umysł poznaje się w innych rzeczach, choćby... w grze. Ja z nim dosyć często grywam w pikietę¹⁶⁸, gdzie koniecznie trzeba kombinować. Rezultat jest taki, że przegrałem osiem do dziesięciu rubli, a wygrałem około siedemdziesięciu, chociaż – nie mam pretensji do geniuszu! – dodał skromnie.

Pannie Izabeli wypadł z ręki widelec. Pobladła i chwyciwszy się za czoło szepnęła:

– A!... a!...

Ojciec i panna Florentyna zerwali się z krzeseł.

– Co ci jest Belu?... – spytał zatrwożony pan Tomasz.

– Nic – odpowiedziała wstając od stołu – migrena. Od godziny czułam, że będę ją mieć... To nic, papo...

Pocałowała ojca w rękę i wyszła do swego pokoju.

– Nagła migrena powinna by przejść zaraz – rzekł Pan Tomasz. – Pójdź do niej, Florciu. Ja na chwilę wyjdę do miasta, bo muszę zobaczyć się z kilkoma osobami, ale wcześniej wrócę. Tymczasem czuwaj nad nią, kochana Florciu, proszę cię o to – mówił pan Tomasz ze spokojną fizjognomią człowieka, bez którego poleceń albo prośby nie może być dobrze na świecie.

– Zaraz do niej pójde, tylko tu zrobię porządek – odpowiedziała panna Florentyna, dla której ład w domu był sprawą ważniejszą od czyjejkolwiek migreny.

Już mrok ogarnął ziemię... Panna Izabela jest znowu sama

¹⁶⁸ *pikieta* – gra w karty na dwie osoby. [przypis redakcyjny]

w swoim gabinecie; upadła na szeslong i obu rękami zasłoniła oczy. Spod kaskady tkanin spływających aż na podłogę wysunął się jej wąski pantofelek i kawałek pończoszki; ale tego nikt nie widzi ani ona o tym nie myśli. W tej chwili jej duszę znowu targa gniew, żal i wstyd. Ciotka ją przeprosiła, ona sama będzie kwestować przy najładniejszym grobie i będzie miała najpiękniejszy kostium; lecz mimo to – jest nieszczęśliwą... Doznaje takich uczuć, jak gdyby wszedłszy do pełnego salonu ujrzała nagle na swym nowym kostiumie ogromną tłustą plamę obrzydłej formy i koloru, jakby suknię wytarzano gdzieś na kuchennych schodach. Myśl o tym jest dla niej tak wstrętne, że ślina napływa jej do ust.

Co za straszne położenie!... Już miesiąc zadłużają się u swego lokaja, a od dziesięciu dni jej ojciec na swoje drobne wydatki wygrywa pieniądze w karty... Wygrać można; panowie wygrywają tysiące, ale – nie na opędzenie pierwszych potrzeb, i przecież – nie od kupców. Ach, gdyby można, upadłaby ojcu do nóg i błagała go, ażeby nie grywał z tymi ludźmi, a przynajmniej nie teraz, kiedy ich stan majątkowy jest tak ciężki. Za kilka dni, gdy odbierze pieniądze za swój serwis, sama wręczy ojcu paręset rubli prosząc, ażeby je przegrał do tego pana Wokulskiego, ażeby wynagrodził go hojniej, niż ona wynagrodzi Mikołaja za zaciągnięte długi.

Ale czyż jej wypada zrobić to, a nawet mówić o tym ojcu?... „Wokulski?... Wokulski?... – szepcze panna Izabela. – Któż to jest ten Wokulski, który dziś tak nagle ukazał się jej od razu

z kilku stron, pod rozmaitymi postaciami. Co on ma do czynienia z jej ciotką, z ojcem?...”

I otóż zdaje się jej, że już od kilku tygodni coś słyszała o tym człowieku. Jakiś kupiec niedawno ofiarował parę tysięcy rubli na dobroczynność, ale nie była pewna, czy to był handlujący strojami damskimi, czy futrami. Potem mówiono, że także jakiś kupiec podczas wojny bułgarskiej¹⁶⁹ dorobił się wielkiego majątku, tylko nie uważała, czy dorobił się szewc, u którego ona bierze buciki, czy jej fryzjer? I dopiero teraz przypomina sobie, że ten kupiec, który dał pieniądze na dobroczynność, i ten, który zyskał duży majątek, są jedną osobą, że to właśnie jest ów Wokulski, który do jej ojca przegrywa w karty, a którego jej ciotka, znana z dumy hrabina Karolowa, nazywa: „mój poczciwy Wokulski!...”

W tej chwili przypomina sobie nawet fizjognomię tego człowieka, który w sklepie nie chciał z nią mówić, tylko cofnąwszy się za ogromne japońskie wazony przypatrywał się jej posępnie. Jak on na nią patrzył...

Jednego dnia weszła z panną Florentyną na czekoladę do cukierni, przez figle. Usiadły przy oknie, za którym zebrało się kilkoro obdartych dzieci. Dzieci spoglądały na nią, na czekoladę i na ciastka z ciekawością i łakomstwem głodnych zwierzątek, a ten kupiec – tak samo na nią patrzył.

¹⁶⁹ *wojna bułgarska* – wojna ta została wypowiedziana Turcji przez Rosję pod pretekstem obrony Bułgarów i toczyła się głównie na terenie Bułgarii; stąd nazwa bułgarskiej [przypis redakcyjny]

Lekki dreszcz przebiegł pannę Izabelę. I to ma być wspólnik jej ojca?... Do czego ten wspólnik?... Skąd jej ojcu przyszło do głowy zawiązywać jakieś towarzystwa handlowe, tworzyć jakieś rozległe plany, o których nigdy dawniej nie marzył?... Chce przy pomocy mieszczaństwa wysunąć się na czoło arystokracji; chce zostać wybranym do rady miejskiej, której nie było i nie ma?...

Ależ ten Wokulski to naprawdę jakiś aferzysta, może oszust, który potrzebuje głośnego nazwiska na szyld do swoich przedsiębiorstw. Bywały takie wypadki. Ileż pięknych nazwisk szlachty niemieckiej i węgierskiej unurzało się w operacjach handlowych, których ona nawet nie rozumie, a ojciec chyba nie więcej.

Zrobiło się już zupełnie ciemno; na ulicy zapalono latarnie, których blask wpadał do gabinetu panny Izabeli malując na suficie ramę okna i zwoje firanki. Wyglądało to jak krzyż na tle jasności, którą powoli zasłania gęsty obłok.

„Gdzie to ja widziałam taki krzyż, taką chmurę i jasność? ...” – zapytała się panna Izabela. Zaczęła przypominać sobie widziane w życiu okolice i – marzyć.

Zdawało się jej, że powozem jedzie przez jakąś znaną miejscowość. Krajobraz jest podobny do olbrzymiego pierścienia, utworzonego z lasów i zielonych gór, a jej powóz znajduje się na krawędzi pierścienia i zjeżdża na dół. Czy on zjeżdża? bo ani zbliża się do niczego, ani od niczego nie oddala, tak jakby stał w miejscu. Ale zjeżdża: widać to po wizerunku słońca, które odbija się w lakierowanym skrzydle

powozu i drgając, z wolna posuwa się w tył. Zresztą słysząc turkot... To turkot dorożki na ulicy?... Nie, to turkoczą maszyny pracujące gdzieś w głębi owego pierścienia gór i lasów. Widać tam nawet, na dole, jakby jezioro czarnych dymów i białych par, ujęte w ramę zieleności.

Teraz panna Izabela spostrzega ojca, który siedzi przy niej i z uwagą ogląda sobie paznokcie, od czasu do czasu rzucając okiem na krajobraz. Powóz ciągle stoi na krawędzi pierścienia niby bez ruchu, a tylko wizerunek słońca, odbitego w lakierowanym skrzydle, wolno posuwa się ku tyłowi. Ten pozorny spoczynek czy też utajony ruch w wysokim stopniu drażni pannę Izabelę. „Czy my jedziemy, czy stoimy?” – pyta ojca. Ale ojciec nie odpowiada nic, jakby jej nie widział; ogląda swoje piękne paznokcie i czasami rzuca okiem na okolicę...

Wtem (powóz ciągle drży i słysząc turkot) z głębi jeziora czarnych dymów i białych par wynurza się do pół figury jakiś człowiek. Ma krótko ostrzyżone włosy, śniadą twarz, która przypomina Trostiego, pułkownika strzelców (a może gladiatora z Florencji?), i ogromne czerwone dłonie. Odziany jest w zasmoloną koszulę z rękawami zawiniętymi wyżej łokcia; w lewej ręce, tuż przy piersi, trzyma karty ułożone w wachlarz, w prawej, którą podniósł nad głowę, trzyma jedną kartę, widocznie w tym celu, aby ją rzucić na przód siedzenia powozu. Reszty postaci nie widać spośród dymu.

„Co on robi, ojczy?” – pyta się zalekniona panna Izabela.

„Gra ze mną w pikietę” – odpowiada ojciec, również

trzymając w rękach karty.

„Ależ to straszny człowiek, papo!”

„Nawet tacy nie robią nic złego kobietom” – odpowiada pan Tomasz.

Teraz dopiero panna Izabela spostrzega, że człowiek w koszuli patrzy na nią jakimś szczególnym wzrokiem, ciągle trzymając kartę nad głową. Dym i para, kotłujące w dolinie, chwilami zasłaniają jego rozpiętą koszulę i surowe oblicze; tonie wśród nich – nie ma go. Tylko spoza dymu widać błyśnięcie jego oczów, a nad dymem obnażoną do łokcia rękę i – kartę.

„Co znaczy ta karta, papo?...” – zapytuje ojca.

Ale ojciec spokojnie patrzy we własne karty i nie powiada nic, jakby jej nie widział.

„Kiedyż nareszcie wyjedziemy z tego miejsca?...”

Ale choć powóz drży i słońce odbite w skrzydle posuwa się ku tyłowi, ciągle u stopni widać jezioro dymu, a w nim zanurzonego człowieka, jego rękę nad głową i – kartę.

Pannę Izabelę ogarnia nerwowy niepokój, skupia wszystkie wspomnienia, wszystkie myśli, ażeby odgadnąć co znaczy karta, którą trzyma ten człowiek?...

Czy to są pieniądze, które przegrał do ojca w pikietę? Chyba nie. Może ofiara, jaką złożył Towarzystwu Dobroczyńności? I to nie. Może tysiąc rubli, które dał ciotce na ochronę, a może to jest kwit na fontannę, ptaszki i dywany do ubrania grobu Pańskiego? ... Także nie; to wszystko nie niepokoiłoby jej.

Stopniowo pannę Izabelę napęcza wielka bojaźń. Może to są

weksle jej ojca, które ktoś niedawno wykupił?... W takim razie wzięwszy pieniądze za srebra i serwis spłaci ten dług najpierwej i uwolni się od podobnego wierzyciela. Ale człowiek pogrążony w dymie wciąż patrzy jej w oczy i karty nie rzuca. Więc może... Ach!...

Panna Izabela zrywa się z szezlonga, potrąca w ciemności o taburet i drżącymi rękoma dzwoni. Dzwoni już drugi raz, nie odpowiada nikt, więc wybiega do przedpokoju i we drzwiach spotyka pannę Florentynę, która chwyta ją za rękę i mówi ze zdziwieniem:

– Co tobie, Belciu?...

Światło w przedpokoju nieco oprzytomnia pannę Izabelę. Uśmiecha się.

– Weź, Florciu, lampę do mego pokoju. Papa jest?

– Przed chwilą wyjechał.

– A Mikołaj?

– Zaraz wróci, poszedł oddać list posłańcowi. Czy gorzej boli cię głowa? – pyta panna Florentyna.

– Nie – śmieje się panna Izabela – tylko zdrzemnęłam się i tak mi się coś majaczyło.

Panna Florentyna bierze lampę i obie z kuzynką idą do jej gabinetu. Panna Izabela siada na szezlongu, zasłania ręką oczy przed światłem i mówi:

– Wiesz, Florciu, namyśliłam się, nie sprzedam moich sreber obcemu. Mogą naprawdę dostać się Bóg wie w jakie ręce. Siądź zaraz, jeżeliś łaskawa, przy moim biurku i napisz do ciotki, że...

przyjmuję jej propozycję. Niech nam pożyczy trzy tysiące rubli i niech weźmie serwis i srebra.

Panna Florentyna patrzy na nią z najwyższym zdumieniem, wreszcie odpowiada:

– To jest niemożliwe, Belciu.

– Dlaczego?...

– Przed kwadransiem otrzymałam list od pani Meliton, że srebra i serwis już kupione.

– Już?... Kto je kupił? – woła panna Izabela chwytając kuzynkę za rękę.

Panna Florentyna jest zmieszana.

– Podobno jakiś kupiec z Rosji... – mówi, lecz czuć, że mówi nieprawdę.

– Ty coś wiesz, Florciu!... Proszę cię, powiedz!... – błaga ją panna Izabela. Jej oczy napęniają się łzami.

– Zresztą tobie powiem, tylko nie zdradź tajemnicy przed ojcem – prosi kuzynka.

– Więc kto?... No, kto kupił?...

– Wokulski – odpowiada panna Florentyna.

Pannie Izabeli w jednej chwili obeschły oczy nabierając przy tym barwy stalowej. Odpycha z gniewem rękę kuzynki, przechodzi tam i na powrót swój gabinet, wreszcie siada na foteliku naprzeciw panny Florentyny. Nie jest już przestraszona i zdenerwowana pięknnością, ale wielką damą, która ma zamiar kogoś ze służby osądzić, a może wydalić.

– Powiedz mi, kuzynko – mówi pięknym kontraltowym

głosem – co to za śmieszny spisek knujecie przeciwko mnie?

– Ja?... spisek?... – powtarza panna Florentyna, przyciskając rękoma piersi. – Nie rozumiem cię, Belu...

– Tak. Ty, pani Meliton i ten... zabawny bohater... Wokulski...

– Ja i Wokulski?... – powtarza panna Florentyna. Tym razem zdziwienie jej jest tak szczere, że wątpić nie można.

– Przypuśćmy, że nie spiskujesz – ciągnie dalej Panna Izabela – ale coś wiesz...

– O Wokulskim wiem to, co wszyscy. Ma sklep, w którym kupujemy, zrobił majątek na wojnie...

– A o tym, że wciąga papę do spółki handlowej, nie słyszałaś? Wyraziście oczy panny Florentyny zrobiły się bardzo dużymi.

– Ojca twego wciąga do spółki?... – rzekła wzruszając ramionami. – Do jakiejże spółki może go wciągnąć?...

I w tej chwili przestrasza się własnych słów...

Panna Izabela nie mogła wątpić o jej niewinności; znowu parę razy przeszła się po gabinecie z ruchami zamkniętej lwicy i nagle zapytała:

– Powiedzże mi przynajmniej: co sądzisz o tym człowieku?

– Ja o Wokulskim?... Nic o nim nie sędzę, wyjąwszy chyba to, że szuka rozgłosu i stosunków.

– Więc dla rozgłosu ofiarował tysiąc rubli na ochronę?

– Z pewnością. Dał przecie dwa razy tyle na dobroczynność.

– A dlaczego kupił mój serwis i srebra?

– Zapewne dlatego, ażeby je z zyskiem sprzedać –

odpowiedziała panna Florentyna. – W Anglii za podobne rzeczy dobrze płacą.

– A dlaczego... wykupił weksle papy?

– Skąd wiesz, że to on? W tym nie miałby żadnego interesu.

– Nic nie wiem – pochwyciła gorączkowo panna Izabela – ale wszystko przeczuwam, wszystko rozumiem... Ten człowiek chce zbliżyć się do nas...

– Już się przecie poznał z ojcem – wtrąciła panna Florentyna.

– Więc do mnie chce się zbliżyć!... – zawołała panna Izabela z wybuchem. – Poznałam to po...

Wstyd jej było dodać: „po jego spojrzeniu”.

– Czy nie uprzedzasz się, Belciu?...

– Nie. To, czego doznaję w tej chwili, nie jest uprzedzeniem, ale raczej jasnowidzeniem. Nawet nie domyślasz się, jak ja dawno znam tego człowieka, a raczej – od jak dawna on mnie prześladuje. Teraz dopiero przypominam sobie, że przed rokiem nie było przedstawienia w teatrze, nie było koncertu, odczytu, na którym bym go nie spotkała, i dopiero dziś ta... bezmyślna figura wydaje mi się straszną...

Panna Florentyna aż cofnęła się z fotelikiem, szepcząc:

– Więc przypuszczasz, żeby się ośmielił...

– Zagustować we mnie?... – przerwała ze śmiechem panna Izabela. – Tego nawet nie myślałabym mu bronić. Nie jestem ani tak naiwna, ani tak fałszywie skromna, ażeby nie wiedzieć, że się podobam... mój Boże! nawet służbie... Kiedyś gniewało mnie to jak żebranina, która zastępuje nam drogę na ulicach, dzwoni do

mieszkań albo pisuje listy z prośbą o wsparcie. Ale dziś – tylko rozumiałam lepiej słowa Zbawcy: „Komu wiele dano, od tego wiele żądać będą.”¹⁷⁰.

– Zresztą – dodała wzruszając ramionami – mężczyźni w tak bezceremonialny sposób zaszczycają nas swoim uwielbieniem, że nie tylko już nie dziwię się ich nadszkakiwaniu albo impertynenckim spojrzeniom, ale temu, gdy jest inaczej. Jeżeli w salonie spotkam człowieka, który mi nie mówi o swej sympatii i cierpieniach albo nie milczy posepnie w sposób zdradzający jeszcze większą sympatię i cierpienia, albo nie okazuje mi lodowatej obojętności, co ma być oznaką najwyższej sympatii i cierpień, wtedy – czuję, że mi czegoś brak, jak gdybym zapomniała wachlarza albo chusteczki... O, ja ich znam! tych wszystkich donżuanów¹⁷¹, poetów, filozofów, bohaterów, te wszystkie tkliwe, bezinteresowne, złamane, rozmarzone albo silne dusze... Znam całą tę maskaradę i zapewniam cię, że dobrze się nią bawię. Cha! cha! cha!... jacy oni śmieszni...

– Nie rozumiem cię, Belciu... – wtrąciła panna Florentyna rozkładając ręce.

– Nie rozumiesz?... Więc chyba nie jesteś kobietą.

Panna Florentyna zrobiła gest przeczący, a następnie powątpiewający.

¹⁷⁰ *Komu wiele dano, od tego wiele żądać będą* – cytat z Ewangelii św. Łukasza (Łk 12:48). [przypis redakcyjny]

¹⁷¹ *donżuan* – w przenośni: uwodziciel kobiet; *don Juan*: bohater z dramatu hiszpańskiego Tirso de Moliny (1630), później bohater wielu utworów literackich. [przypis redakcyjny]

– Posłuchaj – przerwała panna Izabela. – Od roku już straciliśmy stanowisko w świecie. Nie zaprzeczaj, bo tak jest, wszyscy o tym wiemy. Dziś jesteśmy zrujnowani.

– Przesadzasz...

– Ach, Floro, nie pocieszaj mnie, nie kłam!... Czyżeś nie słyszała przy obiedzie, że nawet tych kilkanaście rubli, które ma obecnie mój ojciec, są wygrane w karty od...

Panna Izabela mówiąc to drżała na całym ciele. Oczy jej błyszczały, na twarzy miała wypieki.

– Otóż w takiej chwili przychodzi ten... kupiec, nabywa nasze weksle, nasz serwis, opętuje mego ojca i ciotkę, czyli – ze wszystkich stron otacza mnie sieciami jak myśliwiec zwierzyne. To już nie smutny wielbiciel, to nie konkurent, którego można odrzucić, to... zdobywca!... On nie wzdycha, ale zakrada się do łask ciotki, ręce i nogi oplątuje ojcu, a mnie chce porwać gwałtem, jeżeli nie zmusić do tego, ażebym mu się sama oddała... Czy rozumiesz tę wyrafinowaną nikczemność?

Panna Florentyna przestraszyła się.

– W takim razie masz bardzo prosty sposób. Powiedz...

– Komu i co?... Czy ciotce, która gotowa popierać tego pana, ażeby mnie zmusić do oddania ręki marszałkowi?... Czy może mam powiedzieć ojcu, przerazić go i przyspieszyć katastrofę? Jedno tylko zrobię: nie pozwolę ojcu, ażeby zaciągał się do jakichkolwiek spółek, choćbym miała włóczyć mu się u nóg, choćbym miała... zabronić mu tego w imieniu zmarłej matki....

Panna Florentyna patrzy na nią z zachwytem...

– Doprawdy, Belciu – rzekła – przesadzasz. Z twoją energią i taką genialną domyślnością...

– Nie znasz tych ludzi, a ja widziałam ich przy pracy. W ich rękach stalowe szyny zwijają się jak wstążki. To straszni ludzie. Oni dla swoich celów umieją poruszyć wszystkie siły ziemskie, jakich my nawet nie znamy. Oni potrafią łamać, usidlać, płaszczyć się, wszystko ryzykować, nawet – cierpliwie czekać...

– Mówisz na podstawie czytanych romansów.

– Mówię na mocy moich przeczuć, które ostrzegają... wołają, że ten człowiek po to jeździł na wojnę, ażeby mnie zdobyć. I ledwie wrócił, już mnie ze wszystkich stron obsacza¹⁷²... Ale niech się strzeże!... Chce mnie kupić? dobrze, niech kupuje! ... przekona się, że jestem bardzo droga... Chce mnie złapać w sieci?... Dobrze, niech je rozsnuwa... ale ja mu się wymknę, choćby – w objęcia marszałka... O Boże! nawet nie domyślałam się, jak głęboką jest przepaść, w którą spadamy, dopóki nie zobaczyłam takiego dna. Z salonów Kwirynału¹⁷³ do sklepu... To już nawet nie upadek, to hańba...

Siadła na szezlongu i utuliwszy głowę rękoma szlochała.

¹⁷² *obsacza* – dziś: *osacza*. [przypis edytorski]

¹⁷³ *Kwirynał* – jedno z siedmiu wzgórz rzymskich; od r. 1870 nazwa siedziby królów włoskich. [przypis redakcyjny]

VII. Gołąb wychodzi na spotkanie węża

Serwis i srebra rodziny Łęckich były już sprzedane i nawet jubiler odniósł panu Tomaszowi pieniądze, straciwszy dla siebie sto kilkadziesiąt rubli składowego¹⁷⁴ i za pośrednictwo. Mimo to hrabina Karolowa nie przestała kochać panny Izabeli; owszem – jej energia i poświęcenie, okazane przy sprzedaży pamiątek, zbudziły w sercu starej damy nowe źródło uczuć rodzinnych. Nie tylko uprosiła pannę Izabelę o przyjęcie pięknego kostiumu, nie tylko co dzień bywała u niej albo ją wzywała do siebie, ale jeszcze (co było dowodem niesłychanej łaski) na całą Wielką Środę ofiarowała jej swój powóz.

– Przejdź się, aniołku, po mieście – mówiła hrabina całując siostrzenicę – i pozałatwiaj drobne sprawunki. Tylko pamiętaj, żebyś mi za to w czasie kwesty wyglądała ślicznie... Tak ślicznie, jak to tylko ty potrafisz!... Proszę cię...

Panna Izabela nie odpowiedziała nic, ale jej spojrzenie i rumieniec kazały domyślać się, że z całą gotowością spełni wolę ciotki.

W Wielką Środę, punkt o jedynastej rano, panna Izabela już siedziała w otwartym powozie wraz ze swoją nieodstępną towarzyszką, panną Florentyną. Po Alei chodziły wiosenne powiewy roznosząc tę szczególną, surową woń, która poprzedza pęknięcie liści na drzewach i ukazanie się pierwiosnków; szare

¹⁷⁴ *składowe* – opłata za przechowanie towaru na składzie. [przypis redakcyjny]

trawniki nabrały zielonawego odcienia; słońce grzało tak mocno, że panie otworzyły parasolki.

– Śliczny dzień – westchnęła panna Izabela patrząc na niebo, gdzieś tam poplamione białymi obłokami.

– Gdzie jaśnie panienka rozkaże jechać? – spytał lokaj zatrzasnąwszy drzwiczki powozu.

– Do sklepu Wokulskiego – z nerwowym pośpiechem odpowiedziała panna Izabela.

Lokaj skoczył na kozioł i spasio gniade konie ruszyły uroczystym kłusem parskając i wyrzucając łbami.

– Dlaczego, Belciu, do Wokulskiego? – zapytała trochę zdziwiona panna Florentyna.

– Chcę sobie kupić paryskie rękawiczki, kilka flakonów perfum...

– To samo dostaniemy gdzie indziej.

– Chcę tam – odpowiedziała sucho panna Izabela.

Od paru dni męczył ją osobliwy niepokój, jakiego już raz doznała w życiu. Będąc przed laty za granicą w ogrodzie aklimatyzacyjnym¹⁷⁵ zobaczyła w jednej z klatek ogromnego tygrysa, który spał oparty o kratę w taki sposób, że mu część głowy i jedno ucho wysunęło się na zewnątrz.

Widząc to panna Izabela uczuła nieprzepartą chęć pochwycenia tygrysa za ucho. Zapach klatki napelniał ją wstrętem, potężne łapy zwierzęcia nieopisaną trwogą, lecz mimo

¹⁷⁵ gród aklimatyzacyjny – tu: ogród zoologiczny, ogród dla zwierząt egzotycznych.
[przypis redakcyjny]

to czuła, że – musi tygrysa przynajmniej dotknąć w ucho.

Dziwny ten pociąg wydał się jej samej niebezpiecznym i nawet śmiesznym. Przemogła się więc i poszła dalej; lecz po paru minutach – wróciła. Znowu cofnęła się, przejrzała inne klatki, starała się o czym innym myśleć. Na próżno. Wróciła się i choć tygrys już nie spał, tylko mrucząc lizał swoje straszliwe łapy, panna Izabela podbiegła do klatki, wsunęła rękę i – drżąca i blada – dotknęła tygrysiego ucha.

W chwilę później wstydziła się swego szaleństwa, lecz zarazem czuła to gorzkie zadowolenie znane ludziom, którzy usłuchają w ważnej sprawie głosu instynktu.

Dziś zbudziło się w niej podobnego rodzaju pragnienie.

Gardziła Wokulskim, serce jej zamierało na samo przypuszczenie, że ten człowiek mógł zapłacić za srebra więcej, niż były warte, a mimo to czuła nieprzeparty pociąg – wejść do sklepu, spojrzeć w oczy Wokulskiemu i zapłacić mu za parę drobiazgów tymi właśnie pieniędzmi, które pochodziły od niego. Strach ją zdejmował na myśl spotkania, lecz niewytłomaczony instynkt popychał.

Na Krakowskim już z daleka zobaczyła szyld z napisem: J. Mincel i S. Wokulski, a o jeden dom bliżej nowy, jeszcze nie wykończony sklep¹⁷⁶ o pięciu oknach frontu, z lustrzanymi szybami. Z kilku pracujących przy nim rzemieślników

¹⁷⁶ *nowy, jeszcze nie wykończony sklep...* – nowy sklep Wokulskiego umieścił Prus na Krakowskim Przedmieściu pod nr 7 (tzw. „dom Grodzickiego”). Dom ten, wypalony w 1944 r., obecnie został odbudowany. [przypis redakcyjny]

i robotników jedni od wewnątrz wycierali szyby, drudzy złócili i malowali drzwi i futryny, inni umocowywali przed oknami ogromne mosiężne bariery.

– Cóż to za sklep budują? – spytała panny Florentyny.

– Chyba dla Wokulskiego, bo słyszałam, że wziął obszerniejszy lokal.

„Dla mnie ten sklep!” – pomyślała panna Izabela szarpiąc rękawiczki.

Powóz stanął, lokaj zeskoczył z kozła i pomógł paniom wysiąść. Lecz gdy następnie otworzył z łoskotem drzwi do sklepu Wokulskiego, panna Izabela tak osłabła, że nogi zachwiały się pod nią. Przez chwilę chciała wrócić do powozu i uciec stąd; wnet jednak opanowała się i z podniesioną głową weszła.

Pan Rzecki stał już na środku sklepu i zacierając ręce, witał ją niskimi ukłonami. W głębi pan Lisiecki, podczesując piękną brodę, okrągłymi i pełnymi godności ruchami prezentował brązowe kandelabry jakiejś damie, która siedziała na krześle. Mizerny Klejn wybierał laski młodzieńcowi, który na widok panny Izabeli szybko uzbroił się w binokle – a pachnący heliotropem¹⁷⁷ Mraczewski palił wzrokiem i sztyletował wąsikami dwie rumiane panienki, które towarzyszyły damie i oglądały toaletowe cacka.

Na prawo ode drzwi, za kantorkiem, siedział Wokulski schylony nad rachunkami.

Gdy panna Izabela weszła, młodzieniec oglądający laski

¹⁷⁷ *heliotrop* – krzew o silnie pachnących kwiatach. [przypis redakcyjny]

poprawił kołnierzyk na szyi, dwie panienki spojrzały na siebie, pan Lisiecki urwał w połowie swój okrągły frazes o stylu kandelabrow, ale zatrzymał okrągłą pozę, a nawet dama słuchająca jego wykładu ciężko odwróciła się na krześle. Przez chwilę sklep zaległa cisza, którą dopiero panna Izabela przerwała odezawszy się pięknym kontraltem:

– Czy zastałyśmy pana Mraczewskiego?...

– Panie Mraczewski!... – pochwycił pan Ignacy.

Mraczewski już stał przy pannie Izabeli, zarumieniony jak wiśnia, pachnący jak kadzielnica, z pochyloną głową, jak kita wodnej trzciny.

– Przyszłyśmy prosić pana o rękawiczki.

– Numerek pięć i pół – odparł Mraczewski i już trzymał pudełko, które mu nieco drżało w rękach pod wpływem spojrzenia panny Izabeli.

– Otóż nie... – przerwała panna ze śmiechem. – Pięć i trzy czwarte... Już pan zapomniał!...

– Pani, są rzeczy, których się nigdy nie zapomina. Jeżeli jednak rozkazuje pani pięć i trzy czwarte, będę służył w nadziei, że niebawem znowu zaszczyci nas pani swoją obecnością. Bo rękawiczki pięć i trzy czwarte – dodał z lekkim westchnieniem, podsuwając jej kilka innych pudełek – stanowczo zsuną się z rączek...

– Geniusz! – cicho szepnął pan Ignacy mrugając na Lisieckiego, który pogardliwie ruszył ustami.

Dama siedząca na krześle zwróciła się do kandelabrow,

dwie panny do toaletki z oliwkowego drzewa, młodzieniec w binoklach począł znowu wybierać laski i – rzeczy w sklepie przeszły do spokojnego trybu. Tylko rozgorączkowany Mraczewski zeskakiwał i wbiegał na drabinę, wysuwał szuflady i wydobywał coraz nowe pudełka tłumacząc pannie Izabeli po polsku i po francusku, że nie może nosić innych rękawiczek, tylko pięć i pół, ani używać innych perfum, tylko oryginalnych Atkinsona¹⁷⁸, ani ozdabiać swego stolika innymi drobiazgami, jak paryskimi.

Wokulski pochylił się nad kantorkiem tak, że żyły nabrzmiały mu na czole, i – wciąż rachował w myśli:

„29 a 36 – to 65, a 15 to 80, a 73 – to... to...”

Tu urwał i spod oka spojrzał w stronę panny Izabeli rozmawiającej z Mraczewskim. Oboje stali zwrócenii do niego profilem; dostrzegł więc pałający wzrok subiekta przykuty do panny Izabeli, na co ona w sposób demonstracyjny odpowiadała uśmiechem i spojrzeniami łagodnej zachęty.

„29 a 36 – to 65, a 15...” – liczył w myśli Wokulski, lecz nagle pióro prysło mu w rękę. Nie podnosząc głowy wydobył nową stalówkę z szuflady, a jednocześnie, nie wiadomo jakim sposobem, z rachunku wypadło mu pytanie:

„I ja mam niby to ją kochać?... Głupstwo! Przez rok cierpiałem na jakąś chorobę mózgową, a zdawało mi się, że jestem zakochany... 29 a 36... 29 a 36... Nigdy nie przypuszczałem, ażeby mogła mi być tak dalece obojętną...”

¹⁷⁸ *perfumy Atkinsona* – luksusowe perfumy angielskie. [przypis redakcyjny]

Jak ona patrzy na tego osła... No, jest to widocznie osoba, która kokietuje nawet subiektów, a czy tego samego nie robi z furmanami i lokajami!... Pierwszy raz czuję spokój... o Boże... A tak go bardzo pragnąłem...”

Do sklepu weszło jeszcze parę osób, do których niechętnie zwrócił się Mraczewski, powoli wiążąc paczki.

Panna Izabela zbliżyła się do Wokulskiego i wskazując w jego stronę parasolką rzekła dobitnie:

– Floro, bądź łaskawa zapłacić temu panu. Wracamy do domu.

– Kasa jest tu – odezwał się Rzecki podbiegając do panny Florentyny. Wziął od niej pieniądze i oboje cofnęli się w głąb sklepu.

Panna Izabela z wolna podsunęła się tuż do kantorka, za którym siedział Wokulski. Była bardzo blada. Zdawało się, że widok tego człowieka wywiera na nią wpływ magnetyczny¹⁷⁹.

– Czy mówię z panem Wokulskim?

Wokulski powstał z krzesła i odparł obojętnie:

– Jestem do usług.

– Wszakże to pan kupił nasz serwis i srebra? – mówiła zdławionym głosem.

– Ja, pani.

Teraz panna Izabela zawahała się. Po chwili jednak słaby

¹⁷⁹ *wpływ magnetyczny* – dziś powiedzielibyśmy: hipnotyczny. Osoba w stanie hipnozy, podobnym do snu, traci świadomość i wolę i spełnia jedynie rozkazy hipnotyzera. W wieku XIX uważano hipnozę za zjawisko analogiczne do magnetyzmu fizycznego i nazywano je również magnetyzmem. [przypis redakcyjny]

rumieniec wrócił jej na twarz. Ciągnęła dalej:

– Zapewne pan sprzeda te przedmioty?

– W tym celu je kupiłem.

Rumieniec panny Izabeli wzmochnął się.

– Przyszły nabywca w Warszawie mieszka? – pytała dalej.

– Rzeczy tych nie sprzedam tutaj, lecz za granicą. Tam...
dadzą mi wyższą cenę – dodał spostrzegłszy w jej oczach
zapytanie.

– Pan spodziewa się dużo zyskać?

– Dlatego, ażeby zyskać, kupiłem.

– Czy i dlatego mój ojciec nie wie, że srebra te są w pańskim
ręku? – rzekła ironicznie.

Wokulskiemu drgnęły usta.

– Serwis i srebra nabyłem od jubilera. Sekretu z tego nie
robię. Osób trzecich do sprawy nie mieszam, ponieważ to nie jest
w zwyczajach handlowych.

Pomimo tak szorstkich odpowiedzi panna Izabela odetchnęła.
Nawet oczy jej nieco pociemniały i straciły połysk nienawiści.

– A gdyby mój ojciec namyśliwszy się chciał odkupić te
przedmioty, za jaką cenę odstąpiłby je pan teraz?

– Za jaką kupiłem. Rozumie się z doliczeniem procentu
w stosunku... sześć... do ośmiu od sta rocznie...

– I wyrzekłby się pan spodziewanego zysku?... Dlaczegoż to?
... – przerwała mu z pośpiechem.

– Dlatego, proszę pani, że handel opiera się nie na zyskach
spodziewanych, ale na ciągłym obrocie gotówki.

– Żegnam pana i... dziękuję za wyjaśnienia – rzekła panna Izabela widząc, że jej towarzyszka już kończy rachunki.

Wokulski uklonił się i znowu usiadł do swej księgi.

Gdy lokaj zabrał paczki i panie zajęły miejsca w powozie, panna Florentyna odezwała się tonem wyrzutu:

– Mówiłaś z tym człowiekiem, Belu?...

– Tak i nie żałuję tego. On wszystko skłamał, ale...

– Co znaczy to: *ale*?... – z niepokojem zapytała panna Florentyna.

– Nie pytaj mnie... Nic do mnie nie mów, jeżeli nie chcesz, ażebym rozplakała się na ulicy...

A po chwili dodała po francusku:

– Zresztą, może zrobiłam źle przyjeżdżając tutaj, ale... wszystko mi jedno!...

– Myślę, Belciu – rzekła, z powagą sznurując usta, jej towarzyszka – że należałoby pomówić o tym z ojcem albo z ciotką.

– Chcesz powiedzieć – przerwała panna Izabela – że muszę pomówić z marszałkiem albo z baronem? Na to zawsze będzie czas; dziś nie mam jeszcze odwagi.

Przerwała się rozmowa. Panie milcząc wróciły do domu; panna Izabela cały dzień była rozdrażniona.

Po wyjściu panny Izabeli ze sklepu Wokulski wziął się znowu do rachunków i bez błędu zsumował dwie duże kolumny cyfr. W połowie trzeciej zatrzymał się i dziwił się temu spokojowi, jaki zapanował w jego duszy. Po całorocznej

gorączcze i tęsknocie przerywanej wybuchami szału skąd naraz ta obojętność? Gdyby można było jakiegoś człowieka nagle przerzucić z balowej sali do lasu albo z dusznego więzienia na chłodne i obszerne pole, nie doznałby innych wrażeń ani głębszego zdumienia.

„Widocznie przez rok ulegałem częściowemu obłąkaniu” – myślał Wokulski. – „Nie było niebezpieczeństwa, nie było ofiary, której nie poniósłbym dla tej osoby, i ledwiem ją zobaczył, już nic mnie nie obchodzi...”

A jak ona rozmawiała ze mną. Ile tam było pogardy dla marnego kupca... »Zapłać temu panu!...« Paradne są te wielkie damy; próżniak, szuler, nawet złodziej, byle miał nazwisko, stanowi dla nich dobre towarzystwo, choćby fizjognomią zamiast ojca przypominał lokaja swej matki. Ale kupiec – jest pariasem¹⁸⁰... Co mnie to wreszcie obchodzi; gnijcie sobie w spokoju!”

Znowu dodał jedną kolumnę nie uważając nawet, co się dzieje w sklepie.

„Skąd ona wie – myślał dalej – że ja kupiłem serwis i srebra? ... A jak wybadywała, czym nie zapłacił więcej niż warte! Z przyjemnością ofiarowałbym im ten pamiątkowy drobiazg. Winienem jej dozgonną wdzięczność, bo gdyby nie szął dla niej, nie dorobiłbym się majątku i spleśniałbym za kantorkiem. A teraz może mi smutno będzie bez tych żalów, rozpaczy

¹⁸⁰ *parias* – członek najniższej kasty w Indiach; ogólnie: najbardziej pogardzany i krzywdzony członek społeczeństwa. [przypis redakcyjny]

i nadziei... Głupie życie!... Po ziemi gonimy marę, którą każdy nosi we własnym sercu, i dopiero gdy stamtąd ucieknie, poznajemy, że to był obłąd... No, nigdy bym nie przypuszczał, że mogą istnieć tak cudowne kuracje. Przed godziną byłem pełen trucizny, a w tej chwili jestem tak spokojny i – jakiś pusty, jakby uciekła ze mnie dusza i wnętrze, a została tylko skóra i odzież. Co ja teraz będę robił? czym będę żył?... Chyba pojedę na wystawę do Paryża¹⁸¹, a potem w Alpy...”

W tej chwili zbliżył się do niego na palcach Rzecki i szepnął:
– Pyszny jest ten Mraczewski, co? Jak on umie rozmawiać z kobietami!

– Jak fryzjerczyk, którego uzuchwalono – odpowiedział Wokulski nie odrywając oczu od księgi.

– Nasze klientki zrobiły go takim – odpowiedział stary subiekt, lecz widząc, że przeszkadza pryncypałowi, cofnął się. Wokulski znowu wpadł w zadumę. Nieznacznie spojrzał na Mraczewskiego i dopiero w tej chwili zauważył, że młody człowiek ma coś szczególnego w fizjonomii.

„Tak – myślał – on jest beczelnie głupi i zapewne dlatego podoba się kobietom.”

Śmiać mu się chciało i ze spojrzeń panny Izabeli, wysyłanych pod adresem pięknego młodzieńca, i z własnych przywidzeń, które dziś tak nagle go opuściły.

¹⁸¹ wystawa w Paryżu – 1 maja 1878 r. została otwarta w Paryżu wielka wystawa powszechna, która pociągnęła za sobą duży napływ obcokrajowców. Zwiedziło ją około dwustu tysięcy cudzoziemców, w tym blisko dwa tysiące Polaków. [przypis redakcyjny]

Wtem drgnął; usłyszał imię panny Izabeli i spostrzegł, że w sklepie nie ma nikogo z gości.

– No, ale dzisiaj toś się pan nie ukrywał ze swoimi amatorami – mówił ze smutnym uśmiechem Klejn do Mraczewskiego.

– Ale bo jak ona na mnie patrzyła, to ach!... – westchnął Mraczewski, jedną rękę kładąc na piersi, drugą podkrecając wąsika. – Jestem pewny – mówił – że za parę dni otrzymam wonny bilecik. Potem – pierwsza schadzka, potem: „dla pana łamię zasady, w jakich mnie wychowano”, a potem: „czy nie gardzisz mną?” Chwila wcześniej jest bardzo rozkoszną, ale w chwilę później człowiek jest tak zakłopotany...

– Co pan blagujesz! – przerwał mu Lisiecki. – Znamy przecież pańskie konkiety¹⁸²: nazywają się Matyldami, którym pan imponujesz porcją pieczeni i kuflem piwa.

– Matyldy są na co dzień, damy na święta. Ale Iza będzie największym świętem. Słowo honoru daję, że nie znam kobiety, która by na mnie tak piekielne robiła wrażenie... No, ale bo też i ona łgnie do mnie!

Trzasnęły drzwi i do sklepu wszedł jegomość szpakowaty; zażądał breloku¹⁸³ do zegarka, a krzyczał i stukał laską tak mocno, jakby miał zamiar kupić całą japońszczyznę.

Wokulski słuchał przechwałek Mraczewskiego bez ruchu. Doświadczał wrażenia, jakby mu na głowę i na piersi spadały ciężary.

¹⁸² *konkiety* – podboje. [przypis redakcyjny]

¹⁸³ *brelok* – ozdobny wisiorek przy łańcuszku. [przypis redakcyjny]

– W rezultacie nic mnie to nie obchodzi – szepnął.

Po szpakowatym jegomościu weszła do sklepu dama żądająca parasola, później pan w średnim wieku chcący nabyć kapelusz, potem młody człowiek żądający cygarnicy, nareszcie trzy panny, z których jedna kazała podać sobie rękawiczki Szolca¹⁸⁴, ale koniecznie Szolca, bo innych nie używa.

Wokulski złożył księgę, z wolna podniósł się z fotelu i sięgnawszy po kapelusz stojący na kantorku skierował się ku drzwiom. Czuł brak oddechu i jakby rozsadzanie czaszki.

Pan Ignacy zabiegł mu drogę.

– Wychodzisz?... Może zajrzysz do tamtego sklepu – rzekł.

– Nigdzie nie zajrzę, jestem zmęczony – odpowiedział Wokulski nie patrząc mu w oczy.

Gdy wyszedł, Lisiecki trącił Rzeckiego w ramię.

– Coś stary jakby zaczynał robić bokami – szepnął.

– No – odparł pan Ignacy – puszczenie w ruch takiego interesu jak moskiewski to nie chy-chy. Rozumie się.

– Po cóż się w to wdaje?

– Po to, żeby miał nam z czego pensje podwyższać – surowo odpowiedział pan Ignacy.

– A niechże sobie zakłada sto nowych interesów, nawet w Irkucku, byle tak co roku podwyższał – rzekł Lisiecki. – Ja z nim się o to spierać nie będę. Ale swoją drogą, uważam, że jest diabelnie zmieniony, osobiwie dzisiaj. Żydzi, panie, Żydzi – dodał – jak zwąchają jego projekta, dadzą mu łupnia.

¹⁸⁴ *Szolc* – firma galanteryjna w Warszawie. [przypis redakcyjny]

– Co tam Żydzi...

– Żydzi, mówię, Żydzi!... Wszystkich trzymają za łąb i nie pozwolą, ażeby im bruździł jakiś Wokulski, nie Żyd ani nawet *meches*¹⁸⁵.

– Wokulski zwiąże się ze szlachtą – odpowiedział Ignacy – a i tam są kapitały.

– Kto wie, co gorsze: Żyd czy szlachcic – wtrącił mimochodem Klejn i podniósł brwi w sposób bardzo żałosny.

¹⁸⁵ *meches* – pogardliwa nazwa przechrzty, używana przez Żydów ortodoksyjnych (ściśle przestrzegających zasad religii). [przypis redakcyjny]

VIII. Medytacje

Znalazłszy się na ulicy Wokulski stanął na chodniku, jakby namyślając się, dokąd iść. Nie ciągnęło go nic w żadną stronę. Dopiero gdy przypadkiem spojrzął w prawo, na swój nowo wykończony sklep, przed którym już zatrzymywali się ludzie, odwrócił się ze wstrętem i poszedł w lewo.

„Dziwna rzecz, jak mnie to wszystko mało obchodzi” – rzekł do siebie. Potem myślał o tych kilkunastu ludziach, którym już daje zajęcie, i o tych kilkudziesięciu, którzy od pierwszego maja mieli dostać u niego zajęcie, o tych setkach, dla których w ciągu roku miał stworzyć nowe źródła pracy, i o tych tysiącach, którzy dzięki jego tanim towarom mogliby sobie poprawić nędzny byt – i – czuł, że ci wszyscy ludzie i ich rodziny nic go w tej chwili nie interesują.

„Sklep odstąpię, nie zawiążę spółki i wyjadę za granicę” – myślał.

„A zawód, jaki zrobisz ludziom, którzy w tobie położyli nadzieję?”

„Zawód?... Alboż mnie samego nie spotkał zawód?...”

Wokulski idąc poczuł jakąś niewygodę; lecz dopiero zastanowiwszy się osądził, że męczy go ciągle ustępowanie z drogi; przeszedł więc na drugą stronę ulicy, gdzie ruch był mniejszy.

„A jednak ten Mraczewski jest infamis¹⁸⁶! – myślał. – Jak można mówić takie rzeczy w sklepie? »Za parę dni otrzymam bilecik, a potem – schadzka!... Ha, sama sobie winna, nie trzeba kokietować błaznów... Zresztą – wszystko mi jedno.”

Czuł w duszy dziwną pustkę, a na samym jej dnie coś, jakby kroplę piekącej goryczy. Żadnych sił, żadnych pragnień, nic, tylko tę kroplę tak małą, że jej niepodobna dojrzeć, a tak gorzką, że cały świat można by nią zatruć.

„Chwilowa apatia, wyczerpanie, brak wrażeń... Za dużo myślę o interesach” – mówił.

Staął i patrzył. Dzień przedświąteczny i ładna pogoda wywabiły mnóstwo ludzi na bruk miejski. Sznur powozów i pstrokaty falujący tłum między Kopernikiem i Zygmunt¹⁸⁷ wyglądał jak stado ptaków, które właśnie w tej chwili unosiły się nad miastem dążąc ku północy.

„Szczególna rzecz – mówił. – Każdy ptak w górze i każdy człowiek na ziemi wyobraża sobie, że idzie tam, dokąd chce. I dopiero ktoś stojący na boku widzi, że wszystkich razem pcha naprzód jakiś fatalny prąd, mocniejszy od ich przewidywań i pragnień. Może nawet ten sam, który unosi smugę iskier wydmuchniętych przez lokomotywę podczas nocy?... Błyszczą

¹⁸⁶ *infamis* (łac.) – człowiek bez czci, niegodziwy. [przypis redakcyjny]

¹⁸⁷ *między Kopernikiem i Zygmuntem...* – tj. wzdłuż całego Krakowskiego Przedmieścia: pomnik Kopernika wzniesiony został w r. 1830 według modelu słynnego duńskiego rzeźbiarza Bertolda Thorwaldsena (1770–1844). Zygmunt: znana kolumna z posągami króla Zygmunta III Wazy (1587–1632), wzniesiona w r. 1644 przez jego syna Władysława IV na Placu Zamkowym. [przypis redakcyjny]

przez mgnienie oka, aby zgasnąć na całą wieczność, i to nazywa się życiem.

Mijają ludzkie pokolenia
Jak fale, gdy wiatr morzem zmaci;
I nie masz godów ich pamięci,
I nie masz bólów ich wspomnienia.¹⁸⁸

Gdzie ja to czytałem?... Wszystko jedno.”

Nieustanny turkot i szmer wydał się Wokulskiemu nieznosnym, a wewnętrzna pustka straszliwą. Chciał czymś się zająć i przypomniał sobie, że jeden z zagranicznych kapitalistów pytał go o zdanie w kwestii bulwarów nad Wisłą¹⁸⁹. Zdanie już miał wyrobione: Warszawa całym swoim ogromem ciąży i zsuwa się ku Wiśle. Gdyby brzeg rzeki obwarować bulwarami, powstałaby tam najpiękniejsza część miasta: gmachy, sklepy, aleje...

„Trzeba spojrzeć, jak by to wyglądało?” – szepnął Wokulski

¹⁸⁸ *Mijają ludzkie pokolenia...* – ten i następne wierszowane cytaty w tekście tego rozdziału pochodzą z poematu Włodzimierza Zagórskiego (1834–1902) *Król Salomon* (dedykowanego Bolesławowi Prusowi), opartego na motywach biblijnej księgi *Eklezjastes*. Fragment, z którego pochodzi ten i następne cytaty, ukazał się w zbiorze *Z teki Chochlika* w r. 1881. [przypis redakcyjny]

¹⁸⁹ ...w kwestii bulwarów nad Wisłą – sprawa budowy bulwarów nad Wisłą była wtedy rzeczywiście aktualna. „Kurier Warszawski” z 2 kwietnia 1879 roku donosi o powstaniu towarzystwa polsko–francuskiego, które zamierza wybudować te bulwary kosztem 25 milionów rubli. Projekt jednak nie został urzeczywistniony. [przypis redakcyjny]

i skręcił na ulicę Karową¹⁹⁰.

Przy bramie¹⁹¹ wiodącej tam zobaczył bosego, przewiązanego sznurami tragarza, który pił wodę prosto z wodotrysku; zachlapał się od stóp do głów, ale miał bardzo zadowoloną minę i śmiejące się oczy.

„Jużci, ten ma, czego pragnął. Ja, ledwie zbliżył się do źródła, widzę, że nie tylko ono znikło, ale nawet wysychają moje pragnienia. Pomimo to mnie zazdroszczą, a nad nim każą się litować. Co za potworne nieporozumienie!”

Na Karowej odetchnął. Zdawało mu się, że jest jedną z plew, które już odrzucił młyn wielkomiejskiego życia, i że powoli spływa sobie gdzieś na dół tym rynsztokiem zaciśniętym odwiecznymi murami.

„Cóż bulwary?... – myślał. – Postoją jakiś czas, a potem będą walić się, zarośnięte zielskiem i odrapane, jak te oto ściany. Ludzie, którzy je budowali z wielką pracą, mieli także na celu zdrowie, bezpieczeństwo, majątek, a może zabawy i pieszczoty. I gdzie oni są?... Zostały po nich splekane mury, jak skorupa

¹⁹⁰ ulica Karowa, Dobra, Garbarska, Topiel, Radna, Browarna, Tamka – wymienione w tym rozdziale, są to ulice Powiśla, dzielnicy Warszawy między Krakowskim Przedmieściem a Wisłą, zamieszkiwanej przez biedotę. Położona w bezpośrednim sąsiedztwie śródmieścia, jaskrawo z nim kontrastowała. Przed 1939 r. część Powiśla bardzo się unowocześniła, jednak dopiero w ostatnich latach nowe budownictwo wyparło resztki starych ruder, pamiętających czasy Prusa. [przypis redakcyjny]

¹⁹¹ Przy bramie – wejście z Krakowskiego Przedmieścia na Karową prowadziło przez wielką stylową bramę (projektu Marconiego) z dwoma wodotryskami w bocznych kolumnach. Zburzono ją przy budowie hotelu „Bristol” w 1899 r. [przypis redakcyjny]

po ślimaku dawnej epoki. A cały pożytek z tego stosu cegieł i tysiąca innych stosów będzie, że przyszły geolog nazwie je skałą ludzkiego wyrobu, jak my dziś koralowe rafy albo kredę nazywamy skałami wyrobu pierwotniaków.

I cóż ma z trudu swego człowiek?...

I z prac tych, które wszczął pod słońcem?...

Znikomość – jego dzieła gońcem,

A żywot jego mgnieniem powiek.

Gdziem ja to czytał, gdzie?... Mniejsza o to.”

Zatrzymał się w połowie drogi i patrzył na ciągnącą się u jego stóp dzielnicę między Nowym Zjazdem¹⁹² i Tamką. Uderzyło go podobieństwo do drabiny, której jeden bok stanowi ulica Dobra, drugi – linia od Garbarskiej do Topieli, a kilkanaście uliczek poprzecznych formują jakby szczeble.

„Nigdzie nie wejdziemy po tej leżącej drabinie – myślał. – To chory kąt, dziki kąt.”

I rozważał pełen goryczy, że ten płat ziemi nadrzecznej, zasypany śmieciem z całego miasta, nie urodzi nic nad parterowe i jednopiętrowe domki barwy czekoladowej i jasnożółtej, ciemnozielonej i pomarańczowej. Nic, oprócz białych i czarnych

¹⁹² Nowy Zjazd biegł od Placu Zamkowego do żelaznego mostu na Wiśle i tworzył rodzaj wiaduktu na arkadach, w połączeniu z nasypem ziemnym (wiadukt Pancera). Nowy Zjazd był bardzo ruchliwym punktem Warszawy ze względu na most (Kierbedzia) łączący Warszawę z Pragą. Tędy przechodzi obecnie Trasa W-Z i Most Śląsko-Dąbrowski. [przypis redakcyjny]

parkanów, otaczających puste place, skąd gdzieśniedzie
wyskakuje kilkupiętrowa kamienica jak sosna, która ocalała
z wyciętego lasu, przestraszona własną samotnością.

„Nic, nic!...” – powtarzał tułając się po uliczkach, gdzie
widać było rudery zapadnięte niżej bruku, z dachami porośniętymi
mchem, lokale z okiennicami dnem i nocą zamkniętymi na
sztaby, drzwi zabite gwoździami, naprzód i w tył powychylane
ściany, okna łatane papierem albo zatkanie łachmanem. Szedł,
przez brudne szyby zaglądał do mieszkań i nasyczał się widokiem
szaf bez drzwi, krzeseł na trzech nogach, kanap z wydartym
siedzeniem, zegarów o jednej skazówce z porozbijanymi
cyferblatami.

Szedł i cicho śmiał się na widok wyrobników wiecznie
czekających na robotę, rzemieślników, którzy trudnią się tylko
łataniem starej odzieży, przekupek, których całym majątkiem
jest kosz zeszlęcych ciastek – na widok obdartych mężczyzn,
mizernych dzieci i kobiet niezwykle brudnych.

„Oto miniatura kraju – myślał – w którym wszystko dąży
do spodlenia i wytępienia rasy. Jedni giną z niedostatku,
drudzy z rozpusty. Praca odejmuje sobie od ust, ażeby karmić
niedołęgów; miłosierdzie hoduje bezczelnych próżniaków,
a ubóstwo nie mogące zdobyć się na sprzęty otacza się wiecznie
głodnymi dziećmi, których największą zaletą jest wczesna
śmierć.

Tu nie poradzi jednostka z inicjatywą, bo wszystko
sprzysięgło się, ażeby ją spętać i zużyć w pustej walce – o nic.”

Potem w wielkich konturach przyszła mu na myśl jego własna historia. Kiedy dzieckiem będąc łaknął wiedzy – oddano go do sklepu z restauracją. Kiedy zabijał się nocną pracą będąc subiektem – wszyscy szydzili z niego, zaczawszy od kuchcików, skończywszy na upijającej się w sklepie inteligencji. Kiedy nareszcie dostał się do uniwersytetu – prześladowano go porcjami, które niedawno podawał gościom.

Odetchnął dopiero na Syberii. Tam mógł pracować, tam zdobył uznanie i przyjaźń Czerskich¹⁹³, Czekanowskich¹⁹⁴, Dybowski¹⁹⁵. Wrócił do kraju prawie uczonym, lecz gdy w tym kierunku szukał zajęcia, zakrzyczano go i odesłano do handlu...

„To taki piękny kawałek chleba w tak ciężkich czasach!”

No i wrócił do handlu, a wtedy zawołano, że się sprzedał i żyje na łasce żony, z pracy Minclów.

Traf zdarzył, iż po kilku latach żona umarła zostawiając mu dość spory majątek. Pochowawszy ją, Wokulski odsunął się nieco od sklepu, a znowu zbliżył się do książek. I może z galanteryjnego kupca zostałby na dobre uczonym przyrodnikiem, gdyby znalazłszy się raz w teatrze nie zobaczył panny Izabeli.

¹⁹³ Czerski Jan (1845–1892) – przyrodnik i geolog, zesłany w r. 1863 na Syberię, badał tam faunę i pokłady węgla. [przypis redakcyjny]

¹⁹⁴ Czekanowski Aleksander (1830–1876) – geograf i geolog, zesłany w r. 1863 na Syberię. [przypis redakcyjny]

¹⁹⁵ Dybowski Benedykt (1833–1930) – uczony polski, zesłany w r. 1864 na Syberię, badał tamtejszą przyrodę, antropologię i języki ludów syberyjskich. [przypis redakcyjny]

Siedziała w łóżu z ojcem i panną Florentyną, ubrana w białą suknię. Nie patrzyła na scenę, która w tej chwili skupiała uwagę wszystkich, ale gdzieś przed siebie, nie wiadomo gdzie i na co. Może myślała o Apollinie?...

Wokulski przypatrywał się jej cały czas.

Zrobiła na nim szczególne wrażenie. Zdawało mu się, że już kiedyś ją widział i że ją dobrze zna. Wpatrzył się lepiej w jej rozmarzone oczy i nie wiadomo skąd przypomniał sobie niezmierny spokój syberyjskich pustyń, gdzie bywa niekiedy tak cicho, że prawie słyszeć szelest duchów wracających ku zachodowi¹⁹⁶. Dopiero później przyszło mu na myśl, że on nigdzie i nigdy jej nie widział, ale – że jest tak coś – jakby na nią od dawna czekał.

„Tyżeś to czy nie ty?...” – pytał się w duchu, nie mogąc od niej oczu oderwać.

Odtąd mało pamiętał o sklepie i o swoich książkach, lecz ciągle szukał okazji do widywania panny Izabeli w teatrze, na koncertach lub na odczytach. Uczuć swoich nie nazwałby miłością i w ogóle nie był pewny, czy dla oznaczenia ich istnieje w ludzkim języku odpowiedni wyraz. Czuł tylko, że stała się ona jakimś mistycznym punktem, w którym zbiegają się wszystkie jego wspomnienia, pragnienia i nadzieje, ogniskiem, bez którego życie nie miałoby stylu, a nawet sensu. Służba w sklepie

¹⁹⁶ *słyszeć szelest duchów wracających ku zachodowi* – prawdopodobnie reminiscencja epizodu w *Anhellim* (1838) Juliusza Słowackiego, kiedy dusza bohatera, wywołana przez Szamana, pragnie powrócić do ojczyzny. [przypis redakcyjny]

kolonialnym, uniwersytet, Syberia, ożenienie się z wdową po Minclu, a w końcu mimowolne pójście do teatru, gdy wcale nie miał chęci – wszystko to były ścieżki i etapy, którymi los prowadził go do zobaczenia panny Izabeli.

Od tej pory czas miał dla niego dwie fazy. Kiedy patrzył na pannę Izabelę, czuł się absolutnie spokojnym i jakby większym; nie widząc – myślał o niej i tęsknił. Niekiedy zdawało mu się, że w jego uczuciach tkwi jakaś omyłka i że panna Izabela nie jest żadnym środkiem jego duszy, ale zwykłą, a może nawet bardzo pospolitą panną na wydaniu. A wówczas przychodził mu do głowy dziwaczny projekt:

„Zapoznam się z nią i wprost zapytam: czy ty jesteś tym, na co przez całe życie czekałem?... Jeżeli nie jesteś, odejdę bez pretensji i żalu...”

W chwilę później spostrzegął, że projekt ten zdradza umysłowe zboczenie. Kwestię więc: czym jest, a czym nie jest, odłożył na bok, a postanowił, bądź co bądź, zapoznać się z panną Izabelą.

Wtedy przekonał się, że między jego znajomymi nie ma człowieka, który mógłby go wprowadzić do domu Łęckich. Co gorsze: pan Łęcki i panna byli klientami jego sklepu, lecz taki stosunek, zamiast ułatwić, utrudniał raczej znajomość.

Stopniowo sformułował sobie warunki zapoznania się z panną Izabelą. Ażeby mógł nic więcej tylko szczerze rozmówić się z nią, należało:

Nie być kupcem albo być bardzo bogatym kupcem.

Być co najmniej szlachcicem i posiadać stosunki w sferach arystokratycznych.

Nade wszystko zaś mieć dużo pieniędzy.

Wylegitymowanie się ze szlachectwa nie było rzeczą trudną.

W maju roku zeszłego Wokulski wziął się do tej sprawy, którą jego wyjazd do Bułgarii o tyle przyspieszył, że już w grudniu miał dyplom¹⁹⁷, z majątkiem było znacznie trudniej; w tym przecie dopomógł mu los.

W początkach wojny wschodniej¹⁹⁸ przejeżdżał przez Warszawę bogaty moskiewski kupiec, Suzin, przyjaciel Wokulskiego jeszcze z Syberii. Odwiedził Wokulskiego i gwałtem zachęcał go do przyjęcia udziału w dostawach dla wojska.

– Zbierz pieniądze, Stanisławie Piotrowiczu, ile się da – mówił – a uczciwe słowo, zrobisz okrągły milionik!...

Następnie półgłosem wyłożył mu swoje plany.

Wokulski wysłuchiwał jego projektów. Do wykonania jednych nie chciał należeć, inne przyjął, lecz wahał się. Żał mu było opuścić miasto, w którym przynajmniej widywał pannę Izabelę. Ale gdy w czerwcu ona wyjechała do ciotki, a Suzin począł naglić go depeszami, Wokulski zdecydował się i podniósł całą gotówkę po żonie w ilości rs¹⁹⁹ trzydzieści tysięcy, którą

¹⁹⁷ *dyplom* – tu: dokument stwierdzający pochodzenie szlacheckie. [przypis redakcyjny]

¹⁹⁸ *wojna wschodnia* – wojna rosyjsko-turecka. [przypis redakcyjny]

¹⁹⁹ *rs* – skrót: rubli srebrnych. [przypis redakcyjny]

nieboszczka trzymała nietykalną w banku.

Na kilka dni przed wyjazdem zaszedł do znajomego lekarza Szumana, z którym pomimo obustronnej życzliwości widywali się nieczęsto. Lekarz, Żyd, stary kawaler, żółty, mały, z czarną brodą, miał reputację dziwaka. Posiadając majątek leczył darmo i o tyle tylko, o ile było mu to potrzebnym do studiów etnograficznych²⁰⁰; przyjaciołom zaś swoim raz na zawsze dał jedną receptę:

„Używaj wszystkich środków, od najmniejszej dozy oleju do największej dozy strychniny, a coś ci z tego pomoże, nawet na – nosaciznę.”

Gdy Wokulski zadzwonił do mieszkania lekarza, ten właśnie był zajęty gatunkowaniem włosów rozmaitych osobników rasy słowiańskiej, germańskiej i semickiej i przy pomocy mikroskopu mierzył dłuższe i krótsze średnice ich przekrojów.

– A, jesteś?... – rzekł do Wokulskiego odwracając głowę. – Nałóż sobie fajkę, jeżeli chcesz, i kładź się na kanapie, jeżeli się zmieścisz.

Gość zapalił fajkę i położył się, jak mu kazano, doktor robił swoje. Przez pewien czas obaj milczeli, wreszcie odezwał się Wokulski:

– Powiedz mi: czy medycyna zna taki stan umysłu, w którym człowiekowi wydaje się, że jego rozproszone dotychczas wiadomości i... uczucia złączyły się jakby w jeden organizm?

²⁰⁰ *studia etnograficzne* – zainteresowania Szumana zbliżają się raczej do antropologii. [przypis redakcyjny]

– Owszem. Przy ciągłej pracy umysłowej i dobrym odżywianiu mogą wytworzyć się w mózgu nowe komórki albo – skojarzyć się między sobą dawne. No i wówczas z rozmaitych departamentów²⁰¹ mózgu i z rozmaitych dziedzin wiedzy tworzy się jedna całość.

– A co znaczy taki stan umysłu, w którym człowiek obojętnieje dla śmierci, ale za to poczyną tęsknić do legend o życiu wiecznym?...

– Obojętność dla śmierci – odpowiedział doktor – jest cechą umysłów dojrzałych, a pociąg do życia wiecznego – zapowiedzią nadchodzącej starości.

Znowu umilkli. Gość palił fajkę, gospodarz kręcił się nad mikroskopem.

– Czy myślisz – spytał Wokulski – że można... kochać kobietę w sposób idealny, nie pożądam jej?

– Naturalnie. Jest to jedna z masek, w którą lubi przebierać się instynkt utrwalenia gatunku.

– Instynkt – gatunek – instynkt utrwalenia czegoś i – utrwalenie gatunku!... – powtórzył Wokulski. – Trzy wyrazy, a cztery głupstwa.

– Zrób szóste – odpowiedział doktor nie odejmując oka od szkła – i ożeń się.

– Szóste?... – rzekł Wokulski podnosząc się na kanapie. – A gdzież piąte?

– Piąte już zrobiłeś: zakochałeś się.

²⁰¹ *departamenty* – tu: w znaczeniu części. [przypis redakcyjny]

– Ja?... W moim wieku?...

– Czterdzieści pięć lat – to epoka ostatniej miłości, najgorszej – odpowiedział doktor.

– Znaczący mówią, że pierwsza miłość jest najgorsza – szepnął Wokulski.

– Nieprawda. Po pierwszej czeka cię sto innych, ale po setnej pierwszej – już nic. Żeń się; jedyny to ratunek na twoją chorobę.

– Dlaczegoż ty się nie ożenił?

– Bo mi narzeczona umarła – odpowiedział doktor pochyliwszy się na tył fotelu i patrząc w sufit. – Więc zrobiłem, com mógł: otrujęm się chloroformem. Było to na prowincji. Ale Bóg zesłał dobrego kolegę, który wysadził drzwi i uratował mnie. Najpodlejszy rodzaj miłosierdzia!... Ja zapłaciłem za drzwi zepsute, a kolega odziedziczył moją praktykę ogłosiwszy, że wariat...

Znowu wrócił do włosów i mikroskopu.

– A jaki z tego sens moralny dla ostatniej miłości? – spytał Wokulski.

– Ten, że samobójcom nie należy przeszkadzać – odpowiedział doktor.

Wokulski poleżał jeszcze z kwadrans, potem podniósł się, postawił w kącie fajkę i schyliwszy się nad doktorem ucałował go.

– Bywaj zdrow, Michale.

Doktor zerwał się od stołu.

– No?...

– Wyjeżdżam do Bułgarii

– Po co?

– Zostanę wojskowym dostawcą. Muszę zrobić duży majątek!

... – odparł Wokulski.

– Albo?...

– Albo... nie wrócę.

Doktor popatrzył mu w oczy i mocno ścisnął go za rękę.

– *Sit tibi terra levis*²⁰² – rzekł spokojnie. Odprowadził go do drzwi i znowu wziął się do swojej roboty.

Już Wokulski był na schodach, gdy doktor wybiegł za nim i zawołał wychylając się przez poręcz:

– Gdybyś jednak wrócił, nie zapomnij przywieźć mi włosów: bułgarskich, tureckich i tak dalej, od obu płci. Tylko pamiętaj: w oddzielnych pakietach z notatkami. Wiesz przecie, jak to robić...

...Wokulski ocknął się z tych dawnych wspomnień.

Nie ma doktora ani jego mieszkania i nawet ich od dziesięciu miesięcy nie widział. Tu jest błotnista ulica Radna, tam Browarna. Na górze spoza nagich drzew wyglądają żółte gmachy uniwersyteckie; na dole parterowe domki, puste place i parkany, a niżej – Wisła.

Obok niego stał jakiś człowiek w wypłowiałej kapocie z rudawym zarostem. Zdjął czapkę i pocałował Wokulskiego w rękę. Wokulski przypatrzył mu się uważnie.

– Wysocki?... – rzekł. – Co ty tu robisz?

²⁰² *Sit tibi terra levis* (łac.) – niech ci ziemia lekką będzie. [przypis redakcyjny]

– Tu mieszkamy, wielmożny panie, w tym domu – odpowiedział człowiek wskazując na niską lepiankę.

– Dlaczego nie przyjeżdżasz po transporta²⁰³? – pytał Wokulski.

– Czym przyjadę, panie, kiedy jeszcze na Nowy Rok koń mi padł.

– Cóż robisz?

– A ot tak – razem nic. Zimowaliśmy u brata, co jest dróżnikiem na Wiedeńskiej Kolei²⁰⁴. Ale i jemu bieda, bo go ze Skierniewic²⁰⁵ przenieśli pod Częstochowę. W Skierniewicach ma trzy morgi²⁰⁶ i żył jak bogacz, a dzisiaj i on kiepski, i grunt wynędznije bez dozoru.

– No, a z wami co teraz?

– Kobieta niby trochę pierze, ale takim, co nie bardzo mają czym płacić, a ja – ot tak... Marniejemy, panie... nie pierwsi i nie ostatni. Jeszcze póki wielkiego postu, to człowiek krzepi się mówiący²⁰⁷: dzisiaj poćsisz za dusze zmarłe, jutro na pamiątkę, że Chrystus Pan nic nie jadł, pojutrze, na intencję, ażeby Bóg złe

²⁰³ *transporta* – dziś: transporty, towary do przewiezienia. [przypis redakcyjny]

²⁰⁴ *Kolej Wiedeńska* – linia kolejowa Warszawa—Skierniewice—Koluszki—Piotrków—Częstochowa—Dąbrowa Górnicza na Kraków i Wiedeń, najdawniejsza w Królestwie Kongresowym, zbudowana w latach 1838–1848. [przypis redakcyjny]

²⁰⁵ Skierniewice – miasto powiatowe i węzeł kolejowy, 66 km na południowy zachód od Warszawy. [przypis redakcyjny]

²⁰⁶ *mórg* – miara powierzchni: mórg polski – ok. 55 arów. [przypis redakcyjny]

²⁰⁷ *człowiek krzepi się mówiący* – dawna forma imiesłowowa; dziś: człowiek krzepi się mówiąc. [przypis edytorski]

odmienił. Zaś po świętach nie będzie nawet sposobu i dzieciom wytłumaczyć, na jaką intencję nie jedzą...

Ale i wielmożny pan coś markotnie wygląda? Taki już widać czas nastał, że wszyscy muszą zginąć – westchnął ubogi człowiek.

Wokulski zamyślił się.

– Komorne wasze zapłacone? – spytał.

– Nawet nie ma, panie, co płacić, bo nas i tak wypędzą.

– A dlaczego nie przyszedłeś do sklepu, do pana Rzeckiego? – spytał Wokulski.

– Nie śmiałem, panie. Koń odszedł, wóz u Żyda, kubrak na mnie jak na dziadzie... Z czymże było przyjść i jeszcze ludziom głowę zaprzętać?...

Wokulski wydobył portmonetkę.

– Masz tu – rzekł – dziesięć rubli na święta. Jutro w południe przyjdiesz do sklepu i dostaniesz kartkę na Pragę. Tam u handlarza wybierzesz sobie konia, a po świętach przyjeżdżaj do roboty. U mnie zarobisz ze trzy ruble na dzień, więc dług spłacisz łatwo. Zresztą dasz sobie radę.

Ubogi człowiek dotknąwszy pieniędzy zaczął się trząść.

Uważnie słuchał Wokulskiego, a łzy spływały mu po wychudzonej twarzy.

– Czy panu powiedział kto – zapytał po chwili – że z nami jest... ot tak?... Bo już nam ktoś – dodał szeptem – przysyłał siostrę miłosierdzia, będzie z miesiąc. Mówiła, że muszę być

ładaco, i dała nam kartkę na pud²⁰⁸ węgla z Żelaznej²⁰⁹ ulicy. Czy może pan tak sam z siebie?...

– Idź do domu, a jutro bądź w sklepie – odparł Wokulski.

– Idę, panie – odpowiedział człowiek kłaniając się do ziemi.

Odszedł, lecz przystawał na drodze; widocznie rozmyślał nad niespodziewanym szczęściem.

W tej chwili Wokulskiego tknęło szczególne przeczucie.

– Wysocki!... – zawołał. – A twemu bratu jak na imię?

– Kasper – odpowiedział człowiek wracając pędem.

– Przy jakiej mieszka stacji?

– Przy Częstochowie, panie.

– Idź do domu. Może Kaspra przeniosą do Skierniewic.

Ale ten zamiast iść, zbliżył się.

– Przepraszam, wielmożny panie – rzekł nieśmiało – ale jak mnie kto zaczepi: skąd mam tyle pieniędzy?...

– Powiedz, że na rachunek wzięłeś ode mnie.

– Rozumiem, panie... Bóg... niech Bóg...

Ale Wokulski już nie słuchał; szedł w stronę Wisły myśląc:

„Jakże oni szczęśliwi, ci wszyscy, w których tylko głód wywołuje apatię, a jedynym cierpieniem jest zimno. I jak łatwo ich uszczęśliwić!... Nawet moim skromnym majątkiem mógłbym wydzwignąć parę tysięcy rodzin. Nieprawdopodobne, a przecież – tak jest.”

²⁰⁸ pud – rosyjska jednostka wagi, ok. 16 kg. [przypis redakcyjny]

²⁰⁹ ulica Żelazna – w zachodniej części Warszawy (w czasie wojny poważnie zniszczona). [przypis redakcyjny]

Wokulski doszedł do brzegu Wisły i zdumiał się. Na kilkumorgowej²¹⁰ przestrzeni wznosił się tu pagórek najobrzydliwszych śmieci, cuchnących, nieomal ruszających się pod słońcem, a o kilkadziesiąt kroków dalej leżały zbiorniki wody, którą piła Warszawa.

„O, tutaj – myślał – jest ognisko wszelkiej zarazy. Co człowiek dziś wyrzuci ze swego mieszkania, jutro wypije; później przenosi się na Powązki²¹¹ i z drugiej znowu strony miasta razi bliźnich pozostałych przy życiu.

Bulwar tutaj, kanały i woda źródłana na górze i – można by ocalić rokrocznie kilka tysięcy ludzi od śmierci, a kilkadziesiąt tysięcy od chorób... Niewielka praca, a zysk nieobliczony; natura umie wynagradzać.”

Na stoku i w szczelinach obmierzłego wzgórza spostrzegł niby postacie ludzkie. Było tu kilku drzemających na słońcu pijaków czy złodziei, dwie śmieciarki i jedna kochająca się para, złożona z trędowatej kobiety i suchotniczego mężczyzny, który nie miał nosa. Zdawało się, że to nie ludzie, ale widma ukrytych tutaj chorób, które odziały się w wykopane w tym miejscu szmaty. Wszystkie te indywidua zwierzyły obcego człowieka; nawet śpiący podnieśli głowy i z wyrazem zdziżenia psów

²¹⁰ *kilkumorgowa* – od: morga, miara powierzchni ziemi, wynosząca 0,56 ha. [przypis edytorski]

²¹¹ Powązki – w północno-zachodniej części Warszawy; dzielnica cmentarzy (największy i najstarszy z nich – cmentarz katolicki, założony w 1791). W latach 1877–1881 śmiertelność wynosiła w Warszawie 36,8%; a po wybudowaniu wodociągów i kanalizacji spadła do 19,5%. [przypis redakcyjny]

przypatrywali się gościowi.

Wokulski uśmiechnął się.

„Gdybym tu przyszedł w nocy, na pewno wyleczyliby mnie z melancholii. Jutro już spoczywałbym pod tymi śmieciami, które – wreszcie – są tak wygodnym grobem jak każdy inny. Na górze zrobiłby się wrzask, ścigano by i wyklinano tych pocziwców, a oni – może wyświadczyliby mi łaskę.

O, bo nie znają, w snach mogilnych
Drzemiący, ciężkich trosk żywota,
I duch się ich już nie szamota
W pragnieniach – tęsknych a bezsilnych..

Ależ ja zaczynam być naprawdę sentymentalny?... muszę mieć nerwy dobrze rozbite. Bulwar jednak nie wytępiłby takich oto Mohikanów²¹²; przenieśliby się na Pragę albo za Pragę, uprawialiby w dalszym ciągu swoje rzemiosło, kochaliby się jak ta dwójeczka, ba, nawet mnożyliby się. Co za piękne, ojczyzno, będziesz miała potomstwo, urodzone i wychowane na tym śmietniku, z matki okrytej wysypką i beznosego ojca!...

Moje dzieci byłyby inne; po niej wzięłyby piękność, po mnie siłę... No, ale ich nie będzie. W tym kraju tylko choroba, nędza i zbrodnia znajdują weselne łożnice, nawet przytułki dla potomstwa.

Strach, co tu się stanie za kilka generacji... A przecie jest

²¹² *Mohikanie* – wymarłe plemię Indian w Ameryce Północnej. [przypis redakcyjny]

proste lekarstwo: praca obowiązkowa – słuszenie wynagradzana. Ona jedna może wzmocnić lepsze indywidua, a bez krzyku wytepić złe i... mielibyśmy ludność dzielną, jak dziś mamy zagłodzoną lub chorą.”

A potem, nie wiadomo z jakiej racji, pomyślał:

„Cóż z tego, że trochę kokietuje?... Kokieteria u kobiet jest jak barwa i zapach u kwiatów. Taka już ich natura, że każdemu chcą się podobać, nawet Mraczewskim...”

Dla wszystkich kokieteria, a dla mnie: »zapłać temu panu!...«
Może ona myśli, że ja oszukałem ich na kupnie srebra?... To byłoby kapitalne!”

Nad samym brzegiem Wisły leżał stos belek. Wokulski uczuł znużenie, siadł i patrzył. W spokojnej powierzchni wody odbijała się Saska Kępa²¹³, już zieleniejąca, i praskie domy z czerwonymi dachami; na środku rzeki stała nieruchoma berlinka²¹⁴. Nie większym wydawał się ten okręt, który zeszłego lata widział Wokulski na Morzu Czarnym, unieruchomiony z powodu zepsucia się machin.

„Leciał jak ptak i nagle utknął; zabrakło w nim motoru.

²¹³ Saska Kępa – nazwą tą oznaczano wówczas naturalną wyspę na Wiśle, obejmującą wtedy część dzisiejszej Pragi i Grochowa; północna jej część znajdowała się naprzeciw Powiśla. Saska Kępa została później podzielona, najpierw na dwie części (przy budowie Mostu Poniatowskiego w latach 1904–1913), a następnie na trzy – po usypaniu Alei Waszyngtona w 1935 r. Dziś nazwą tą określa się dzielnicę nadwiślańską leżącą na południe od Mostu Poniatowskiego. [przypis redakcyjny]

²¹⁴ *berlinka* – duża łódź żaglowa z pomostem przykrywającym przewożony ładunek. [przypis redakcyjny]

Spytałem się wówczas: a może i ja kiedyś stanę w biegu? – no, i stanąłem. Jakież to pospolite sprężyny wywołują ruch w świecie: trochę węgla ożywia okręt, trochę serca – człowieka...”

W tej chwili żółtawy, za wczesny motyl przeleciał mu nad głową w stronę miasta.

„Ciekawym, skąd on się wziął? – myślał Wokulski. – Natura miewa kaprysy i – analogie – dodał. – Motyle istnieją także w rodzaju ludzkim: piękna barwa, latanie nad powierzchnią życia, karmienie się słodyczami, bez których giną – oto ich zajęcie. A ty, robaku, nurtuj ziemię i przerabiaj ją na grunt zdolny do siewu. Oni bawią się, ty pracuj; dla nich istnieje wolna przestrzeń i światło, a ty ciesz się jednym tylko przywilejem: zrastania się, jeżeli cię rozdepcze ktoś nieuważny.

I tobież to wzdychać do motyla, głupi?... I dziwić się, że ma wstręt do ciebie?... Jakież łącznik może istnieć między mną i nią?
...

No, gąsienica jest także podobna do robaka, póki nie zostanie motylem. Ach więc to ty masz zostać motylem, kupcze galanteryjny? Dlaczegoż by nie? Ciągłe doskonalenie się jest prawem świata, a ileż to kupieckich rodów w Anglii zostało lordowskimi mościami?

W Anglii!... Tam jeszcze istnieje epoka twórcza w społeczeństwie; tam wszystko doskonalili się i wstępuje na wyższe szczeble. Owszem, tam nawet ci wyżsi przyciągają do siebie nowe siły. Lecz u nas wyższa warstwa zakrzepła jak woda

na mrozie i nie tylko wytworzyła osobny gatunek, który nie łączy się z resztą, ma do niej wstręt fizyczny, ale jeszcze własną martwością krępuje wszelki ruch z dołu. Co się tu łudzić: ona i ja to dwa różne gatunki istot, naprawdę jak motyl i robak. Mam dla jej skrzydeł opuszczać swoją norę i innych robaków?... To są moi – ci, którzy leżą tam na śmietniku, i może dlatego są nędzni, a będą jeszcze nędzniejsi, że ja chcę wydawać po trzydzieści tysięcy rubli rocznie na zabawę w motyla. Głupi handlarzu, podły człowieku!...

Trzydzieści tysięcy rubli znaczą tyle, co sześćdziesiąt drobnych warsztatów albo sklepików, z których żyją całe rodziny. I to ja mam byt ich zniszczyć, wyssać z nich ludzkie dusze i wypędzić na ten śmietnik?...

No dobrze, ale gdyby nie ona, czy miałbym dziś majątek?... Kto wie, co się stanie ze mną i z tymi pieniędzmi bez niej? Może właśnie dopiero przy niej nabiorą one twórczych własności; może choć kilkanaście rodzin z nich skorzysta?..."

Wokulski odwrócił się i nagle zobaczył na ziemi swój własny cień. Potem przypomniał sobie, że ten cień chodzi przed nim, za nim albo obok niego zawsze i wszędzie, jak myśl o tamtej kobiecie chodziła za nim wszędzie i zawsze, na jawie i we śnie, mieszając się do wszystkich jego celów, planów i czynów.

„Nie mogę wyrzec się jej” – szepnął rozkładając ręce, jakby tłumaczył się komuś.

Wstał z belek i wrócił do miasta.

Idąc przez ulicę Obożną²¹⁵, przypomniał sobie furmana Wysockiego, któremu koń padł, i zdawało mu się, że widzi cały szereg wozów, przed którymi leżą padłe konie, cały szereg rozpaczających nad nimi furmanów, a przy każdym gromadę mizernych dzieci i żonę, która pierze bieliznę takim, co płacić nie mogą.

„Koń?...” – szepnął Wokulski i czegoś serce mu się ścisnęło.

Raz w marcu przechodząc Aleją Jerozolimską zobaczył tłum ludzi, czarny wóz węglarski stojący w poprzek drogi pod bramą, a o parę kroków dalej wyprężonego konia.

– Co się to stało?

– Koń złamał nogę – odparł wesoło jeden z przechodniów, który miał fiołkowy szalik na szyi i trzymał ręce w kieszeniach.

Wokulski mimochodem spojrzał na delikwenta. Chudy koń z wytartymi bokami stał przywiązany do młodego drzewka unosząc w górę tylną nogę. Stał cicho, patrzył wywróconym okiem na Wokulskiego i gryzł z bólu gałązkę okrytą szronem.

„Dlaczego dziś dopiero przypomniał mi się ten koń? – myślał Wokulski – dlaczego ogarnia mnie taki żal?”

Szedł Obożną pod górę, rozmarzony, i czuł, że w ciągu kilku godzin, które spędził w nadrzecznej dzielnicy, zaszła w nim jakaś zmiana. Dawniej – dziesięć lat temu, rok temu, wczoraj jeszcze, przechodząc ulicami nie spotykał na nich nic szczególnego. Snuli się ludzie, jeździły dorożki, sklepy otwierały

²¹⁵ ulica Obożna – ulica w śródmieściu Warszawy, w czasie wojny zupełnie zniszczona, obecnie odbudowana. [przypis redakcyjny]

gościnne objęcia dla przechodniów. Ale teraz przybył mu jakby nowy zmysł. Każdy obdarty człowiek wydawał mu się istotą wołającą o ratunek tym głośniejsze, że nic nie mówił, tylko rzucał trwożne spojrzenia jak ów koń ze złamaną nogą. Każda uboga kobieta wydawała mu się praczką, która wyżartymi od mydła rękami powstrzymuje rodzinę nad brzegiem nędzy i upadku. Każde mizerne dziecko wydawało mu się skazanym na śmierć przedwczesną albo na spędzanie dni i nocy w śmietniku przy ulicy Dobrej.

I nie tylko obchodzili go ludzie. Czuł zmęczenie koni ciągnących ciężkie wozy i ból ich karków tartych do krwi przez chomąto. Czuł obawę psa, który szczekał na ulicy zgubiwszy pana, i rozpacz chudej suki z obwisłymi wymionami, która na próżno biegła od rynsztoka do rynsztoka szukając strawy dla siebie i szceniąt. Jeszcze, na domiar cierpień, bolały go drzewa obdarte z kory, bruki podobne do powybijanych zębów, wilgoć na ścianach, połamane sprzęty i podarta odzież.

Zdawało mu się, że każda taka rzecz jest chora albo zraniona, że skarży się: „Patrz, jak cierpię...”, i że tylko on słyszy i rozumie jej skargi. A ta szczególna zdolność odczuwania cudzego bólu urodziła się w nim dopiero dziś, przed godziną.

Rzecz dziwna! przecie miał już ustaloną opinię hojnego filantropa. Członkowie Towarzystwa Dobroczynności we frakach składali mu podziękowania za ofiarę dla wiecznie łaknącej instytucji; hrabina Karolowa we wszystkich salonach opowiadała o pieniądzach, które złożył na jej ochronę; jego

służba i subiekci sławili go za podwyższenie im pensji. Ale Wokulskiemu rzeczy te nie sprawiały żadnej przyjemności, tak jak on sam nie przywiązywał do nich żadnej wagi. Rzucał tysiące rubli do kas urzędowych dobroczyńców, ażeby kupić za to rozgłos nie pytając, co się zrobi z pieniędzmi.

I dopiero dziś, kiedy dziesięcioma rublami wydobył człowieka z niedoli, kiedy nikt nie mógł głosić przed światem o jego szlachetności, dopiero dziś poznał: co to jest ofiara. Dopiero dziś przed jego zdumionym okiem stała nowa, nie znana dotychczas część świata – nędza, której trzeba pomagać.

„Tak, alboż ja dawniej nie widywałem nędzy?...” – szepnął Wokulski.

I przypomniał sobie całe szeregi ludzi obdartych, mizernych, a szukających pracy, chudych koni, głodnych psów, drzew z obdartą korą i połamanymi gałęziami. Wszystko to przecie spotykał bez wrażenia. I dopiero gdy wielki ból osobisty zaorał mu i zbronował duszę, na tym gruncie użyźnionym krwią własną i skropionym niewidzialnymi dla świata łzami wyrosła osobliwa roślina: współczucie powszechne, ogarniające wszystko – ludzi, zwierzęta, nawet przedmioty, które nazywają martwymi.

„Doktór powiedziałby, że utworzyła mi się nowa komórka w mózgu albo że połączyło się kilka dawnych” – pomyślał.

„Tak, ale co dalej?...”

Dotychczas bowiem miał tylko jeden cel: zbliżyć się do panny Izabeli. Dziś przybył mu drugi: wydobyć z niedostatku Wysockiego.

„Mała rzecz!...”

„Przenieść jego brata pod Skierniewice...” – dodał jakiś głos.

„Drobnostka.”

Ale poza tymi dwoma ludźmi stanęło zaraz kilku innych, za nimi jeszcze kilku, potem olbrzymi tłum borykający się z wszelkiego rodzaju nędzą i wreszcie – cały ocean cierpień powszechnych, które wedle sił należało zmniejszać, a przynajmniej powściągnąć od dalszego rozlewu.

„Przywidzenia... abstrakcyjne... zdenerwowanie!” – szepnął Wokulski.

To była jedna droga. Na końcu bowiem drugiej widział cel realny i jasno określony – pannę Izabelę.

„Nie jestem Chrystusem, ażeby poświęcać się za całą ludzkość.”

„Więc na początek zapomnij o Wysockich” – odparł głos wewnętrzny.

„No, głupstwo! Jakkolwiek jestem dziś rozkołyszany, ależ nie mogę być śmieszny – myślał Wokulski. – Zrobię, co się da i komu można, lecz osobistego szczęścia nie wyrzeknę się, to darmo...”

W tej chwili stanął przed drzwiami swego sklepu i wszedł tam.

W sklepie zastał Wokulski tylko jedną osobę. Była to dama wysoka, w czarnych szatach, nieokreślonego wieku. Przed nią leżał stos neseserek: drewnianych, skórzanых, pluszowych i metalowych, prostych i ozdobnych, najdroższych i najtańszych, a – wszyscy subiekci byli na służbie. Klein podawał coraz nowe neseserki, Mraczewski chwalił towar, a Lisiecki akompaniował

mu ruchami ręki i brody. Tylko pan Ignacy wybiegł naprzeciw pryncypała.

– Z Paryża przyszedł transport – rzekł do Wokulskiego. – Myślę, że trzeba odebrać jutro.

– Jak chcesz.

– Z Moskwy obstalunki za dziesięć tysięcy rubli, na początek maja.

– Spodziewałem się.

– Z Radomia za dwieście rubli, ale furman upomina się na jutro.

Wokulski ruszył ramionami.

– Trzeba raz zerwać z tym kramarstwem – odezwał się po chwili. – Interes żaden, a wymagania ogromne.

– Zerwać z naszymi kupcami?... – spytał zdziwiony Rzecki.

– Zerwać z Żydami – wtrącił półgłosem Lisiecki. – Bardzo dobrze robi szef wycofując się z tych parszywych stosunków. Nieraz aż wstyd wydawać reszty, tak pieniądze zalatują cebulą.

Wokulski nic nie odpowiedział. Usiadł do swej księgi i udawał, że rachuje, ale naprawdę nie robił nic, nie miał siły. Przypomniał sobie tylko swoje niedawne marzenia o uszczęśliwieniu ludzkości i osądził, że musi być mocno zdenerwowany.

„Rozigrał się we mnie sentymentalizm i fantazja – myślał. – Zły to znak. Mogę ośmieszyć się, zrujnować...”

I machinalnie przypatrywał się niezwyklej fizjognomii damy, która wybierała neseserki. Była ubrana skromnie, miała gładko

uczesane włosy. Na jej twarzy białej i razem żółtej malował się głęboki smutek; spoza ust przyciętych wyglądała złość, a ze spuszczonej oczu błyskał czasami gniew, niekiedy pokora.

Mówiła głosem cichym i łagodnym, a targowała się jak stu skapców. To było za drogie, tamto za tanie; tu plusz stracił barwę, tam zaraz odlezie skórka, a ówdzie ukazuje się rdza na okuciach. Lisiecki już cofnął się od niej rozniewany, Klejn odpoczywał, a tylko Mraczewski rozmawiał z nią jak z osobą znajomą.

W tej chwili otworzyły się drzwi sklepu i ukazał się w nich – jeszcze oryginalniejszy jegomość. Lisiecki powiedział o nim, że jest podobny do suchotnika, któremu w trumnie zaczęły odrastać wąsy i faworyty. Wokulski zauważył, że gość ma gapiowato otwarte usta, a za ciemnymi binoklami nosi duże oczy, z których przeglądało jeszcze większe roztargnienie.

Gość wszedł kończąc rozmowę z kimś na ulicy, lecz wnet cofnął się, aby swego towarzysza pożegnać. Potem znowu wszedł i znowu cofnął się zadzierając do góry głowę, jakby czytał szyld. Nareszcie wszedł na dobre, ale drzwi za sobą nie zamknął. Wypadkowo spojrzął na damę i – spadły mu z nosa ciemne binokle.

– A... a... a!... – zawołał.

Ale dama gwałtownie odwróciła się od niego do neseserek i upadła na krzesło.

Do przybysza wybiegł Mraczewski i uśmiechając się dwuznacznie, zapytał:

– Pan baron rozkaże?...

– Spinki, uważa pan, spinki zwyczajne, złote albo stalowe... Tylko, rozumie pan, muszą być w kształcie czapki dżokejskiej i – z biczem...

Mraczewski otworzył gablotkę ze spinkami.

– Wody... – odezwała się dama słabym głosem.

Rzecki nalał jej wody z karafki i podał z oznakami współczucia.

– Pani dobrodziejce słabo?... Może by doktora...

– Już mi lepiej – odparła.

Baron oglądał spinki, ostentacyjnie odwracając się tyłem do damy.

– A może, czy nie sądzi pan, byłyby lepsze spinki w formie podków? – pytał Mraczewskiego.

– Myślę, że panu baronowi potrzebne są i te, i te. Sportsmeni noszą tylko oznaki sportsmeńskie, ale lubią odmianę.

– Powiedz mi pan – odezwała się nagle dama do Klejna – na co podkowy ludziom, którzy nie mają za co utrzymywać koni?...

– Otóż, proszę pana – mówił baron – wybrać mi jeszcze parę drobiazgów w formie podkowy...

– Może by popielniczkę? – zapytał Mraczewski.

– Dobrze, popielniczkę – odparł baron.

– Może gustowny kałamarz z siodłem, dżokejką, szpicrutą²¹⁶?

– Proszę o gustowny kałamarz z siodłem i dżokejką...

– Powiedz mi pan – mówiła dama do Klejna podniesionym

²¹⁶ *szpicruta* – giętki pręt, zazwyczaj obciągnięty skórą, używany przy jeździe konnej. [przypis redakcyjny]

głosem – czy wam nie wstyd zwozić tak kosztowne drobiazgi, kiedy kraj jest zrujnowany?... Czy nie wstyd kupować konie wyścigowe...

– Drogi panie – zawołał nie mniej głośno baron do Mraczewskiego – zapakuj wszystkie te garnitury, popielniczkę, kałamarz i odeszlij²¹⁷ mi do domu. Macie prześliczny wybór towarów... Serdecznie dziękuję... *Adieu!*...

I wybiegł ze sklepu wracając się parę razy i spoglądając na szyld nad drzwiami.

Po odejściu oryginalnego barona w sklepie zapanowało milczenie. Rzecki patrzył na drzwi, Klejn na Rzeckiego, a Lisiecki na Mraczewskiego, który znajdując się z tyłu damy krzywił się w sposób bardzo dwuznaczny.

Dama z wolna podniosła się z krzesła i zbliżyła się do kantorka, za którym siedział Wokulski.

– Czy mogę spytać – rzekła drżącym głosem – ile panu winien jest ten pan, który dopiero co wyszedł?...

– Rachunki tego pana ze mną, szanowna pani, gdyby je miał, należą tylko do niego i do mnie – odpowiedział Wokulski kłaniając się.

– Panie – ciągnęła dalej rozdrażniona dama – jestem Krzeszowska, a ten pan jest moim mężem. Długi jego obchodzą mnie, ponieważ on zagarnął mój majątek, o który w tej chwili toczy się między nami proces...

– Daruje pani – przerwał Wokulski – ale stosunki między

²¹⁷ *odeszlij* – dziś: *odeślij*. [przypis edytorski]

małżonkami do mnie nie należą.

– Ach, więc tak?... Zapewne, że dla kupca jest to najwygodniej. *Adieu*.

I opuściła sklep trzaskając drzwiami.

W kilka minut po jej odejściu wbiegł do sklepu baron. Parę razy wyrżał na ulicę, a następnie zbliżył się do Wokulskiego.

– Najmocniej przepraszam – rzekł usiłując utrzymać binokle na nosie – ale jako stały gość pański, ośmielę się w zaufaniu zapytać: co mówiła dama, która wyszła przed chwilą?... Bardzo przepraszam za moją śmiałość, ale w zaufaniu...

– Nic nie mówiła, co by kwalifikowało się do powtórzenia – odparł Wokulski.

– Bo uważa pan, jest to, niestety! moja żona... Pan wie, kto jestem... Baron Krzeszowski... Bardzo zacna kobieta, bardzo światła, ale skutkiem śmierci naszej córki trochę zdenerwowana i niekiedy... Pojmuje pan?... Więc nic?...

– Nic.

Baron uklonił się i już we drzwiach skrzyżował spojrzenia z Mraczewskim, który mrugnął na niego.

– Więc tak?... – rzekł baron, ostro patrząc na Wokulskiego.

I wybiegł na ulicę. Mraczewski skamieniał i oblał się rumieńcem powyżej włosów. Wokulski trochę pobladł, lecz spokojnie usiadł do rachunków.

– Cóż to za oryginalne diabły, panie Mraczewski? – spytał Lisiecki.

– A to cała historia! – odparł Mraczewski przypatrując się

spod oka Wokulskiemu. – Jest to baron Krzeszowski, wielki dziwak, i jego żona, trochę narwana. Nawet skuzynowani ze mną, ale cóż!... – westchnął spoglądając w lustro. – Ja nie mam pieniędzy, więc muszę być w handlu; oni jeszcze mają, więc są moimi kundmanami...

– Mają bez pracy!... – wtrącił Klejn. – Ładny porządek świata, co?

– No, no... już mnie pan do swoich porządków nie nawracaj – odparł Mraczewski. – Otóż pan baron i pani baronowa od roku prowadzą ze sobą wojnę. On chce rozwodu, na co ona się nie zgadza; ona chce przepędzić go od zarządu swoim majątkiem, na co on się nie zgadza. Ona nie pozwala mu trzymać koni, szczególnie jednego wyścigowca; a on nie pozwala jej kupić kamienicy po Łęckich, w której pani Krzeszowska mieszka i gdzie straciła córkę. Oryginały!... Bawią ludzi wymyślając jedno na drugie...

Opowiadał lekkim tonem i kręcił się po sklepie z miną panicza, który przyszedł tu na chwilkę, ale zaraz wyjdzie. Wokulski mienił się siedząc na fotelu; już nie mógł znieść głosu Mraczewskiego.

„Kuzyn Krzeszowskich... – myślał. – Dostanie bilet miłosny od panny Izabeli... A, infamis!...”

I przemógłszy się wrócił do swej księgi. Do sklepu znowu poczęli wchodzić goście, wybierać towary, targować się, płacić. Ale Wokulski widział tylko ich cienie, pogrążony w pracy. A im dłuższe sumował kolumny, im większe wypadały mu sumy, tym

bardziej czuł, że w sercu kipi mu jakiś gniew bezimienny. O co? ... na kogo?... mniejsza. Dosyć, że ktoś za to zapłaci, pierwszy z brzegu.

Około siódmej sklep już stanowczo wyludnił się, subiekci rozmawiali, Wokulski wciąż rachował. Wtem znowu usłyszał nieznośny głos Mraczewskiego, który mówił aroganckim tonem:

– Co mi pan, panie Klejn, będzie zawracał głowę!... Wszyscy socjaliści są złodzieje, bo chcieliby dzielić się cudzym, i – szubrawcy, bo mają na dwu jedną parę butów i nie wierzą w chustki do nosa.

– Nie mówiłbyś pan tak – odparł smutnie Klejn – gdybyś przeczytał choć z parę broszurek, nawet niedużych.

– Błażeństwo... – przerwał Mraczewski włożywszy ręce w kieszenie. – Będę czytał broszury, które chcą zniszczyć rodzinę, wiarę i własność!... No, takich głupich nie znajdziesz pan w Warszawie.

Wokulski zamknął księgę i włożył ją do kantorka. W tej chwili znowu weszły do sklepu trzy panie żądając rękawiczek.

Targ z nimi przeciągnął się z kwadrans. Wokulski siedział na fotelu i patrzył w okno; gdy zaś damy wyszły, odezwał się tonem bardzo spokojnym:

– Panie Mraczewski.

– Co pan każe?... – spytał piękny młodzieniec biegnąc do kantorka krokiem kontredansowym²¹⁸.

²¹⁸ *krok kontredansowy* – kontredans: taniec zbiorowy z różnymi figurami. [przypis redakcyjny]

– Od jutra niech pan postara się o inne miejsce – rzekł krótko Wokulski.

Mraczewski osłupiał.

– Dlaczego, panie szefie?... Dlaczego?...

– Dlatego, że u mnie już pan nie ma miejsca.

– Jakiż powód?... Przecie chyba nic złego nie zrobiłem? Gdzież pójdę, jeżeli pan tak nagle pozbawi mnie posady?...

– Świadectwo dostanie pan dobre – odparł Wokulski. – Pan Rzecki wypłaci panu pensję za następny kwartał, wreszcie – za pięć miesięcy... A powód jest ten, że ja i pan nie pasujemy do siebie... Zupełnie nie pasujemy. – Mój Ignacy, zrób z panem Mraczewskim rachunek do pierwszego października.

To powiedziawszy Wokulski wstał z fotelu i wyszedł na ulicę.

Dymisja Mraczewskiego zrobiła takie wrażenie, że subiekci nie przemówili między sobą ani słowa, a pan Rzecki kazał zamknąć sklep, chociaż nie było jeszcze ósmej. Pobiegł zaraz do mieszkania Wokulskiego, lecz go tam nie zastał. Przyszedł drugi raz o jedynastej w nocy, lecz w oknach było ciemno, i pan Ignacy wrócił do siebie zgnębiony.

Na drugi dzień, w Wielki Czwartek, Mraczewski już nie pokazał się w sklepie. Pozostali koledzy jego byli smutni i czasem naradzali się między sobą po cichu.

Okolo pierwszej przyszedł Wokulski. Lecz nim usiadł do kantorka, otworzyły się drzwi i zwykłym wahającym się krokiem wbiegł pan Krzeszowski zadając sobie wiele trudu nad osadzeniem binokli na nosie.

– Panie Wokulski – zawołał roztargniony gość, prawie ode drzwi. – W tej chwili dowiaduję się... Jestem Krzeszowski... Dowiaduję się, że ten biedny Mraczewski z mojej winy otrzymał dymisję. Ależ, panie Wokulski, ja wczoraj bynajmniej nie miałem pretensji do pana... Ja szanuję dyskrecję, jaką okazał pan w sprawie mojej i mojej żony... Ja wiem, że pan jej odpowiedział, jak przystało na dżentelmena...

– Panie baronie – odparł Wokulski – ja nie prosiłem pana o świadectwo przyzwoitości. Poza obrębem tego – co pan każe? ...

– Przyszedłem prosić o przebaczenie biednemu Mraczewskiemu, który nawet...

– Do pana Mraczewskiego nie mam żadnej pretensji, nawet tej, ażeby do mnie wracał.

Baron przygryzł wargi. Chwilę milczał, jakby odurzony szorstką odmową; na koniec uklonił się i cicho powiedział: „Przepraszam...”, opuścił sklep.

Panowie Klejn i Lisiecki cofnęli się za szafy i po krótkiej naradzie wrócili do sklepu, od czasu do czasu rzucając na siebie smutne, lecz wymowne spojrzenia.

Okolo trzeciej po południu ukazała się pani Krzeszowska. Zdawało się, że jest bledsza, żółciejsza i jeszcze czarniej ubrana niż wczoraj. Lękliwie obejrzała się po sklepie, a spostrzegłszy Wokulskiego zbliżyła się do kantorka.

– Panie – rzekła cicho – dziś dowiedziałam się, że pewien młody człowiek, Mraczewski, z mojej winy stracił u pana

miejsce. Jego nieszczęśliwa matka...

– Pan Mraczewski już nie jest u mnie i nie będzie – odparł Wokulski z ukłonem. – Czym więc mogę pani służyć?...

Pani Krzeszowska miała widocznie ułożoną dłuższą mowę. Na nieszczęście, spojrzała Wokulskiemu w oczy i... z wyrazem. „Przepraszam...”, wyszła ze sklepu.

Panowie Klejn i Lisiecki – mrugnęli na siebie wymowniej niż dotychczas, lecz poprzestali na jednomyślnym wzruszeniu ramionami.

Dopiero około piątej po południu zbliżył się do Wokulskiego Rzecki. Oparł ręce na kantorku i rzekł półgłosem:

– Matka tego Mraczewskiego, Staśku, jest bardzo biedna kobieta...

– Zapłać mu pensję do końca roku – odparł Wokulski.

– Myślę... Stasiu, myślę, że nie można aż tak karać człowieka za to, że ma inne niż my przekonania polityczne...

– Polityczne?... – powtórzył Wokulski takim tonem, że panu Ignacemu przeszedł mróz po kościach...

– Zresztą, powiem ci – ciągnął dalej pan Ignacy – szkoda takiego subiekta. Chłopak piękny, kobiety go pasjami lubią...

– Piękny? – odparł Wokulski. – Więc niech pójdzie na utrzymanie, jeżeli taki piękny.

Pan Ignacy cofnął się. Panowie Lisiecki i Klejn już nawet nie spoglądali na siebie.

W godzinę później przyszedł do sklepu niejaki pan Zięba, którego Wokulski przedstawił jako nowego subiekta.

Pan Zięba miał około lat trzydziestu; był może tak przystojny jak Mraczewski, ale wyglądał nierównie poważniej i taktowniej. Nim sklep zamknięto, już zaznajomił się, a nawet zdobył przyjaźń swoich kolegów. Pan Rzecki odkrył w nim zagorzałego bonapartystę; pan Lisiecki wyznał, że on sam obok Zięby jest bardzo bladym antysemitą, a pan Klejn doszedł do wniosku, że Zięba musi być co najmniej biskupem socjalizmu.

Słowem, wszyscy byli kontenci, a pan Zięba spokojny.

IX. Kładki, na których spotykają się ludzie różnych światów

W Wielki Piątek z rana Wokulski przypomniał sobie, że dziś i jutro hrabina Karolowa i panna Izabela będą kwestowały przy grobach.

„Trzeba tam pójść i coś dać – pomyślał i wyjął z kasy pięć złotych półimperiałów²¹⁹. – Chociaż – dodał po chwili – posłałem im już dywany, ptaszki śpiewające, pozytywkę, nawet fontannę!... To chyba wystarczy na zbawienie jednej duszy. Nie pójdę.”

Po południu jednak zrobił sobie uwagę, że może hrabina Karolowa liczy na niego. A w takim razie nie wypada cofać się lub złożyć tylko pięć półimperiałów. Wydobył więc z kasy jeszcze pięć i wszystkie zawinął w bibułkę.

„Co prawda – mówił do siebie – będzie tam panna Izabela, a tej nie można ofiarować dziesięciu półimperiałów.”

Więc rozwinął swój rulon, znowu dołożył dziesięć sztuk złota i jeszcze raz namyślał się: „Iść czy nie iść?...”

„Nie – powiedział – nie będę należał do tej jarmarcznej dobroczynności.”

Rzucił rulon do kasy i w piątek nie poszedł na groby.

²¹⁹ *półimperiał* – dawna moneta rosyjska wartości 5 rubli srebrnych. [przypis redakcyjny]

Ale w Wielką Sobotę sprawa przedstawiła mu się całkiem z nowego punktu.

„Oszalałem! – mówił. – Więc jeżeli nie pójde do kościoła, gdzie ją spotkam?... Jeżeli nie pieniędzmi, czym zwrócę na siebie jej uwagę?... Tracę rozsądek...”

Lecz jeszcze wahał się i dopiero około drugiej po południu, gdy Rzecki z powodu święta kazał już sklep zamykać, Wokulski wziął z kasy dwadzieścia pięć półimperiałów i poszedł w stronę kościoła²²⁰.

Nie wszedł tam jednak od razu; coś go zatrzymywało. Chciał zobaczyć pannę Izabelę, a jednocześnie lękał się tego i wstydził się swoich półimperiałów.

„Rzucić stos złota!... Jakie to imponujące w papierowych czasach²²¹ i – jakie to dorobkiewiczowskie... No, ale co robić, jeżeli one właśnie na pieniądze czekają?... Może nawet będzie za mało?...”

Chodził tam i na powrót po ulicy naprzeciw kościoła nie mogąc od niego oczu oderwać.

„Już idę – myślał. – Zaraz... jeszcze chwilkę... Ach, co się ze mną stało!...” – dodał czując, że jego rozdarta dusza nawet na

²²⁰ *poszedł w stronę kościoła* – mowa o kościele św. Józefa (Karmelitów) na Krakowskim Przedmieściu. Wśród wielu cennych rzeźb kościelnych znajduje się tam m.in. Chrystus w grobie dłuta Oskara Sosnowskiego (1810–1886). Kościół Karmelitów ocalał w całości, a wewnątrz jego zgodne jest nadal z opisem Prusa. [przypis redakcyjny]

²²¹ *papierowe czasy* – okres dewaluacji pieniędzy papierowych, drukowanych w nadmiarze przez rząd rosyjski w czasie wojny z Turcją. [przypis redakcyjny]

tak prosty czyn nie może zdobyć się bez wahań.

Teraz przypomniał sobie: jak on dawno nie był w kościele.

„Kiedyż to?... Na ślubie raz... Na pogrzebie żony drugi raz...”

Lecz i w tym, i w tamtym wypadku nie wiedział dobrze, co się koło niego dzieje; więc patrzył w tej chwili na kościół jak na rzecz zupełnie nową dla siebie.

„Co to jest za ogromny gmach, który zamiast kominów ma wieże, w którym nikt nie mieszka, tylko śpią prochy dawno zmarłych?... Na co ta strata miejsca i murów, komu dniem i nocą pali się światło, w jakim celu schodzą się tłumy ludzi?...”

Na targ idą po żywność, do sklepów po towary, do teatru po zabawę, ale po co tutaj?...”

Mimo woli porównywał drobny wzrost stojących pod kościołem pobożnych z olbrzymimi rozmiarami świętego budynku i przysłała mu myśl szczególna. Że jak kiedyś na ziemi pracowały potężne siły dźwigając z płaskiego ładu łańcuchy gór, tak kiedyś w ludzkości istniała inna niezmierna siła, która wydzwignęła tego rodzaju budowle. Patrząc na podobne gmachy można by sądzić, że w głębi naszej planety mieszkali olbrzymowie, którzy wydzierając się gdzieś w górę, podważali skorupę ziemską i zostawiali ślady tych ruchów w formie imponujących jaskiń.

„Dokąd oni wydzielali się? Do innego, podobno wyższego świata. A jeżeli morskie przypiły dowodzą, że księżyc nie jest złudnym blaskiem, tylko realną rzeczywistością, dlaczego te

dziwne budynki nie miałyby stwierdzać rzeczywistości innego świata?... Czyliż on słabiej pociąga za sobą dusze ludzkie aniżeli księżyc fale oceanu?...

Wszedł do kościoła i zaraz na wstępie znowu uderzył go nowy widok. Kilka żebraczek i żebraków błagało o jałmużnę, którą Bóg zwróci litościwym w życiu przyszłym. Jedni z pobożnych całowali nogi Chrystusa umęczonego przez państwo rzymskie, inni w progu upadłszy na kolana wznosili do góry ręce i oczy, jakby zapatrzeni w nadziemską wizję. Kościół pogrążony był w ciemności, której nie mógł rozproszyc blask kilkunastu świec płonących w srebrnych kandelabrach. Tu i ówdzie na posadzce świątyni widać było niewyraźne cienie ludzi leżących krzyżem albo zgiętych ku ziemi, jakby kryli się ze swoją pobożnością pełną pokory. Patrząc na te ciała nieruchome można było myśleć, że na chwilę opuściły je dusze i uciekły do jakiegoś lepszego świata.

„Rozumiem teraz – pomyślał Wokulski – dlaczego odwiedzanie kościołów umacnia wiarę. Tu wszystko urządzone jest tak, że przypomina wieczność.”

Od pogrążonych w modlitwie cieniów wzrok jego pobiegł ku światłu. I zobaczył w różnych punktach świątyni stoły okryte dywanami, na nich tace pełne bankocetli²²², srebra i złota, a dokoła nich damy siedzące na wygodnych fotelach, odziane w jedwab, pióra i aksamity, otoczone wesołą młodzieżą. Najpobożniejsze pukały na przechodniów, wszystkie rozmawiały

²²² *bankocetle* – banknoty. [przypis redakcyjny]

i bawiły się jak na raucie.

Zdawało się Wokulskiemu, że w tej chwili widzi przed sobą trzy światy. Jeden (dawno już zeszedł z ziemi), który modlił się i dźwigał na chwałę Boga potężne gmachy. Drugi, ubogi i pokorny, który umiał modlić się, lecz wznosił tylko lepianki, i – trzeci, który dla siebie murował pałace, ale już zapomniał o modlitwie i z domów bożych zrobił miejsce schadzek; jak niefrasobliwe ptaki, które budują gniazda i zawodzą pieśni na grobach poległych bohaterów.

„A czymże ja jestem, zarówno obcy im wszystkim?...”

„Może jesteś okiem żelaznego przetaka, w który rzucę ich wszystkich, aby oddzielić stęchłe plewy od ziarna” – odpowiedział mu jakiś głos.

Wokulski obejrzał się. „Przywidzenie chorej wyobraźni.” Jednocześnie przy czwartym stole, w głębi kościoła, spostrzegł hrabinę Karolową i pannę Izabelę. Obie również siedziały nad tacą z pieniędzmi i trzymały w rękach książki, zapewne do nabożeństwa. Za krzesłem hrabiny stał służący w czarnej liberii.

Wokulski poszedł ku nim potrącając klęczących i omijając inne stoły, przy których pukano na niego zawzięcie. Zbliżył się do tacy i ukłoniwszy się hrabinie, położył swój rulon imperiałów²²³.

„Boże – pomyślał – jak ja głupio muszę wyglądać z tymi pieniędzmi.”

²²³ *imperiał* – dawna złota moneta rosyjska wartości dziesięciu rubli srebrnych.
[przypis redakcyjny]

Hrabina odłożyła książkę.

– Witam cię, panie Wokulski – rzekła. – Wiesz, myślałam, że już nie przyjdiesz, i powiem ci, że nawet było mi trochę przykro.

– Mówiłam cioci, że przyjdzie, i do tego z workiem złota – odezwała się po angielsku panna Izabela.

Hrabinie wystąpił na czoło rumieniec i gęsty pot. Złękła się słów siostrzenicy przypuszczając, że Wokulski rozumie po angielsku.

– Proszę cię, panie Wokulski – rzekła prędko – siadź tu na chwilę, bo delegowany²²⁴ nas opuścił. Pozwolisz, że ułożę twoje imperiały na wierzchu, dla zawstydzenia tych panów, którzy wolą wydawać pieniądze na szampana...

– Ależ niech się ciocia uspokoi – wtrąciła panna Izabela znowu po angielsku. – On z pewnością nie rozumie...

Tym razem i Wokulski zarumienił się.

– Proszę cię, Belu – rzekła hrabina tonem uroczystym – pan Wokulski... który tak hojną ofiarę złożył na naszą ochronę...

– Słyszałam – odpowiedziała panna Izabela po polsku, na znak powitania przymykając powieki.

– Pani hrabina – rzekł trochę żartobliwie Wokulski – chce mnie pozbawić zasługi w życiu przyszłym, chwaląc postęпки, które zresztą mogłem spełniać w widokach zysku.

– Domyślałam się tego – szepnęła panna Izabela po angielsku.

²²⁴ *delegowany* – z Towarzystwa Dobroczynności do udziału w kweście. [przypis redakcyjny]

Hrabina o mało nie zemdląła czując, że Wokulski musi domyślać się znaczenia słów jej siostrzenicy, choćby nie znał żadnego języka.

– Możesz, panie Wokulski – rzekła z gorączkowym pośpiechem – możesz łatwo zdobyć sobie zasługę w życiu przyszłym, choćby... przebacząc urazy...

– Zawsze je przebaczam – odparł nieco zdziwiony.

– Pozwól sobie powiedzieć, że nie zawsze – ciągnęła hrabina. – Jestem stara kobieta i twoja przyjaciółka, panie Wokulski – dodała z naciskiem – więc zrobisz mi pewne ustępstwo...

– Czekam na rozkazy pani.

– Onegdaj dałeś dymisję jednemu z twoich... urzędników, niejakiemu Mraczewskiemu...

– Za cóż to?... – nagle odezwała się panna Izabela.

– Nie wiem – rzekła hrabina. – Podobno chodziło o różnicę przekonań politycznych czy coś w tym guście...

– Więc ten młody człowiek ma przekonania?... – zawołała panna Izabela. – To ciekawe!...

Powiedziała to w sposób tak zabawny, że Wokulski poczuł, jak ustępuje mu z serca niechęć do Mraczewskiego.

– Nie o przekonania chodziło, pani hrabino – odezwał się – ale o nietaktowne uwagi o osobach, które odwiedzają nasz magazyn.

– Może te osoby same postępują nietaktownie – wtrąciła panna Izabela.

– Im wolno, one za to płacą – odpowiedział spokojnie Wokulski. – Nam nie.

Silny rumieniec wystąpił na twarz panny Izabeli. Wzięła książkę i zaczęła czytać.

– Ale swoją drogą dasz się ubłagać, panie Wokulski – rzekła hrabina. – Znam matkę tego chłopca, i wierz mi, że przykro patrzeć na jej rozpacz...

Wokulski zamyślił się.

– Dobrze – odpowiedział – dam mu posadę, ale w Moskwie.

– A jego biedna matka?... – zapytała hrabina tonem proszącym.

– Więc podwyższę mu o dwieście... o trzysta rubli pensję – odparł.

W tej chwili zbliżyło się do stołu kilkoro dzieci, którym hrabina zaczęła rozdawać obrazki. Wokulski wstał z fotelu i aby nie przeszkadzać pobożnym zajęciom, przeszedł na stronę panny Izabeli.

Panna Izabela podniosła oczy od książki i dziwnym wzrokiem patrząc na Wokulskiego spytała:

– Pan nigdy nie cofa swoich postanowień?

– Nie – odpowiedział. Ale w tej chwili spuścił oczy.

– A gdybym poprosiła za tym młodym człowiekiem?...

Wokulski spojrzał na nią zdumiony.

– W takim razie odpowiedziałbym, że pan Mraczewski stracił miejsce, ponieważ niestosownie odzywał się o osobach, które zaszczyliły go trochę łaskawszym tonem w rozmowie... Jeżeli jednak pani każe...

Teraz panna Izabela spuściła oczy, zmieszana w wysokim

stopniu.

– A... a!... wszystko mi jedno w rezultacie, gdzie osiedli się ten młody człowiek. Niech jedzie i do Moskwy.

– Tam też pojedzie – odparł Wokulski. – Moje uszanowanie paniom – dodał kłaniając się.

Hrabina podała mu rękę.

– Dziękuję ci, panie Wokulski, za pamięć i prośbę, ażebyś przyszedł do mnie na święcone. Bardzo cię proszę, panie Wokulski – dodała z naciskiem.

Nagle spostrzegłszy jakiś ruch na środku kościoła zwróciła się do służącego:

– Idźże, mój Ksawery, do pani prezesowej i proś, ażeby nam pozwoliła swego powozu. Powiedz, że nam koń zachorował.

– Na kiedy jaśnie pani rozkaże? – spytał służący.

– Tak... za półtorej godziny. Prawda, Belu, że nie posiedzimy tu dłużej?

Służący podszedł do stołu przy drzwiach.

– Więc do jutra, panie Wokulski – rzekła hrabina. – Spotkasz u mnie wielu znajomych. Będzie kilku panów z Towarzystwa Dobroczynności...

„Aha!...” – pomyślał Wokulski żegnając hrabinę. Czuł dla niej w tej chwili taką wdzięczność, że na jej ochronę oddałby połowę majątku.

Panna Izabela z daleka kiwnęła mu głową i, znowu spojrzała w sposób, który wydał mu się bardzo niezwykłym. A gdy Wokulski zniknął w cieniach kościoła, rzekła do hrabiny:

– Cioteczka kokietuje tego pana. Ej! ciociu, to zaczyna być podejrzane...

– Twój ojciec ma słuszość – odparła hrabina – ten człowiek może być użyteczny. Zresztą za granicą podobne stosunki należą do dobrego tonu.

– A jeżeli te stosunki przewrócą mu w głowie?... – spytała panna Izabela.

– W takim razie dowiódłby, że ma słabą głowę – odpowiedziała krótko hrabina biorąc się do książki nabożnej.

Wokulski nie opuścił kościoła, ale w pobliżu drzwi skręcił w boczną nawę. Tuż przy grobie Chrystusa, naprzeciw stolika hrabiny, stał w kącie pusty konfesjonał. Wokulski wszedł do niego, przymknął drzwiczki i niewidzialny, przypatrywał się pannie Izabeli.

Trzymała w ręku książkę spoglądając od czasu do czasu na drzwi kościelne. Na twarzy jej malowało się zmęczenie i nuda. Czasami do stolika zbliżały się dzieci po obrazki; panna Izabela niektórym podawała je sama z takim ruchem, jakby chciała powiedzieć: ach, kiedyż się to skończy!...

„I to wszystko robi się nie przez pobożność ani przez miłość do dzieci, ale dla rozgłosu i w celu wyjścia za mąż – pomyślał Wokulski. – No i ja także – dodał – niemało robię dla reklamy i ożenienia się. Świat ładnie urządzone! Zamiast po prostu pytać się: kochasz mnie czy nie kochasz? albo: chcesz mnie czy nie chcesz? ja wyrzucam setki rubli, a ona kilka godzin nudzi się na wystawie i udaje pobożną.

A jeżeli odpowiedziałyby, że mnie nie kocha? Wszystkie te ceremonie mają dobrą stronę: dają czas i możliwość zaznajomienia się.

Źle to jednak nie umieć po angielsku... Dziś wiedziałbym, co o mnie myśli: bo jestem pewny, że o mnie mówiła do swej ciotki. Trzeba nauczyć się...

Albo weźmy takie głupstwo jak powóz?... Gdybym miał powóz, mógłbym ją teraz odesłać do domu z ciotką, i znowu związałyby się między nami jeden węzeł... Tak, powóz przyda mi się w każdym razie. Przysporzy z tysiąc rubli wydatków na rok, ale cóż zrobić? Muszę być gotowym na wszystkich punktach.

Powóz... angielszczyzna... przeszło dwieście rubli na jedną kwotę!... I to robię ja, który tym pogardzam... Właściwie jednak – na cóż będę wydawał pieniądze, jeżeli nie na zapewnienie sobie szczęścia? Co mnie obchodzą jakieś teorie oszczędności, gdy czuję ból w sercu?..."

Dalszy bieg myśli przerwała mu smutna, brzęcząca melodia. Była to muzyka szkatułki grającej, po której nastąpił świegot sztucznych ptaków; a gdy one milkły, rozlegał się cichy szelest fontanny, szept modlitw i westchnienia pobożnych.

W nawie, u konfesjonału, u drzwi kaplicy grobowej widać było zgięte postacie klęczących. Niektórzy czołgali się do krucyfiks u podłogę i ucałowawszy go kładli na tacy drobne pieniądze wydobyte z chustki do nosa.

W głębi kaplicy, w powodzi światła, leżał biały Chrystus

otoczony kwiatami. Zdawało się Wokulskiemu, że pod wpływem migotliwych płomyków twarz jego ożywia się przybierając wyraz groźby albo litości i łaski. Kiedy pozytywka wygrywała *Łucję z Lamermooru*²²⁵ albo kiedy ze środka kościoła doleciał stukot pieniędzy i francuskie wykrzykniki, oblicze Chrystusa ciemniało. Ale kiedy do krucyfiksu zbliżył się jaki biedak i opowiadał Ukrzyżowanemu swoje strapienia, Chrystus otwierał martwe usta i w szmerze fontanny powtarzał błogosławieństwa i obietnice...

„Błogosławieni cisi... Błogosławieni smutni...”²²⁶

Do tacy podeszła młoda, uróżowana dziewczyna. Położyła srebrną czterdziestówkę²²⁷, ale nie śmiała dotknąć krzyża. Klęczący obok z niechęcią patrzyli na jej aksamitny kaftanik i jaskrawy kapelusz. Ale gdy Chrystus szepnął: „Kto z was jest bez grzechu, niech rzuci na nią kamieniem”²²⁸, padła na posadzkę i ucałowała jego nogi jak niegdyś Maria Magdalena²²⁹.

„Błogosławieni, którzy łakną sprawiedliwości...”

²²⁵ „*Łucja z Lamermooru*” (1835) – opera Donizettiego (1797–1848). [przypis redakcyjny]

²²⁶ *Błogosławieni cisi... Błogosławieni smutni...* – słowa Chrystusa z *Ośmiu błogosławieństw* (Mt 5:4-5). [przypis redakcyjny]

²²⁷ *czterdziestówka* – moneta 20–kopiejkowa (40 groszy). [przypis redakcyjny]

²²⁸ *Kto z was jest bez grzechu...* – słowa Chrystusa do faryzeuszów oskarżających jawno grzesznicę (J 7:7). [przypis redakcyjny]

²²⁹ Maria Magdalena – postać pokutującej grzeszniczki z Ewangelii. [przypis redakcyjny]

Błogosławieni, którzy płaczą...”²³⁰

Z głębokim wzruszeniem przypatrywał się Wokulski pogrążonemu w kościelnym mroku tłumowi, który z tak cierpliwą wiarą od osiemnastu wieków oczekuje spełnienia się boskich obietnic.

„Kiedyż to będzie!...” – pomyślał.

„Pośle Syn Człowieczy anioły swoje, a oni zbiorą wszystkie zgorszenia i tych, którzy nieprawość czynią, jako zbiera się kłóś i pali się go ogniem.”²³¹

Machinalnie spojrział na środek kościoła. Przy bliższym stoliku hrabina drzemała, a panna Izabela ziewała, przy dalszym trzy nie znane mu damy zaśmiewały się z opowiadań jakiegoś wykwintnego młodzieńca.

„Inny świat... inny świat!... – myślał Wokulski. – Co za fatalność popycha mnie w tamtą stronę?”

W tej chwili tuż obok konfesjonału stanęła, a potem uklękła osoba młoda, ubrana bardzo starannie, z małą dziewczynką.

Wokulski przypatrzył się jej i dostrzegł, że jest niezwykle piękna. Uderzył go nade wszystko wyraz jej twarzy, jakby do tego grobu przyszła nie z modlitwą, ale z zapytaniem i skargą.

Przeżegnała się, lecz zobaczywszy tacę wydobyła woreczek z pieniędzmi.

²³⁰ *Błogosławieni, którzy łakną sprawiedliwości... Błogosławieni, którzy płaczą...* – słowa Chrystusa z *Ośmiu błogosławieństw* (Mt 5:4-6). [przypis redakcyjny]

²³¹ *Pośle Syn Człowieczy anioły swoje...* – parafraza dwóch wersetów Ewangelii św. Mateusza, XIII, 40–41. [przypis redakcyjny]

– Idź, Helusiu – rzekła półgłosem do dziecka – połóż to na tacy i pocałuj Pana Jezusa.

– Gdzie, proszę mamy, pocałować?

– W rączkę i w nóżkę...

– I w buzię?

– W buzię nie można.

– Ech, co tam!... – Pobiegła do tacy i pochyliła się nad krzyżem.

– A widzi mama – zawołała powracając – pocałowałam i Pan Jezus nic nie powiedział.

– Niech Helusia będzie grzeczna – odparła matka. – Lepiej uklęknij i zmów paciorek.

– Jaki paciorek?

– Trzy Ojcze nasz, trzy Zdrowaś...

– Taki duży paciorek?... a ja taka malutka...

– No, to zmów jedno Zdrowaś... Tylko uklęknij... Patrz się tam...

– Już patrzę. Zdrowaś Maria, łaski pełna... Czy to, proszę mamy, ptaszki śpiewają?

– Ptaszki sztuczne. Mów paciorek.

– Jakie to sztuczne?

– Zmów pierwszej paciorek.

– Kiedy nie pamiętam, gdzie skończyłam...

– Więc mów za mną: Zdrowaś Maria...

– Śmierci naszej. Amen – dokończyła dziewczynka. – A z czego robią się sztuczne ptaszki?

– Heluniu, bądź cicho, bo nigdy cię nie pocałuję – szepnęła strapiona matka. – Masz tu książkę i oglądaj obrazki, jak Pan Jezus był męczony.

Dziewczynka usiadła z książką na stopniach konfesjonału i ucichła.

„Co to za miła dziecina! – myślał Wokulski. – Gdyby była moją, zdaje się, że odzyskałbym równowagę umysłu, którą dziś tracę z dnia na dzień. I matka prześliczna kobieta. Jakie włosy, profil, oczy... Prosi Boga, ażeby zmartwychwstało ich szczęście... Piękna i nieszczęśliwa; musi być wdową.

Ot, gdybym ją był spotkał rok temu.

I jesteście tu ład na świecie?... O krok od siebie staje dwoje ludzi nieszczęśliwych; jedno szuka miłości i rodziny, drugie może walczy z biedą i brakiem opieki. Każde znalazłoby w drugim to, czego potrzebuje, no – i nie zejdą się... Jedno przychodzi błagać Boga o miłosierdzie, drugie wyrzuca pieniądze dla stosunków. Kto wie, czy paręset rubli nie byłoby dla tej kobiety szczęściem? Ale ona ich nie dostanie; Bóg w tych czasach nie słucha modlitwy uciśnionych.

A gdyby jednak dowiedzieć się, kto ona jest?... Może bym potrafił jej pomóc. Dlaczego wzniosłe obietnice Chrystusa nie mają być spełnione, choćby przez takich jak ja niedowiarków, skoro pobożni zajmują się czym innym?” W tej chwili Wokulskiemu zrobiło się gorąco... Do stolika hrabiny zbliżył się elegancki młodzieniec i coś położył na tacy. Na jego widok panna Izabela zarumieniła się i oczy jej nabrały tego dziwnego

wyrazu, który zawsze tak zastanawiał Wokulskiego.

Na wezwanie hrabiny elegant siadł na tym samym fotelu, który niedawno zajmował Wokulski, i zawiązała się żywa rozmowa. Wokulski nie słyszał jej treści, tylko czuł, że w mózgu wypala mu się obraz tego towarzystwa. Kosztowny dywan, srebrna taca zasypana na wierzchu garścią imperiałów, dwa świeczniki, dziesięć płomyków, hrabina odziana w grubą żałobę, młody człowiek zapatrzony w pannę Izabelę i ona – rozpromieniona. Nawet ten szczegół nie uszedł jego uwagi, że od blasku płomyków hrabinie świecą się policzki, młodemu człowiekowi koniec nosa, a pannie Izabeli oczy.

„Czy oni kochają się? – myślał. – Więc dlaczegoż by się nie pobraли?... – Może on nie ma pieniędzy... Lecz w takim razie: co znaczą jej spojrzenia?... Podobne rzucała dziś na mnie. Prawda, że panna na wydaniu musi mieć kilku albo i kilkunastu wielbicieli i wabić wszystkich, ażeby... sprzedać się najwięcej ofiarującemu!”

Przyszedł delegowany. Hrabina podniosła się z fotelu, to samo zrobiła panna Izabela i przystojny młodzieniec, i wszyscy troje z wielkim szelestem poszli ku drzwiom zatrzymując się przy innych stolikach. Każdy z asystującej tam młodzieży gorąco witał pannę Izabelę, a ona każdego obdarzała tymi samymi, zupełnie tymi samymi spojrzeniami, które Wokulskiemu zachwiały rozum. Wreszcie wszystko ucichło: hrabina i panna Izabela opuściły kościół.

Wokulski ocknął się i spojrzał bliżej siebie. Pięknej pani

z dzieckiem już nie było.

„Jaka szkoda!” – szepnął i uczył lekkie ściśnięcie serca.

Natomiast obok krzyża leżącego na ziemi wciąż klęczała młoda dziewczyna w aksamitnym kaftaniku i jaskrawym kapeluszu. Gdy zwróciła oczy na oświetlony grób, jej także błysnęło coś na wyróżzowanych policzkach. Jeszcze raz ucałowała nogi Chrystusowi, ciężko podniosła się i wyszła.

„Błogosławieni, którzy płaczą... Niechże przynajmniej tobie zmarły Chrystus dotrzyma obietnicy” – pomyślał Wokulski i wyszedł za nią.

W kruchcie spostrzegł, że dziewczyna rozdaje jałmużnę dziadom. I opanowała go okrutna boleść na myśl, że z dwu kobiet, z których jedna chce się sprzedać za majątek, a druga już się sprzedaje z nędzy, ta druga, okryta hańbą, wobec jakiegoś wyższego trybunału może byłaby lepszą i czystsza.

Na ulicy zrównał się z nią i zapytał:

– Dokąd idziesz?

Na jej twarzy znać było ślady łez. Podniosła na Wokulskiego apatyczne wejrzenie i odparła:

– Mogę pójść z panem.

– Tak mówisz?... Więc chodź.

Nie było jeszcze piątej, dzień duży; kilku przechodniów obejrzało się za nimi.

„Trzeba być kompletnym błaznem, ażeby robić coś podobnego – pomyślał Wokulski idąc w stronę sklepu. – Mniejsza o skandal, ale co, u diabła, za projekta snują mi się po

łbie? Apostolstwo?... Szczyt głupoty.

Wreszcie – wszystko mi jedno; jestem tylko wykonawcą cudzej woli.”

Wszedł w bramę domu, w którym znajdował się sklep, i skręcił do pokoju Rzeckiego, a za nim dziewczyna. Pan Ignacy był u siebie i zobaczywszy szczególną parę, rozłożył ręce z podziwu.

– Czy możesz wyjść na kilka minut? – zapytał go Wokulski.

Pan Ignacy nie odpowiedział nic. Wziął klucz od tylnych drzwi sklepu i opuścił pokój.

– Dwu? – szepnęła dziewczyna wyjmując szpilkę z kapelusza.

– Za pozwoleniem – przerwał jej Wokulski. – Dopiero co byłaś w kościele, wszak prawda, moja pani?

– Pan mnie widział?

– Modliłaś się i płakałaś. Czy mogę wiedzieć, z jakiego powodu?

Dziewczyna zdziwiła się i wzruszając ramionami odparła:

– Czy pan jest ksiądz, że się o to pyta?

A przypatrzwszy się uważniej Wokulskiemu dodała:

– Eh! także zawracanie głowy... Dowcipny!

Zabierała się do odejścia, ale zatrzymał ją Wokulski.

– Poczekaj. Jest ktoś, który chciałby ci pomóc, więc nie spiesz się i odpowiadaj szczerze...

Znowu przypatrzyła mu się. Nagle oczy jej zaśmiały się, a na twarz wystąpił rumieniec.

– Wiem – zawołała – pan pewnie od tego starego pana!... On

kilka razy obiecywał, że mnie weźmie... Czy on bardzo bogaty? ... Pewnie, że bardzo... Jeździ powozem i siada w pierwszych rzędach w teatrze.

– Posłuchaj mnie – przerwał – i odpowiadaj: czegoś płakała w kościele?

– A bo, widzi pan... – zaczęła dziewczyna i opowiedziała tak cyniczną historię jakiegoś sporu z gospodynią, że słuchając jej Wokulski pobałdł.

„Oto zwierzę!” – szepnął.

– Poszłam na groby – mówiła dalej dziewczyna – myślałam, że się trochę rozerwę. Gdzie tam, com wspomniała o starej, to aż mi łzy pociekły ze złości. Zaczęłam prosić Pana Boga, ażeby albo starą choroba zatłukła, albo żebym ja od niej wyszła. I widać Bóg wysłuchał, kiedy ten pan chce mnie zabrać.

Wokulski siedział bez ruchu. Wreszcie zapytał:

– Ile masz lat?

– Mówi się, że szesnaście, ale naprawdę mam dziewiętnaście.

– Chcesz stamtąd wyjść?

– A – choćby do piekła. Już mi tak dokuczyli... Ale...

– Cóż?

– Pewnie nic z tego nie będzie... Wyjdę dziś, to po świętach sprowadzą mnie i zapłacą jak wtedy w karnawale, com później tydzień leżała.

– Nie sprowadzą.

– Akurat! Mam przecie dług...

– Duży?

– Oho!... z pięćdziesiąt rubli. Nie wiem nawet, skąd się wziął, bo za wszystko płacę podwójnie. Ale jest... U nas tak zawsze. A jeszcze jak usłyszą, że tamten pan ma pieniądze, to powiedzą, że ich okradłam, i narachują, ile im się podoba.

Wokulski czuł, że opuszcza go odwaga.

– Powiedz mi, czy ty zechcesz pracować?

– A co będę miała do roboty?

– Nauczysz się szyć.

– To na nic. Byłam przecie w szwalni. Ale z ośmiu rubli na miesiąc nikt nie wyżyje. Wreszcie – jestem tyle jeszcze warta, że mogę nikogo nie obszywać.

Wokulski podniósł głowę.

– Nie chcesz wyjść stamtąd!

– Ale chcę!

– Więc decyduj się natychmiast. Albo weźmiesz się do roboty, bo darmo nikt na świecie chleba nie jada...

– I to nieprawda – przerwała. – Ten stary pan nic przecie nie robi, a pieniądze ma. Nieraz też mówił, że mnie już o nic głowa nie zaboli...

– Nie pójdziesz do żadnego pana, tylko do magdalenek²³². Albo wracaj na miejsce.

– Magdalenki mnie nie wezmą. Trzeba zapłacić dług i mieć poręczenie...

²³² *magdalenki* – siostry zakonu żeńskiego św. Magdaleny, które prowadziły domy poprawcze dla upadłych dziewcząt; niekiedy tak nazywano wychowanki tych domów. W Warszawie miały swą siedzibę przy ul. Żytniej (od r. 1862). [przypis redakcyjny]

– Wszystko będzie załatwione, jeżeli tam pójdziesz.

– Jakże ja do nich pójde?

– Dam ci list, który zaraz odniesiesz, i tam zostaniesz. Chcesz czy nie chcesz?...

– Ha! niech pan da list. Zobacze, jak mi tam bedzie.

Usiadła i oglądała się po pokoju.

Wokulski napisał list, opowiedział, gdzie ma iść, i w końcu dodał:

– Masz wóz i przewóz. Będiesz dobra i pracowita, będzie ci dobrze; ale jeżeli nie skorzystasz z okazji, rób, co ci się podoba. Możesz iść.

Dziewczyna roześmiała się.

– To stara będzie się wściekać... To jej narobię... Cha... Cha!

... Ale... może pan tylko naciąga?

– Idź – odpowiedział Wokulski wskazując drzwi.

Jeszcze raz przypatrzyła mu się z uwagą i wyszła wzruszając ramionami.

W chwilę po jej odejściu ukazał się pan Ignacy.

– Cóż to za znajomość? – spytał kwaśno.

– Prawda!... – rzekł zamyślony Wokulski. – Nie widziałem jeszcze podobnego bydłęcia, chociaż znam dużo bydła.

– W samej Warszawie jest ich tysiące – odparł Rzecki.

– Wiem. Tępienie ich do niczego nie doprowadzi, bo ciągle się odradzają, więc wniosek, że prędzej czy później społeczeństwo musi się przebudować od fundamentów do szczytu. Albo zgnije.

– Aha!... – szepnął Rzecki. – Domyślałem się tego.

Wokulski pożegnał go. Doświadczał takich uczuć, jak chory na gorączkę, którego oblano zimną wodą.

„Nim jednak przebuduje się społeczność – myślał – widzę, że sfera mojej filantropii bardzo się uszczupli. Majątek mój nie wystarczyłby na uszlachetnianie instynktów nieludzkich. Wolę ziewające kwestarki niżeli modlące się i płaczące potwory.”

Obraz panny Izabeli ukazał mu się otoczony jaśniejszym niż kiedykolwiek blaskiem. Krew biła mu do głowy i upokarzał się w duchu na myśl, że z podobnym stworzeniem mógł ją zestawić!

„Wolę ja wyrzucać pieniądze na powozy i konie aniżeli na tego rodzaju – nieszczęścia!...”

W Wielką Niedzielę Wokulski najętym powozem zajechał przed mieszkanie hrabiny. Zastał już długi szereg ekwipażów bardzo rozmaitego dostojęstwa. Były tam eleganckie dorożki obsługujące złotą młodzież i dorożki zwyczajne, wzięte na godziny przez emerytów; stare karety, stare konie, stara uprząż i służba w wytartej liberii, i nowe, prosto z Wiednia powoziki, przy których lokaje mieli kwiaty w butonierkach, a furmani opierali bat na biodrze, jak marszałkowską buławę. Nie brakło i fantastycznych kozaków, odzianych w spodnie tak szerokie, jakby tam właśnie ich panowie umieścili swoją ambicję.

Dostrzegł też mimochodem, że w gronie zebranych woźniców służba wielkich panów zachowywała się w sposób pełen godności, bankierscy chcieli rej wodzić, za co im wymyślano, a dorożkarze byli najreżolutniejsi. Furmani zaś powozów najętych trzymali się blisko siebie, gardzący resztą i przez nią

pogardzani.

Gdy Wokulski wszedł do przysionka, siwy szwajcar²³³ w czerwonej wstędze uklonił mu się głęboko i otworzył drzwi do kontramarkarni²³⁴, gdzie dżentelmen w czarnym fraku zdjął z niego palto. Jednocześnie zaś zabiegł mu drogę Józef, lokaj hrabiny, który dobrze znał Wokulskiego; prznosił bowiem z jego sklepu do kościoła pozytywkę i śpiewające ptaszki.

– Jaśnie pani czeka – rzekł Józef.

Wokulski sięgnął do kamizelki i dał mu pięć rubli czując, że poczyną sobie jak parweniusz²³⁵.

„Ach, jakież ja jestem głupi! – myślał. – Nie, nie jestem głupi. Jestem tylko dorobkiewicz, który w tym państwie musi opłacać się każdemu na każdym kroku. No, nawracanie jawnogrzesznicy kosztuje więcej.”

Szedł po marmurowych schodach ozdobionych kwiatami, a Józef przed nim. Na pierwszej kondygnacji miał kapelusz na głowie, na drugiej zdjął go nie wiedząc, czy robi stosownie, czy niestosownie.

„W rezultacie mógłbym między nich wszystkich wejść w kapeluszu na głowie” – rzekł do siebie.

Dostrzegł, że Józef mimo swego wieku, więcej niż średniego, biegł po schodach jak łania i na górze gdzieś się podział,

²³³ *szwajcar* – odźwierny, portier. [przypis redakcyjny]

²³⁴ *kontramarkarnia* – szatnia. [przypis redakcyjny]

²³⁵ *parweniusz* – pogardliwie: dorobkiewicz-prostak, wzbogacony człowiek z „nizin” społecznych. [przypis redakcyjny]

a Wokulski został sam nie wiedząc dokąd udać się i komu się zameldować. Była to krótka chwila, lecz w Wokulskim gniew zakipiał.

„Jakimi to oni formami obwarowali się, co? – pomyślał. – A... gdybym to mógł wszystko zwalić!...”

I przywidziało mu się w ciągu kilkunastu sekund, że między nim a tym czcigodnym światem form wykwinnych musi się stoczyć walka, w której albo ten świat runie, albo – on zginie.

„Więc dobrze, zginę... Ale zostawię po sobie pamiątkę!...”

„Zostawisz przebaczenie i litość” – szepnął mu jakiś głos.

„Czyżem ja aż tak nikczemny!”

„Nie, jesteś aż tak szlachetny.”

Ocknął się – przy nim stał pan Tomasz Łęcki.

– Witam cię, panie Stanisławie – rzekł z właściwą mu majestatycznością. – Witam cię tym goręcej, że przybycie twoje do nas łączy się z bardzo miłym wypadkiem w rodzinie...

„Czyżby zaręczyła się panna Izabela?...” – pomyślał Wokulski i pociemniało mu w oczach.

– Wyobraź pan sobie, że z okazji twego tu przybycia... Słyszysz, panie Stanisławie?... Z okazji twojej wizyty u nas ja pogodziłem się z panią Joanną, z moją siostrą... Ale pan zbladłeś?... Znajdziesz tu wielu znajomych... Nie wyobrażaj sobie, że arystokracja jest tak straszną...

Wokulski otrząsnął się.

– Panie Łęcki – odparł chłodno – w moim namiocie pod

Plewną²³⁶ bywali więksi panowie. I byli dla mnie tyle łaskawi, że niełatwo wzruszę się widokiem nawet tak wielkich, jakich... nie znajdę w Warszawie.

– A... A!... – szepnął pan Tomasz i uklonił mu się. Wokulski zdumiał się.

„Oto fagas²³⁷! – przemknęło mu przez głowę. – I ja... ja!... miałbym z takimi ludźmi robić sobie ceremonie?...”

Pan Łęcki wziął go pod rękę i w sposób bardzo uroczysty wprowadził do pierwszego salonu, gdzie byli sami mężczyźni.

– Widzisz pan: hrabia... – zaczął pan Tomasz.

– Znam – odparł Wokulski, a w duchu dodał: – „Winien mi ze trzysta rubli...”

– Bankier... – objaśniał dalej pan Tomasz. Ale nim powiedział nazwisko, bankier sam zbliżył się do nich i przywitawszy Wokulskiego rzekł:

– Bój się pan Boga, z Paryża ogromnie ekscytują²³⁸ nas o te bulwary... Czy im pan odpowiedziałeś?

– Pierwej chciałem porozumieć się z panem – odparł Wokulski.

– Więc zejdźmy się gdzie. Kiedy pan jesteś w domu?

– Nie mam stałej godziny, wolę być u pana.

²³⁶ Plewna – miejscowość w Bułgarii, u podnóża Bałkanów. Zdobycie Plewny przez wojska rosyjskie po czteromiesięcznym oblężeniu (wrzesień-grudzień 1877) było punktem zwrotnym w przebiegu wojny. [przypis redakcyjny]

²³⁷ *fagas* – pogardliwie: służący, tu przenośnie: lizus, służalec. [przypis redakcyjny]

²³⁸ *ekscytować* – niepokoić, naglić. [przypis redakcyjny]

– To wstąp pan do mnie we środę na śniadanie i raz skończmy. Pożegnali się. Pan Tomasz czulej przycisnął ramię Wokulskiego.

– Jenerał... – zaczął.

Jenerał ujrawszy Wokulskiego podał mu rękę i przywitali się jak starzy znajomi.

Pan Tomasz stawał się coraz tkliwszym dla Wokulskiego i zaczynał dziwić się widząc, że kupiec galanteryjny zna najwybitniejsze osobistości w mieście, a nie zna tylko tych, którzy odznaczeni tytułem albo majątkiem, nic zresztą nie robiąc.

Przy wejściu do drugiego salonu, gdzie było kilka dam, zastąpiła im drogę hrabina Karolowa. Koło niej przesunął się służący Józef.

„Rozstawili pikiety²³⁹ – pomyślał Wokulski – ażeby nie skompromitować dorobkiewicza. Grzecznie to z ich strony, ale...”

– Jakże się cieszę, panie Wokulski – rzekła hrabina odbierając go panu Tomaszowi – jakże się cieszę, że spełniłeś moją prośbę... Jest tu właśnie osoba, która pragnie poznać się z panem.

W pierwszym salonie ukazanie się Wokulskiego zrobiło pewną sensację.

– Jenerale – mówił hrabia – hrabina zaczyna nam sprowadzać

²³⁹ *pikieta* – dawna nazwa placówki wystawianej w celu obserwowania nieprzyjaciela. [przypis redakcyjny]

kupców galanteryjnych. Ten Wokulski...

– On taki kupiec jak ja i pan – odparł jenerał.

– Mój książę – mówił inny hrabia – skąd wziął się tu ten jakiś Wokulski?

– Zaprosiła go gospodyni – odparł książę.

– Nie mam przesądu co do kupców – ciągnął dalej hrabia – ale ten Wokulski, który zajmował się dostawą w czasie wojny i zrobił na niej majątek...

– Tak... tak... – przerwał książę. – Ten rodzaj majątków bywa zwykle niepewny, ale za Wokulskiego ręczę. Hrabina mówiła ze mną, a ja zapytywałem oficerów, którzy byli na wojnie, między innymi mojego siostrzeńca. Otóż o Wokulskim było jedno zdanie, że dostawa, której się on dotknął, była uczciwa. Nawet żołnierze, ile razy dostali dobry chleb, mówili, że musiał być pieczony z mąki od Wokulskiego. Więcej hrabiemu powiem – ciągnął książę – że Wokulski, który swoją rzetelnością zwrócił na siebie uwagę osób najwyższej położonych, miewał bardzo ponętne propozycje. W styczniu tego oto roku dawano mu dwakroć sto tysięcy rubli tylko za firmę do pewnego przedsiębiorstwa i nie przyjął...

Hrabia uśmiechnął się i rzekł:

– Miałby więcej o dwakroć sto tysięcy rubli...

– Miałby, ale nie byłby dziś tutaj – odparł książę i kiwnąwszy głową hrabiemu odszedł.

– Stary wariat – szepnął hrabia, pogardliwie spoglądając za księciem.

W trzecim salonie, dokąd wszedł z hrabiną Wokulski, znajdował się bufet tudzież mnóstwo większych i mniejszych stolików, przy których dwójkami, trójkami, nawet czwórkami siedzieli zaproszeni. Kilku służących rozносиło potrawy i wina, a dyrygowała nimi panna Izabela, widocznie zastępując gospodynię. Miała na sobie bladoniebieską suknię i wielkie perły na szyi. Była tak piękna i tak majestatyczna w ruchach, że Wokulski patrząc na nią skamieniał.

„Nawet marzyć o niej nie mogę!...” – pomyślał z rozpaczą.

Jednocześnie we framudze okna spostrzegł młodego człowieka, który był wczoraj na grobach, a dziś siedział sam przy małym stoliczku nie spuszczać oka z panny Izabeli.

„Naturalnie, że ją kocha!” – myślał Wokulski i doznał takiego wrażenia, jakby owionął go chłód grobu.

„Jestem zgubiony” – dodał w duchu.

Wszystko to trwało kilka sekund.

– Czy widzisz pan tę staruszkę między biskupem i jenerałem? – odezwała się hrabina. – Jest to prezesowa Zasławska, moja najlepsza przyjaciółka, która koniecznie chce pana poznać. Jest panem bardzo zajęta – ciągnęła hrabina z uśmiechem – jest bezdzietna i ma parę ładnych wnuczek. Zróbże pan dobry wybór! ... Tymczasem przypatrz się jej, a gdy ci panowie odejdą, przedstawię pana. A... księżę...

– Witam pana – odezwał się księżę do Wokulskiego. – Kuzynka pozwoli?...

– Bardzo proszę – odparła hrabina. – Macie tu panowie wolny

stolik... Ja opuszczę was na chwilę...

Odeszła.

– Siądźmy, panie Wokulski – mówił książę. – Wybornie zdarzyło się, ponieważ mam do pana ważny interes. Wyobraź pan sobie, że pańskie projekta wywołały wielki popłoch między naszymi bawełnianymi fabrykantami... Wszak dobrze powiedziałem – bawełnianymi?... Oni utrzymują, że pan chce zabić nasz przemysł... Czy istotnie konkurencja, którą pan stwarza, jest tak groźna?...

– Mam wprawdzie – odparł Wokulski – u moskiewskich fabrykantów kredyt do wysokości trzech, nawet czterech milionów rubli, ale jeszcze nie wiem, czy pójdą ich wyroby.

– Straszna!... straszna cyfra! – szepnął książę. – Czy nie widzisz pan w niej istotnego niebezpieczeństwa dla naszych fabryk?

– Ach, nie. Widzę tylko nieznaczne zmniejszenie ich kolosalnych dochodów, co zresztą mnie nie obchodzi. Ja mam obowiązek dbać tylko o własny zysk i o taniość dla nabywców; nasz zaś towar będzie tańszy.

– Czy jednak rozważyłeś pan tę kwestię jako obywatel?... – rzekł książę ściskając go za rękę. – My już tak niewiele mamy do stracenia...

– Mnie się zdaje, że jest to dość po obywatelsku dostarczyć konsumentom tańszego towaru i złamać monopol fabrykantów, którzy zresztą tyle mają z nami wspólnego, że wyzyskują naszych konsumentów i robotników.

– Tak pan sądzisz?... Nie pomyślałem o tym. Mnie zresztą nie obchodzą fabrykanci, ale kraj, nasz kraj, biedny kraj...

– Czym można panom służyć? – odezwała się nagle, zbliżywszy się do nich, panna Izabela.

Księżę i Wokulski powstałi.

– Jakże jesteś dziś piękna, kuzynko – rzekł księżę ściskając ją za rękę. – Żałuję doprawdy, że nie jestem moim własnym synem... Chociaż – może to i lepiej! Bo gdybyś mnie odrzuciła, co jest prawdopodobne, byłbym bardzo nieszczęśliwy... Ach, przepraszam!... – spostrzegł się księżę. – Pozwolisz, kuzynko, przedstawić sobie pana Wokulskiego. Dzielnny człowiek, dzielny obywatel... to ci wystarczy, wszak prawda?...

– Mam już przyjemność... – szepnęła panna Izabela odpowiadając na ukłon.

Wokulski spojrzał jej w oczy i dostrzegł takie przerażenie, taki smutek, że go znowu opanowała desperacja.

„Po com ja tu wchodził?...” – pomyślał.

Spojrzał na framugę okna i znowu zobaczył młodego człowieka, który ciągle siedział sam nad nietkniętym talerzem zasłaniając oczy ręką.

„Ach, po com ja tu przyszedł, nieszczęśliwy...” – myślał Wokulski czując taki ból, jakby mu serce wyrywano kleszczami.

– Może pan choć wina pozwoli? – pytała panna Izabela przypatrując mu się ze zdziwieniem.

– Co pani każe – odparł machinalnie.

– Musimy się lepiej poznać, panie Wokulski – mówił księżę.

– Musisz pan zbliżyć się do naszej sfery, w której, wierz mi, są rozumy i szlachetne serca, ale – brak inicjatywy...

– Jestem dorobkiewiczem, nie mam tytułu... – odparł Wokulski chcąc cośkolwiek odpowiedzieć.

– Przeciwnie, masz pan... jeden tytuł: pracę, drugi: uczciwość, trzeci: zdolności, czwarty: energię... Tych tytułów nam potrzeba do odrodzenia kraju, to nam daj, a przyjmujemy cię jak... brata...

Zbliżyła się hrabina.

– Pozwoli książę?... – rzekła. – Panie Wokulski...

Podążyła mu rękę i poszli oboje do fotelu prezesowej.

– Oto jest, prezesowo, pan Stanisław Wokulski – odezwała się hrabina do staruszki ubranej w ciemną suknię i kosztowne koronki.

– Siadź, proszę cię – rzekła prezesowa wskazując mu krzesło obok. – Stanisław ci na imię, tak?... A, z którychże to Wokulskich?...

– Z tych... nie znanych nikomu – odparł – a najmniej chyba pani.

– A nie służyłże twój ojciec w wojsku²⁴⁰?

– Ojciec nie, tylko stryj.

– I gdzież to on służył, nie pamiętasz?... Czy nie było mu na imię także Stanisław?

– Tak, Stanisław. Był porucznikiem, a później kapitanem

²⁴⁰ w wojsku – mowa tu o wojsku Królestwa Kongresowego (1815–1831). [przypis redakcyjny]

w siódmym pułku liniowym...

– W pierwszej brygadzie, drugiej dywizji – przerwała prezesowa. – Widzisz, moje dziecko, że nie jesteś mi tak nie znany... Żyjeż on jeszcze?...

– Umarł przed pięcioma laty.

Prezesowej zaczęły drżeć ręce. Otworzyła mały flakonik i powąchała go.

– Umarł, powiadasz?... Wieczny mu odpoczynek!... Umarł... A nie zostałeś ci jaka po nim pamiątka?

– Złoty krzyż...

– Tak, złoty krzyż... I nicze więcej?

– Miniatura stryja z roku 1828, malowana na kości słoniowej.

Prezesowa coraz częściej podnosiła flakonik; ręce drżały jej coraz silniej.

– Miniatura... – powtórzyła. – A wieszże, kto ją malował?... I nicze więcej nie zostało?

– Była jeszcze paczka papierów i jakaś druga miniatura...

– Coże się z nimi dzieje?... – nalegała coraz niespokojniej prezesowa.

– Te przedmioty stryj sam opieczętował na kilka dni przed śmiercią i kazał włożyć je do swojej trumny.

– A... a!... – szepnęła staruszka i rzewnie się rozpląkała.

W sali zrobił się ruch. Przybiegła zatrwożona panna Izabela, potem hrabina, wzięły prezesową pod ręce i z wolna wyprowadziły do dalszych pokojów. W jednej chwili na Wokulskiego zwróciły się wszystkie oczy. Zaczęto z cicha

szeptać.

Widząc, że wszyscy na niego patrzą i o nim mówią, Wokulski zmieszał się. Ażeby jednak pokazać obecnym, że ta osobliwa popularność nic go nie obchodzi, wypił jeden po drugim dwa kieliszki wina stojące na stoliku i wtedy spostrzegł, że jeden kieliszek, z winem węgierskim, należał do jenerała, a drugi, z czerwonym, do biskupa.

„Ładnie się urządzam – rzekł do siebie. – Gotowi jeszcze powiedzieć, że zrobiłem afront staruszce, ażeby wypić wino jej sąsiadom...”

Wstał z zamiarem wyjścia i zrobiło mu się gorąco na myśl o defiladzie przez dwa salony, w których czekają go różgi spojrzeń i szeptów. Ale zabiegł mu drogę księżę mówiąc:

– Pewnie rozmawialiście państwo z prezesową o bardzo dawnych czasach, kiedy aż do łez doszło. Prawda, że zgadłem?... Wracając do tematu, który nam przerwano, czy nie sądzisz pan, że dobrze byłoby założyć w kraju polską fabrykę tanich tkanin? ...

Wokulski potrząsnął głową.

– Wątpię, ażeby się to udało – odparł. – Trudno myśleć o wielkich fabrykach tym, którzy nie mogą zdobyć się na małe ulepszenia w już istniejących...

– Mianowicie?...

– Mówię o młynach – ciągnął Wokulski. – Za parę lat będziemy sprowadzali nawet mąkę, bo nasi młynarze nie chcą zastąpić kamieni – walcami.

– Pierwszy raz słyszę?... Siądźmy tu – mówił książę ciągnąc go do obszernej framugi – i opowiedz pan, co to znaczy?

W salonach tymczasem rozmawiano.

– Jakaś zagadkowa figura ten pan – mówiła po francusku dama w brylantach do damy w strusim piórze. – Pierwszy raz widziałam prezesową płaczącą.

– Naturalnie, historia miłosna – odpowiedziała dama z piórem. – W każdym razie zrobił ktoś złośliwego figla hrabinie i prezesowej wprowadzając tego jegomościa.

– Przypuszczasz pani, że...

– Jestem pewna – odparła wzruszając ramionami. – Niech pani wreszcie spojrzy na niego. Maniery bardzo złe, ale cóż to za fizjognomia, jaka duma!... Szlachetnej rasy nie ukryje się nawet pod łachmanami.

– Zadziwiające!... – mówiła dama w brylantach. – Bo i ten jego majątek, jakoby zrobiony w Bułgarii...

– Naturalnie. To zarazem tłumaczy, dlaczego prezesowa pomimo bogactw tak mało wydaje na siebie.

– I książę bardzo na niego łaskaw...

– Przez litość, czy nie za mało?... Niech tylko pani spojrzy na nich obu...

– Sądziłabym, że nie ma ani śladu podobieństwa.

– Zapewne, ale... ta duma, pewność siebie... Z jaką oni swobodą rozmawiają...

Przy innym stoliku naradzali się trzej panowie.

– No, hrabina zrobiła zamach stanu – mówił brunet z grzywką.

– I udał się jej. Ten Wokulski trochę sztywny, ale ma w sobie coś – odpowiedział pan siwy.

– W każdym razie kupiec...

– Czymże kupiec gorszy od bankierów?

– Kupiec galanteryjny, sprzedaje portmonetki – nalegał brunet.

– My czasami sprzedajemy herby... – wtrącił trzeci, szczupły staruszek z siwymi faworytami.

– Jeszcze zechce ożenić się tutaj...

– Tym lepiej dla pańien.

– Ja bym mu sam oddał córkę. Człowiek, słyszę, porządny, bogaty, posagu nie strwoni...

Koło nich szybko przeszła hrabina.

– Panie Wokulski – rzekła wyciągając wachlarz w kierunku framugi.

Wokulski przybiegł do niej. Podała mu rękę i we dwoje opuścili salon. Osamotnionego księcia zaraz otoczyli mężczyźni; niektórzy prosili go, ażeby zapoznał ich z Wokulskim.

– Warto, warto!... – mówił zadowolony książę. – Takiego nie było jeszcze między nami. Gdybyśmy dawniej zbliżyli się do nich, nasz nieszczęśliwy kraj wyglądałby inaczej.

Usłyszała to mijająca ich właśnie panna Izabela i – pobladła. Przystąpił do niej młody człowiek z wczorajszej kwesty.

– Zmęczyła się pani? – rzekł.

– Trochę – odpowiedziała ze smutnym uśmiechem. – Przychodzi mi do głowy dziwne pytanie – dodała po chwili – czy

ja też potrafiłabym walczyć?...

– Czy z sercem? – zapytał. – Nie warto...

Panna Izabela wzruszyła ramionami.

– Ach, gdzież znowu z sercem. Myślę o prawdziwej walce z silnym nieprzyjacielem.

Ścisnęła go za rękę i opuściła salon.

Wokulski prowadzony przez hrabinę minął długi szereg pokoi. W jednym z nich, z dala od zaproszonych gości, rozlegały się śpiewy i dźwięki fortepianu. Gdy weszli tam, uderzył go szczególny widok. Jakiś młody człowiek grał na fortepianie; z dwu bardzo przystojnych dam, stojących przy nim, jedna udawała skrzypce, druga klarnet; przy tej zaś muzyce tańczyło kilka par, między którymi znajdował się tylko jeden mężczyzna.

– Oj! wy zbytńicy! – zgromiła ich hrabina.

Odpowiedzieli wybuchem śmiechu, nie przerywając zabawy.

Minęli i ten pokój i weszli na schody.

– Ot, widzisz – rzekła hrabina – to jest najwyższa arystokracja. Zamiast siedzieć w salonie, uciekli tutaj dokazywać.

„Jaki oni mają rozum!” – pomyślał Wokulski.

I zdawało mu się, że między tymi ludźmi życie upływa prościej i weselej aniżeli między nadętym mieszczaństwem albo arystokratyzującą szlachtą.

Na górze, w pokoju odciętym od zgiełku i nieco przyćmionym, siedziała w fotelu prezesowa.

– Zostawiam was tu, moi państwo – rzekła hrabina. –

Nagadajcie się, bo ja muszę wracać.

– Dziękuję ci, Joasiu – odpowiedziała prezesowa. – Siądźże, proszę cię – zwróciła się do Wokulskiego.

A gdy zostali sami, dodała:

– Nawet nie wiesz, ile obudziłeś we mnie wspomnień.

Teraz dopiero Wokulski spostrzegł, że między tą damą a jego stryjem musiał istnieć jakiś niezwykle stosunek. Opanowało go niespokojne zdumienie.

„Dzięki Bogu – pomyślał – że jestem legalnym dzieckiem moich rodziców.”

– Proszę cię – zaczęła prezesowa – mówisz, że stryj twój umarł. Gdzieże on, biedak, pochowany?

– W Zastawiu²⁴¹, gdzie mieszkał od powrotu z emigracji²⁴².

Prezesowa znowu podniosła chustkę do oczu.

– Doprawdy?... Ach, ja niewdzięczna!... Byłeś kiedy u niego?... Nie mówiłże ci nic... Nie oprowadzał cię?... Wszakże tam, na górze, są ruiny zamku, prawda? Stoją one jeszcze?

– Tam właśnie, do zamku, stryj co dzień chodził na spacer i całe godziny przesiadywaliśmy z nim na dużym kamieniu...

– Patrzajże?... Znam ten kamień; siedzieliśmy wtedy oboje na nim i patrzyliśmy to na rzekę, to na obłoki, których bieg

²⁴¹ *Zastaw* – nazwa miejscowości fikcyjnej nie mającej nic wspólnego z rzeczywistym Zastawiem w Ukrainie. [przypis redakcyjny]

²⁴² *emigracja* – mowa o wielkiej emigracji po powstaniu listopadowym (1831). [przypis redakcyjny]

niepowrotnie uczył nas, że tak ucieka szczęście. Czuję to dopiero dzisiaj. A studnia jestże w zamku i zawsze głęboka?

– Bardzo głęboka. Tylko trafić do niej trudno, bo wejście zamaskowały gruzy. Dopiero stryj mi ją pokazał.

– Wieszże ty – mówiła prezesowa – że w chwili ostatniego z nim pożegnania myśleliśmy: czy by się do tej studni nie rzucić? Nikt by nas tam nie odszukał i na wieki zostalibyśmy razem. Zwyczajnie – szalona młodość...

Otarła oczy i ciągnęła dalej:

– Bardzo... bardzo lubiłam go, a myślę, że i on mnie trochę... kiedy tak pamiętał wszystko. Ale on był ubożuchny oficer, a ja na nieszczęście bogata, i do tego jeszcze bliska krewna dwu generałów. No i rozdzielono nas... Może też byliśmy zanadto cnotliwi... Ale cicho!... cicho... – dodała śmiejąc się i płacząc. – Takie rzeczy wolno mówić kobietom dopiero w siódmym krzyżyku.

Łkanie przerwało jej mowę. Powąchała swój flakonik, odpoczęła i zaczęła znowu:

– Bywają wielkie zbrodnie na świecie, ale chyba największą jest zabić miłość. Tyle lat upłynęło, prawie pół wieku; wszystko przeszło: majątek, tytuły, młodość, szczęście... Sam tylko żał nie przeszedł i pozostał, mówię ci, taki świeży, jakby to było wczoraj. Ach, gdyby nie wiara, że jest inny świat, w którym podobno wynagrodzą tutejsze krzywdy, kto wie, czy nie przekłęboby się i życia, i jego konwenansów... Ale ty mnie nie rozumiesz, bo wy dziś macie mocniejsze głowy, lecz

zimniejsze aniżeli my serca.

Wokulski siedział ze spuszczoneymi oczyma. Coś dławiło go, szarpało za piersi. Wpił sobie paznokcie w ręce i myślał, ażeby jak najprędzej stąd wyjść i już nie słuchać skarg, które odnawiały w nim najboleśniej rany.

– A maż on, biedaczysko, jaki nagrobek? – spytała po chwili prezesowa.

Wokulski zarumienił się. Nigdy nie przychodziło mu do głowy, ażeby zmarli potrzebowali czegoś więcej nad grudę ziemi.

– Nie ma – ciągnęła prezesowa widząc jego zakłopotanie. – Nie tobie dziwię się, moje dziecko, żeś o nagrobku nie pamiętał, ale sobie wyrzucam, żeś zapomniała o człowieku.

Zadumała się i nagle, położywszy na jego ramieniu swoją wychudłą i drżącą rękę, rzekła zniżonym głosem:

– Mam do ciebie prośbę... Powiedz, że ją spełnisz...

– Z pewnością – odparł Wokulski.

– Pozwól, ażebym ja mu postawiła nagrobek. Ale że sama jechać tam nie mogę, więc ty mnie wyręczysz. Weź stąd kamieniarza, niechaj rozłupie ten kamień, wiesz, ten, na którym siadywaliśmy na górze, pod zamkiem, i niech jedną połowę ustawią na jego grobie. Cokolwiek będzie kosztować, zapłacisz, a zwrócę ci razem z dozgonną wdzięcznością. Zrobiszże to?

– Zrobię.

– To dobrze, dziękuję ci... Myślę, że mu przyjemniej będzie spoczywać pod kamieniem, który słyszał nasze rozmowy i patrzył na łzy. Ach, jak ciężko wspominać... A napis, wieszże

jaki?... – mówiła dalej. – Kiedyśmy się rozłączali, zostawił mi parę strofek z Mickiewicza. Pewnie czytałeś je kiedy.

Jak cień tym dłuższy, gdy padnie z daleka,
Tym szerzej koło żałobne roztoczy,
Tak pamięć o mnie: im dalej ucieka,
Tym grubszy kirem twą duszę zamroczy...²⁴³

O, prawda to!... I studnię, która miała nas połączyć, chciałabym upamiętnić w jakiś sposób...

Wokulski wstrząsnął się i patrzył gdzieś szeroko otwartymi oczyma.

– Co tobie? – zapytała prezesowa.

– Nic – odparł z uśmiechem. – Śmierć zajrzała mi w oczy.

– Nie dziw się: krąży koło mnie starej, zatem muszą ją widzieć moi sąsiedzi. Więc zrobisz, o co cię proszę?

– Tak.

– Bądźże u mnie po świętach i... często przychodź. Może się trochę ponudzisz, ale może i ja, niedołączna, przydam ci się na co. A teraz idź już na dół, idź...

Wokulski pocałował ją w rękę, ona go parę razy w głowę; potem dotknęła dzwonka. Wszedł służący.

– Sprowadźże pana do sali – rzekła.

²⁴³ *Jak cień tym dłuższy, gdy padnie z daleka...* – druga zwrotka wiersza Mickiewicza *Do M...* (Maryli Wereszczakówny) z r. 1822. U Mickiewicza dwa ostatnie wiersze brzmią: „Tak moja postać, im dalej ucieka, Tym grubszy kirem twą pamięć omroczy.”. [przypis redakcyjny]

Wokulski był odurzony. Nie wiedział, którądy idzie, nie zdawał sobie sprawy z tego, o czym rozmawiali z prezesową. Czuł tylko, że znajduje się w jakimś odmęcie dużych komnat, starodawnych portretów, cichych stąpań, nieokreślonej woni. Otaczały go kosztowne meble, ludzie pełni delikatności, o jakiej nigdy nie marzył, a nad tym wszystkim, jak poemat, unosiły się wspomnienia starej arystokratki, przesiąknięte westchnieniami i łzami.

„Cóż to za świat?... Co to za świat?...”

A jednak jeszcze mu czegoś brakło. Chciał choć raz spojrzeć na pannę Izabelę.

„No, w sali ją zobaczy...”

Lokaj otworzył drzwi do sali. Znowu wszystkie głowy zwróciły się w jego stronę i ucichły rozmowy jak szum odlatującego ptactwa. Nastąpiła chwila ciszy, w której wszyscy patrzyli na Wokulskiego, a on nie widział nikogo, tylko rozgorączkowanym spojrzeniem szukał bladoniebieskiej sukni.

„Tu jej nie ma” – pomyślał.

– No, tylko patrzcie, jak on sobie nic z was nie robi!... – szepnął śmiejąc się staruszek z siwymi faworytami.

„Musi być w drugiej sali” – mówił do siebie Wokulski.

Spostrzegł hrabinę i zbliżył się do niej.

– Cóż, skończyliście państwo konferencję? – spytała hrabina.
– Prawda, jaka to miła osoba, prezesowa?... Ma pan w niej wielką przyjaciółkę, nie większą jednak aniżeli we mnie. Zaraz przedstawię pana... Pan Wokulski!... – dodała zwracając się do

damy w brylantach.

– A ja zaraz przystępuję do interesu – rzekła dama patrząc na niego z góry. – Nasze sierotki potrzebują kilku sztuk płótna...

Hrabina lekko zarumieniła się.

– Tylko kilku?... – powtórzył Wokulski i spojrzał na brylanty wyniosłej damy, reprezentujące wartość kilkuset sztuk najcieńszego płótna. – Po świętach – dodał – będę miał honor na ręce pani hrabiny przysłać płótno...

Uklonił się, jakby chciał odchodzić.

– Chcesz nas pan pożegnać? – spytała trochę zmieszana hrabina.

– Ależ to impertynent! – rzekła dama w brylantach do swej towarzyszki w strusim piórze.

– Żegnam panią hrabinę i dziękuję za zaszczyt, jaki mi pani raczyła wyrządzić!... – mówił Wokulski całując gospodynię w rękę.

– Tylko do widzenia, panie Wokulski, wszak prawda?... Dużo będziemy mieli interesów ze sobą.

I w drugim salonie nie było panny Izabeli. Wokulski uczył się niepokój.

„Przecież muszę na nią spojrzeć... Kto wie, jak prędko spotkamy się w podobnych warunkach...”

– A, jesteś pan – zawołał książę. – Już wiem, jaki ułożyliście spisek z panem Łeckim. Spółka do handlu ze Wschodem – wyborna myśl! Musicie i mnie do niej przyjąć... Musimy poznać się bliżej... – A widząc, że Wokulski milczy, dodał: – Prawda,

jakim ja nudny, panie Wokulski? Ale to nic nie pomoże; musicie zbliżyć się do nas, pan i panu podobni i – razem idźmy. Wasze firmy są także herbami, nasze herby są także firmami, które gwarantują rzetelność w prowadzeniu interesów...

Ściskali się za ręce i Wokulski coś odpowiedział, ale co?... – nie było mu wiadome. Niepokój jego wzrastał; na próżno szukał panny Izabeli.

– Chyba jest dalej – szepnął z trwogą, idąc do ostatniego salonu.

Tu pochwycił go pan Łęcki z oznakami niebywalej tkliwości.

– Już pan wychodzisz? Więc do widzenia, drogi panie. Po świętach u mnie pierwsza sesja i w imię boże zaczynamy.

„Nie ma jej!” – myślał Wokulski żegnając się z panem Tomaszem.

– Ale wiesz pan – szepnął Łęcki – zrobiłeś szalony efekt. Hrabina nie posiada się z radości, księżę mówi tylko o tobie... A jeszcze ten wypadek z prezesową... No... cudownie!... Nie można było marzyć o zdobyciu lepszej pozycji...

Wokulski stał już w progu. Jeszcze raz szklanymi oczyma powiódł po sali i – wyszedł z desperacją w sercu.

„Może wypadaloby wrócić i pożegnać ją?... Przecież zastępowała miejsce gospodyni...” – myślał, powoli schodząc ze schodów.

Nagle drgnął słysząc szelest sukni w wielkiej galerii.

„Ona...”

Podniósł głowę i zahaczył damę w brylantach.

Ktoś podał mu palto. Wokulski wyszedł na ulicę zatoczywszy się jak pijany.

„Cóż mi po świetnej pozycji, jeżeli jej tam nie ma?”

– Konie pana Wokulskiego! – zawołał z sieni szwajcar, pobożnie ściskając trzyrublówkę. Łzami zasłte oczy i nieco zachrypnięty głos świadczyły, że obywatel ten nawet na trudnym posterunku czci jednak pierwszy dzień Wielkiejnocy.

– Konie pana Wokulskiego!... Konie Wokulskiego!... Wokulski, zajeżdżaj!... – powtórzyli stojący furmani.

Środkiem Alei²⁴⁴ z wolna toczyły się dwa szeregi dorożek i powozów w stronę Belwederu²⁴⁵ i od Belwederu. Ktoś z jadących spostrzegł na chodniku Wokulskiego i uklonił mu się.

„Kolega!” – szepnął Wokulski i zarumienił się.

Gdy sprowadzono mu powóz, zrazu chciał wsiąść, lecz rozmyślił się.

– Wracaj, bracie, do domu – rzekł do furmana dając mu na piwo.

Powóz odjechał ku miastu. Wokulski zmieszał się z przechodniami i poszedł w stronę Ujazdowskiego placu²⁴⁶. Szedł z wolna i przypatrywał się jadącym. Wielu pomiędzy

²⁴⁴ *Środkiem Alei* – Alei Ujazdowskich. [przypis redakcyjny]

²⁴⁵ Belweder – pałac wśród parku w południowej części miasta na końcu Alei Ujazdowskich (nazwa „belweder” – z włoskiego „piękny widok”). W tym czasie Belweder należał do rosyjskich generał-gubernatorów. [przypis redakcyjny]

²⁴⁶ Ujazdowski plac znajdował się w południowej części miasta, obok Alei Ujazdowskich. Służył za miejsce wielkanocnych zabaw ludowych, wystaw rolniczych. W latach 1893–1896 powstał na jego miejscu Park Ujazdowski. [przypis redakcyjny]

nich znał osobiście. Oto rymarz, który dostarcza mu wyrobów skórzanych, jedzie na spacer z żoną, grubą jak beczka cukru, i wcale ładną córką, z którą chciano go swatać. Oto syn rzeźnika, który do sklepu, niegdyś Hopfera, dostarczał wędlin. Oto bogaty cieśla z liczną rodziną. Wdowa po dystylatorze, również mająca duży majątek i również gotowa oddać rękę Wokulskiemu. Tu garbarz, tam dwaj subiekci bławatni, dalej krawiec męski, mularz, jubiler, piekarz – a oto – jego współzawodnik, kupiec galanteryjny, w zwykłej dorożce.

Większa ich część nie widziała Wokulskiego, niektórzy jednak spostrzegli go i kłaniali mu się; lecz byli i tacy, którzy spostrzegłszy go nie kłaniali się, a nawet uśmiechali się złośliwie. Z całego mnóstwa tych kupców, przemysłowców i rzemieślników, równych mu stanowiskiem, niekiedy bogatszych od niego i dawniej znanych w Warszawie, on tylko jeden był dziś na święconym u hrabiny. Żaden z tamtych, on tylko jeden!...

„Mam nieprawdopodobne szczęście – myślał. – W pół roku zrobiłem majątek krociowy, za parę lat mogę mieć milion... Nawet prędejsz... Dziś już mam wstęp na salony, a za rok?... Niektórym z tych, co przed chwilą ocierali się o mnie, przed siedemnastoma laty mogłem usługiwać w sklepie, a nie usługiwałem chyba dlatego, że żaden nie wstąpiłby tam. Z komórki przy sklepie do buduaru hrabiny, co za skok!... Czy aby ja nie za prędko awansuję?” – dodał z tajemną trwogą w sercu.

Był już na rozległym placu Ujazdowskim, w którego południowej części znajdowały się zabawy ludowe. Pomieszane dźwięki katarynek, odgłosy trąb i zgiełk kilkunastutysięcznego tłumu ogarniał go jak fala nadpływającej powodzi. Widział jak na dłoni długi szereg huśtawek, kołyszących się w prawo i w lewo niby ogromne wahadła o potężnym rozmachu. Potem drugi szereg – szybko kręcących się namiotów, z dachami w różnokolorowe pasy. Potem trzeci szereg – bud zielonych, czerwonych i żółtych, gdzie przy wejściu jaśniały potworne malowidła, a na dachu ukazywali się jaskrawo odziani pajace albo olbrzymie lalki. A we środku placu – dwa wysokie słupy, na które teraz właśnie wspinali się amatorowie frakowych garniturów i kilkurublowych zegarków.

Wśród tych wszystkich czasowych a brudnych budynków roił się rozbawiony tłum.

Wokulskiemu przypomniały się lata dzieciinne. Jakże mu wtedy, wygłodzonemu, smakowała bułka i serdelek! Jak wyobrażał sobie siadłszy na konia w karuzeli, że jest wielkim wojownikiem! Jak szalonego doznawał upojenia wylatując do góry na huśtawce! Co to była za rozkosz pomyśleć, że dziś nic nie robi i jutro nic nie będzie robił – za cały rok. A z czym da się porównać ta pewność, że dziś położy się spać o dziesiątej i jutro, gdyby chciał, wstanie także o dziesiątej przeleżawszy dwanaście godzin z rzędu!

„I to ja byłem, ja?... – mówił do siebie zdumiony. – Mnie tak cieszyły rzeczy, które w tej chwili tylko wstręt budzą?... Tyle

tysięcy otacza mnie rozradowanych biedaków, a ja, bogacz przy nich, cóż mam?... Niepokój i nudy, nudy i niepokój... Właśnie kiedy mógłbym posiadać to, co kiedyś było moim marzeniem, nie mam nic, bo dawne pragnienia wygasły. A tak wierzyłem w swoje wyjątkowe szczęście!...”

W tej chwili potężny krzyk wydarł się z tłumu. Wokulski ocknął się i na szczycie słupa zobaczył jakąś ludzką figurę.

„Aha, triumfator!” – rzekł do siebie Wokulski, ledwie trzymając się na nogach pod naciskiem tłumu, który biegł, klaskał, wiwatował, wskazywał palcami bohatera, pytał o jego nazwisko. Zdawało się, że zdobywcę frakowego garnituru na rękach zaniosą do miasta, wtem – zapał ostygł. Ludzie biegli wolniej, nawet zatrzymywali się, okrzyki cichły, wreszcie zupełnie umilkły. Chwilowy triumfator zsunął się ze szczytu i w parę minut zapomniano o nim.

„Przestroga dla mnie...” – szepnął Wokulski ocierając pot z czoła.

Plac i rozbawione tłumy obmierzły mu do reszty. Zawrócił do miasta.

Środkiem Alei wciąż toczyły się dorożki i powozy. W jednym Wokulski zobaczył bladoniebieską suknię.

„Panna Izabela?...”

Serce poczęło mu bić gwałtownie.

„Nie, nie ona.”

O paręset kroków dalej spostrzegł jakąś piękną twarz kobietą i dystygowane ruchy.

„Ona?... Nie. Skądże by wreszcie ona?”

I tak szedł przez całe Aleje, plac Aleksandra, przez Nowy Świat, ciągle upatrując kogoś i ciągle doznając zawodu.

„Więc to jest moje szczęście? – myślał. – Nie pragnę tego, co mógłbym mieć, a szarpie się za tym, czego nie mam. Więc to jest szczęście?... Kto wie, czy śmierć jest takim złem, jak wyobrażają sobie ludzie.”

I pierwszy raz uczuł tęsknotę do twardego, nieprzespanego snu, którego nie niepokoiłyby żadne pragnienia, nawet żadne nadzieje.

W tym samym czasie panna Izabela, wróciwszy od ciotki do domu, prawie z przedpokoju zawołała do panny Florentyny:

– Wiesz?... był na przyjęciu!...

– Kto?

– No ten, Wokulski...

– Dlaczegoż być nie miał, skoro go zaproszono – odparła panna Florentyna.

– Ależ to zuchwalstwo... Ależ to niesłychane!... i jeszcze, wyobraź sobie, ciotka jest nim oczarowana, księżę nieledwie mu się narzuca, a wszyscy chórem uważają go za jakąś znakomitość... I ty nic na to?...

Panna Florentyna uśmiechnęła się smutnie.

– Znam to. Bohater sezonu. W zimie był takim pan Kazimierz, a przed kilkunastu laty nawet... ja – dodała cicho.

– Ależ uważaj, kim on jest?... Kupiec... kupiec!...

– Moja Belu – odpowiedziała panna Florentyna – pamiętam

sezony, kiedy nasz świat zachwycił się nawet cyrkowcami.
Przejdzie i to.

– Boję się tego człowieka – szepnęła panna Izabela.

X. Pamiętnik starego subiekta

...Mamy tedy nowy sklep: pięć okien frontu, dwa magazyny, siedmiu subiektów i szwajcara we drzwiach. Mamy jeszcze powóz błyszczący jak świeżo wyglancowane buty, parę kasztanowatych koni, furmana i lokaja – w liberii. I to wszystko spadło na nas w początkach maja, kiedy Anglia, Austria, a nawet skołatana Turcja uzbrajały się na łeb, na szyję²⁴⁷!

– Kochany Stasiu – mówiłem do Wokulskiego – wszyscy kupcy śmieją się, że tak dużo wydajemy w niepewnych czasach.

– Kochany Ignasiu – odpowiedział mi Wokulski – a my śmiać się będziemy ze wszystkich kupców, kiedy nadejdą czasy pewniejsze. Dziś właśnie jest pora do robienia interesów.

– Ależ europejska wojna – mówię – wisi na włosku. W takim razie na pewno czeka nas bankructwo.

– Żartuj z wojny – odpowiada Staś. – Cały ten hałas uspokoi się za parę miesięcy, a my tymczasem zdystansujemy wszystkich współzawodników.

– No – i wojny nie ma. W naszym sklepie ruch jak na odpuście, do naszych składów zwożą i wywożą towary jak do młyna, a pieniądze płyną do kas nie gorzej od plew. Kto by Stasia

²⁴⁷ *Anglia, Austria, a nawet skołatana Turcja uzbrajały się na łeb, na szyję* – w początkach maja 1878 nastąpiło dalsze zaognienie stosunków międzynarodowych. Prasa ówczesna donosiła znów o przygotowaniach wojennych i liczyła się z wystąpieniem Anglii i Austrii przeciw Rosji. [przypis redakcyjny]

nie znał, powiedziałaby, że to genialny kupiec; ale że ja go znam, więc coraz częściej pytam się: na co to wszystko?... *Warum hast du denn das getan?*²⁴⁸...

Prawda, że i mnie się w podobny sposób pytano. Czyżbym już był tak stary jak nieboszczka Grossmutter i nie rozumiał ani ducha czasu, ani intencji ludzi młodszych ode mnie?... Ehe! tak źle nie jest...

Pamiętam, że kiedy Ludwik Napoleon (późniejszy cesarz Napoleon III) uciekł z więzienia w roku 1846, zakotłowało się w całej Europie. Nikt nie wiedział, co będzie? Ale wszyscy ludzie rozsądni przygotowywali się do czegoś, a wuj Raczek (pan Raczek ożenił się z moją ciotką) ciągle powtarzał:

– Mówiłem, że Bonapart wypłynie i piwa im nawarzy! Cała bieda w tym, że ja coś nie zdłużam²⁴⁹ na nogi.

Rok 1846 i 1847 upłynęły w wielkim rozgardiaszu. Ukazywały się coraz to jakieś pisemka, a znikali ludzie. Nieraz i ja myślałem: czy już nie pora wytknąć głowę na szerszy świat? A kiedy mnie ogarnęły wątpliwości i niepokoje, po zamknięciu sklepu szedłem do wuja Raczka i opowiadałem, co mnie trapi, prosząc, ażeby poradził mi jak ojciec.

– Wiesz co – odpowiadał wuj uderzając się pięścią w chore kolano – poradzę ci jak ojciec. Chcesz, mówię ci... to idź, a nie chcesz, mówię ci... to zostań...

²⁴⁸ *warum hast du denn das getan?* (niem.) – więc dlaczego to zrobisz? [przypis redakcyjny]

²⁴⁹ *zdużyć* (gwar.) – dać radę, potrafić. [przypis redakcyjny]

Dopiero w lutym roku 1848, kiedy Ludwik Napoleon już był w Paryżu²⁵⁰, ukazał mi się jednej nocy nieboszczyk ojciec, tak jak widziałem go w trumnie. Surdut zapięty pod szyję, kolczyk w uchu, wąs wyszwarcowany²⁵¹ (zrobił mu to pan Domański, ażeby ojciec byle jako nie wystąpił na boskim sądzie). Stał we drzwiach mojej izdebki we front i rzekł tylko te słowa:

– Pamiętaj, wisusie, czegom cię uczył!...

Sen mara – Bóg wiara, myślałem przez kilka dni. Ale już sklep mi obrzydł. Nawet do śp.²⁵² Małgosi Pfeifer straciłem skłonność i ciasno zrobiło mi się na Podwalu tak, że nie mógł wytrzymać. Poszedłem znowu do wuja Raczka po radę.

Pamiętam, leżał akurat w łóżku nakryty pierzyną mojej ciotki i pił gorące ziółka na poty. Gdy mu zaś opowiedziałem cały interes, rzekł:

– Wiesz co, poradzę ci jak ojciec. Chcesz – idź, nie chcesz – zostań. Ale ja, gdyby nie podłę moje nogi, dawno bym już był za granicą. Bo i twoja ciotka, mówię ci – tu zniżył głos – tak okrutnie miele jęzorem, że wolałbym, mówię ci, słuchać baterii²⁵³ austriackich armat aniżeli jej trajkotu. Co mi pomoże smarowaniem, to mi zepsuje gadaniem... A maszże pieniądze?

²⁵⁰ w lutym roku 1848, kiedy Ludwik Napoleon już był w Paryżu – w lutym 1848 wybuchła w Paryżu rewolucja przeciw monarchii Ludwika Filipa. 25 lutego została ogłoszona republika. Ludwik Napoleon natychmiast przybył z Anglii do Paryża i został wybrany do Zgromadzenia Ustawodawczego. [przypis redakcyjny]

²⁵¹ wyszwarcowany – uczerniony. [przypis redakcyjny]

²⁵² śp. – skrót od: świętej pamięci; określenie osoby zmarłej. [przypis edytorski]

²⁵³ bateria – w ówczesnej armii 8 dział. [przypis redakcyjny]

– spytał po chwili.

– Znajdę z kilkaset złotych.

Wuj Raczek kazał zamknąć drzwi mieszkania (ciotki w domu nie było) i sięgnąwszy pod poduszkę wydobył stamtąd klucz.

– Naści – rzekł – otwórz ten kufer skórą obity. Będzie tam na prawo skrzyneczka, a w niej kieska. Podaj mi ją...

Wydobyłem kieskę grubą i ciężką. Wuj Raczek wziął ją do ręki i wzdychając odliczył piętnaście półimperiałów.

– Weź te pieniądze – mówił – na drogę i jeżeli masz jechać, to jedź... Dałbym ci więcej, ale może i na mnie przyjść pora... Zresztą trzeba zostawić coś babie, żeby sobie w razie wypadku znalazła drugiego męża...

Pożegnaliśmy się płacząc. Wuj aż dźwignął się na łóżku i odwróciwszy mnie twarzą do świecy, szepnął:

– Niech ci się jeszcze przypatrzę... Bo to, mówię ci, z tego balu nie każdy wraca... Wreszcie i ja sam jużem człek niedzisiejszy, a humory²⁵⁴, mówię ci, zabijają prawie tak jak kule...

Wróciwszy do sklepu, mimo spóźnionej pory, rozmówiłem się z Janem Minclem dziękując mu za obowiązek i opiekę. Ponieważ od roku już gadaliśmy o tych rzeczach, a on zawsze zachęcał mnie, ażebyśm szedł bić Niemców, więc zdawało mi się, że mój zamiar robi mu wielką przyjemność. Tymczasem Mincel jakoś posmutniał. Na drugi dzień wypłacił mi pieniądze, które

²⁵⁴ *humory* – tu: substancje płynne w ciele ludzkim, limfa. [przypis redakcyjny]

miałem u niego, dał nawet gratyfikację²⁵⁵, obiecał opiekować się pościelą i kufrem, na wypadek gdybym kiedy wrócił. Ale zwykła wojowniczość opuściła go i ani razu nie powtórzył swego ulubionego wykrzyknika:

– Ehej!... dałbym ja Szwabom, żeby tak nie miał sklepu...

Gdy zaś około dziesiątej wieczór, ubrany w półkożuszek i grube buty, uściskawszy go wzięłem za klamkę, ażeby opuścić izbę, w której tyle lat przemieszkaliśmy razem, coś dziwnego stało się z Janem. Nagle zerwał się z krzesła i rozkrzyżowawszy ręce krzyknął:

– Świnia!... gdzie ty idziesz?...

A potem rzucił się na moje łóżko szlochając jak dzieciak.

Uciekłem. W sieni słabo oświetlonej olejnym kagankiem ktoś zastąpił mi drogę. Ażem drgnął. Był to August Katz, odziany jak wypadło na marcową podróż.

– Co ty tu robisz, Auguście? – spytałem.

– Czekam na ciebie.

Myślałem, że chce mnie odprowadzić; więc poszliśmy na plac Grzybowski²⁵⁶ w milczeniu, bo Katz nigdy nic nie mówił. Fura żydowska, którą miałem jechać, była już gotowa. Ucałowałem Katza, on mnie także. Wsiadłem... on za mną...

– Jedziemy razem – rzekł.

²⁵⁵ *gratyfikacja* – dodatkowe wynagrodzenie. [przypis redakcyjny]

²⁵⁶ *plac Grzybowski* – plac w śródmiejskiej dzielnicy Warszawy. Dawniej było tu centrum handlowe. [przypis redakcyjny]

A potem, kiedy byliśmy już za Miłosną²⁵⁷, dodał:

– Twardo i trzęsie, spać nie można.

Wspólna podróż trwała niespodziewanie długo, bo aż do października 1849 roku²⁵⁸, pamiętasz, Katz, niezapomniany przyjacielu? Pamiętasz te długie marsze na spiekocie, kiedy nieraz piliśmy wodę z kałuży; albo ten pochód przez bagno, w którym zamoczyliśmy ładunki; albo te noclegi w lasach i na polach, kiedy jeden drugiemu spychał głowę z tornistra i ukradkiem ściągał płaszcz służący za wspólną kołdrę?... A pamiętasz tarte kartofle ze słoniną, które ugotowaliśmy we czterech w sekrecie przed całym oddziałem? Tylem razy jadał od tej pory kartofle, ale żadne nie smakowały mi tak jak wówczas. Jeszcze dziś czuję ich zapach, ciepło pary buchającej z garnka i widzę ciebie, Katz, jak dla nietracenia czasu mówiłeś pacierz, jadłeś kartofle i zapalałeś fajkę u ogniska.

²⁵⁷ *Miłosna* – wieś i stacja kolejowa 18 km na południowy wschód od Warszawy. [przypis redakcyjny]

²⁵⁸ *Wspólna podróż trwała niespodziewanie długo...* – w r. 1848 około 4 tysięcy młodzieży przekradło się z Królestwa za granicę, początkowo w Poznańskie, później do Galicji, a stąd na Węgry, ażeby wziąć udział w walkach narodowowyzwoleńczych skierowanych przeciw zaborcom. Rzecki uczestniczy w powstaniu węgierskim przeciw Austrii (marzec 1848 – październik 1849). Brało w nim udział około 2 tys. Polaków, wśród nich generałowie: Bem, Dembiński, Wysocki. Powstanie zostało stłumione przez Austrię przy znacznej pomocy wojskowej cara Mikołaja I (130-tysięczna armia pod dowództwem Paskiewicza). Po kapitulacji wojsk węgierskich żołnierze polscy schronili się do Turcji, gdzie zostali internowani. W końcu r. 1850 pozwolono im się rozjechać. Część osiedliła się w Turcji, większość odpłynęła na zachód, do Anglii, a stąd do Stanów Zjednoczonych. Tylko nielicznym udało się powrócić do kraju. [przypis redakcyjny]

Ej! Katz, jeżeli w niebie nie ma węgierskiej piechoty i tartych kartofli, niepotrzebnieś się tam pospieszył.

A pamiętasz jeneralną²⁵⁹ bitwę, do której zawsze wzdychaliśmy odpoczywając po partyzanckiej strzelaninie? Ja bo nawet w grobie jej nie zapomnę, a jeżeli kiedyś zapyta mnie Pan Bóg: po com żył na świecie?... po to – odpowiem – ażeby trafić na jeden taki dzień. Ty tylko rozumiesz mnie, Katz, bośmy to obaj widzieli. A niby na razie wydawało się – nic...

Na półtorej doby przedtem skupiła się nasza brygada pod jakąś wsią węgierską, której nazwy nie pamiętam. Fetowali²⁶⁰ nas aż miło. W winie, co prawda nieosobliwszym, można się było myć, a wieprzowina i papryka już nam tak zbrzydły, że człowiek nie wziąłby do ust tego paskudztwa, gdyby, rozumie się, miał co innego. A jaka muzyka, a jakie dziewczuchy!... Cyganie doskonale grają, a każda Węgierka istny proch. Kręciło się ich, bestyjek, wszystkiego ze dwadzieścia, a jednak zrobiło się tak gorąco, że nasi zakłuli i zarabali trzech chłopów, a chłopci zabili nam drogami huzara²⁶¹.

I Bóg wie czym skończyłaby się tak pięknie rozpoczęta zabawa, gdyby w chwili największego tumultu nie zajechał do sztabu szlachcic czwórką koni okrytych pianą. W kilka minut później rozeszła się po wojsku wieść, że w pobliżu znajdują się wielkie masy Austriaków. Zatrąbiono do porządku,

²⁵⁹ *jeneralną* – archaizm; dziś: *generalną*. [przypis edytorski]

²⁶⁰ *fetować* – uroczyście podejmować. [przypis redakcyjny]

²⁶¹ *huzar* – żołnierz lekkiej jazdy węgierskiej. [przypis redakcyjny]

tumult ucichł, Węgierki znikły, a w szeregach zaczęto szeptać o jeneralnej bitwie.

– Nareszcie!... – powiedziałeś do mnie.

Tej samej nocy posunęliśmy się o milę naprzód, w ciągu następnego dnia znowu o milę. Co kilka godzin, a później nawet co godzinę przelatywały sztafety. Było to dowodem, że w pobliżu znajduje się nasz sztab korpuśny²⁶² i że zanosi się na coś grubego.

Tej nocy spaliśmy na gołym polu nie stawiając nawet w kozły broni. Zaś skoro świt ruszyliśmy naprzód: szwadron kawalerii z dwoma lekkimi armatami, potem nasz batalion, a potem cała brygada z artylerią i furgonami²⁶³, mając silne patrole po bokach. Sztafety przylatywały już co pół godziny.

Gdy weszło słońce, zobaczyliśmy przy gościńcu pierwsze ślady nieprzyjaciela; resztki słomy, wytlone ogniska, budynki rozebrane na opał. Następnie coraz częściej zaczęliśmy spotykać uciekających: szlachtę z rodzinami, duchownych rozmaitych wyznań, w końcu – chłopów i Cyganów. Na wszystkich twarzach malowała się trwoga; prawie każdy coś wykrzykiwał po węgiersku, wskazując rękoma za siebie.

Była blisko siódma, kiedy w stronie południowo–zachodniej huknął strzał armatni. Po szeregach przeleciał szmer:

– Oho! zaczyna się...

– Nie, to sygnał...

Padły znowu dwa strzały i znowu dwa. Jadący przed nami

²⁶² *sztab korpuśny* – sztab korpusu wojsk. [przypis edytorski]

²⁶³ *furgon* – kryty wóz ładowny. [przypis redakcyjny]

szwadron zatrzymał się; dwie armaty i dwa jaszczyki²⁶⁴ galopem popędziły naprzód, kilku jezdnych pocwałowało na najbliższe wzgórza. Stanęliśmy – i przez chwilę zaległa taka cisza, że słysząc było tętent siwej klaczy dopędzającego nas adiutanta. Przeleciała mimo, do huzarów, dysząc i prawie dotykając brzuchem ziemi.

Tym razem odezwało się bliżej i dalej kilkanaście armat; każdy strzał można było odróżnić.

– Macają dystans! – odezwał się stary nasz major.

– Jest z piętnaście armat – mruknął Katz, który w podobnych chwilach stawał się rozmowniejszy. – A że my ciągniemy dwanaście, toż będzie bal!...

Major odwrócił się do nas na koniu i uśmiechnął się pod szpakowatym wąsem. Zrozumiałem, co to znaczy, usłyszawszy całą gamę strzałów, jakby kto zagrał na organach.

– Jest więcej niż dwadzieścia – rzekłem do Katza.

– Osły!... – zaśmiał się kapitan i podciął swego konia.

Staliśmy na wzniesionym miejscu, skąd widać było idącą za nami brygadę. Zaznaczał ją rudy obłok kurzu, ciągnący się wzdłuż gościńca ze dwie albo i trzy wiorsty²⁶⁵.

– Straszna masa wojsk! – szepnąłem. – Gdzie się to pomieści!

...

Odezwały się trąbki i nasz batalion rozłamał się na cztery kompanie uszykowane kolumnami obok siebie. Pierwsze plutony

²⁶⁴ *jaszczyk* – dwukołowy wóz ze skrzynią do przewożenia. [przypis redakcyjny]

²⁶⁵ *wiorsta* – rosyjska miara długości, ok. 1067 m. [przypis redakcyjny]

wysunęły się naprzód, my zostaliśmy w tyle. Odwróciłem głowę i zobaczyłem, że od głównego korpusu oddzieliły się jeszcze dwa bataliony; zeszły z gościńca i biegły pędem przez pola, jeden na prawo od nas, drugi na lewo. W mały kwadrans zrównały się z nami, przez drugi kwadrans wypoczęły i – ruszyliśmy trzema batalionami naprzód, noga za nogą.

Tymczasem kanonada wzmożła się tak, że było słycać po dwa i po trzy strzały wybuchające jednocześnie. Co gorsze, spoza nich rozlegał się jakiś stłumiony odgłos, podobny do ciągłego grzmotu.

– Ile armat, kamracie? – spytałem po niemiecku idącego za mną podoficera.

– Chyba ze sto – odparł kręcąc głową. – Ale – dodał – porządnie prowadzą interes, bo odezwały się wszystkie razem.

Zepchnięto nas z gościńca, którym w kilka minut później przejechały wolnym kłusem dwa szwadrony huzarów i cztery armaty z należącymi do nich jaszczykami. Idący ze mną w szeregu poczęli żegnać się: „W imię Ojca i Syna...” – Ten i ów popił z manierki.

Na lewo od nas huk wzmagął się: pojedynczych strzałów już nie można było odróżnić. Nagle krzyknięto w przednich szeregach:

– Piechota!... piechota!...

Machinalnie schwyciłem karabin na tuj²⁶⁶ myśląc, że pokazali

²⁶⁶ *schwyciłem karabin na tuj* – na skróconą komendę: gotuj broń! [przypis redakcyjny]

się Austriacy. Ale przed nami oprócz wzgórza i rzadkich krzaków nie było nic. Natomiast na tle grzmotu armat, który prawie przestał nas interesować, usłyszałem jakiś trzask podobny do rześistego deszczu, tylko o wiele potężniejszy.

– Bitwa!... – zawołał ktoś na froncie przeciągłym głosem.

Uczułem, że mi na chwilę serce bić przestało, nie ze strachu, ale jakby w odpowiedzi na ten wyraz, który od dzieciństwa robił na mnie dziwne wrażenie.

W szeregach pomimo marszu zrobił się ruch. Częstoowano się winem, oglądano broń, mówiono, że najdalej za pół godziny wejdziemy w ogień, a nade wszystko – w grubiański sposób żartowano z Austriaków, którym nie wiodło się w tych czasach. Ktoś zaczął gwizdać, inny nucił półgłosem; stopniała nawet sztywna powaga oficerów zamieniając się w koleżeńską zażyłość. Trzeba było dopiero komendy: „Bacność i cisza!...”, ażeby nas uspokoić.

Umilkliśmy i wyrównały się nieco pogięte szeregi. Niebo było czyste, ledwie tu i ówdzie bieleł się nieruchomy obłok; na krzakach, które mijaliśmy, nie poruszał się żaden listek; nad polem, zarośniętym młodą trawą, nie odzywał się wystraszony skowronek. Słyszać było tylko ciężkie stąpanie batalionu, szybki oddech ludzi, czasem szcęk uderzonych o siebie karabinów albo donośny głos majora, który jadąc przodem, odzywał się do oficerów. A tam, na lewo, wściekały się stada armat i łał deszcz karabinowych strzałów. Kto takiej burzy przy jasnym niebie nie słyszał, bracie Katz, ten nie zna się na muzyce!... Pamiętasz, jak

nam wówczas dziwnie było na sercu?... Nie strach, ale tak coś jakby żal i ciekawość...

Skrzydłowe bataliony oddalały się od nas coraz bardziej; wreszcie prawy zniknął za wzgórzami, a lewy o paręset sążni²⁶⁷ od nas dał nurka w szeroki parów i tylko kiedy niekiedy błysnęła fala jego bagnetów. Podzieli się gdzieś huzarzy i armaty, i ciągnąca z tyłu rezerwa, i został sam nasz batalion, schodzący z jednego wzgórza, ażeby wejść na drugie, jeszcze wyższe. Tylko od czasu do czasu z frontu, od tyłu albo z boków przyleciał jakiś jeździec z kartką albo z ustnym poleceniem od majora. Prawdziwy cud, że od tyłu poleceń nie zamąciło mu się we łbie!

Nareszcie, już była blisko dziewiąta, weszliśmy na ostatnią wyniosłość porośłą gęstymi krzakami. Nowa komenda; plutony idące jeden za drugim poczęły stawać obok siebie. Gdy zaś dosięgliśmy szczytu wzgórza, kazano nam pochylić się i zniżyć broń, a w końcu przykłęknąć. Wtedy (pamiętasz, Katz?) Kratochwil, który klęczał przed nami, wetknął głowę między dwie młode sosenki i szepnął:

– Patrzajcie no!...

Od stóp wzgórza, na południe, aż gdzieś do krawędzi horyzontu, ciągnęła się równina, a na niej jakby rzeka białego dymu, szeroka na kilkaset kroków, długa – czy ja wiem – może na milę drogi.

– Tyralierzy!... – rzekł stary podoficer.

²⁶⁷ *sążeń* – dawna miara długości równa 6 stopom (190 cm); sążeń warszawski liczył ok. 173 cm. [przypis redakcyjny]

Po obu stronach tej dziwnej wody widać było kilka czarnych i kilkanaście białych chmur, kotłujących się przy ziemi.

– To baterie, a tam płoną wsie... – objaśniał podoficer.

Wpatrzywszy się zaś lepiej, można było dojrzeć gdzieś tam, również po obu stronach długiej smugi dymu, prostokątne plamy: ciemne po lewej, białe po prawej. Wyglądały one jak wielkie jeże z połyskującymi kolcami.

– To nasze pułki, a to austriackie... – mówił podoficer. – No, no!... – dodał – i sam sztab lepiej nie widzi...

Z tej długiej rzeki dymu dolatywało nas nieustanne trzeszczenie karabinowych strzałów, a w tamtych białych chmurach szalała burza armat.

– Phy! – odezwał się wtedy, Katz – i to ma być bitwa?... Miałem się też czego bać...

– Zaczekaj no – mruknął podoficer.

– Przygotuj broń!... – rozległo się po szeregach.

Kłęcząc zaczęliśmy wydobywać i odgryzać patrony²⁶⁸. Rozległo się szczekanie stalowych stempli i trzask odciąganych kurków²⁶⁹... Podsypaliśmy proch na panewki i znowu cisza.

²⁶⁸ *odgryzać patrony* – por. *patron*: ładunek do broni palnej, ówczesznie rurka papierowa napełniona prochem, zatkana na jednym końcu kulą, na drugim zalepiona. Przed nabiciem żołnierz odgryzał zalepiony koniec patronu, sypał proch w lufę na tzw. panewkę i wypychał z nim papier wraz z kulą, przybijając ją mocno za pomocą pręta zwanego stemplem. [przypis redakcyjny]

²⁶⁹ *kurek* – w strzelbie skałkowej, używanej jeszcze w pierwszej połowie XIX w., część zamka zaopatrzona w krzemień; za pociągnięciem cyngla krzesła iskry, które udzielały ognia prochowi rozsypanemu na panewce, a przezeń – naboju. [przypis redakcyjny]

Naprzeciw nas, może o wiorstę²⁷⁰, były dwa pagórki, a między nimi gościniec. Spostrzegłem, że na jego żółtym tle ukazują się jakieś białe znaki, które wkrótce utworzyły białą linię, a potem białą plamę. Jednocześnie z parowu leżącego o kilkaset kroków na lewo od nas wyszli granatowi żołnierze, którzy niebawem sformowali się w granatową kolumnę. W tej chwili na prawo od nas huknął strzał armatni i nad białym oddziałem austriackim ukazał się siwy obłoczek dymu. Parę minut pauzy i znowu strzał, i znowu nad Austriakami obłoczek. Pół minuty – znowu strzał i znowu obłoczek...

– *Herr Gott!*²⁷¹ – Panie Boże! – zawołał stary podoficer – jak nasi strzelają... Bem²⁷² komenderuje czy diabeł...

Od tej pory szedł z naszej strony strzał za strzałem, aż ziemia drgała, ale biała plama tam, na gościńcu, rosła wciąż. Jednocześnie na przeciwległym wzgórzu błysnął dym i w stronę naszej baterii poleciał warczący granat. Drugi dym... trzeci dym... czwarty...

– Mądre bestie! – mruknął podoficer.

– Batalion!... naprzód marsz!... – wrzasnął ogromnym

²⁷⁰ *wiorsta* – używana w Rosji miara długości, równa ok. 1070 metrom, dzieliła się na 500 sążni. [przypis edytorski]

²⁷¹ *Herr Gott!* (niem.) – Panie Boże! [przypis redakcyjny]

²⁷² *Bem Józef* (1797–1850) – generał polski, uczestnik powstania listopadowego, w latach 1848–1849 wstąpił się jako komendant obrony rewolucyjnego Wiednia, a następnie wojsk węgierskich w Siedmiogrodzie, gdzie zwycięsko walczył z Austriakami. W sierpniu 1849 r. był naczelnym wodzem armii węgierskiej; po klęsce powstania wstąpił do armii tureckiej. [przypis redakcyjny]

głosem nasz major.

– Kompania!... naprzód marsz!... Pluton!... naprzód marsz!
... – powtórzyli różnymi głosami oficerowie.

Znowu uszykowano nas inaczej. Cztery środkowe plutony zostały na tyle, cztery poszły naprzód, na prawo i na lewo. Podciągnęliśmy tornistry i wzięliśmy broń, jak się komu podobało.

– Z górki na pazurki!... – zawołałeś wtedy, Katz.

A w tej chwili granat przeleciał wysoko nad nami i pękł gdzieś w tyle z wielkim łoskotem.

Wtedy błysnęła mi szczególna myśl. Czy bitwy nie są hałaśliwymi komediami, które wojska urządzają dla narodów, nie robiąc sobie zresztą krzywdy?... To bowiem, na co patrzyłem, wyglądało wspaniale, ale nie tak znowu strasznie.

Zeszliśmy na równinę. Od naszej baterii przyleciał huzar donosząc, że jedna z armat zdemontowana²⁷³. Współcześnie na lewo od nas padł granat; zarył się w ziemię, ale nie wybuchnął.

– Zaczynają nas lizać – rzekł stary podoficer.

Drugi granat pękł nad naszymi głowami i jedna z jego skorup padła Kratochwiłowi pod nogi. Pobladł, ale śmiał się.

– Oho!... ho!... – zawołano w szeregu.

W plutonach, które szły przed nami o jakieś sto kroków na lewo, zrobiło się zamieszanie; gdy zaś kolumna posunęła się dalej, zobaczyliśmy dwu ludzi: jeden leżał twarzą do ziemi, wyciągnięty jak struna, drugi siedział trzymając się rękoma za

²⁷³ *zdemontowana* – tu: uszkodzona. [przypis redakcyjny]

brzuch. Poczułem zapach prochowego dymu; Katz przemówił coś do mnie, alem go nie słyszał; natomiast zaszumiało mi w prawym uchu, jakby tam wpadła kropla wody.

Podoficer poszedł w prawo, my za nim. Kolumna nasza rozwinęła się we dwie długie linie. Na paręset kroków przed nami zakłębił się dym. Coś trąbiono, alem nie zrozumiał sygnału; natomiast słyszałem ostre poświsty nad głową i koło lewego ucha. O kilka kroków przede mną coś uderzyło w ziemię zasypując mi piaskiem twarz i piersi. Mój sąsiad strzelił; dwaj stojący za mną prawie na moich ramionach oparli karabiny i wypalili jeden po drugim. Ogłuszony do reszty, wypaliłem i ja... Nabilem i znowu strzeliłem. Przed front spadł czyjś kask i karabin, ale otoczyły nas takie kłęby dymu, że nic dalszego nie mógł dojrzeć. Widziałem tylko, że Katz, który ciągle strzelał, wygląda jak obłąkany i ma pianę w kątach ust. Szum w uszach spotęgował mi się tak, że w końcu nic nie słyszałem, ani huku karabinów, ani armat.

Nareszcie dym stał się tak gęsty i nieznośny, że za wszelką cenę chciałem wydobyć się z niego. Cofnąłem się z początku wolno, później biegiem, widząc ze zdziwieniem, że i inni robią to samo. Zamiast dwu wyciągniętych szeregów zobaczyłem kupę uciekających ludzi. „Czego oni, u diabła, uciekają?...” – myślałem przyspieszając kroku. Nie był to już bieg, ale koński galop. Zatrzymaliśmy się w połowie wzgórza i tu dopiero spostrzeegliśmy, że miejsce nasze na placu zajął jakiś nowy batalion, a na szczycie wzgórza wałęsały się armat.

– Rezerwy w ogniu!... Naprzód, łajdaki!... Świnie wam paść, psubraty!... – wołali czarni od dymu, rozbestwieni oficerowie, ustawiając nas na powrót w szeregi i płazując²⁷⁴ każdego, kto nawinął się im pod rękę.

Majora między nimi nie było.

Powoli, zmieszani w odwrocie, żołnierze znaleźli się w swoich plutonach, ściągnęli maruderowie i batalion wrócił do porządku. Ubyło jednak ze czterdziestu ludzi.

– Gdzież oni się rozbiegli? – spytałem podoficera.

– Aha, rozbiegli się – odparł zachmurzony.

Nie śmiałem pomyśleć, że zginęli.

Ze szczytu wzgórza zjechało dwu furgonistów; każdy prowadził konia objuczonego pakami. Naprzeciw nich wybiegli nasi podoficerowie i wkrótce wrócili z pakietami nabojów. Wziąłem osiem, bo tyle mi brakowało w ładownicy, i zdziwiłem się: jakim sposobem mogłem je zgubić?

– Wiesz ty – rzekł do mnie Katz – że już po jedynastej?...

– A wiesz ty, że ja nic nie słyszę? – odparłem.

– Głupiś. Przecież słyszysz, co mówię...

– Tak, ale armat nie słyszę... Owszem, słyszę – dodałem skupiwszy uwagę. Grzmot armat i łoskot karabinów zlały się w jedno ogromne warczenie, już nie ogłuszające, ale wprost ogłupiające. Ogarnęła mnie apatia.

Przed nami, może na pół wiorsty, bałwaniła się szeroka kolumna dymu, którą budzący się wiatr niekiedy rozdzierał.

²⁷⁴ *płazować* – uderzać płaską (tępą) stroną szabli. [przypis redakcyjny]

Wówczas na chwilę można było widzieć długi szereg nóg albo kasków, z połyskującymi obok nich bagnietami. Nad tamtą kolumną i nad naszą kolumną szumiały granaty, wymieniane pomiędzy baterią węgierską, która strzelała spoza nas, i austriacką, odzywającą się ze wzgórz przeciwnych.

Rzeka dymu, ciągnąca się przez równinę ku południowi, kłębiła się jeszcze mocniej i była bardzo pocięta. Gdzie Austriacy brali górę, zgięcie szło na lewo, gdzie Węgrzy – na prawo. W ogóle pasmo dymu wyginało się bardziej na prawo, jakby nasi już odepchnęli Austriaków. Po całej równinie stała się delikatna mgła niebieskawej barwy.

Dziwna rzecz: huk, choć silniejszy teraz, aniżeli był z początku, już nie robił na mnie wrażenia; ażeby go słyszeć, musiałem się dopiero wsłuchiwać. Tymczasem bardzo wyraźnie dochodził mnie szcęk nabijanych karabinów albo trzask kurków.

Przyleciał adiutant, zatrąbiono, oficerowie zaczęli przemawiać.

– Chłopczy! – wrzeszczał na całe gardło nasz porucznik, który niedawno uciekł z seminarium. – Zrejterowaliśmy, bo Szwabów było więcej, ale teraz zaskoczmy z boku ot tę kolumnę, widzicie?... Zaraz podeprze nas trzeci batalion i rezerwa... Niech żyją Węgry!...

– I ja chciałbym pożyć... – mruknął Kratochwil.

– Pół obrotu w prawo, marsz!...

Szliśmy tak kilka minut; potem pół obrotu w lewo i zaczęliśmy

spuszczać się na równinę, usiłując dostać się na prawy bok kolumny walczącej przed nami. Okolica wciąż falista; z przodu widać przez mgłę pole zarośnięte badyłami, za nim lasek.

Nagle między owymi badyłami spostrzegłem kilka, a potem kilkanaście dymków, jakby w rozmaitych punktach zapalono fajki; jednocześnie zaczęły nad nami świstać kule. Pomyślałem, że tak wychwalane przez poetów świstanie kul nie jest bynajmniej poetyczne, ale raczej ordynaryjne²⁷⁵. Czuć tam wściekłość martwego przedmiotu.

Od naszej kolumny oderwał się sznur tyralierów i pobiegł ku badyłom. My maszerowaliśmy wciąż, jakby kule przelatujące z ukosa nie do nas adresowano.

W tej chwili stary podoficer, który siedł na prawym skrzydle gwiżdżąc *Rakoczego*, wypuścił karabin, rozstawił ręce i zatoczył się jak pijany. Przez mgnienie oka widziałem jego twarz: miał z lewej strony rozdarty daszek kaski i czerwoną plamkę na czole. Szliśmy wciąż; na prawym skrzydle znalazł się inny podoficer, młody blondynek.

Już zrównaliśmy się z walczącą kolumną i widzieliśmy pustą przestrzeń między dymem naszej i austriackiej piechoty, kiedy spoza niej wynurzył się długi szereg białych mundurów. Szereg podnosił się i zniżał co sekundę, a jego nogi migały raz po raz²⁷⁶, jak na paradzie. Stał. Nad nim błysnęła taśma stali, pochyliła się i – zobaczyłem ze sto wycelowanych do nas

²⁷⁵ *ordynaryjny* – zwyczajny, pospolity. [przypis redakcyjny]

²⁷⁶ *raz po raz* – dziś: raz po raz. [przypis edytorski]

karabinów, lśniących jak igły w papierku. Potem zadymiło się, zgrzytnęło jak łańcuch po żelaznej sztabie, a nad nami i około nas przeleciał wicher pocisków.

– Stój!... Pal!...

Wystrzeliłem co rychlej, pragnąc zasłonić się chociaż dymem. Pomimo huku usłyszałem za sobą niby uderzenie kijem w człowieka; ktoś z tyłu padł zawadzając o mój tornister. Opanował mnie gniew i desperacja; czułem, że zginę, jeżeli nie zabiję niewidzialnego wroga. Nabijałem broń i strzelałem bez pamięci, trochę zniżając karabin i myśląc z dziką satysfakcją, że moje kule nie pójdą górą. Nie patrzyłem na bok ani pod nogi; bałem się zobaczyć leżącego człowieka.

Wtem stało się coś nieoczekiwanego. W pobliżu nas zatrzeszczały bębny i rozległy się przeraźliwe piszczałki fajfrów²⁷⁷. Toż samo za nami. Ktoś krzyknął: „Naprzód!” i – nie wiem, z ilu piersi wybuchnął krzyk podobny do jęku albo do wycia. Kolumna poruszyła się z wolna, prędzej, biegiem... Strzały prawie ucichły i odzywały się tylko pojedynczo... Z impetem uderzyłem o coś piersiami, pchano się na mnie ze wszystkich stron, pchałem się i ja...

– Kłuj Szwaba!... – krzyczał nieludzkim głosem Katz, rwąc się naprzód. A że nie mógł wydobyć się z ciżby, więc podniósł karabin i walił kolbą w tornistry stojących przed nami kolegów.

Nareszcie zrobiło się tak ciasno, że zaczęła mi się giąć

²⁷⁷ *fajfer* – w dawnym wojsku muzyk przygrywający na piszczałce. [przypis redakcyjny]

klatka piersiowa i uczułem brak tchu. Uniesiono mnie do góry, opuszczono, a wtedy poznałem, że nie stoję na ziemi, ale na człowieku, który jeszcze pochwycił mnie za nogę. W tej chwili wrzeszczący tłum posunął się naprzód, a ja upadłem. Lewa ręka poślizgnęła mi się we krwi.

Obok mnie leżał przewrócony na bok oficer austriacki, człowiek młody, o bardzo szlachetnych rysach. Spojrzał na mnie ciemnymi oczyma z nieopisanym smutkiem i wyszeptał chrapliwym głosem:

– Nie trzeba deptać... Niemcy są też ludźmi...

Wsunął rękę pod bok i jęczał żałośnie.

Pobiegłem za kolumną. Nasi byli już na wzgórzach, gdzie stały austriackie baterie. Wdrapawszy się za innymi, zobaczyłem jedną armatę przewróconą, drugą zaprzężoną i otoczoną przez naszych.

Trafiłem na szczególną scenę. Jedni z naszych chwycili za koła armaty, drudzy ściągali woźnicę z siodła; Katz przebił bagnetem konia z pierwszej pary, a kanonier austriacki chciał zwalić go w łeb wyciorem²⁷⁸. Schwyciłem kanoniera za kołnierz i nagłym ruchem w tył przewróciłem go na ziemię. Katz i jego chciał przebić.

– Co robisz, wariacie?!... – zawołałem odbijając mu karabin.

Wtedy rozwścieczony rzucił się na mnie, ale stojący obok oficer pałaszem odtrącił mu bagnet.

– Czego się tu mieszasz?... – krzyknął Katz na oficera i –

²⁷⁸ wycior – szczotka do wycierania armaty po wystrzale. [przypis redakcyjny]

oprzytomniał.

Dwie armaty były wzięte, za resztą pognali husarzy. Daleko przed nami stali nasi pojedynczo i w gromadach, strzelając do cofających się Austriaków. Kiedy niekiedy jakaś zbłąkana kula nieprzyjacielska świsnęła nad nami albo zaryła się w ziemię wydmuchując obłoczek kurzu. Trębacze zwoływali do szeregów.

Około czwartej po południu pułk nasz ściągnięto; było po bitwie. Tylko na zachodniej krawędzi horyzontu jeszcze odzywały się pojedyncze strzały lekkiej artylerii, jak odgłosy burzy, która już przeszła.

W godzinę później na rozległym placu boju w różnych punktach zagrały pułkowe orkiestry. Przyleciał do nas adiutant z powinszowaniem. Trębacze i dobosze uderzyli sygnał: do modlitwy. Zdjęliśmy kaski, chorążowie podnieśli sztandary i cała armia, z bronią do nogi, dziękowała węgierskiemu Bogu za zwycięstwo.

Stopniowo dym opadł. Gdzie oko sięgło, widzieliśmy w rozmaitych miejscach jakby skrawki białego i granatowego papieru, bez ładu porozrzucane na zdeptanej trawie. W polu kręciło się kilkanaście furmanek, a jacyś ludzie składali na nich niektóre z owych skrawków. Reszta została.

– Mieli się też po co rodzić!... – westchnął oparty na karabinie Katz, którego znowu opanowała melancholia.

Było to bodaj czy nie ostatnie nasze zwycięstwo. Od tej chwili sztandary z trzema rzekami²⁷⁹, częściej chodziły przed

²⁷⁹ *sztandary z trzema rzekami* – wyrażenie niejasne; w dawnym herbie węgierskim

nieprzyjacielem aniżeli za nieprzyjacielem, dopóki wreszcie pod Vilagos²⁸⁰ nie opadły z drzewców jak liście na jesieni.

Dowiedziawszy się o tym Katz rzucił szpadę na ziemię (byliśmy już obaj oficerami) i powiedział, że teraz tylko sobie w łeb strzelić. Ja jednak pamiętając, że we Francji już siedzi Napoleon, dodałem mu otuchy i – przekradliśmy się do Komorna²⁸¹.

Przez miesiąc wyglądaliśmy odsieczy: z Węgier, z Francji, nawet z nieba. Nareszcie twierdza kapitulowała²⁸².

Pamiętam, że tego dnia Katz kręcił się około prochowni, a miał taki wyraz na twarzy jak wówczas, kiedy to chciał przebić leżącego kanoniera. Gwałtem wzięliśmy go w kilku pod ręce i wyprowadziliśmy z fortecy, za naszymi.

– Cóż to – szepnął mu jeden z kolegów – zamiast iść z nami na tułactwo, chciałbyś zmykać do nieba?... Ej! Katz, węgierska piechota nie tchórzy i nie łamie słowa danego, nawet... Szwabom...

W pięciu oddzieliliśmy się od reszty wojsk, połamaliśmy

znajdowały się trzy góry i cztery rzeki (Dunaj, Cisa, Sawa, Drawa). [przypis redakcyjny]

²⁸⁰ *Vilagós* – miejscowość w Siedmiogrodzie, gdzie wojska węgierskie pod dowództwem gen. Görgöya poddały się Paskiewiczowi (13 sierpnia 1849). [przypis redakcyjny]

²⁸¹ *Komorno* – miasto i twierdza nad Dunajem, na pograniczu Słowaczyny i Węgier. [przypis redakcyjny]

²⁸² *twierdza kapitulowała* – Komorno poddało się 25 października 1849 r. [przypis redakcyjny]

szpady, przebraliśmy się za chłopów i ukrywszy pod odzieżą pistolety wędrowaliśmy w stronę Turcji. Tropiła nas też, bo tropiła sfera Haynaua²⁸³!...

Podróż nasza po bezdrożach i lasach trwała ze trzy tygodnie. Pod nogami błoto, nad głowami deszcz jesienny, za plecami patrole, a przed nami wieczne wygnanie – oto byli nasi towarzysze. Mimo to mieliśmy dobry humor.

Szapary ciągle gadał, że Kossuth²⁸⁴ jeszcze coś wymyśli, Stein był pewny, że odezwie się za nami Turcja, Liptak wzdychał do noclegu i gorącej strawy, a ja mówiłem, że kto jak kto, ale Napoleon nas nie opuści. Deszcz rozmiękczył nam odzienie, jak masło, brnęliśmy w błocie wyżej kostek, poodłaziły nam podeszwy, a w butach grało jak na trąbce; mieszkańcy bali się sprzedać nam dzbanka mleka, a chłopci w jednej wsi gonili nas z widłami i kosami. Mimo to humor był, a Liptak pędząc obok mnie tak, aż błoto bryzgało, rzekł zadyszany:

– *Eljen Magyar!*²⁸⁵... Oto będziemy spali... Żeby tak jeszcze z kielich śliwowicy do poduszki!...

W tym wesołym towarzystwie obdartusów, przed którymi nawet wrony uciekały, tylko Katz był pochmurny. On najczęściej odpoczywał i jakoś prędzej mizerniał; miał spieczone usta,

²⁸³ *Haynau, Juliusz Jakub* (1786–1853) – feldmarszałek austriacki, który w r. 1849 z niezwykłym okrucieństwem zdławił powstanie węgierskie. [przypis redakcyjny]

²⁸⁴ *Kossuth Ludwik* (1802–1894) – polityk węgierski, wódz rewolucji węgierskiej 1848–1849 r. [przypis redakcyjny]

²⁸⁵ *Eljen Magyar!* (węg.) – niech żyją Węgry! [przypis redakcyjny]

a w oczach blade iskry.

– Boję się, żeby nie dostał zgniłej gorączki²⁸⁶ – rzekł raz do mnie Szapary.

Niedaleko rzeki Sawy²⁸⁷, nie wiem którego dnia naszej wędrowki, znaleźliśmy w pustej okolicy kilka chat, gdzie nas bardzo gościnnie przyjęto. Mrok już zapadł, wściekle byliśmy znużeni, ale dobry ogień i butelka śliwownicy napędziły nam wesołych myśli.

– Przysięgam – wołał Szapary – że najdalej w marcu Kossuth powoła nas do szeregów. Głupstwo zrobiliśmy łamiąc szpady...

– Może jeszcze w grudniu Turek wojska posunie – dodał Stein. – Ażeby się choć wygoić do tego czasu...

– Moi kochani!... – jęczał Liptak zawijając się w grochowiny – kładźcie się, do diabła, spać, bo inaczej ani Kossuth, ani Turek nas nie rozbudzi.

– Pewno, że nie rozbudzi! – mruknął Katz.

Siedział na ławie naprzeciw komina i smutno patrzył w ogień.

– Ty, Katz, niedługo w sprawiedliwość boską przestaniesz wierzyć – odezwał się Szapary marszcząc brwi.

– Nie ma sprawiedliwości dla tych, którzy nie umieli zginać z bronią w rękę! – krzyknął Katz. – Głupi wy i ja z wami... Turek albo Francuz nadstawi za was karku?... Czemużeście wy

²⁸⁶ *zgniła gorączka* – w ówczesnej terminologii lekarskiej gorączka, przy której „soki ciała psują się i gniją”. [przypis redakcyjny]

²⁸⁷ *Sawa* – prawy dopływ Dunaju. W tym czasie stanowiła granicę między posiadłościami austriackimi i tureckimi. [przypis redakcyjny]

sami nie umieli go nadstawić?...

– Ma gorączkę – szepnął Stein. – Będzie z nim kłopot w drodze...

– Węgry!... już nie ma Węgier! – mruczał Katz. – Równość... nigdy nie było równości!... Sprawiedliwość... nigdy jej nie będzie... Świnia wykąpie się nawet w bagnie; ale człowiek z sercem!... Darmo, panie Mincel, już ja u ciebie nie będę krajać mydła...

Zmiarkowałem, że Katz jest bardzo chory. Zbliżyłem się do niego i ciągnąc go na grochowiny, rzekłem:

– Chodź, Auguście, chodź...

– Gdzież pójde?... – odparł, na chwilę wytrzeźwiony.

A potem dodał:

– Z Węgier wypędzili, do Szwabów się nie zaciągnę...

Mimo to legł na barłogu. Ogień na kominie wygasał. Dopiliśmy wódkę i położyliśmy się rzędem z pistoletami w garści. W szczelinach chaty wiatr jęczał, jakby całe Węgry płakały, a nas zmorzył sen. Śniło mi się, że jestem małym chłopcem i że jest Boże Narodzenie. Na stole płonie choinka, przybrana tak ubogo, jak my byliśmy ubodzy, a dokoła: mój ojciec, ciotka, pan Raczek i pan Domański śpiewają fałszywymi głosami kolędę:

Bóg się rodzi – moc truchleje²⁸⁸.

²⁸⁸ *Bóg się rodzi – moc truchleje* – początek kolędy Franciszka Karpińskiego (1741–1825). [przypis redakcyjny]

Obudziłem się, łkając z żalu za moim dzieciństwem. Ktoś szarpał mnie za ramię.

Był to chłop, właściciel chaty. Podniósł mnie z grochowin i wskazując w stronę Katza mówił przerażony:

– Patrzcie no, panie wojak... Z nim się coś złego stało...

Porwał z komina łuczywo i zaświecił. Spojrzałem. Katz leżał na barłogu skurczony, z wystrzelonym pistoletem w rękę. Ogniste płatki przeleciały mi przed oczyma i zdaje mi się, że zemdlał.

Ocknąłem się na furze, którą właśnie dojeżdżaliśmy do Sawy. Już dniało, zapowiadał się dzień pogodny; od rzeki ciągnęła surowa wilgoć. Przetarłem oczy, porachowałem... Było na wozie nas czterech i piąty furman. Przecież powinno być pięciu. Nie, powinno być sześciu!... Szukałem Katza, nie mogłem się dopatrzyć. Nie pytałem o niego; płacz ścisnął mnie za gardło i myślałem, że mnie udusi. Liptak drzemał, Stein ocierał oczy, a Szapary patrzył na bok i tylko pogwizdywał *Rakoczego*, chociaż ciągle się mylił.

Ej! bracie Katz, cóżes ty zrobił najlepszego?... Czasem zdaje mi się, żeś znalazł tam w niebie i węgierską piechotę, i swój wystrzelany pluton... Niekiedy słyszę łoskot bębnow, ostry rytm marszu i komendę: „Na ramię broń!...” A wtedy myślę, że to ty, Katz, idziesz na zmianę warty przed bożym tronem... Bo kiepskim byłby Pan Bóg węgierski, gdyby się nie poznał na tobie!

...Alem się też rozgadał, Boże odpuść!... Myślałem

o Wokulskim, a piszę o sobie i o Katzu. Wracam więc do przedmiotu.

W parę dni po śmierci Katza weszliśmy do Turcji, a przez dwa lata następne ja, już sam, tułałem się po całej Europie. Byłem we Włoszech, Francji, Niemczech, nawet w Anglii, a wszędzie nękała mnie bieda i żarła tęsknota za krajem. Nieraz zdawało mi się, że stracę rozum słuchając potoków obcej mowy i widząc nie nasze twarze, nie nasze ubiory, nie naszą ziemię. Nieraz oddałbym życie, ażeby choć spojrzeć na las sosnowy i chałupy poszyte słomą. Nieraz jak dziecko wołałem przez sen: ja chcę do kraju!... A gdym się obudził zalany łzami, ubierałem się i pędem biegłem na ulicę, bo mi się przywidziało, że ta ulica koniecznie musi być Starym Miastem albo Podwalem.

Może bym się zabił z desperacji, gdyby nie ciągłe wiadomości o Ludwiku Napoleonie, który już został prezydentem, a myślał o cesarstwie. Było mi lżej dźwigać nędzę i tłumić wybuchy żalu, kiedym słuchał o triumfach człowieka, który miał wykonać testament Napoleona I i zrobić porządek w świecie.

Nie udało mu się wprowadzić, ale – zostawił syna. Nie od razu Kraków zbudowano!...

Nareszcie nie mogłem wytrzymać i – w grudniu 1851 roku przejechawszy wzdłuż Galicję stanąłem na komorze w Tomaszowie²⁸⁹. Jedna mnie tylko myśl trapiła:

„A nuż mnie i stąd wypędzą?...”

²⁸⁹ *Tomaszów Lubelski* – miasteczko leżące na ówczesnej granicy między Królestwem a Galicją. [przypis redakcyjny]

Nigdy zaś nie zapomnę radości, jakiej doznałem usłyszawszy, że mam jechać do Zamościa. Właściwie, tom nawet nie bardzo jechał; raczej szedłem, ale z jakąś uciechą!

W Zamościu bawiłem rok z czymś²⁹⁰. A żem dobrze drwa rąbał, więc byłem co dzień na świeżym powietrzu. Napisałem stamtąd list do Mincla i podobno otrzymałem od niego odpowiedź, nawet pieniądze; ale wyjąwszy pokwitowania z odbioru, bliższych szczegółów tego wypadku nie pamiętam.

Zdaje się jednak, że Jaś Mincel zrobił inną rzecz, choć nie wspomniał o niej do śmierci i nawet nie lubił o tym rozmawiać. Oto chodził on do różnych generałów, którzy odbyli węgierską kampanię, i tłumaczył im, że przecież powinni ratować kolegę w nieszczęściu. No i uratowali mnie, tak że już w lutym 1853 roku mogłem jechać do Warszawy. Zwrócono mi nawet patent oficerski²⁹¹, jedyną pamiątkę, jaką wyniosłem z Węgier nie licząc dwu ran: w piersi i w nogę. Było nawet lepiej, bo oficerowie wyprawili mi obiad, na którym gęsto piliśmy zdrowie węgierskiej piechoty. Od tej też pory mówię, że najtrwalsze stosunki zawiązują się na placu bitwy.

Ledwie opuścił mój dotychczasowy apartament będąc gołym jak pieprz turecki, zaraz zastąpił mi drogę nieznany Żydek i oddał list z pieniędzmi. Otworzyłem go i przeczytałem:

„Mój kochany Ignacy! Posyłam ci dwieście złotych na drogę,

²⁹⁰ W Zamościu bawiłem rok z czymś – w Zamościu było więzienie rosyjskie. [przypis redakcyjny]

²⁹¹ *patent oficerski* – dyplom oficerski. [przypis redakcyjny]

to się później obrachujemy. Zajedź wprost do mego sklepu na Krakowskim Przedmieściu, a nie na Podwał, broń Boże! bo tam mieszka ten złodziej Franc, niby mój brat, któremu nawet pies porządny nie powinien podawać ręki. Całuję cię, Jan Mincel. Warszawa, d. 16 lutego r. 1853.

Ale, ale!... Stary Raczek, co się z twoją ciotką ożenił, to wiesz – umarł, a i ona także, ale pierwej. Zostawili ci trochę gratów i parę tysięcy złotych. Wszystko jest u mnie w porządku, tylko salopę ciotki mole trochę sponiewierały, bo bestia Kaśka zapomniała włożyć bakuniu²⁹². Franc kazał cię ucałować. Warszawa, d. 18 lutego r. 1853.”

Ten sam Żydek wziął mnie do swego domu, gdzie doręczył mi tłomoczek z bielizną, odzieniem i obuwiem. Nakarmił mnie rosółem z gęsiny, potem gotowaną, a potem pieczoną gesiną, której do Lublina nie mogłem strawić. Nareszcie dał mi butelkę wybornego miodu, zaprowadził do gotowej już furmanki, lecz – ani chciał słuchać o żadnym wynagrodzeniu.

– Ja bym się wstydził brać od takiej osobe, co z migracje wraca – odpowiadał na wszystkie moje zakłęcia.

Dopiero, gdym już miał wsiąść do fury, odprowadził mnie na bok i rozejrzawszy się, czy kto nie podsłuchuje, szepnął:

– Jak pan dobrodziej ma węgierskie dukaty²⁹³, to ja kupię. Ja rzetelnie zapłacę, bo mnie potrzeba dla córki, co po Pańskim

²⁹² *bakuń* – tytoń najlichszego gatunku. [przypis redakcyjny]

²⁹³ *węgierskie dukaty* – monety złote o wysokiej, gwarantowanej zawartości złota. [przypis redakcyjny]

Nowym Roku wychodzi za mąż...

– Nie mam dukatów – odparłem.

– Pan dobrodziej był na węgierskie wojne i pan nie ma dukatów?... – rzekł zdziwiony.

Już postawiłem nogę na stopniu fury, kiedy ten sam Żydek odciągnął mnie drugi raz na stronę.

– Może pan dobrodziej ma jakie kosztowności?... Pierścionków, zygarków, branzeletów?... Jak zdrowia pragnę, ja rzetelnie zapłacę, bo to dla mojej córki...

– Nie mam, bracie, daję ci słowo...

– Nie ma pan? – powtórzył, szeroko otwierając oczy. – To po co pan chodził na Węgry?...

Ruszyliśmy, a on jeszcze stał i trzymał się ręką za brodę, z politowaniem kiwając głową.

Fura była wynajęta tylko dla mnie. Zaraz jednak na następnej uliczce furman spotkał swego brata, który miał bardzo pilny interes do Krasnegostawu²⁹⁴.

– Niech wielmożny pan pozwoli jego zabrać – prosił zdjawszy czapkę. – Na złe droge to on będzie szedł piechotą.

Pasażer wsiadł. Nim dojechaliśmy do bramy fortecznej²⁹⁵, zastąpiła nam drogę jakaś Żydówka z tłumokiem i poczęła krzykliwie rozmawiać z furmanem. Okazało się, że jest to jego

²⁹⁴ *Krasnystaw* – miasto nad rzeką Wieprz, położone 53 km na południowy wschód od Lublina. [przypis redakcyjny]

²⁹⁵ *Nim dojechaliśmy do bramy fortecznej...* – do r. 1866 Zamość, jako twierdza, otoczony był murami. [przypis redakcyjny]

ciotka, która ma w Fajstławicach²⁹⁶ chore dziecko.

– Może wielmożny pan pozwoli się jej przysiąść... To jest bardzo letka²⁹⁷ osoba... – prosił furman.

Za bramą wreszcie, w rozmaitych punktach szosy, znalazło się jeszcze trzech kuzynów mego furmana, który zabrał ich pod pozorem, że będzie mi w drodze weselej. Jakoż zepchnęli mnie na tylną oś wozu, deptali po nogach, palili szkaradny tytuń, a przede wszystkim wrzeszczeli jak opętani. Pomimo to nie pomieniałbym²⁹⁸ mego ciasnego kąta na najwygodniejsze miejsce we francuskich dyliżansach²⁹⁹ albo angielskich wagonach³⁰⁰. Byłem już w kraju.

Przez cztery dni zdawało mi się, że siedzę w przenośnej bożnicy. Na każdym popasie jakiś pasażer ubywał, inny zajmował jego miejsce. Pod Lublinem zsunęła mi się na plecy ciężka paka; istny cud, że nie stracił życia. Pod Kurowem³⁰¹ staliśmy parę godzin na szosie, gdyż zginął czyjś kufer, po który furman jeździł konno do karczmy. Przez całą wreszcie drogę czułem, że leżąc na moich nogach pierzyna jest gęściej zaludniona od Belgii.

Piątego dnia, przed wschodem słońca, stanęliśmy na Pradze.

²⁹⁶ *Fajstławice* – wieś znajdująca się 17 km od Krasnegostawu. [przypis redakcyjny]

²⁹⁷ *letka* – gwar. lekka. [przypis edytorski]

²⁹⁸ *nie pomieniałbym* – nie zamieniłbym. [przypis edytorski]

²⁹⁹ *dyliżans* – powóz pocztowy. [przypis redakcyjny]

³⁰⁰ *angielskie wagony* – mowa o wagonach kolejowych. [przypis redakcyjny]

³⁰¹ *Kurów* – miejscowość znajdująca się w pobliżu Puław. [przypis redakcyjny]

Ale że fur było mnóstwo, a łyżwowy most³⁰² ciasny, więc ledwie około dziesiątej zajechaliśmy do Warszawy. Muszę dodać, że wszyscy moi współpasażerowie znikli na Bednarskiej ulicy jak eter octowy³⁰³, zostawiając po sobie mocny zapach. Gdy zaś przy ostatecznym rachunku wspomniałem o nich furmanowi, wytrzeszczył na mnie oczy.

– Jakie pasażery?... – zawołał zdziwiony. – Wielmożny pan to jest pasażer, ale tamto – same parchy. Jak my stanęli na rogatce, to nawet strażnik dwa takie gałgany rachował za złotówkę na jeden paszport³⁰⁴. A wielmożny pan myśli, co oni byli pasażery!

...

– Więc nie było nikogo?... – odparłem. – A skądże, u licha, parchy, które mnie oblażyły?

– Może z wilgoci. Czy ja wiem! – odpowiedział furman.

Przekonany w ten sposób, że na bryce nie było nikogo oprócz mnie, sam jeden, rozumie się, zapłaciłem za całą podróż, co tak rozczuliło furmana, że wypytawszy się, gdzie będę mieszkał, obiecał mi przywozić co dwa tygodnie tytuń przemycany.

³⁰² *most łyżwowy* – most tymczasowy, ustawiony na łyżwach (płaskie, podłużne czółna, pontony); istniał przy ul. Bednarskiej w latach 1829–1864, do czasu wybudowania mostu Kierbedzia. (Prus jest tu o tyle niedokładny, że Rzecki wraca do Warszawy w lutym, a most łyżwowy na zimę zwijano.) [przypis redakcyjny]

³⁰³ *eter octowy* – eter etylowy, bezbarwna ciecz o ostrym zapachu, szybko się ulatniająca. [przypis redakcyjny]

³⁰⁴ *paszport* – ówczesnie: dowód osobisty uprawniający do przejazdu z miejscowości do miejscowości. [przypis redakcyjny]

– Nawet teraz – rzekł cicho – mam na furze centnar³⁰⁵. Może przynieść wielmożnego pana z parę funty?...

– Żeby cię diabli wzięli! – mruknąłem chwytając mój tłumoczek. – Tego jeszcze brakowało, ażeby aresztowali mnie za defraudację³⁰⁶.

Szybko biegnąc przez ulicę, przypatrywałem się miastu, które po Paryżu wydawało mi się brudne i ciasne, a ludzie posępni. Sklep J. Mincla na Krakowskim Przedmieściu łatwo znalazłem; ale na widok znanych miejsc i szyldów serce zaczęło mi się tak trząść, żem chwilę musiał odpocząć.

Spojrzałem na sklep – prawie taki jak na Podwalu; na drzwiach blaszany pałasz i bęben (może ten sam, który widziałem w dzieciństwie!) – w oknie talerze, koń i skaczący kozak... Ktoś uchylił drzwi i zobaczyłem w głębi zawieszone u sufitu: farby w pęczkach, korki w siatce, nawet wypchanego krokodyla.

Za kontuarem, blisko okna, siedział na starym fotelu Jan Mincel i ciągnął za sznurek kozaka...

Wszedłem drżąc jak galareta i stanąłem naprzeciw Jasia. Zobaczywszy mnie (już zaczął tyć chłopak) ciężko uniósł się z fotelu i przymrużył oczy. Nagle krzyknął do jednego z chłopców sklepowych:

– Wicek!... gnaj do panny Małgorzaty i powiedz, że wesele

³⁰⁵ *centnar* – jednostka wagi, 50 kg. [przypis redakcyjny]

³⁰⁶ *defraudacja* – sprzeniewierzenie; także przemyt przez granicę. [przypis redakcyjny]

zaraz po Wielkiejnocy...

Potem wyciągnął do mnie obie ręce ponad kontuarem i długo ściskaliśmy się milcząc.

– Aleś też walił Szwabów! Wiem, wiem – szepnął mi do ucha. – Siadaj – dodał wskazując krzesło. – Kaziek! rwij do *Grossmutter*... Pan Rzecki przyjechał!...

Siadłem i znowu nie mówiliśmy nic do siebie. On żałośnie trząśł głową, ja spuściłem oczy. Obaj myśleliśmy o biednym Katzu i o naszych zawiedzionych nadziejach. Wreszcie Mincel utarł nos z wielkim hałasem i odwróciwszy się do okna, mruknął:

– No, co tam...

Wrócił zadyszany Wicek. Uważałem³⁰⁷, że surdut tego młodzieńca połyskuje od tłustych plam.

– Byłeś? – spytał go Mincel.

– Byłem. Panna Małgorzata powiedziała, że dobrze.

– Żenisz się? – rzekłem do Jasia.

– Phi!... cóż mam robić! – odparł.

– A *Grossmutter* jak się ma?

– Zawsze jednakowo. Choruje tylko wtedy, kiedy stłuką jej dzbanek do kawy.

– A Franc?

– Nie gadaj mi o tym łajdaku – wstrząsnął się Jan Mincel. – Wczoraj przysiągłem sobie, że noga moja u niego nie postanie...

– Cóż ci zrobił? – spytałem.

– To podłe Szwabisko ciągle drwi z Napoleona!... Mówi, że

³⁰⁷ uważać – tu: zauważyć. [przypis edytorski]

złamał przysięgę rzeczypospolitej³⁰⁸, że jest kuglarzem, któremu oswojony orzeł napluł w kapelusz... Nie – mówił Jan Mincel – z tym człowiekiem żyć nie mogę...

Przez cały czas naszej rozmowy dwaj chłopcy i subiekt załatwiali interesantów, na których nawet nie zwracałem uwagi. Wtem skrzypnęły tylne drzwi sklepu i spoza szaf wysunęła się staruszka w żółtej sukni, z dzbanuszkami w ręku.

– Gut Morgen, meine Kinder!... Der Kaffee ist schon...

Pobiegłem i ucałowałem jej suche rączyny nie mogąc słowa przemówić.

– Ignaz!... Herr Jesas... Ignaz! – zawołała ściskając mnie. – *Wo bist du so lange gewesen, lieber Ignaz?*...³⁰⁹

– No, przecie Grossmutter wie, że był na wojnie. Co się tu pytać, gdzie był? – wtrącił Jan.

– *Herr Jesas!... Aber du hast noch keinen Kaffee getrunken?* ...³¹⁰

– Naturalnie, że nie pił – odparł Jan w moim imieniu.

– *Du lieber Gott! Es ist ja schon zehn Uhr...*³¹¹

³⁰⁸ złamał przysięgę rzeczypospolitej – złożoną przy wyborze na prezydenta, przez zamach stanu 2 grudnia 1851 roku. [przypis redakcyjny]

³⁰⁹ Ignaz!... Herr Jesas... Ignaz!... *Wo bist du so lange gewesen, lieber Ignaz?*... (niem.) – Ignacy!... Panie Jezu... Ignacy! Gdzie byłeś tak długo, drogi Ignacy?... [przypis redakcyjny]

³¹⁰ Herr Jesas... Aber du hast noch keinen Kaffee getrunken?... (niem.) – Panie Jezu... Ale ty nie piłeś jeszcze kawy?... [przypis redakcyjny]

³¹¹ Du lieber Gott! Es ist ja schon zehn Uhr (niem.) – Boże kochany! Jest już przecież dziesiąta godzina. [przypis redakcyjny]

Nalała mi kubek kawy, wręczyła trzy świeże bułki i znikła jak zwykle.

Teraz główne drzwi otworzyły się z łoskotem i wbiegł Franc Mincel, tłuściejszy i czerwieńszy od brata.

– Jak się masz, Ignacy!... – zawołał padając mi w objęcia.

– Nie całuj się z tym durniem, który jest zakałą rodu Minclów! ... – rzekł do mnie Jan.

– Oj! oj! co mi to za ród!... – odparł ze śmiechem Franc. – Nasz ojciec przyjechał taczkami we dwa psy...

– Nie gadam z panem! – wrzasnął Jan.

– Ja też nie do pana mówię, tylko do Ignacego – odparł Franc. – A nasz stryj – ciągnął dalej – było przecie takie zakute Szwabisko, że wylazł z trumny po swoją szlafmycę, której mu tam zapomnieli włożyć...

– Robisz mi pan afront w moim domu!... – krzyknął Jan.

– Nie przyszedłem do pańskiego domu, tylko do sklepu za sprawunkiem... Wicek! – zwrócił się Franc do chłopca – daj mi korek za grosz... Tylko zawiń go w bibułę... Do widzenia, kochany Ignacy, wpadnij do mnie dziś wieczorem, to przy dobrej butelce pogadamy. A może i ten pan z tobą przyjdzie – dodał już z ulicy, wskazując ręką na sinego z gniewu Jana.

– Noga moja nie postanie u podłego Szwaba! – krzyknął Jan.

To jednak nie przeszkadzało, że wieczorem byliśmy obaj u Franca.

Mimochodem wspomnę, że nie było tygodnia, w ciągu którego bracia Minclowie nie pokłóciliby się i nie pogodzili

przynajmniej ze dwa razy. Co zaś jest najosobliwszym, że przyczyny swarów nigdy nie wpływały z interesu natury materialnej. Owszem, pomimo największych nieporozumień bracia zawsze poręczali swoje kwity, pożyczali sobie pieniędzy i nawzajem płacili długi. Powody tkwiły w ich charakterach.

Jan Mincel był romantyk³¹² i entuzjasta, Franc spokojny i zgryźliwy; Jan był gorącym bonapartystą, Franc republikaninem i specjalnym wrogiem Napoleona III. Nareszcie Franc Mincel przyznawał się do niemieckiego pochodzenia, podczas gdy Jan uroczyście twierdził, że Minclowie pochodzą ze starożytnej polskiej rodziny Miętusów, którzy kiedyś, może za Jagiellonów, a może za królów wybieralnych osiedli między Niemcami.

Dość było jednego kieliszka wina, ażeby Jan Mincel zaczął bić pięściami w stół albo w plecy swoich sąsiadów i wrzeszczeć:

– Czuję w sobie starożytną polską krew!... Niemka nie mogłaby mnie urodzić!... Mam zresztą dokumenta...

I bardzo zaufanym osobom pokazywał dwa stare dyplomy, z których jeden odnosił się do jakiegoś Modzelewskiego, kupca w Warszawie za czasów szwedzkich³¹³, a drugi do Millera, kościuszkowskiego porucznika. Jaki by przecież istniał związek między tymi osobami a rodziną Minclów – nie wiem po dziś

³¹² *romantyk* – w tekście powieści przeważnie w znaczeniu: idealista i marzyciel, powodujący się uczuciem. [przypis redakcyjny]

³¹³ *za czasów szwedzkich* – tj. w czasie najazdu szwedzkiego na Polskę (1655–1660). [przypis redakcyjny]

dzień, choć objaśnienia niejednokrotnie słyszałem.

Nawet z powodu wesela Jana wybuchnął skandal między braćmi: Jan bowiem zaopatrzył się na tę uroczystość w amarantowy kontusz, żółte buty i szablę, podczas gdy Franc oświadczył, że nie pozwoli na taką maskaradę przy ślubie, choćby miał podać skargę do policji. Usłyszawszy to Jan przysiągł, że zabije denuncjanta, jeżeli go zobaczy, i do weselnej kolacji ubrał się w szaty swoich przodków Miętusów. Franc zaś był i na ślubie, i na weselu, lecz choć nie gadał z bratem, na śmierć zatańcowywał mu żonę i prawie do samobójstwa upił się jego winem.

Nawet zgon Franca, który w roku 1856 zmarł na karbunkuł³¹⁴, nie obszedł się bez awantury. W ciągu trzech ostatnich dni obaj bracia po dwa razy wykleli się i wydziedziczyli w sposób bardzo uroczysty. Mimo to Franc cały majątek zapisał Janowi, a Jan przez kilka tygodni chorował z żalu po bracie i – połowę odziedziczonej fortuny (około dwudziestu tysięcy złotych) przekazał jakimś trzem sierotkom, którymi nadto opiekował się do końca życia.

Dziwna to była rodzina!

I otóż znowu zboczyłem od przedmiotu: miałem pisać o Wokulskim, a piszę o Minclach. Gdybym nie czuł się tak rześkim, jak jestem, mógłbym posadzić się o gadulstwo zapowiadające bliską starość.

³¹⁴ *karbunkuł* – czyrak mnogi, owrzodzenia występujące przy zakażeniach bakteryjnych, najczęściej gronkowcami. [przypis redakcyjny]

Powiedziałem, że w postępowaniu Stasia Wokulskiego wielu rzeczy nie rozumiem i za każdym razem mam ochotę zapytać: na co to wszystko?...

Otóż kiedym wrócił do sklepu, prawie co wieczór zbieraliśmy się u *Grossmutter* na górze: Jan i Franc Minclowie, a czasem i Małgosia Pfeifer. Małgosia z Janem siadywali w okiennej framudze i trzymając się za ręce patrzyli w niebo; Franc pił piwo z dużego kufła (który miał cynową klapę), staruszka robiła pończochę, a ja – opowiadałem dzieje kilku lat spędzonych za granicą.

Najczęściej, rozumie się, była mowa o tęsknotach tułaczki, niewygodach żołnierskiego życia albo o bitwach. W takiej chwili Franc wypijał podwójne porcje piwa, Małgosia przytulała się do Jana (do mnie nikt się tak nie przytulał), a *Grossmutter* gubiła oczka w pończosze. Gdym już skończył, Franc wzdychał, szeroko rozsiadając się na kanapie, Małgosia całowała Jana, a Jan Małgosię, staruszka zaś trzęsąc głową mówiła:

– *Jesas! Jesas!... wie ist das schrecklich... Aber sag mir, lieber Ignaz, wozu also bist du denn nach Ungarn gegangen?*³¹⁵

– No, przecie *Grossmutter* rozumie, że chodził do Węgier na wojnę – wtrącił niecierpliwie Jan.

Lecz staruszka ciągle kręcąc głową ze zdziwienia mruczała do siebie:

³¹⁵ *Jesas! Jesas!... wie ist das schrecklich...* (niem.) – Jezu! Jezu!... jakie to straszne... Ale powiedz mi, drogi Ignacy, więc po co ty właściwie poszedłeś na Węgry? [przypis redakcyjny]

– *Der Kaffee war ja immer gut und zu Mittag hat er sich doch immer vollgegessen... Warum hat er denn das getan?...³¹⁶*

– O! bo *Grossmutter* myśli tylko o kawie i o obiedzie – oburzył się Jan.

Nawet kiedy opowiedziałem ostatnie chwile i straszną śmierć Katza, starowina wprawdzie rozplakała się, pierwszy raz od czasu, jak ją znałem; niemniej jednak otarłszy łzy i wzięwszy się znowu do swej pończochy, szeptała:

– *Merkwürdig³¹⁷!* Der Kaffee war ja immer gut und zu Mittag hat er sich doch immer vollgegessen... Warum hat er denn das getan?

Toż samo ja dziś nieomal co godzinę mówię o Stasiu Wokulskim. Miał po śmierci żony spokojny kawałek chleba, więc po co pojechał do Bułgarii? Zdobył tam taki majątek, że mógłby sklep zwinąć: po co zaś rozszerzył go? Ma przy nowym sklepie pyszne dochody, więc po co tworzy jeszcze jakąś spółkę?

...

Po co wynajął dla siebie ogromne mieszkanie? Po co kupił powóz i konie? Po co pnie się do arystokracji, a unika kupców, którzy mu tego darować nie mogą?...

A w jakim celu zajmuje się furmanem Wysockim albo jego bratem, dróżnikiem z kolei żelaznej? Po co kilku biednym czeladnikom założył warsztaty? Po co opiekuje się nawet

³¹⁶ *der Kaffee war ja immer gut...* (niem.) – kawa była przecież zawsze dobra i przy obiedzie najadał się do syta... Dlaczego więc to zrobił?... [przypis redakcyjny]

³¹⁷ *Merkwürdig* (niem.) – osobliwe. [przypis redakcyjny]

nierządnicą, która choć mieszka u magdalenek, mocno szkodzi jego reputacji?...

A jaki on sprytny... Kiedy dowiedziałem się na giełdzie o zamachu Hödla, wracam do sklepu i patrząc mu bystro w oczy mówię:

– Wiesz, Stasiu, jakiś Hödel strzelił do cesarza Wilhelma...³¹⁸

A on, jakby nigdy nic, odpowiada:

– Wariat.

– Ale temu wariatowi – ja mówię – zetną głowę.

– I słusznie – on odpowiada – nie będzie się mnożył ród wariacki.

Żeby mu przy tym drgnął choć jeden muskuł, nic. Skamieniałem wobec jego zimnej krwi.

Kochany Stasiu, tyś sprytny, alem i ja nie w ciemę bity: wiem więcej, aniżeli przypuszczasz, i to mi tylko bolesne, że nie masz do mnie zaufania. Bo rada przyjaciela i starego żołnierza mogłaby cię uchronić od niejednego głupstwa, jeżeli nie od plamy...

Ale co ja tu będę wypowiadać własne opinie; niech mówi za mnie bieg wypadków.

W początkach maja wprowadziliśmy się do nowego sklepu, który obejmuje pięć ogromnych salonów. W pierwszym pokoju,

³¹⁸ *Hödel strzelił do cesarza Wilhelma...* – 11 maja 1878 anarchista Maks Hödel dokonał nieudanego zamachu na Wilhelma I (1797–1888; król pruski od 1861, cesarz niem. od 1871). [przypis redakcyjny]

na lewo, mieszczą się same ruskie tkaniny³¹⁹: perkale, kretony, jedwabie i aksamity. Drugi pokój zajęty jest w połowie na te same tkaniny, a w połowie na drobiazgi do ubrania służące: kapelusze, kołnierzyki, krawaty, parasolki. W salonie frontowym najwykwintniejsza galanteria: brązy, majoliki³²⁰, kryształ, kość słoniowa. Następny pokój na prawo lokuje zabawki tudzież wyroby z drzewa i metalów, a w ostatnim pokoju na prawo są towary z gumy i skóry.

Tak sobie to uporządkowałem; nie wiem, czy właściwie, ale Bóg mi świadkiem, że chciałem jak najlepiej. Wreszcie pytałem o zdanie Stasia Wokulskiego; ale on, zamiast coś poradzić, tylko wzruszał ramionami i uśmiechał się, jakby mówił:

„A cóż mnie to obchodzi...”

Dziwny człowiek! Przyjdzie mu do głowy genialny plan, wykona go w ogólnych zarysach, ale – ani dba o szczegóły. On kazał przenieść sklep, on zrobił go ogniskiem handlu ruskich tkanin i galanterii zagranicznej, on zorganizował całą administrację. Ale zrobiwszy to, dziś ani miesza się do sklepu; składa wizyty wielkim panom albo jeździ swoim powozem do Łazienek³²¹, albo gdzieś znika bez śladu; a w sklepie ukazuje

³¹⁹ *ruskie tkaniny* – rosyjskie, sprowadzane z Rosji. [przypis redakcyjny]

³²⁰ *majoliki* – wyroby z palonej gliny, pokryte emalią o metalicznym połysku. [przypis redakcyjny]

³²¹ *Łazienki* – znany park warszawski w południowej części miasta, ulubione miejsce przechadzek. Nazwa pochodzi od pałacu z końca XVII wieku, przeznaczonego początkowo na łazienki. Pałac został całkowicie przebudowany w stylu klasycznym za czasów Stanisława Augusta. Wypalony przez Niemców po powstaniu warszawskim,

się ledwie przez parę godzin na dzień. Przy tym roztargniony, rozdrażniony, jakby na coś czekał albo czegoś się obawiał.

Ale cóż to za złote serce!

Ze wstydem wyznaję, że było mi trochę przykro wynosić się na nowy lokal. Jeszcze ze sklepem pół biedy; nawet wolę służyć w ogromnym magazynie, na wzór paryskich, aniżeli w takim kramie, jakim był nasz poprzedni. Żal mi jednak było mego pokoju, w którym dwadzieścia pięć lat przemieszkiałem. Ponieważ do lipca obowiązuje nas stary kontrakt, więc do połowy maja siedziałem w moim pokoiku, przypatrując się jego ścianom, kracie, która przypominała mi najmielsze chwile w Zamościu, i starym sprzętom.

„Jak ja to wszystko ruszę, jak ja to przeniosę, Boże miłosierny!...” – myślałem.

Aż jednego dnia, około połowy maja (rozeszły się wówczas wieści mocno pokojowe³²²), Staś przed samym zamknięciem sklepu przychodzi do mnie i mówi:

– Cóż, stary, czas by się przeprowadzić na nowe mieszkanie³²³.

został odrestaurowany i udostępniony zwiedzającym. [przypis redakcyjny]

³²² *wieści mocno pokojowe...* – poczynawszy od 6 maja 1878 prasa warszawska przynosiła wiadomości o polepszeniu się sytuacji międzynarodowej. Rosja wobec niebezpieczeństwa wojny z Anglią i Austrią oraz neutralnego stanowiska Niemiec poszła na ustępstwa. W połowie maja wyjechał do Londynu ambasador rosyjski, hr. Szuwałow; 30 maja został zawarty w Londynie tajny układ, w którym Anglia zgadzała się na zmiany terytorialne na Bałkanach, ze znacznym jednak uszczupleniem granic zainteresowanych państw, zwłaszcza Bułgarii. Odpowiadało to także interesom Austrii. W sytuacji międzynarodowej nastąpiło odprężenie. [przypis redakcyjny]

³²³ *przeprowadzić na nowe mieszkanie* – nowe mieszkanie Rzeckiego umieszcza Prus

Doznałem takiego uczucia, jakby ze mnie krew wyciekła.
A on prawił dalej:

– Chodźże ze mną, pokażę ci nowy lokal, który wzięłem dla ciebie w tym samym domu.

– Jak to wzięłeś? – pytam. – Przecież muszę umówić się o cenę z gospodarzem.

– Już zapłacone! – on odpowiada.

Wziął mnie pod rękę i prowadzi przez tylne drzwi sklepu do sieni.

– Ależ – mówię – tu lokal zajęty...

Zamiast odpowiedzi otworzył drzwi po drugiej stronie sieni... Wchodzę... Słowo honoru – salon!... Meble kryte utrecht³²⁴, na stołach albumy, w oknie majoliki... Pod ścianą biblioteka...

– Masz tu – mówi Staś pokazując bogato oprawne książki – trzy historie Napoleona I, życie Garibaldi³²⁵ i Kossutha, historię Węgier...

Z książek byłem bardzo kontent, ale ten salon, muszę wyznać, zrobił na mnie przykre wrażenie. Staś spostrzegł to i uśmiechnąwszy się, nagle otworzył drugie drzwi.

na Krakowskim Przedmieściu nr 7, w lokalu położonym od podwórza, przylegającym do „nowego sklepu” Wokulskiego. Wielbiciele *Lalki* umieścili tu z inicjatywy S. Godlewskiego w r. 1937 tablicę pamiątkową ku czci Rzeckiego. Mimo pożaru budynku w czasie powstania warszawskiego tablica ta ocalała; zginęła w latach powojennych, następnie została odtworzona i przywrócona. [przypis redakcyjny]

³²⁴ *utrecht* – rodzaj aksamitu używany do obicia mebli. [przypis redakcyjny]

³²⁵ *Garibaldi Józef* (1807–1882) – rewolucjonista włoski, przywódca walk o niepodległość i zjednoczenie Włoch. [przypis redakcyjny]

Boże miłosierny!... ależ ten drugi pokój to mój pokój, w którym mieszkalem od lat dwudziestu pięciu. Okna zakratowane, zielona firanka, mój czarny stół... A pod ścianą naprzeciw moje żelazne łóżko, dubeltówka i pudło z gitarą...

– Jak to – pytam – więc mnie już przenieśli?...

– Tak – odpowiada Staś – przenieśli ci każdy świeczek, nawet płachtę dla Ira.

Może to się wyda komuś śmiesznym, ale ja miałem łzy w oczach... Patrzyłem na jego surową twarz, smutne oczy i prawie nie mogłem wyobrazić sobie, że ten człowiek jest tak domyślny i posiada taką delikatność uczuć. Bo żebym mu choć wspomniał o tym... On sam odgadł, że mogę tęsknić za dawną siedzibą, i sam czuwał nad przeprowadzeniem moich gratów.

Szczęśliwa byłaby kobieta, z którą by on się ożenił (mam nawet dla niego partię...); ale on się chyba nie ożeni. Jakieś dzikie myśli snują mu się po głowie, ale nie o małżeństwie, niestety!.... Ile to już poważnych osób przychodziło do naszego sklepu niby za sprawunkami, a naprawdę w swaty do Stasia i – wszystko na nic.

Taka pani Szperlingowa ma ze sto tysięcy rubli gotowizną i dystylarnię. Czego ona już nie kupiła u nas, a wszystko dlatego, ażeby mnie zapytać:

– Cóż, nie żeni się pan Wokulski?

– Nie, pani dobrodziejo...

– Szkoda! – mówi pani Szperlingowa wzdychając. – Piękny sklep, duży majątek, ale – wszystko to rozejdzie się... bez

gospodyni. Gdyby zaś pan Wokulski wybrał sobie jaką poważną i majątną kobietę, wzmocniłby się nawet jego kredyt.

– Święte słowa pani dobrodziejki... – ja odpowiadam.

– *Adieu!* panie Rzecki – ona mówi (kładąc na kasie dwadzieścia albo i pięćdziesiąt rubli). – Ale niechże pan czasem nie wspomni panu Wokulskiemu o tym, że ja mówiłam coś o małżeństwie. Bo gotów pomyśleć, że stara baba poluje na niego... *Adieu*, panie Rzecki...

„Owszem, nie zaniedbam wspomnieć mu o tym...”

I zaraz myślę, że gdybym ja był Wokulskim, w jednej chwili ożeniłbym się z tą bogatą wdową. Jak ona zbudowana, *Herr Jesas!*...

Albo taki Szmeterling, rymarz. Ile razy załatwiamy rachunek, mówi:

– Nie mógłby się, panie tego, taki, panie tego, Wokulski żenić?... Chłop, panie, ognisty, kark jak u byka... Żeby mnie piorun panie tego, trzasł, sam oddałbym mu córkę, a w posagu dałbym im rocznie za dziesięć tysięcy, panie tego, rubli towaru... No?

Albo taki radca Wroński. Niebogaty, cichutki, ale kupuje u nas co tydzień choćby parę rękawiczek i za każdym razem mówi:

– Ma tu Polska nie ginać, mój Boże, kiedy tacy jak Wokulski nie żenią się. Bo to nawet, mój Boże! nie potrzebuje człowiek posagu, więc mógłby znaleźć panienkę, która, mój Boże! i do fortepianu, i domem zarządzi, i zna języki...

Takich swatów dziesiątki przewijają się przez nasz sklep. Niektóre matki, ciotki albo ojcowie po prostu przyprowadzają do nas panny na wydaniu. Matka, ciotka albo ojciec kupuje coś za rubla, a tymczasem panna chodzi po sklepie, siada, bierze się pod boki, ażeby zwrócić uwagę na swoją figurę, wysuwa naprzód prawą nóżkę, potem lewą nóżkę, potem wystawia rączki... Wszystko w tym celu, ażeby złapać Stacha, a jego albo nie ma w sklepie, albo jeżeli jest, to nawet nie patrzy na towar, jakby mówił:

– Taksacją³²⁶ zajmuje się pan Rzecki...

Wyjawszy rodzin mających dorosłe córki tudzież wdów i panien na wydaniu, które zdają się być odważniejszymi od węgierskiej piechoty, biedny mój Stach nie cieszy się sympatią. Nic dziwnego – oburzył przeciw sobie wszystkich fabrykantów jedwabnych i bawełnianych, a także kupców, którzy sprzedają ich towary.

Raz, przy niedzieli (rzadko mi się to zdarza), zaszedłem do handelku na śniadanie. Kieliszek anyżówki i kawałek śledzia przy bufecie, a do stołu porcyjka flaków i ćwiartka porteru – oto bał! Zapłaciłem niecałego rubla, ale com się nałykał dymu, a com się nasłuchał!... Wystarczy mi tego na parę lat.

W dusznym i ciemnym jak wędłarnia³²⁷ pokoju, gdzie mi flaki podano, siedziało ze sześciu jegomościów przy jednym stole. Byli to ludzie spasieni i dobrze odziani; zapewne kupcy,

³²⁶ *taksacja* – ocena. [przypis redakcyjny]

³²⁷ *wędłarnia* – wędzarnia. [przypis redakcyjny]

obywatele miejscy, a może i fabrykanci. Każdy wyglądał tak na trzy do pięciu tysięcy rubli rocznego dochodu.

Ponieważ nie znałem tych panów, a zapewne i oni mnie, nie mogę więc posądzić ich o umyślną szykanę. Proszę jednak wyobrazić sobie, co za traf, że właśnie gdym wszedł do pokoju, rozmawiali o Wokulskim. Kto mówił, z przyczyny dymu nie widziałem; wreszcie nie śmiałem podnieść oczu od talerza.

– Karierę zrobił! – mówił gruby głos. – Za młodu wysługiwał się takim jak my, a ku starości chce mu się fagasować wielkim panom.

– Ci dzisiejsi panowie – wtrącił jegomość dychawiczny – tyle warci co i on. Gdzie by to dawniej w hrabskim domu przyjmowali eks-kupczyka, który przez ożenek dorobił się majątku... Śmiech powiedzieć!...

– Fraszka ożenek – odparł gruby głos zakrztusiwszy się nieco – bogaty ożenek nie hańbi. Ale te miliony, zarobione na dostawach w czasie wojny, z daleka pachną kryminałem.

– Podobno nie kradł – odezwał się półgłosem ktoś trzeci.

– W takim razie nie ma milionów – huknął bas. – A w takim znowu wypadku po co zadziera nosa!... czego pnie się do arystokracji?

– Mówią – dorzucił inny głos – że chce założyć spółkę z samych szlachciców...

– Aha!... I oskubać ich, a potem zemknąć – wtrącił dychawiczny.

– Nie – mówił bas – on z tych dostaw nie obmyje się nawet

szarym mydłem. Kupiec galanteryjny robi dostawy! Warszawiak jedzie do Bułgarii!...

– Pański brat, inżynier, jeździł za zarobkiem jeszcze dalej – odezwał się półgłos.

– Zapewne! – przerwał bas. – Czy może i sprowadzał perkaliki z Moskwy? Tu jest drugi sęk: zabija przemysł krajowy!

...

– Ehe! he!... – zaśmiał się ktoś dotąd milczący – to już do kupca nie należy. Kupiec jest od tego, ażeby sprowadzał tańszy towar i z lepszym zyskiem dla siebie. Nieprawda?... Ehe! he!...

– W każdym razie nie dałbym trzech groszy za jego patriotyzm – odparł bas.

– Podobno jednak – wtrącił półgłos – ten Wokulski dowiódł swego patriotyzmu nie tylko językiem...

– Tym gorzej – przerwał bas. – Dowodził będąc gołym; ochłonał poczuwszy ruble w kieszeni.

– O!... że też my zawsze kogoś musimy posądzać albo o zdradę kraju, albo o złodziejstwo! Nieładnie!... – oburzał się półgłos.

– Coś go pan mocno bronisz?... – spytał bas posuwając krzesłem.

– Bronię, bom trochę o nim słyszał – odpowiedział półgłos. – Furmani u mnie niejaki Wysocki, który umierał z głodu, nim Wokulski postawił go na nogi...

– Za pieniądze z dostaw z Bułgarii!... Dobroczyńca!...

– Inni, panie, z bogacili się na funduszach narodowych³²⁸ i – nic. Ehe! he!...

– W każdym razie ciemna to figura – zakonkludował dychawiczny. – Rzuca się w prawo i w lewo, sklepu nie pilnuje, perkaliki sprowadza, szlachtę jakby chciał naciągnąć...

Ponieważ chłopiec sklepowy w tej chwili przyniósł im nowe butelki, więc wymknąłem się po cichu. Nie wmieszałem się do tej rozmowy, gdyż znając Stacha od dziecka, mógłbym im powiedzieć tylko dwa wyrazy: „Jesteście podli...”

I to wszystko gadają wówczas, kiedy ja drzę z obawy o jego przyszłość, kiedy wstając i kładąc się spać pytam: „Co on robi? po co robi? i co z tego wyniknie?...” I to wszystko gadają o nim dziś, przy mnie, który wczoraj patrzyłem, jak dróżnik Wysocki upadł mu do nóg dziękując za przeniesienie do Skierniewic i udzielenie zapomogi...

Prosty człowiek, a jaki uczciwy! Przywiózł ze sobą dziesięcioletniego syna i wskazując na Wokulskiego mówił:

– Przypatrz się, Pietrek, panu, bo to nasz największy dobrodziej... Jakby kiedy zechciał, żebyś sobie uciął rękę dla niego, utnij, a jeszcze mu się nie wywdzięczysz...

Albo ta dziewczyna, która pisała do niego od magdalenek: „Przypomniałam sobie jedną modlitwę z dziecinnych czasów, ażeby modlić się za pana...”.

Oto ludzie prości, oto dziewczyny występne; czyliż oni i one

³²⁸ Inni (...) z bogacili się na funduszach narodowych... – aluzja do nadużyć i defraudacji w czasie powstania styczniowego. [przypis redakcyjny]

nie mają więcej szlachetnych uczuć aniżeli my, surdutowcy³²⁹, po całym mieście chwalący się cnotami, w które zresztą żaden z nas nie wierzy. Ma Staś rację, że zajął się losem tych biedaków, chociaż... mógłby się nimi zajmować w sposób trochę spokojniejszy...

Ach! bo trwożą mnie jego nowe znajomości...

Pamiętam, w początkach maja wchodzi do sklepu jakiś bardzo niewyraźny jegomość (rude faworyty, oczy paskudne) i położywszy na kantorku swój bilet wizytowy, mówi dosyć połamany językiem:

– Proszę powiedzieć pan Wokulski, ja będę dziś siódma...

I tyle. Spojrzałem na bilet, czytam: „Wiliam Colins, nauczyciel języka angielskiego...” Cóż to za farsa?... Przecie chyba Wokulski nie będzie uczył się po angielsku?...

Wszystko jednak zrozumiałem³³⁰, gdy na drugi dzień przysły telegramy o... zamachu Hödla...

Albo inna znajomość, jakaś pani Meliton, która zaszczyca nas wizytami od chwili powrotu Stasia z Bułgarii. Chuda baba, mała, trajkocze jak młyn, a czujesz, że mówi tylko to, co chce

³²⁹ *surdutowcy* – osoby noszące surdut, w przeciwstawieniu do ludu. [przypis redakcyjny]

³³⁰ *Wszystko jednak zrozumiałem...* – Rzecki miał rzeczywiście pewne podstawy, by w Colinsie dopatrywać się emisariusza politycznego. W czasie wojny rosyjsko-tureckiej Anglia wysyłała do Królestwa swych agentów, ażeby pobudzać Polaków do powstania. Inspiracja ta padła jednak na grunt nieprzychylny; jedynym jej rezultatem był rychło (w marcu 1873) wykryty spisek warszawskiej młodzieży akademickiej z Adamem Szymańskim na czele. [przypis redakcyjny]

powiedzieć. Wpada raz, w końcu maja:

– Jest pan Wokulski? Pewno nie ma, spodziewam się... Wszak mówię z panem Rzeckim? Zaraz to zgadłam... Co za piękna neseserka!... Drzewo oliwkowe, znam się na tym. Niech pan powie panu Wokulskiemu, ażeby mi to przysłał, on wie mój adres, i – ażeby jutro, około pierwszej, był w Łazienkach...

– W których, przepraszam? – spytał, oburzony jej zuchwalstwem.

– Jesteś pan błazen... W królewskich! – odpowiada mi ta dama.

No i cóż!... Wokulski posłał jej neseserkę i pojechał do Łazienek. Wróciwszy zaś stamtąd, powiedział mi, że... w Berlinie zbierze się kongres³³¹ dla zakończenia wojny wschodniej... I kongres jest!...

³³¹ w Berlinie zbierze się kongres – Rosja zgodziła się, ażeby warunki traktatu z Turcją, dotyczące spraw ogólnoeuropejskich, zostały przedyskutowane na międzynarodowym kongresie. 26 maja 1878 r. zostały wysłane zaproszenia na kongres, który zebrał się 13 czerwca w Berlinie. Uczestniczyło w nim sześć głównych mocarstw europejskich i Turcja, przewodniczył Bismarck. Rosja okazała się na kongresie w całkowitej izolacji. Rezultatem obrad był traktat berliński z 13 lipca, znacznie umniejszający zyski polityczne Rosji. Bułgaria, poprzez którą carat zamierzał wzmocnić swe wpływy na Półwyspie Bałkańskim i nacisk na Turcję, została znacznie okrojona. Z północnej Bułgarii (między Dunajem a Bałkanami) utworzono małe księstwo podległe Turcji, z południowej – autonomiczną prowincję turecką pod nazwą Rumelii Wschodniej. Zwrócono również Turcji Macedonię i zdobycze terytorialne Serbii i Czarnogóry, przyznane im w traktacie san-stefańskim. Bośnia i Hercegowina zostały oddane Austrii pod czasową okupację. W rezultacie tej antyrosyjskiej polityki Anglii, Austrii i Niemiec sytuacja Słowian bałkańskich uległa znacznemu pogorszeniu. [przypis redakcyjny]

Taż sama jejmość wpada drugi raz, zdaje mi się, pierwszego czerwca.

– Ach! – woła – cóż to za piękny wazon!... Z pewnością francuska majolika, znam się na tym... Powiedz pan panu Wokulskiemu, ażeby mi go przysłał i... (tu dodała szeptem) i... powiedz mu pan jeszcze, że pojutrze około pierwszej...

Gdy wyszła, rzekłem do Lisieckiego:

– Załóż się pan, że pojutrze będziemy mieli ważną polityczną wiadomość.

– Niby trzeciego czerwca?... – odparł śmiejąc się.

Proszę sobie jednak wyobrazić nasze miny, kiedy przyszedł telegram donoszący... o zamachu Nobilinga³³² w Berlinie!... Ja myślałem, że padnę trupem, Lisiecki od tej pory zaprzestał już nieprzyzwoitych żartów na mój rachunek i co gorsze, zawsze wypytuje mnie o wiadomości polityczne...

Zaprawdę! strasznym nieszczęściem jest wielka reputacja. Ja bowiem od chwili, kiedy Lisiecki zwraca się do mnie jako do „poinformowanego”, straciłem sen i resztę apetytu... Cóż dopiero musi się dziać z moim biednym Stachem, który utrzymuje ciągłe stosunki z tym panem Colinsem i z tą panią Melitonową...

Boże miłosierny, czuwać nad nami!...

Już kiedym się tak rozgadał (dalibóg, robię się plotkarzem),

³³² *zamach Nobilinga* – 2 czerwca 1878 anarchista Karol Edward Nobiling dokonał w Berlinie zamachu na cesarza Wilhelma I, który ranny został w głowę i rękę. Zamach ten posłużył za pretekst do wprowadzenia ustaw wyjątkowych przeciw socjalistom. [przypis redakcyjny]

więc muszę dodać, że i w naszym sklepie panuje jakiś niezdrowy ferment. Oprócz mnie jest siedmiu subiektów (czy kiedy marzył o czymś podobnym stary Mincel!), ale – nie ma jedności. Klejn i Lisiecki, jako dawniejsi, trzymają tylko z sobą, resztę zaś kolegów traktują w sposób nie powiem pogardliwy, ale trochę z góry. Trzej zaś nowi subiekci: galanteryjny, metalowy i gumowy, znowu tylko z sobą się wdają, są sztywni i pochmurni. Wprawdzie pocziwy Zięba chcąc ich zbliżyć biega od starych do nowych i ciągle im coś perswaduje; ale nieborak ma tak nieszczęśliwą rękę, że antagoniści po każdej próbie godzenia krzywią się na siebie jeszcze szkaradniej.

Może gdyby nasz magazyn (z pewnością jest to magazyn, a w dodatku pierwszorzędny magazyn!), otóż gdyby on rozwijał się stopniowo, gdybyśmy co rok przybierali po jednym subieckie – nowy człowiek wsiąknąłby między starych i istniałaby harmonia. Ale jak od razu przybyło pięciu ludzi świeżych, jak jeden drugiemu często gęsto wchodzi w drogę (bo w tak krótkim czasie nie można ani towarów należycie uporządkować, ani każdemu określić sfery jego obowiązków), jest naturalnym, że muszą wyradzać się niesnaski. No, ale co ja mam się wdawać w krytykę czynności pryncypała i jeszcze człowieka, który ma więcej rozumu aniżeli my wszyscy...

W jednym tylko punkcie godzą się starzy i nowi panowie, a nawet pomagają im Zięba, oto: jeżeli chodzi o dokuczenie siódmemu naszemu subiektowi – Szlangbaumowi. Ten Szlangbaum (znam go od dawna) jest mojżeszowego

wyznania, ale człowiek porządny. Mały, czarny, zgarbiony, zarośnięty, słowem – trzech groszy nie dałbyś za niego, kiedy siedzi za kantorkiem. Ale niech no gość wejdzie (Szlangbaum pracuje w wydziale ruskich tkanin), *Chryste elejson!*³³³... Kręci się jak fryga³³⁴; dopiero co był na najwyższej półce na prawo, już jest przy najniższej szufladzie na środku i w tej samej chwili znowu gdzieś pod sufitem na lewo. Kiedy zaczniesz rzucać sztuki, zdaje się, że to nie człowiek, ale machina parowa; kiedy zaczniesz rozwijać i mierzyć, myślę, że bestia ma ze trzy pary rąk. Przy tym rachmistrz zawołany, a jak zaczniesz rekomendować towary, podsuwać kupującemu projekta, odgadywać gusta, wszystko niezmiernie poważnym tonem, to słowo honoru daję, że Mraczewski w ką!... Szkoda tylko, że jest taki mały i brzydki; musimy mu dodać jakiego głupiego a przystojnego chłopaka za pomocnika dla dam. Bo wprowadzić z ładnym subiektem damy dłużej siedzą, ale za to mniej grymaszą i mniej się targują.

(Swoją drogą, niechaj nas Bóg zachowa od damskiej klienteli. Ja może dlatego nie mam odwagi do małżeństwa, że ciągle widuję damy w sklepie. Stwórca świata formując cud natury, zwany kobietą, z pewnością nie zastanowił się, jakiej klęski narobi kupcom.)

Otóż Szlangbaum jest w całym znaczeniu porządnym obywatelem, a mimo to wszyscy go nie lubią, gdyż – ma nieszczęście być starozakonnym...

³³³ *Chryste elejson!* (grec.) – Chryste, zmiłuj się! [przypis redakcyjny]

³³⁴ *fryga* – zabawka dziecięca, rodzaj bączka. [przypis redakcyjny]

W ogóle, może od roku, uważam, że do starozakonnych rośnie niechęć³³⁵; nawet ci, którzy przed kilkoma laty nazywali ich Polakami mojżeszowego wyznania, dziś zwą ich Żydami. Zaś ci, którzy niedawno podziwiali ich pracę, wytrwałość i zdolności, dziś widzą tylko wyzysk i szachrajstwo.

Słuchając tego, czasem myślę, że na ludzkość spada jakiś mrok duchowy, podobny do nocy. W dzień wszystko było ładne, wesołe i dobre; w nocy wszystko brudne i niebezpieczne. Tak sobie myślę, ale milczę; bo cóż może znaczyć sąd starego subiekta wobec głosu znakomitych publicystów, którzy dowodzą, że Żydzi krwi chrześcijańskiej używają na mace³³⁶ i że powinni być w prawach swoich ograniczeni. Nam kule nad głowami inne wyświstywały hasła, pamiętasz, Katz?...

Taki stan rzeczy w osobliwy sposób oddziaływa na Szlangbauma. Jeszcze w roku zeszłym człowiek ten nazywał się Szlangowskim, obchodził Wielkanoc i Boże Narodzenie, i z pewnością najwierniejszy katolik nie zjadał tyle kiełbasy co

³³⁵ *do starozakonnych rośnie niechęć* – w latach tych antysemityzm wzmocnił się znacznie na tle konkurencji ekonomicznej. W r. 1876 ukazała się broszura Jana Jeleńskiego: *Niemcy, Żydzi i my*, która w ciągu kilku lat osiągnęła cztery wydania. W r. 1882 tenże Jeleński zaczyna wydawać pierwsze pismo antysemickie pt. „Rola”. W r. 1881 dochodzi w Warszawie do rozruchów antyżydowskich, które powtórzyły się w dwa lata później. [przypis redakcyjny]

³³⁶ *Żydzi krwi chrześcijańskiej używają na mace...* – przesąd o tzw. mordzie rytualnym, popełnianym rzekomo przez Żydów dla uzyskania krwi do wyrobu macy (mace: cienkie nie kiszzone ciasto wypiekane podczas świąt Paschy). Pomawianie Żydów o mord rytualny było długo wykorzystywane dla agitacji antyżydowskiej. [przypis redakcyjny]

on. Pamiętam, że gdy raz w cukierni zapytano go:

– Nie lubisz pan lodów, panie Szlangowski?

Odpowiedział:

– Lubię tylko kiełbasę, ale bez czosnku. Czosnku znieść nie mogę.

Wrócił z Syberii razem ze Stachem i doktorem Szumanem i zaraz wstąpił do chrześcijańskiego sklepu, choć Żydzi dawali mu lepsze warunki. Od tej też pory ciągle pracował u chrześcijan i dopiero w roku bieżącym wymówili mu posadę.

W początkach maja pierwszy raz przyszedł do Stacha z prośbą. Był bardziej skurczony i miał czerwieńsze oczy niż zwykle.

– Stachu – rzekł pokornym głosem – utonę na Nalewkach, jeżeli mnie nie przygarniesz.

– Dlaczegożeś od razu do mnie nie przyszedł? – spytał Stach.

– Nie śmiałem... Bałem się, żeby nie mówili o mnie, że Żyd musi się wszędzie wkręcić. I dziś nie przyszedłbym, gdyby nie troska o dzieci.

Stach wzruszył ramionami i natychmiast przyjął Szlangbauma z pensją półtora tysiąca rubli rocznie.

Nowy subiekt od razu wziął się do roboty, a w pół godziny później mruknął Lisiecki do Klejna:

– Co tu, u diabła, tak czosnek zalatuje, panie Klejn?...

Zaś w kwadrans później, nie wiem już z jakiej racji, dodał:

– Jak te kanalie Żydy cisną się na Krakowskie Przedmieście! Nie mógłby to parch, jeden z drugim, pilnować się Nalewek albo

Świętojskiej³³⁷?

Szlangbaum milczał, tylko drgały mu czerwone powieki.

Szcześnie, obie te zaczepki słyszał Wokulski. Wstał od biurka i rzekł tonem, którego, co prawda, nie lubię:

– Panie... panie Lisiecki! Pan Henryk Szlangbaum był moim kolegą wówczas, kiedy działo mi się bardzo źle. Czybyś więc pan nie pozwolił mu kolegować ze mną dziś, kiedy mam się trochę lepiej?...

Lisiecki zmieszał się czując, że jego posada wisi na włosku. Ukłonił się, coś mruknął, a wtedy Wokulski zbliżył się do Szlangbauma i uściskawszy go powiedział:

– Kochany Henryku, nie bierz do serca drobnych przycinków, bo my tu sobie po koleżeńsku wszyscy docinamy. Oświadczam ci także, że jeżeli opuścisz kiedy ten sklep, to chyba razem ze mną.

Stanowisko Szlangbauma wyjaśniło się od razu; dziś mnie prędzej coś powiedzą (ba! nawet zwymyślają) aniżeli jemu. Ale czy wynalazł kto sposób przeciw półsłówkom, minom i spojrzeniom?... A to wszystko truje biedaka, który mi nieraz mówi wzdychając:

– Ach, gdybym się nie bał, że mi dzieci zżydzieją, jednej chwili uciekłbym stąd na Nalewki...

– Bo dlaczego, panie Henryku – spytałem go – raz się, do licha, nie ochrzczisz?...

³³⁷ *Nalewki, Świętojska* – ulice w daw. żydowskiej dzielnicy Warszawy, zniszczone zupełnie w czasie powstania w getcie w 1943 r., a także w r. 1944. W czasie odbudowy powojennej powstała tu zupełnie nowa dzielnica, w której zachowano historyczne nazwy ulic. [przypis redakcyjny]

– Zrobiłbym to przed laty, ale nie dziś. Dziś zrozumiałem, że jako Żyd jestem tylko nienawistny dla chrześcijan, a jako meches byłbym wstrętny i dla chrześcijan, i dla Żydów. Trzeba przecie z kimś żyć. Zresztą – dodał ciszej – mam pięcioro dzieci i bogatego ojca, po którym będę dziedziczyć...

Rzecz ciekawa. Ojciec Szlangbauma jest lichwiarzem, a syn, ażeby od niego grosza nie wziąć, bieduje po sklepach jako subiekt.

Nieraz we cztery oczy rozmawiam o nim z Lisieckim.

– Za co – pytam – prześladujecie go? Wszakże on prowadzi dom na sposób chrześcijański, a nawet dzieciom urządza choinkę...

– Bo uważa – mówi Lisiecki – że korzystniej jadać macę z kiełbasą aniżeli samą.

– Był na Syberii, narażał się...

– Dla geszeftu³³⁸... Dla geszeftu nazywał się też Szlangowskim, a teraz znowu Szlangbaumem, kiedy jego stary ma astmę.

– Kpiliście – mówię – że stroi się w cudze pióra, więc wrócił do dawnego nazwiska.

– Za które dostanie ze sto tysięcy rubli po ojcu – odparł Lisiecki.

Teraz i ja wzruszyłem ramionami i umilkłem. Źle nazywać się Szlangbaumem, źle Szlangowskim; źle być Żydem, źle mechesem... Noc zapada, noc, podczas której wszystko jest

³³⁸ *geszeft* – pogardliwie: interes. [przypis redakcyjny]

szare i podejrzane!

A swoją drogą Stach na tym cierpi. Nie tylko bowiem przyjął do sklepu Szlangbauma, ale jeszcze daje towary żydowskim kupcom i paru Żydków przypuścił do współki. Nasi krzyczą i grożą, ale nie jego straszyć; zaciął się i nie ustąpi, choćby go piekli w ogniu.

Czym się to wszystko skończy, Boże miłosierny...

Ale, ale!... Ciągłe odbiegając od przedmiotu zapomniałem kilku bardzo ważnych szczegółów. Mam na myśli Mraczewskiego, który od pewnego czasu albo krzyżuje mi plany, albo wprowadza w błąd świadomie.

Chłopak ten otrzymał u nas dymisję za to, że w obecności Wokulskiego trochę zwymyślał socjalistów. Później jednakże Stach dał się ubłagać i zaraz po Wielkiejnocy wysłał Mraczewskiego do Moskwy podwyższając mu nawet pensję.

Nie przez jeden wieczór zastanawiałem się nad znaczeniem owej podróży czy zsyłki. Lecz gdy po trzech tygodniach Mraczewski przyjechał stamtąd do nas wybierać towary, natychmiast zrozumiałem plan Stacha.

Pod fizycznym względem młodzieniec ten niewiele się zmienił: zawsze wygadany i ładny, może cokolwiek bledszy. Mówi, że Moskwa mu się podobała, a nade wszystko tamtejsze kobiety, które mają mieć więcej wiadomości i ognia, ale za to mniej przesądów aniżeli nasze. Ja także, póki byłem młody, uważałem, że kobiety miały mniej przesądów aniżeli dziś.

Wszystko to jest dopiero wstępem. Mraczewski bowiem

przywiózł ze sobą trzy bardzo podejrzane indywidua, nazywając ich „prykaszczykami”³³⁹, i – całą pakę jakichś broszur³⁴⁰. Owi „prykaszczykowie” mieli niby coś oglądać w naszym sklepie, ale robili to w taki sposób, że nikt ich u nas nie widział. Włoczyli się po całych dniach i przysięgłbym, że przygotowywali u nas grunt do jakiejś rewolucji. Spostrzegłszy jednak, że mam na nich zwrócone oko, ile razy przyszli do sklepu, zawsze udawali pijanych, a ze mną rozmawiali wyłącznie o kobietach, twierdząc wbrew Mraczewskiemu, że Polki to „sama *prelest*”³⁴¹ – tylko bardzo podobne do Żydówek.

Udawałem, że wierzę wszystkiemu, co mówią, i za pomocą zręcznych pytań przekonałem się, iż – najlepiej znane im są okolice bliższe Cytadeli³⁴². Tam więc mają interesa. Że zaś domysły moje nie były bezpodstawnymi, dowiódł fakt, iż owi „prykaszczykowie” zwrócili nawet na siebie uwagę policji. W ciągu dziesięciu dni, nic więcej, tylko trzy razy odprowadzano ich do cyrkułów³⁴³. Widocznie jednak muszą mieć wielkie

³³⁹ *prykaszczyk* (ros.) – subiekt, ekspedient. [przypis redakcyjny]

³⁴⁰ *całą pakę jakichś broszur...* – istotnie w maju 1878 r. Waryński przywiózł, co prawda nie z Moskwy, lecz z Lipska, transport 6000 broszur socjalistycznych, co wywarło znaczny wpływ na ożywienie działalności propagandowej. [przypis redakcyjny]

³⁴¹ *sama prelest'* (ros.) – sama rozkosz, wprost cudowne. [przypis redakcyjny]

³⁴² *Cytadela* – zbudowane w w północnej części Warszawy z rozkazu cara Mikołaja I w latach 1832–1840 fortyfikacje. W jednym z budynków, tzw. dziesiątym pawilonie, znajdowało się więzienie polityczne. [przypis redakcyjny]

³⁴³ *cyrkuł* – dzielnica miasta; biuro policyjne zawiadujące częścią miasta. [przypis redakcyjny]

stosunki, ponieważ ich uwolniono.

Kiedym zakomunikował Wokulskiemu moje podejrzenia co do „prykaszczyków” – Stach tylko uśmiechnął się i odparł:

– To jeszcze nic...

Z czego wnoszę, że Stach musi być grubo zaawansowany w stosunkach z nihilistami³⁴⁴.

Proszę sobie jednak wyobrazić moje zdziwienie, kiedy zaprosiwszy raz Klejna i Mraczewskiego do siebie na herbatę przekonałem się, że Mraczewski jest gorszym socjalistą od Klejna... Ten Mraczewski, który za wymyślanie na socjalistów stracił u nas posadę!... Ze zdumienia przez cały wieczór nie mogłem ust otworzyć; tylko Klejn cieszył się po cichu, a Mraczewski rozprawiał.

Jak żyję, nie słyszałem nic równego. Młodzieniec ten dowodził mi przytaczając nazwiska ludzi, podobno bardzo mądrych, że wszyscy kapitałiści to złodzieje, że ziemia powinna należeć do tych, którzy ją uprawiają, że fabryki, kopalnie i maszyny powinny być własnością ogółu, że nie ma wcale Boga ani duszy, którą wymyślili księża, aby wyłudzać od ludzi dziesięcinę³⁴⁵. Mówił dalej, że jak zrobią rewolucję (on z trzema

³⁴⁴ *nihilisci* (z łac. *nihil*: nic) – przeciwnicy ideowi określali w ten sposób radykalną młodzież rosyjską lat sześćdziesiątych XIX wieku, wrogą absolutyzmowi carskiemu i tradycyjnym normom społeczno-obyczajowym; zarzucano nihilistom, że nie uznają żadnych zasad i wartości (stąd ukuto nazwę); w literaturze zagranicznej nazywano często nihilistami rewolucjonistów rosyjskich. [przypis redakcyjny]

³⁴⁵ *dziesięcina* – dawna danina kościelna (pierwotnie dziesiąta część płodów naturalnych). [przypis redakcyjny]

„przykaszczykami”), to od tej pory wszyscy będziemy pracowali tylko po osiem godzin, a przez resztę czasu będziemy się bawili, mimo to zaś każdy będzie miał emeryturę na starość i darmo pogrzeb. Wreszcie zakończył, że dopiero wówczas nastanie raj na ziemi, kiedy wszystko będzie wspólne: ziemia, budynki, maszyny, a nawet żony.

Ponieważ jestem kawalerem (nazywają mnie nawet starym) i piszę ten pamiętnik bez obłudy, przyznam więc, że mi się ta wspólność żon trochę podobała. Powiem nawet, że nabrałem niejakiej życzliwości dla socjalizmu i socjalistów. Po co oni jednak koniecznie chcą robić rewolucję, kiedy i bez niej ludzie miewali wspólne żony?

Tak myślałem, ale tenże sam Mraczewski uleczył mnie ze swoich teoryj, a zarazem bardzo pokrzyżował moje plany.

Nawiasowo powiem, że serdecznie chcę, ażeby się Stach ożenił. Gdyby miał żonę, nie mógłby tak często naradzać się z Colinsem i panią Meliton, a gdyby jeszcze przyszły dzieci, może zerwałby wszystkie podejrzane stosunki. Bo co to, żeby taki człowiek jak on, taka żołnierska natura, żeby kojarzył się z ludźmi, którzy bądź jak bądź nie występują na plac z bronią przeciw broni³⁴⁶. Węgierska piechota i wreszcie żadna piechota nie będzie strzelać do rozbrojonego przeciwnika. Ale czasy zmieniają się.

³⁴⁶ *nie występują na plac z bronią przeciw broni* – aluzja do terroru indywidualnego, stosowanego przez niektóre odłamy rosyjskiego ruchu rewolucyjnego („narodników” i anarchistów). [przypis redakcyjny]

Otóż bardzo pragnę, ażeby się Stach ożenił, i nawet myślę, że upatrzyłem mu partię. Bywa czasem w naszym magazynie (i bywała w tamtym sklepie) osoba dziwnej urody. Szatynka, szare oczy, rysy cudownie piękne, wzrost okazały, a rączki i nóżki – sam smak!... Patrzyłem, jak raz wysiadała z dorożki, i powiem, że mi się gorąco zrobiło wobec tego, com ujrzał... Ach, miałby poczciwy Stasiek wielki z niej pożytek, bo to i ciała w miarę, i usteczka jak jagódki... A co za biust!... Kiedy wchodzi ubrana do figury, to myślę, że wszedł anioł, który zleciawszy z nieba, na piersiach złożył sobie skrzydełka!...

Zdaje mi się, że jest wdową, gdyż nigdy nie widuję jej z mężem, tylko z małą córeczką Helunią, miluchną jak cukiereczek. Stach, gdyby się z nią ożenił, od razu musiałby zerwać z nihilistami, bo co by mu zostało czasu od posług przy żonie, to pieściłby jej dziecinę. Ale i taka żoneczka niewiele zostawiłaby mu chwil wolnych.

Już ułożyłem cały plan i rozmyślałem: w jaki by sposób zapoznać się z tą damą, a później przedstawić jej Stacha, gdy nagle – diabli przynieśli z Moskwy Mraczewskiego. Proszę zaś sobie wyobrazić mój gniew, kiedy zaraz na drugi dzień po swoim przyjeździe frant ten wchodzi do naszego sklepu z moją wdową!... A jak skakał przy niej, jak wywracał oczyma, jak starał się odgadywać jej myśli... Szczęście, że nie jestem otyły, bo wobec tych beczelnych zalotów dostałbym chyba apopleksji.

Kiedy w parę godzin wrócił do nas, pytałem go z najobojętniejszą miną, kto jest owa dama.

– Podobała się panu – on mówi – co?... Szampan, nie kobieta – dodał, bezwstydnie mrugając okiem. – Ale na nic pański apetyt, bo ona szaleje za mną... Ach, panie, co to za temperament, co za ciało... A gdybyś pan widział, jak wygląda w kaftaniku!...

– Spodziewam się, panie Mraczewski... – odparłem surowo.

– Ja przecież nic nie mówię! – odpowiada zacierając ręce w sposób, który wydał mi się lubieżnym. – Ja nic nie mówię! ... Największą cnotą mężczyzny, panie Rzecki, jest dyskrecja, panie Rzecki, szczególnie w bardziej poufanych stosunkach...

Przerwałem mu czując, że gdyby tak mówił dalej, musiałbym pogardzić tym młodzieńcem. Co za czasy, co za ludzie!... Bo ja, gdybym miał szczęście zwrócić na siebie uwagę jakiej damy, nie śmiałbym nawet myśleć o tym, a nie dopiero wrzeszczeć na cały głos, jeszcze w tak wielkim, jak nasz, magazynie.

Gdy zaś w dodatku wyłożył mi Mraczewski swoją teorię o wspólności żon, zaraz przyszło mi do głowy:

– Stach nihilista i Mraczewski nihilista... Niechże się więc pierwszy ożeni, to drugi zaraz mu zaprowadzi wspólność... A przecie szkoda byłoby takiej kobiety dla takiego Mraczewskiego.

W końcu maja Wokulski postanowił zrobić poświęcenie naszego magazynu. Przy tej sposobności zauważyłem, jak się czasy zmieniają... Za moich młodych lat kupcy także poświęcali sklepy troszcząc się o to, ażeby ceremonii dopełnił ksiądz sędziwy a pobożny, ażeby na miejscu była autentyczna

woda święcona, nowe kropidło i organista biegły w łacinie. Po skończonym zaś obrządku, przy którym pokropiono i obmodlono prawie każdą szafę i sztukę towaru, przybijało się na progu sklepu podkowę, ażeby zwabiła gości, a dopiero potem – myślano o przekąsce, zwykle złożonej z kieliszka wódki, kielbasy i piwa.

Dziś zaś (co by powiedzieli na to rówieśnicy starego Mincla!) pytano przede wszystkim: ilu potrzeba kucharzy i lokajów, a potem: ile butelek szampana, ile węgryna i – jaki obiad? Obiad bowiem stanowił główną wagę uroczystości, gdyż i zaproszeni nie o to troszczyli się: kto będzie święcił, ale co podadzą do stołu?...

W wigilię³⁴⁷ ceremonii wpadł do naszego magazynu jakiś jegomość przysadkowaty, spocony, o którym nie mógłbym powiedzieć, czy kołnierzyki wały mu szyję, czy też działa się na odwrót. Z wytartej surduciny wydobył gruby notes, włożył na nos zatłuszczone binokle i – począł chodzić po pokojach z taką miną, że mnie po prostu wzięta trwoga.

„Co, u diabła – myślę – czyby kto z policji, czy może jakiś sekretarz komornika spisuje nam ruchomości?...”

Dwa razy zastępowałem mu drogę, chcąc jak najgrzeczniej spytać: czego by sobie życzył? Ale on za pierwszym razem mruknął: „Proszę mi nie przeszkadzać!” – a za drugim bez ceremonii odsunął mnie na bok.

Zdumienie moje było tym większe, że niektórzy z naszych

³⁴⁷ *wigilia* – dzień poprzedzający (szczególnie jakieś święto). [przypis edytorski]

panów kłaniali mu się bardzo uprzejmie i zacierając ręce, jakby co najmniej przed dyrektorem banku, dawali wszelkie objaśnienia.

„No – mówię w duchu – jużci chyba ten biedaczysko nie jest z towarzystwa ubezpieczeń. Ludzi tak obdartych tam nie trzymają...”

Dopiero Lisiecki szepnął mi, że ten pan jest bardzo znakomitym reporterem i że będzie nas opisywał w gazetach. Ciepło mi się zrobiło koło serca na myśl, że mogę ujrzeć w druku moje nazwisko, które raz tylko figurowało w „Gazecie Policyjnej”, gdym zgubił książeczkę. Jednej chwili spostrzegłem, że w tym człowieku jest wszystko wielkie: wielka głowa, wielki notes, a nawet – bardzo wielka przyszczyпка³⁴⁸ u lewego buta.

A on wciąż chodził po pokojach nadęty jak indyk i pisał, wciąż pisał... Nareszcie odezwał się:

– Czy w tych czasach nie było u panów jakiego wypadku?... Małego pożaru, kradzieży, nadużycia zaufania, awantury?...

– Boże uchowaj! – ośmieliłem się wtrącić.

– Szkoda – odparł. – Najlepszą reklamą dla sklepu byłoby, gdyby się tak kto w nim powiesił...

Struchlałem usłyszawszy to życzenie.

– Może pan dobrodziej – odważyłem się wtrącić z ukłonem – raczy wybrać sobie jaki przedmiocik, który odeszłemy bez pretensji...

– Łapówka?... – zapytał spoglądając na mnie jak figura

³⁴⁸ przyszczyпка – łatka z boku na obuwiu. [przypis redakcyjny]

Kopernika. – Mamy zwyczaj – dodał – to, co nam się podoba, kupować; prezentów nie przyjmujemy od nikogo.

Włożył poplamiony kapelusz na głowę na środku magazynu i z rękami w kieszeniach wyszedł jak minister. Jeszcze po drugiej stronie ulicy widziałem jego przyszczypkę.

Wracam do ceremonii poświęcenia.

Główna uroczystość, czyli obiad, odbyła się w wielkiej sali Hotelu Europejskiego³⁴⁹. Salę ubrano w kwiaty, ustawiono ogromne stoły w podkowę, sprowadzono muzykę i o szóstej wieczór zebrało się przeszło sto pięćdziesiąt osób. Kogo bo tam nie było!... Głównie kupcy i fabrykanci z Warszawy, z prowincji, z Moskwy, ba, nawet z Wiednia i z Paryża. Znalazło się też dwu hrabiów, jeden ksiązę i sporo szlachty. O trunkach nie wspominam, gdyż naprawdę nie wiem, czego było więcej: listków na roślinach zdobiących salę czy butelek.

Kosztowała nas ta zabawa przeszło trzy tysiące rubli, ale widok tylu jedzących osób był zaiste okazały. Kiedy zaś wśród ogólnej ciszy powstał ksiązę i wypił zdrowie Stacha, kiedy zagrała muzyka, nie wiem już jaki kawałek, ale bardzo ładny, i stu pięćdziesięciu ludzi huknęło: „Niech żyje!” – miałem łzy w oczach. Pobiegłem do Wokulskiego i ściskając go szepnąłem:

³⁴⁹ *hotel Europejski* – najelegantszy wówczas hotel Warszawy, usytuowany na Krakowskim Przedmieściu, z wielką salą restauracyjną, tzw. Pompejańską (znajdującą się na I piętrze w narożniku od Krakowskiego Przedmieścia), gdzie właśnie odbywa się przyjęcie wydane przez Wokulskiego. Hotel (według projektu Henryka Marconiego) otwarty został w r. 1856. Wypalony w r. 1944, obecnie został odbudowany. [przypis redakcyjny]

– Widzisz, jak cię kochają...

– Lubią szampana – powiedział.

Zauważyłem, że wiwaty nic go nie obchodzą. Nie rozchmurzył się nawet, choć jeden z mówców (musiał być literat, bo gadał dużo i bez sensu) powiedział, nie wiem, w swoim czy w Wokulskiego imieniu, że... jest to najpiękniejszy dzień jego życia.

Uważałem, że Stach najwięcej kręci się koło pana Łęckiego, który przed swym bankructwem ocierał się podobno o europejskie dwory... Zawsze ta nieszczęśliwa polityka!...

Z początku uczty wszystko odbywało się bardzo poważnie; coraz któryś z biesiadników zabierał głos i gadał tak, jakby chciał odgadać wypite wino i zjedzone potrawy. Lecz im więcej wynoszono pustych butelek, tym dalej uciekała z tego zgromadzenia powaga, a w końcu – zrobił się przecie taki hałas, że wobec niego prawie oniemiała muzyka.

Byłem zły jak diabeł i chciałem zwymyślać przynajmniej Mraczewskiego. Odciągnąwszy go jednak od stołu zdobyłem się ledwie na te słowa:

– No, i po co to wszystko?...

– Po co?... – odparł patrząc na mnie błędnymi oczyma. – To tak dla panny Łęckiej...

– Zwariowałaś pan!... Co dla panny Łęckiej?...

– No... te spółki... ten sklep... ten obiad... Wszystko dla niej... I ja przez nią wyleciałem ze sklepu... – mówił Mraczewski opierając się na moim ramieniu, gdyż nie mógł

ustać.

– Co?... – mówię widząc, że jest zupełnie pijany. – Wyleciałeś przez nią ze sklepu, więc może i przez nią dostałeś się do Moskwy?...

– Rozum... rozumie się... Szepnęła słówko, takie... nieduże słóweczko i... dostałem trzysta rubli więcej na rok... Żabcia ze starym wszystko robi, co się jej podoba...

– No idź pan spać – rzekłem.

– Właśnie, że nie pójdę spać... Pójdę do moich przyjaciół... Gdzie oni są?... Oni by sobie z Żabcią prędzej poradzili... Nie grałaby im po nosie jak staremu... Gdzie moi przyjaciele? – zaczął wrzeszczeć.

Naturalnie, że kazałem go odprowadzić do numeru na górę. Domyślam się jednak, że udawał pijanego, ażeby mnie otumanić.

Około północy sala była podobna do trupiarni albo do szpitala; coraz kogoś trzeba było wyciągać do numeru albo do dorożki. Wreszcie odnalazłszy doktora Szumana, który był prawie trzeźwy, zabrałem go do siebie na herbatę.

Doktor Szuman jest także starozakonnny, ale niezwykle to człowiek. Miał nawet ochrzcić się, gdyż zakochał się w chrześcijance; ale że umarła, więc dał spokój. Mówią nawet, że truł się z żalu, ale go odratowano. Dziś całkiem porzucił praktykę lekarską, ma spory majątek i tylko zajmuje się badaniem ludzi czy też ich włosów. Mały, żółty, ma przejmujące spojrzenie, przed którym trudno by coś ukryć. A że zna się ze Stachem od dawna, więc musi wiedzieć wszystkie jego tajemnice.

Po hucznym obiedzie byłem dziwnie zafrasowany i chciałem Szumana pociągnąć trochę za język. Jeżeli ten dzisiaj nie powie mi czego o Stachu, to już chyba nigdy nic nie będę wiedział.

Kiedy przyszliśmy do mego mieszkania i podano samowar, odezwałem się:

– Powiedz mi, doktorze, ale szczerze, co myślisz o Stachu?... Bo on mnie niepokoi. Widzę, że od roku rzuca się na jakieś po prostu awantury... Ten wyjazd do Bułgarii, a dziś ten magazyn... spółka... powóz... Jest dziwna zmiana w jego charakterze...

– Nie widzę zmiany – odparł Szuman. – Był to zawsze człowiek czynu, który, co mu przyszło do głowy czy do serca, wykonywał natychmiast. Postanowił wejść do uniwersytetu i wszedł, postanowił zrobić majątek i zrobił. Więc jeżeli wymyślił jakieś głupstwo, to także się nie cofnie i robi głupstwo kapitalne. Taki już charakter.

– Z tym wszystkim – wtrąciłem – widzę w jego postępowaniu wiele sprzeczności...

– Nic dziwnego – przerwał doktor. – Stopiło się w nim dwu ludzi: romantyk sprzed roku sześćdziesiątego i pozytywista z siedemdziesiątego. To, co dla patrzących jest sprzeczne, w nim samym jest najzupełniej konsekwentne.

– A czy nie wplątał się w jakie nowe historie?... – spytałem.

– Nic nie wiem – odparł sucho Szuman.

Umilkłem i dopiero po chwili spytałem znowu:

– Cóż z nim jednak w rezultacie będzie?...

Szuman podniósł brwi i splótł ręce.

– Będzie źle – odparł. – Tacy ludzie jak on albo wszystko naginają do siebie, albo trafiwszy na wielką przeszkodę rozbijają sobie łeb o nią. Dotychczas wiodło mu się, ale... nie ma przecie człowieka, który by w życiu wygrywał same dobre losy...

– Więc?... – spytałem.

– Więc możemy zobaczyć tragedię – zakończył Szuman. Wypił szklanekę herbaty z cytryną i poszedł do siebie.

Całą noc spać nie mogłem. Takie straszne zapowiedzi w dzień triumfu...

Eh! stary Pan Bóg więcej wie od Szumana; a On chyba nie pozwoli zmarnować się Stachowi...

XI. Stare marzenia i nowe znajomości

Pani Meliton przeszła twardą szkołę życia, w której nauczyła się nawet lekceważyć powszechnie przyjęte opinie.

Za młodu mówiono jej powszechnie, że panna ładna i dobra, choćby nie miała majątku, może jednak wyjść za mąż. Była dobrą i ładną, lecz za mąż nie wyszła. Później mówiono również powszechnie, że wykształcona nauczycielka zdobywa sobie miłość pupilów i szacunek ich rodziców. Była wykształconą, nawet zamilowaną nauczycielką, lecz mimo to pupilki jej dokuczały, a ich rodzice drwili z niej od pierwszego śniadania do kolacji. Potem czytała dużo romansów, w których powszechnie dowodzono, że zakochani książęta, hrabiowie i baronowie są ludźmi szlachetnymi, którzy w zamian za serce mają zwyczaj oddawać ubogim nauczycielkom rękę. Jakoż oddała serce młodemu i szlachetnemu hrabiemu, lecz nie pozyskała jego ręki.

Już po trzydziestym roku życia wyszła za mąż za podstarzałego guwernera, Melitona, w tym jedynie celu, ażeby moralnie podźwignąć człowieka, który nieco się upijał. Nowożeńiec jednak po ślubie więcej pił aniżeli przed ślubem, a małżonkę, dźwigającą go moralnie, czasami okładał kijem.

Gdy umarł, podobno na ulicy, pani Meliton odprowadziwszy go na cmentarz i przekonawszy się, że jest niezawodnie zakopany, wzięła na opiekę psa; znowu bowiem powszechnie mówiono, że pies jest najwdzięczniejszym stworzeniem. Istotnie,

był wdzięcznym, dopóki nie wściekł się i nie pokąsał służącej, co samą panią Meliton przyprawiło o ciężką chorobę.

Pół roku leżała w szpitalu, w osobnym gabinecie, samotna i zapomniana przez swoje pupilki, ich rodziców i hrabiów, którym oddawała serce. Był czas do rozmyślań. Toteż gdy wyszła stamtąd chuda, stara, z posiwiałymi i przerzedzonymi włosami, znowu zaczęto mówić powszechnie, że choroba zmieniła ją do niepoznania.

– Zmądrzałam – odpowiedziała pani Meliton.

Nie była już nauczycielką, ale rekomendowała nauczycielki; nie myślała o zamążpójściu, ale swatała młode pary; nikomu nie oddawała swego serca, ale we własnym mieszkaniu ułatwiała schadzki zakochanym. Że zaś każdy i za wszystko musiał jej płacić, więc miała trochę pieniędzy i z nich żyła.

W początkach nowej kariery była posępna i nawet cyniczna.

– Książdz – mówiła osobom zaufanym – ma dochody ze ślubów, ja z zaręczyn. Hrabia... bierze pieniądze za ułatwianie stosunków koniom, ja za ułatwianie znajomości ludziom.

Z czasem jednak stała się powściągliwszą w mowie, a niekiedy nawet moralizującą, spostrzegłszy, że wygłaszanie zdań i opinii przyjętych przez ogół wpływa na wzrost dochodów.

Pani Meliton od dawna znała się z Wokulskim. A że lubiła widowiska publiczne i miała zwyczaj wszystko śledzić, więc prędko zauważyła, że Wokulski zbyt nabożnie przypatruje się pannie Izabeli. Zrobiwszy to odkrycie wzruszyła ramionami; cóż ją mógł obchodzić kupiec galanteryjny zakochany w pannie

Łęckiej? Gdyby upodobał sobie jakąś bogatą kupcową albo córkę fabrykanta, pani Meliton miałaby materiał do swatów. Ale tak!...

Dopiero gdy Wokulski powrócił z Bułgarii i przywiózł majątek, o którym opowiadano cuda, pani Meliton sama zaczęła go o pannę Izabelę, ofiarowując swoje usługi. I stanął milczący układ: Wokulski płacił hojnie, a pani Meliton udzielała mu wszelkich informacji o rodzinie Łęckich i związanych z nimi osobach wyższego świata. Za jej nawet pośrednictwem Wokulski nabył weksle Łęckiego i srebra panny Izabeli.

Przy tej okazji pani Meliton odwiedziła Wokulskiego w jego prywatnym mieszkaniu, ażeby mu powinszować.

– Bardzo rozsądnie przystępujesz pan do rzeczy – mówiła. – Wprawdzie ze sreber i serwisu niewielka będzie pociecha, ale skup weksli Łęckiego jest arcydziełem... Znać kupca!...

Usłyszawszy taką pochwałę Wokulski otworzył biurko, poszukał w nim i za chwilę wydobył paczkę weksli.

– Te same? – rzekł pokazując je pani Meliton.

– Tak. Chciałabym mieć te pieniądze!... – odpowiedziała z westchnieniem.

Wokulski ujął paczkę w obie ręce i rozdarł ją.

– Znać kupca?... – spytał.

Pani Meliton przypatrzyła mu się ciekawie i kiwając głową mruknęła:

– Szkoda pana.

– Dlaczegoż to, jeżeli łaska?...

– Szkoda pana – powtórzyła. – Sama jestem kobietą i wiem, że kobiet nie zdobywa się ofiarami, tylko siłą.

– Czy tak?

– Siłą piękności, zdrowia, pieniędzy...

– Rozumu... – wtrącił Wokulski jej tonem.

– Rozumu nie tyle, prędzej pięści – dodała pani Meliton z szyderczym uśmiechem. – Znam dobrze moją płęć i nieraz miałam okazję litować się nad naiwnością męską.

– Dla mnie niech pani sobie nie zadaje tego trudu.

– Myślisz pan, że nie będzie potrzebny? – spytała patrząc mu w oczy.

– Łaskawa, pani – odparł Wokulski – jeżeli panna Izabela jest taką, jak mi się wydaje, to może mnie kiedyś oceni. A jeżeli nią nie jest, zawsze będę miał czas rozczarować się...

– Zrób to wcześniej, panie Wokulski, zrób wcześniej – rzekła podnosząc się z fotelu. – Bo wierz mi, łatwiej wyrzucić tysiące rubli z kieszeni aniżeli jedno przywiązanie z serca. Szczególniej, gdy się już zagnieździ. A nie zapomnij pan – dodała – dobrze umieścić mój kapitałik. Nie darłbyś paru tysięcy, gdybyś wiedział, jak ciężko nieraz trzeba na nie pracować.

W maju i czerwcu wizyty pani Meliton stały się częstszymi, ku zmartwieniu Rzeckiego, który podejrzewał spisek. I nie mylił się. Był spisek, ale przeciw pannie Izabeli; stara dama dostarczała ważnych informacji Wokulskiemu, ale dotyczących tylko panny Izabeli. Zawiadamiała go mianowicie: w których dniach hrabina wybiera się ze swoją siostrzenicą na spacer do Łazienek.

W takich wypadkach pani Meliton wpadała do sklepu i zrealizowawszy sobie wynagrodzenie w formie kilku- lub kilkunastorublowego drobiazgu, mówiła Rzeckiemu dzień i godzinę.

Dziwne to bywały epoki dla Wokulskiego. Dowiedziawszy się, że jutro będą panie w Łazienkach, już dziś tracił spokójność. Obojętniał dla interesów, był rozdrażniony; zdawało mu się, że czas stoi w miejscu i że owe jutro nie nadejdzie nigdy. Noc miał pełną dzikich marzeń; niekiedy w półśnie, półjawie szeptał:

„Cóż to jest w rezultacie?... nic!... Ach, jakież ze mnie bydlę...”

Lecz gdy nadszedł ranek, bał się spojrzeć w okno, ażeby nie zobaczyć zachmurzonego nieba, i znowu do południa czas rozciągał mu się tak, że w jego ramach mógł był pomieścić całe swoje życie, zatrute dziś okropną goryczą.

„Czyliż to może być miłość?...” – zapytywał sam siebie z desperacją.

Rozgorączkowany, już w południe kazał zaprzęgać i jechać. Co chwilę zdawało mu się, że spotyka wracający powóz hrabiny, to znowu, że jego rwące się z cugli konie idą zbyt wolno.

Znalazłszy się w Łazienkach wyskakiwał z powozu i biegł nad sadzawkę, gdzie zazwyczaj spacerowała hrabina lubiąca karmić łabędzie. Przychodził zawczasu, a wtedy padał gdzieś na ławkę, zalany zimnym potem, i siedział bez ruchu, z oczyma skierowanymi w stronę pałacu, zapominając o świecie.

Nareszcie na końcu alei ukazały się dwie kobiece figury,

czarna i szara. Wokulskiemu krew uderzyła do głowy.

„One!... Czy mnie choć zatrzymają?...”

Podniósł się z ławki i szedł naprzeciw nich jak lunatyk, bez tchu. Tak, to jest panna Izabela: prowadzi ciotkę i o czymś z nią rozmawia.

Wokulski przypatruje się jej i myśli:

„No i cóż jest w niej nadzwyczajnego?... Kobieta jak inne... Zdaje mi się, że bez potrzeby szaleję na jej rachunek...”

Uklonił się, panie się odkloniły. Idzie dalej nie odwracając głowy, ażeby się nie zdradzić. Nareszcie ogląda się: obie panie znikły między zielonością.

„Wróć się – myśli – jeszcze raz spojrzę... Nie, nie wypada!”

I czuje w tej chwili, że połyskująca woda sadzawki ciągnie go z nieprzepartą siłą.

„Ach, gdybym wiedział, że śmierć jest zapomnieniem... A jeżeli nie jest?... Nie, w naturze nie ma miłosierdzia... Czy godzi się w nędzne ludzkie serce wlać bezmiar tęsknoty, a nie dać nawet tej pociechy, że śmierć jest nicością?”

Prawie w tym samym czasie hrabina mówiła do panny Izabeli:

– Coraz bardziej przekonuję się, Belu, że pieniądze nie dają szczęścia. Ten Wokulski zrobił świetną jak dla niego karierę, lecz – cóż stąd?... Już nie pracuje w sklepie, ale nudzi się w Łazienkach. Uważałaś, jaką on ma znudzoną minę?

– Znudzoną? – powtórzyła panna Izabela. – Mnie on wydaje się przede wszystkim zabawnym.

– Nie dostrzegłam tego – zdziwiła się hrabina.

– Więc... nieprzyjemnym – poprawiła się panna Izabela.

Wokulski nie miał odwagi wyjść z Łazienek. Chodził po drugiej stronie sadzawki i z daleka przypatrywał się migającej między drzewami szarej sukni. Dopiero później spostrzegł, że przypatruje się aż dwom szarym sukniom, a trzeciej niebieskiej, że żadna z nich – nie należy do panny Izabeli.

„Jestem piramidalnie głupi” – pomyślał.

Ale nic mu to nie pomogło.

Pewnego dnia, w pierwszej połowie czerwca, pani Meliton dała znać Wokulskiemu, że jutro w południe panna Izabela będzie na spacerze z hrabiną i – z prezesową. Drobnym ten wypadek mógł mieć pierwszorzędne znaczenie.

Wokulski bowiem od pamiętnej Wielkanocy parę razy odwiedzał prezesową i poznał, że staruszka jest mu bardzo życzliwa. Zwykle słuchał jej opowiadań o dawnych czasach, rozmawiał o swoim stryju, nawet ostatecznie umówił się o nagrobek dla niego. W toku tej wymiany myśli, nie wiadomo skąd, wpłatało się imię panny Izabeli tak nagle, że Wokulski nie mógł ukryć wzruszenia; twarz mu się zmieniła, głos stłumił się.

Staruszka przyłożyła binokle do oczu i wpatrzywszy się w Wokulskiego spytała:

– Czy mi się tylko wydaje, czyli też panna Łęcka nie jest ci obojętną?

– Prawie nie znam jej... Mówiłem z nią raz w życiu... – tłumaczył się zmieszany Wokulski.

Prezesowa wpadła w zamyślenie i kiwając głową szepnęła:

– Ha...

Wokulski pożegnał ją, ale owe³⁵⁰ „ha...” utkwіło mu w pamięci. W każdym razie był pewny, że w prezesowej nie ma nieprzyjaciółki. I otóż w niecały tydzień po tej rozmowie dowiedział się, że prezesowa jedzie z hrabiną i z panną Izabelą na spacer do Łazienek. Czyżby dowiedziała się, że panie go tam spotykają?... A może chce ich zbliżyć?...

Wokulski spojrział na zegarek: była trzecia po południu.

„Więc to jutro – pomyślał – za godzin... dwadzieścia cztery... Nie, nie tyle... Za ileż to?...”

Nie mógł zrachować, ile godzin upłynie od trzeciej do pierwszej w południe. Ogarnął go niepokój; nie jadł obiadu; fantazja rwała się naprzód, ale trzeźwy rozum hamował ją.

„Zobaczymy, co będzie jutro. A nuż będzie deszcz albo która z pań zachoruje?”

Wybiegł na ulicę i błakając się bez celu, powtarzał:

„No, zobaczymy, co będzie jutro... A może mnie nie zatrzymają?... Zresztą panna Izabela jest sobie piękna panna, przypuścmy, że nawet niezwykle piękna, ale tylko panna, nie nadprzyrodzone zjawisko. Tysiące równie ładnych chodzi po świecie, a ja też nie myślę czepiać się zębami jednej spódnicy. Odepchnie mnie?... Dobrze!... Z tym większym rozmachem padnę w objęcia innej...”

Wieczorem poszedł do teatru, lecz opuścił go po pierwszym akcie. Znowu wałęsał się po mieście, a gdzie

³⁵⁰ owe – dziś: owo. [przypis edytorski]

stąpił, prześladowała go myśl jutrzejszego spaceru i niejasne przeczucie, że jutro zbliży się do panny Izabeli.

Minęła noc, ranek. O dwunastej kazał zaprząć powóz. Napisał kartkę do sklepu, że przyjdzie później, i poszarpał jedną parę rękawiczek. Nareszcie wszedł służący.

„Konie gotowe!” – błysnęło Wokulskiemu.

Wyciągnął rękę po kapelusz.

– Książę!... – zameldował służący.

Wokulskiemu pociemniało w oczach.

– Proś.

Książę wszedł.

– Dzień dobry, panie Wokulski – zawołał. – Pan gdzieś wyjeżdża? – Zapewne do składów albo na kolej. Ale nic z tego. Aresztuję pana i zabieram do siebie. Będę nawet tak niegrzeczny, że zakwateruję się do pańskiego powozu, bo dziś swego nie wziąłem. Jestem jednak pewny, że wszystko to wybaczy mi pan ze względu na doskonałe wiadomości.

– Raczy książę spocząć?...

– Na chwilkę. Niech pan sobie wyobrazi – mówił książę siadając – że dopóty dokuczałem naszym panom bratom³⁵¹... Czy dobrze powiedziałem?... Dopóty ich prześladowałem, aż obiecali przyjść w kilku do mnie i wysłuchać projektu pańskiej spółki. Natychmiast więc pana zabieram, a raczej zabieram się z panem i – jedziemy do mnie.

³⁵¹ naszym panom bratom... – tj. szlachcie. (Książę nie jest pewny tej formy gramatycznej, dlatego pyta: „Czy dobrze powiedziałem?”) [przypis redakcyjny]

Wokulski doznał takiego wrażenia jak człowiek, który spadł z wysokości i uderzył piersiami o ziemię.

Pomieszczenie jego nie uszło uwagi księcia, który uśmiechnął się przypisując to radości z jego wizyty i zaprosin. Przez głowę mu nawet nie przeszło, że dla Wokulskiego może być ważniejszym spacer do Łazienek aniżeli wszyscy książęta i spółki.

– A więc jesteśmy gotowi? – spytał książę powstając z fotelu.

Sekundy brakowało, ażeby Wokulski powiedział, że nie pojedzie i nie chce żadnych spółek. Ale w tym samym momencie przebiegła mu myśl:

„Spacer – to dla mnie, spółka – dla niej.”

Wziął kapelusz i pojechał z księciem. Zdawało mu się, że powóz nie jedzie po bruku, ale po jego własnym mózgu.

„Kobiet nie zdobywa się ofiarami, tylko siłą, bodaj pięści...” – przypomniał sobie zdanie pani Meliton. Pod wpływem tego aforyzmu chciał porwać księcia za kołnierz i wyrzucić go na ulicę. Ale trwało to tylko chwilę.

Książę przypatrywał mu się spod rzęs, a widząc, że Wokulski to czerwienieje, to błędnie, myślał:

„Nie spodziewałem się, że zrobię aż taką przyjemność temu poczciwemu Wokulskiemu. Tak, trzeba zawsze podawać rękę nowym ludziom...”

W swoim towarzystwie książę nosił tytuł zagorzałego patrioty, prawie szowinisty; poza towarzystwem cieszył się opinią jednego z najlepszych obywateli. Bardzo lubił mówić po polsku, a nawet

treścią jego francuskich rozmów były interesa publiczne.

Był arystokratą od włosów do nagniotków, duszą, sercem, krwią. Wierzył, że każde społeczeństwo składa się z dwu materiałów: zwyczajnego tłumu i klas wybranych. Zwyczajny tłum był dziełem natury i mógł nawet pochodzić od małpy, jak to wbrew Pismu świętemu utrzymywał Darwin. Lecz klasy wybrane miały jakiś wyższy początek i pochodziły, jeżeli nie od bogów, to przynajmniej od pokrewnych im bohaterów, jak Herkules³⁵², Prometeusz³⁵³, od biedy – Orfeusz³⁵⁴.

Księżę miał we Francji przyjaciela, hrabiego (w najwyższym stopniu dotkniętego zarazą demokratyczną), który drwił sobie z naziemskich początków arystokracji.

– Mój kuzynie – mówił – myślę, że nie zdajesz sobie należycie sprawy z kwestii rodów. Cóż to są wielkie rody? Są nimi takie, których przodkowie byli hetmanami, senatorami, wojewodami, czyli po dzisiejszemu: marszałkami, członkami izby wyższej³⁵⁵ lub prefektami departamentów³⁵⁶. No – a przecie

³⁵² Herkules – mitologiczny bohater starożytny, odznaczał się nadludzką siłą, dokonał wielu niezwykłych czynów. [przypis redakcyjny]

³⁵³ Prometeusz – według mitologii greckiej tytan, który ukradł ogień z nieba i przyniósł go ludziom. Za karę został przykuty do skały na Kaukazie, a sęp szarpał jego wątrobę. [przypis redakcyjny]

³⁵⁴ Orfeusz – jeden z bohaterów mitologii greckiej, który śpiewem swoim poskramiał dzikie zwierzęta i ożywiał martwe przedmioty. [przypis redakcyjny]

³⁵⁵ *izba wyższa* – parlament w państwach burżuazyjnych składa się z dwu oddzielnych przedstawicielstw, zwanych „izbami”. Do izby wyższej należą często (np. w Anglii) przedstawiciele arystokracji rodowej. [przypis redakcyjny]

³⁵⁶ *prefekt departamentu* – naczelnny urzędnik departamentu (jednostka

takich panów znamy, nic w nich nadzwyczajnego... Jedzą, piją, grają w karty, umizgają się do kobiet, zaciągają długi – jak reszta śmiertelników, od których są niekiedy głupsi.

Księżciu na twarz występowały chorobliwe rumieńce.

– Czy spotkałeś kiedy, kuzynie – odparł – prefekta lub marszałka z takim wyrazem majestatu, jaki widzimy na portretach naszych przodków?...

– Cóż w tym dziwnego – śmiał się zarażony hrabia. – Malarze nadawali obrazom wyraz, o jakim nie śniło się żadnemu z oryginałów; tak jak heraldycy³⁵⁷ i historycy opowiadali o nich bajeczne legendy. To wszystko kłamstwa, mój kuzynie!... To tylko kulisy i kostiumy, które z jednego Wojtka robią księcia, a z innego parobka. W rzeczywistości jeden i drugi jest tylko lichym aktorem.

– Z szyderstwem, kuzynie, nie ma rozprawy! – wybuchął książę i uciekał. Biegł do siebie, kładł się na szezlongu z rękoma splecionymi pod głową i patrząc w sufit widział przesuwające się na nim postacie nadludzkiego wzrostu, siły, odwagi, rozumu, bezinteresowności. To byli – przodkowie jego i hrabiego; tylko że hrabia zapierał się ich. Czyżby istniała w nim jaka przymieszka krwi?...

Tłumem zwyczajnych śmiertelników książę nie tylko nie gardził, ale owszem: miał dla nich życzliwość, a nawet stykał się z nimi i interesował ich potrzebami. Wyobrażał sobie, że

administracyjna we Francji)). [przypis redakcyjny]

³⁵⁷ heraldyk – badacz herbów szlacheckich. [przypis redakcyjny]

jest jednym z Prometeuszów, którzy mają poniekąd honorowy obowiązek sprowadzić tym biednym ludziom ogień z nieba na ziemię. Zresztą religia nakazywała mu sympatię dla maluczkich i książę rumienił się na samą myśl, że większa część towarzystwa stanie kiedyś przed boskim sądem bez tego rodzaju zasługi.

Więc aby uniknąć wstydu dla siebie, bywał i nawet zwoływał do swego mieszkania rozmaite sesje, wydawał po dwadzieścia pięć i po sto rubli na akcje rozmaitych przedsiębiorstw publicznych, nade wszystko zaś – ciągle martwił się nieszczęśliwym położeniem kraju, a każdą mowę swoją kończył frazesem:

– Bo, panowie, myślmv najpierw o tym, ażeby podźwignąć nasz nieszczęśliwy kraj...

A gdy to powiedział, czuł, że z serca spada mu jakiś ciężar; tym większy, im więcej było słuchaczy albo im więcej rubli wydał na akcje.

Zwołać sesję, zachęcić do przedsiębiorstwa i cierpieć, wciąż cierpieć nad nieszczęśliwym krajem, oto jego zdaniem były obowiązki obywatela. Gdyby go jednak spytano, czy zasadził kiedy drzewo, którego cień ochroniłby ludzi i ziemię od spiekoty? albo czy kiedy usunął z drogi kamień raniący koniom kopyta? – byłby szczerze zdziwiony.

Czuł i myślał, pragnął i cierpiał – za miliony. Tylko – nic nigdy nie zrobił użytecznego. Zdawało mu się, że ciągłe frasowanie się całym krajem ma bez miary wyższą wartość od utarcia nosa zasmolonemu dziecku.

W czerwcu fizjognomia Warszawy ulega widocznej zmianie. Puste przedtem hotele napełniają się i podwyższają ceny, na wielu domach ukazują się ogłoszenia: „Apartament z meblami do wynajęcia na kilka tygodni.” Wszystkie dorożki są zajęte, wszyscy pośłańcy biegają. Na ulicach, w ogrodach, teatrach, w restauracjach, na wystawach, w sklepach i magazynach strojów damskich widać figury nie spotykane w zwykłym czasie. Są nimi tędzy i opaleni mężczyźni w granatowych czapkach z daszkami, w zbyt obszernych butach, w ciasnych rękawiczkach, w garniturach pomysłu prowincjonalnego krawca. Towarzyszą im gromadki dam, nie odznaczających się pięknnością ani warszawskim szykiem, tudzież nie mniej liczne gromadki niezręcznych dzieci, którym z ust szeroko otwartych wygląda zdrowie.

Jedni z wiejskich gości przyjeżdżają tu z wełną na jarmark, drudzy na wyścigi, inni, ażeby zobaczyć wełnę i wyścigi; ci dla spotkania się z sąsiadami, których na miejscu mają o wiorstę drogi, tamci dla odświeżenia się w stolicy mętnej wody i pyłu, a owi męczą się przez kilkudniową podróż sami nie wiedząc po co.

Z podobnego zjazdu skorzystał książę, ażeby zbliżyć Wokulskiego z ziemiaństwem.

Książę we własnym pałacu, na pierwszym piętrze, zajmował ogromne mieszkanie. Część jego, złożona z gabinetu pana, biblioteki i fajczarni³⁵⁸, była miejscem męskich zebrań, na

³⁵⁸ fajczarnia – palarnia. [przypis redakcyjny]

których książę przedstawiał swoje lub cudze projekta dotyczące spraw publicznych. Zdarzało się to po kilka razy w roku. Ostatnia nawet sesja wiosenna była poświęcona kwestii statków śrubowych³⁵⁹ na Wiśle, przy czym bardzo wyraźnie zarysowały się trzy stronnictwa. Pierwsze, złożone z księcia i jego osobistych przyjaciół, koniecznie domagało się śrubowców, drugie zaś, mieszczańskie, uznając w zasadzie piękność projektu, uważało go jednak za przedwczesny i nie chciało dać na ten cel pieniędzy. Trzecie stronnictwo składało się tylko z dwu osób: pewnego technika, który twierdził, że śrubowce nie mogą pływać po Wiśle, i pewnego głuchego magnata, który na wszystkie odezwy, skierowane do jego kieszeni, stale odpowiadał:

– Proszę trochę głośniej, bo nic nie sływać...

Książę z Wokulskim przyjechali o pierwszej, a w kwadrans po nich zaczęli schodzić się i zjeżdżać inni uczestnicy sesji. Książę witał każdego z uprzejmą poufałością, prezentował Wokulskiego, a następnie podkreślał przybysza na liście zaproszonych bardzo długim i bardzo czerwonym ołówkiem.

Jednym z pierwszych gości był pan Łęcki; wziął Wokulskiego na stronę i jeszcze raz wypytał go o cel i znaczenie spółki, do której należał już całą duszą, ale nigdy nie mógł dobrze spamiętać, o co chodzi. Tymczasem inni panowie przypatrywali się intruzowi i zniżonym głosem robili o nim uwagi.

– Bycza mina! – szepnął otyły marszałek wskazując okiem na

³⁵⁹ *statki śrubowe* – poruszane przez obrót śruby zanurzonej w wodzie, a wprawianej w ruch przez maszynę parową. [przypis redakcyjny]

Wokulskiego. – Szczec na głowie jeży mu się jak dzikowi, pierś – upadam do nóg, oko bystre... Ten by nie ustał na polowaniu!

– I twarz, panie... – dodał baron z fizjognomią Mefistofelesa³⁶⁰. – Czoło, panie... wąsik, panie, mała hiszpanka, panie... Wcale, panie... wcale... Rysy trochę, panie... ale całość, panie...

– Zobaczymy, jaki będzie w interesach – dorzucił nieco przygarbiony hrabia.

– Rzutki, ryzykowny, *tek* – odezwał się jakby z piwnicy drugi hrabia, który siedział sztywnie na krześle, nosił bujne faworyty i porcelanowymi oczyma patrzył tylko przed siebie jak Anglik z »Journal Amusant«³⁶¹.

Księżę powstał z fotelu i chrząknął; zebrani umilkli, dzięki czemu można było usłyszeć resztę opowiadania marszałka:

– Wszyscy patrzymy na las, a tu coś skwierczy pod kopytami. Wyobraź sobie acan dobrodziej, że chart idący przy koniach na smyczy zdusił w bruździe szaraka!...

To powiedziawszy marszałek uderzył olbrzymią dłonią w udo, z którego mógł być wyciąć sobie sekretarza i jego pomocnika.

Księżę chrząknął drugi raz, marszałek zmieszał się i niezwykle wielkim fularem³⁶² otarł spocone czoło.

³⁶⁰ Mefistofeles – imię diabła z legendy i utworów literackich o czarnoksiężniku Fauście. [przypis redakcyjny]

³⁶¹ »Journal Amusant« – nazwa francuskiego czasopisma humorystycznego i rozrywkowego. [przypis redakcyjny]

³⁶² *fular* – chustka z cienkiego jedwabiu. [przypis redakcyjny]

– Szanowni panowie – odezwał się książę. – Poważylem się fatygować szanownych panów w pewnym... nader ważnym interesie publicznym, który, jak to wszyscy czujemy, powinien zawsze stać na straży naszych interesów publicznych... Chciałem powiedzieć... naszych idei... to jest...

Książę zdawał się być zakłopotany; wnet jednak ochłonął i mówił dalej:

– Chodzi o inte... to jest o plan, a raczej... o projekt zawiązania spółki do ułatwienia handlu...

– Zbożem – wtrącił ktoś z kąta.

– Właściwie – ciągnął książę – chodzi nie o handel zbożem, ale...

– Okowitą – pośpieszył ten sam głos.

– Ależ nie!... O handel, a raczej o ułatwienie handlu między Rosją i zagranicą towarami, no... towarami... Miasto zaś nasze, pożądane jest, ażeby się stało centrum takowego...

– A jakież to towary? – spytał przygarbiony hrabia.

– Stronę fachową kwestii raczy objaśnić nam łaskawie pan Wokulski, człowiek... człowiek fachowy – zakończył książę.

– Pamiętajmy jednak, panowie, o obowiązkach, jakie na nas wkłada troska o interesa publiczne i ten nieszczęśliwy kraj...

– Jak Boga kocham, zaraz daję dziesięć tysięcy rubli!... – wrzasnął marszałek.

– Na co? – spytał hrabia udający autentycznego Anglika.

– Wszystko jedno!... – odparł wielkim głosem marszałek.

– Powiedziałem: rzucę w Warszawie pięćdziesiąt tysięcy rubli,

więc niech dziesięć pójdzie na cele dobroczynne, bo kochany nasz książę mówi cudownie!... Z rozumu i z serca, jak Boga kocham...

– Przepraszam – odezwał się Wokulski – ale nie chodzi tu o spółkę dobroczynną, tylko o spółkę zapewniającą zyski.

– Otóż to!... – wtrącił hrabia zgarbiony.

– *Tek!*... – potwierdził hrabia–Anglik.

– Co mnie za zysk z dziesięciu tysięcy? – zaoponował marszałek. – Z torbami bym poszedł pod Ostrą Bramę³⁶³ przy takich zyskach.

Zgarbiony hrabia wybuchnął:

– Proszę o głos w kwestii: czy należy lekceważyć małe zyski! ... To nas gubi!... to, panowie – wołał pukając paznokciem w poręcz fotelu.

– Hrabio – przerwał słodko książę – pan Wokulski ma głos.

– *Tek!*... – poparł go hrabia–Anglik czesząc bujne faworyty.

– Prosimy więc szanownego pana Wokulskiego – odezwał się nowy głos – ażeby ten publiczny interes, który nas zgromadził tu, do gościnnych salonów księcia, raczył nam przedstawić z właściwą mu jasnością i zwięzłością.

Wokulski spojrzał na osobę przyznającą mu jasność i zwięzłość. Był to znakomity adwokat, przyjaciel i prawa ręka księcia; lubił mówić kwieciste, wybijając takt ręką i przysłuchując się własnym frazesom, które zawsze znajdował

³⁶³ Ostra Brama – zabytkowa brama obronna w Wilnie z obrazem Matki Boskiej.
[przypis redakcyjny]

wybornymi³⁶⁴.

– Tylko żebyśmy zrozumieli wszyscy – mruknął ktoś w kącie zajęтым przez szlachtę, która nienawidziła magnatów.

– Wiadomo panom – zaczął Wokulski – że Warszawa jest handlową stacją między Europą zachodnią i wschodnią. Tu zbiera się i przechodzi przez nasze ręce część towarów francuskich i niemieckich przeznaczonych dla Rosji, z czego moglibyśmy mieć pewne zyski, gdyby nasz handel...

– Nie znajdował się w ręku Żydów – wtrącił półgłosem ktoś od stołu, gdzie siedzieli kupcy i przemysłowcy.

– Nie – odparł Wokulski. – Zyski istniałyby wówczas, gdyby nasz handel był prowadzony porządnie.

– Z Żydami nie może być porządny...

– Dziś jednak – przerwał adwokat księcia – szanowny pan Wokulski daje nam możliwość podstawienia kapitałów chrześcijańskich w miejsce kapitału starozakonnych...

– Pan Wokulski sam wprowadza Żydów do handlu – bryznął oponent ze stanu kupieckiego.

Zrobiło się cicho.

– Ze sposobu prowadzenia moich interesów nie zdaję sprawy przed nikim – ciągnął dalej Wokulski. – Wskazuję panom drogę uporządkowania handlu Warszawy z zagranicą, co stanowi pierwszą połowę mego projektu i jedno źródło zysku dla krajowych kapitałów. Drugim źródłem jest handel z Rosją³⁶⁵.

³⁶⁴ *znajdował wybornymi* – uważał za wyborne. [przypis edytorski]

³⁶⁵ *handel z Rosją* – towary włókiennicze produkowane w Królestwie przeznaczone

Znajdują się tam towary poszukiwane u nas i tanie. Spółka, która zajęłaby się nimi, mogłaby mieć piętnaście do dwudziestu procentów rocznie od wyłożonego kapitału. Na pierwszym miejscu stawiam tkaniny...

– To jest podkopywanie naszego przemysłu – odezwał się oponent z grupy kupieckiej.

– Mnie nie obchodzą fabrykanci, tylko konsumenci... – odpowiedział Wokulski.

Kupcy i przemysłowcy poczęli szeptać między sobą w sposób mało życzliwy dla Wokulskiego.

– Otóż i dotarliśmy do interesu publicznego!... – zawołał wzruszonym głosem książę. – Kwestia zarysowuje się tak: czy projekta szanownego pana Wokulskiego są objawem pomyślnym dla kraju?... Panie mecenasie³⁶⁶... – zwrócił się książę do adwokata, czując potrzebę wyłączenia się nim w kłopotliwej nieco sytuacji.

– Szanowny pan Wokulski – zabrał głos adwokat – z właściwą mu gruntownością raczy nas objaśnić: czy sprowadzanie owych tkanin aż z tak daleka nie przyniesie uszczerbku naszym fabrykom?

– Przede wszystkim – rzekł Wokulski – owe nasze fabryki nie są naszymi, lecz niemieckimi...

były przeważnie na eksport do Rosji, jako zbyt drogie dla szerokich rzesz konsumentów polskich. Dla zaspokojenia ich potrzeb rzeczywiście importowano z Rosji tanie tkaniny. [przypis redakcyjny]

³⁶⁶ *mecenas* – w Królestwie Kongresowym do r. 1867 tytuł obrońcy przy najwyższej instancji sądowej, później w ogóle tytuł towarzyski adwokata. [przypis redakcyjny]

– Oho!... – zawołał oponent z grupy kupców.

– Jestem gotów – mówił Wokulski – natychmiast wyliczyć fabryki, w których cała administracja i wszyscy lepiej płatni robotnicy są Niemcami, których kapitał jest niemiecki, a rada zarządzająca rezyduje w Niemczech; gdzie nareszcie robotnik nasz nie ma możliwości ukształcić się wyżej w swoim fachu, ale jest parobkiem źle płatnym, źle traktowanym i na dobitkę germanizowanym...

– To jest ważne!... – wtrącił hrabia zgarbiony.

– *Tek...* – szepnął Anglik.

– Jak Boga kocham, doświadczam emocji słuchając!... – zawołał marszałek. – Nigdy nie myślałem, że tak można zabawić się przy podobnej rozmowie... Zaraz wrócę...

I opuścił gabinet, aż ugięła się pod jego stopami podłoga.

– Czy mam wyliczać nazwiska? – spytał Wokulski.

Grupa kupców i przemysłowców złożyła w tej chwili dowód rzadkiej powściągliwości nie domagając się nazwisk. Adwokat szybko podniósł się z fotelu i zatrzepotawszy rękoma zawołał:

– Sądzę, że nad kwestią miejscowych fabryk możemy przejść do porządku. Teraz szanowny pan Wokulski raczy nam, z właściwą mu jędrnością, objaśnić: jakie pozytywne korzyści z jego projektu odniesie...

– Nasz nieszczęśliwy kraj – zakończył książę.

– Proszę panów – mówił Wokulski – gdyby łokieć mego perkalu kosztował tylko o dwa grosze taniej niż dziś, wówczas na każdym milionie kupionych tu łokci ogół oszczędziłby dziesięć

tysięcy rubli...

– Cóż to znaczy dziesięć tysięcy rubli?... – spytał marszałek, który już powrócił do gabinetu, ale jeszcze nie wpadł w tok rozpraw.

– To wiele znaczy... bardzo wiele! – zawołał hrabia zgarbiony.
– Raz nauczmy się szanować zyski groszowe...

– *Tek...* Pens³⁶⁷ jest ojcem gwinei³⁶⁸... – dodał hrabia ucharakteryzowany na Anglika.

– Dziesięć tysięcy rubli – ciągnął Wokulski – jest to fundament dobrobytu dla dwudziestu rodzin co najmniej...

– Kropla w morzu – mruknął jeden z kupców.

– Ale jest jeszcze inny wzgląd – mówił Wokulski – obchodzący wprawdzie tylko kapitalistów. Mam do dyspozycji towaru za trzy do czterech milionów rubli rocznie...

– Upadam do nóg!... – szepnął marszałek.

– To nie jest mój majątek – wtrącił Wokulski – mój jest znacznie skromniejszy...

– Lubię takich!... – rzekł zgarbiony hrabia.

– *Tek...* – dodał Anglik.

– Owe trzy miliony rubli stanowią mój osobisty kredyt i przynoszą mi bardzo mały procent jako pośrednikowi – mówił Wokulski. – Oświadczam jednak, że o ile w miejsce kredytu podstawiliby się gotówkę, zysk z niej wynosiłby piętnaście do

³⁶⁷ *pens* – drobna moneta brytyjska, 1/2 szylinga. [przypis redakcyjny]

³⁶⁸ *gwinea* – dawna angielska moneta złota, później tylko jednostka rachunkowa – 21 szylingów. [przypis redakcyjny]

dwudziestu procentów, a może więcej. Otóż ten punkt sprawy obchodzi panów, którzy składacie pieniądze w bankach na niski procent. Pieniędźmi tymi obracają inni i zyski ciągną dla siebie. Ja zaś ofiaruję panom sposobność użycia ich bezpośredniego i powiększenia własnych dochodów. Skończyłem.

– Pysznie! – zawołał przygarbiony hrabia. – Czy jednak nie można by dowiedzieć się szczegółów bliższych?

– O tych mogę mówić tylko z moimi współnikami – odpowiedział Wokulski.

– Jestem – rzekł zgarbiony hrabia i podał mu rękę.

– *Tek* – dodał pseudo-Anglik wyciągnawszy do Wokulskiego dwa palce.

– Moi panowie! – odezwał się wygolony mężczyzna z grupy szlachty nienawidzącej magnatów. – Mówicie tu o handlu perkalami, który nas nic nie obchodzi... Ale panowie!... – ciągnął dalej płaczliwym głosem – my mamy za to zboże w spichlerzach, my mamy okowitę w składach, na której wyzyskują nas pośrednicy w sposób – że nie powiem – niegodny...

Obejrzał się po gabinecie. Grupa szlachty gardzącej magnatami dała mu brawo.

Promieniejąca dyskretną radością twarz księcia zajaśniała w tej chwili blaskiem prawdziwego natchnienia.

– Ależ, panowie! – zawołał – dziś mówimy o handlu tkaninami, lecz jutro i pojutrze ktoś zabroni nam naradzić się nad innymi kwestiami?... Proponuję więc...

- Jak Boga kocham, cudnie mówi ten kochany książę – zawołał marszałek.
- Słuchamy... słuchamy!... – poparł go adwokat, silnie okazując, że stara się pohamować zapał dla księcia.
- A więc, panowie – ciągnął wzruszony książę – proponuję jeszcze następujące sesje: jedną w sprawie handlu zbożem, drugą w sprawie handlu okowitą...
- A kredyt dla rolników?... – spytał ktoś z nieprzejednanej szlachty.
- Trzecią w sprawie kredytu dla rolników – mówił książę. – Czwartą...
- Tu zaciął się.
- Czwartą i piątą – pochwycił adwokat – poświęcimy rozważaniu ogólnej ekonomicznej sytuacji...
- Naszego nieszczęśliwego kraju – dokończył książę prawie ze łzami w oczach.
- Panowie!... – wrzasnął adwokat obcierając nos z akcentem rozrzewnienia. – Uczcijmy naszego gospodarza, znakomitego obywatela, najzacniejszego z ludzi...
- Dziesięć tysięcy rubli, jak Bo... – zawołał marszałek.
- Przez powstanie! – szybko dokończył adwokat.
- Bravo!... niech żyje książę!... – zawołano przy akompaniamencie łoskotu nóg i krzesel.

Grupa szlachty gardzącej arystokracją krzyczała najgłośniej. Książę zaczął ścisnąć swoich gości nie panując już nad wzruszeniem; pomagał mu adwokat, wszystkich całował, a sam

bez ceremonii płakał. Kilka osób skupiło się przy Wokulskim.

– Przystępuję na początek z pięćdziesięcioma tysiącami rubli – mówił zgarbiony hrabia. – Na rok przyszyły zaś... zobaczymy...

– Trzydzieści, panie... trzydzieści tysięcy rubli, panie... Bardzo, panie... bardzo! – dodał baron z fizjognomią Mefistofelesa.

– I ja trzydzieści tysięcy... *tek!*... – dorzucił hrabia–Anglik kiwając głową.

– A ja dam dwa... trzy razy tyle, co... kochany książę. Jak Boga kocham!... – rzekł marszałek.

Paru oponentów z grupy kupieckiej również zbliżyło się do Wokulskiego. Milczeli, lecz tkliwe ich spojrzenia stokroć więcej miały wymowy aniżeli najczulsze słowa.

Z kolei zbliżył się do Wokulskiego człowiek młody, mizerny, z rzadkim zarostem na twarzy, ale z niewątpliwymi śladami przedwczesnego zniszczenia w całej postaci. Wokulski spotykał go na rozmaitych widowiskach, wreszcie i na ulicy, jeżdżącego najszybszymi dorożkami.

– Jestem Maruszewicz – rzekł zniszczony młody człowiek z miłym uśmiechem. – Wybacz pan, że prezentuję się tak obcesowo i w dodatku przy pierwszej znajomości będę miał prośbę...

– Słucham pana.

Młodzieniec wziął Wokulskiego pod ramię i zaprowadziwszy go do okna mówił:

– Kładę od razu karty na stół; z takimi ludźmi jak pan

nie można inaczej. Jestem niemający, mam dobre instynkta i chciałbym znaleźć zajęcie. Pan tworzy spółkę, czy nie mógłbym pracować pod pańskim kierunkiem?...

Wokulski przypatrywał mu się z uwagą. Propozycja, którą słyszał, jakoś nie pasowała do wyniszczonej figury i niepewnych spojrzeń młodzieńca. Wokulski uczuł niesmak, mimo to spytał:

– Cóż pan umie? jaki pański fach?

– Fachu, uważa pan, jeszcze nie wybrałem, ale mam wielkie zdolności i mogę podjąć się każdego zajęcia.

– A na jaką pan liczy pensję?

– Tysiąc... dwa tysiące rubli... – odparł zakłopotany młodzieniec.

Wokulski mimo woli potrząsnął głową.

– Wątpię – odparł – czy będziemy mieli posady odpowiadające pańskim wymaganiom. Niech pan jednak wstąpi kiedy do mnie...

Na środku gabinetu przygarbiony hrabia zabrał głos.

– A zatem – mówił – szanowni panowie, w zasadzie przystępujemy do spółki proponowanej przez pana Wokulskiego. Interes wydaje się bardzo dobrym, a obecnie chodzi tylko o bliższe szczegóły i spisanie aktu. Zapraszam więc panów, chcących zostać uczestnikami, do mnie na jutro, o dziewiątej wieczór...

– Będę u ciebie, kochany hrabio, jak Boga kocham – odezwał się otyły marszałek – i może jeszcze przyprowadzę ci

z paru Litwinów³⁶⁹; no, ale powiedz, dlaczegoż to my mamy zawiązywać spółki kupieckie?... Niechby już sami kupcy...

– Choćby dlatego – odparł hrabia gorąco – ażeby nie mówiono, że nic nie robimy, tylko obcinamy kupony³⁷⁰...

Księżę poprosił o głos.

– Zresztą – rzekł – mamy na widoku jeszcze dwie spółki: do handlu zbożem i – okowitą. Kto nie zechce należeć do jednej, może należeć do drugiej... Nadto zaprosimy szanownego pana Wokulskiego, ażeby w innych naszych naradach chciał przyjąć udział...

– *Tek!*... – wtrącił hrabia–Anglik.

– I z właściwym mu talentem raczył oświecić kwestie – dokończył adwokat.

– Wątpię, czy przydam się panom na co – odparł Wokulski. – Miałem wprowadzić do czynienia ze zbożem i okowitą, ale w wyjątkowych warunkach. Chodziło o duże ilości i pośpiech, nie o ceny... Nie znam zresztą tutejszego handlu zbożem...

– Będą specjaliści, szanowny panie Wokulski – przerwał mu adwokat. – Oni nam dostarczą szczegółów, które pan raczysz tylko uporządkować i rozjaśnić z właściwą mu genialnością...

– Prosimy... bardzo prosimy!... – wołali hrabiowie, a za nimi jeszcze głośniejsza szlachta nienawidząca magnatów.

Była blisko piąta po południu i zgromadzeni poczęli się rozchodzić. W tej chwili Wokulski spostrzegł, że z dalszych

³⁶⁹ *paru Litwinów* – szlachty polskiej z ziem litewsko-ruskich. [przypis redakcyjny]

³⁷⁰ *kupon* – tu: kwit do podjęcia procentu lub dywidendy. [przypis redakcyjny]

pokojów zbliża się do niego pan Łęcki w towarzystwie młodzieńca, którego już widział obok panny Izabeli podczas kwesty i na święconym u hrabiny. Obaj panowie zatrzymali się przy nim.

– Pozwolisz, panie Wokulski – odezwał się Łęcki – że przedstawię ci pana Juliana Ochockiego³⁷¹. Nasz kuzyn... trochę oryginał, ale...

– Dawno już chciałem poznać się z panem i porozmawiać – rzekł Ochocki ściskając go za rękę.

Wokulski w milczeniu przypatrywał się. Młody człowiek nie dosięgnął jeszcze lat trzydziestu i rzeczywiście odznaczał się niezwykłą fizjognomią. Zdawało się, że ma rysy Napoleona Pierwszego, przysłonięte jakimś obłokiem marzycielstwa.

– W którą stronę pan idzie? – spytał młody człowiek Wokulskiego. – Mogę pana podprowadzić.

– Będzie się pan fatygował...

– O, ja mam dosyć czasu – odpowiedział młody człowiek.

„Czego on chce ode mnie?” – pomyślał Wokulski, a głośno rzekł: – Możemy pójść w stronę Łazienek...

– Owszem – odparł Ochocki. – Wpadnę jeszcze na chwilę pożegnać się z księżną i dogonię pana.

Ledwie odszedł, pochwycił Wokulskiego adwokat.

– Winszuję panu zupełnego triumfu – rzekł półgłosem. –

³⁷¹ *Ochocki* – postać ta zawdzięcza niektóre swe rysy Julianowi Ochorowiczowi (1850–1917), znanemu publicyście pozytywistycznemu, filozofowi i psychologowi, późniejszemu badaczowi mediumizmu i hipnotyzmu. [przypis redakcyjny]

Książę formalnie zakochany w panu, obaj hrabiowie i baron też samo... Oryginały to są, jak pan widział, ale ludzie dobrych chęci... Chcieliby coś robić, mają nawet rozum i ukształcenie, ale... energii brak!... Choroba woli, panie: cała klasa jest nią dotknięta... Wszystko mają: pieniądze, tytuły, poważanie, nawet powodzenie u kobiet, więc niczego nie pragną. Bez tej zaś sprężyny, panie Wokulski, muszą być narzędziem w ręku ludzi nowych i ambitnych... My, panie, my jeszcze wielu rzeczy pragniemy – dodał ciszej. – Ich szczęście, że trafili na nas...

Ponieważ Wokulski nie odpowiedział nic, więc adwokat począł uważać go za bardzo przebiegłego dyplomatę i żałował w duszy, że sam był zanadto szczery.

„Zresztą – myślał adwokat patrząc na Wokulskiego spod oka – choćby powtórzył księciu naszą rozmowę, cóż mi zrobi?... Powiem, że chciałem go wy badać...”

„O jakie on mnie ambicje posądza?...” – zapytywał się w duchu Wokulski.

Pożegnał księcia, obiecał przychodzić odtąd na wszystkie sesje i wyszedłszy na ulicę odesłał powóz do domu.

„Czego chce ode mnie ten pan Ochocki? – myślał podejrzliwie. – Naturalnie, że idzie mu o pannę Izabelę... Może ma zamiar odstraszyć mnie od niej?... Głupi... Jeżeli ona go kocha, nie potrzebuje tracić nawet słów; sam się usunę... Ale jeżeli go nie kocha, niech się strzeże usuwać mnie od niej... Zdaje się, że zrobię w życiu jedno kapitalne głupstwo, zapewne dla panny Izabeli. Bodajby nie padło na niego, szkoda

chłopaka...”

W bramie rozległo się pośpieszne stąpanie; Wokulski odwrócił się i zobaczył Ochockiego.

– Pan czekał?... przepraszam!... – zawołał młody człowiek.

– Idziemy ku Łazienkom? – spytał Wokulski.

– Owszem.

Jakiś czas szli milcząc. Młody człowiek był zamyślony. Wokulski zirytowany.

Postanowił od razu chwycić byka za rogi.

– Pan jest bliskim kuzynem państwa Łęckich? – zapytał.

– Trochę – odpowiedział młody człowiek. – Matka moja była aż Łęcka – rzekł z ironią – ale ojciec tylko Ochocki. To bardzo osłabia związki rodzinne... Pana Tomasza, który jest dla mnie jakimś ciotecznym stryjem, nie znałbym do dziś dnia, gdyby nie stracił majątku.

– Panna Łęcka jest bardzo dystyngowaną osobą – rzekł Wokulski patrząc przed siebie.

– Dystyngowana?... – powtórzył Ochocki. – Powiedz pan: bogini!... Kiedy rozmawiam z nią, zdaje mi się, że potrafiłaby mi zapełnić całe życie. Przy niej jednej czuję spokój i zapominam o trapiącej mnie tęsknocie. Ale cóż!... Ja nie umiałbym siedzieć z nią cały dzień w salonie ani ona ze mną w laboratorium...

Wokulski stanął na ulicy.

– Pan zajmuje się fizyką czy chemią?... – spytał zdziwiony.

– Ach, czym ja się nie zajmuję!... – odparł Ochocki.

– Fizyką, chemią i technologią... Przecież skończyłem

wydział przyrodniczy w uniwersytecie³⁷² i mechaniczny w politechnice³⁷³... Zajmuję się wszystkim; czytam i pracuję od rana do nocy, ale – nie robię nic. Udało mi się trochę ulepszyć mikroskop, zbudować jakiś nowy stos elektryczny³⁷⁴, jakąś tam lampę...

Wokulski zdumiewał się coraz więcej.

– Więc to pan jest tym Ochockim, wynalazcą?...

– Ja – odparł młody człowiek. – No, ale i cóż to znaczy? ... Razem nic. Kiedy pomyślę, że w dwudziestym ósmym roku tylko tyle zrobiłem, ogarnia mnie desperacja. Mam ochotę albo porozbijać swoje laboratorium i utonąć w życiu salonowym, do którego mnie ciągną, albo – trzasnąć sobie w łeb... Ogniwo Ochockiego albo – lampa elektryczna Ochockiego... jakież to głupie!... Rwać się gdzieś od dzieciństwa i utknąć na lampie – to okropne... Dobiegać środka życia i nie znaleźć nawet śladu drogi, po której by się iść chciało – cóż to za rozpacz!...

Młody człowiek umilkł, a że byli w Ogrodzie Botanicznym³⁷⁵, więc zdjął kapelusz. Wokulski przypatrywał mu się z uwagą i zrobił nowe odkrycie. Młody człowiek, aczkolwiek wyglądał elegancko, nie był wcale elegantem; nawet nie zdawał się

³⁷² *wydział przyrodniczy w uniwersytecie* – warszawskim, przekształconym ze Szkoły Głównej (1869). [przypis redakcyjny]

³⁷³ *politechnika* – w Królestwie wówczas nie istniała. [przypis redakcyjny]

³⁷⁴ *stos elektryczny* – ogniwo elektryczne wytwarzające słaby prąd przez zamianę energii chemicznej na elektryczną. [przypis redakcyjny]

³⁷⁵ *Ogród Botaniczny* – w południowej części miasta, przy Al. Ujazdowskich, obok Łazienek; ogród do dziś zachował wygląd zgodny z opisem Prusa. [przypis redakcyjny]

troszczyć o swoją powierzchowność. Miał rozrzucone włosy, nieco zsunięty krawat, u kamizelki guzik nie zapięty. Można było domyślać się, że ktoś bardzo starannie czuwa nad jego bielizną i garderobą, z którą jednak on sam postępuje niedbale, i właśnie to niedbalstwo, przejawiające się w dziwnie szlachetnych formach, nadawało mu oryginalny wdzięk. Każdy jego ruch był mimowolny, rozrzucony, lecz piękny. Równie piękny był sposób patrzenia, słuchania, a raczej niesłuchania, nawet – gubienia kapelusza.

Weszli na wzgórze, skąd widać studnię zwaną Okrąglakiem³⁷⁶. Ze wszystkich stron otaczali ich spacerujący, ale Ochocki nie krępował się ich obecnością i wskazawszy kapeluszem jedną z ławek, mówił:

– Dużo czytałem, że szczęśliwy jest człowiek, który ma wielkie aspiracje. To kłamstwo. Ja przecież mam niepowседневne pragnienia, które jednak robią mnie śmiesznym i zrażają do mnie najbliższych. Spójrzysz pan na tę ławkę... Tu, w początkach czerwca, koło dziesiątej wieczorem, siedzieliśmy z kuzynką i z panną Florentyną. Świecił jakiś księżyc i nawet jeszcze śpiewały słowiki. Byłem rozmarzony. Nagle kuzynka odzywa się: „Znasz, kuzynie, astronomię?” – „Trochę.” – „Więc powiedz mi, jaka to gwiazda?” – „Nie wiem – odpowiedziałem – ale

³⁷⁶ studnia zwana Okrąglakiem – właściwie szczątki fundamentów świątyni Opatrzności założonych 3 maja 1792 r. Świątynia ta nie została zbudowana; miejsce to było jednak terenem spotkań młodzieży patriotycznej w rocznicę uchwalenia Konstytucji 3 Maja. Fundamenty i tablica pamiątkowa zachowały się do dziś w Ogrodzie Botanicznym. [przypis redakcyjny]

to jest pewne, że nigdy nie dostaniemy się na nią. Człowiek jest przykuty do ziemi jak ostryga do skały...” W tej chwili – ciągnął dalej Ochocki – zbudziła się we mnie moja idea czy mój obłęd... Zapomniałem o pięknej kuzynce, a zacząłem myśleć o machinach latających. A ponieważ myśląc muszę chodzić, więc wstałem z ławki i bez pożegnania opuściłem kuzynkę!... Na drugi dzień panna Flora nazwała mnie impertynentem, pan Łęcki oryginałem, a kuzynka przez tydzień nie chciała ze mną rozmawiać... I żebym jeszcze co wymyślił; ale nic, literalnie nic, choć byłbym przysiągł, że nim z tego pagórka zejść do studni, urodzi mi się w głowie przynajmniej ogólny szkic maszyny latającej... Prawda, jakie to głupie?...

„Więc oni tu przepędzają wieczory przy księżycu i śpiewie słowika?... – pomyślał Wokulski i poczuł straszny ból w sercu. – Panna Izabela już kocha się w Ochockim, a jeżeli się nie kocha, to tylko z winy jego dziwactw... No i ma słuszość... piękny człowiek i niezwykły...”

– Naturalnie – prawil dalej Ochocki – ani słówka nie wspomniałem o tym mojej ciotce, która, ile razy bodaj wpina mi jakąś szpilkę w odzienie, ma zwyczaj powtarzać: „Kochany Julku, staraj się podobać Izabeli, bo to żona akurat dla ciebie... Mądra i piękna; ona jedna wyleczyłaby cię z twoich przywidzeń...” A ja myślę: co to za żona dla mnie?... Gdyby chociaż mogła być moim pomocnikiem, jeszcze pół biedy... Ale gdzieżby ona dla laboratorium mogła opuścić salon!... Ma rację, to jej właściwe otoczenie; ptak potrzebuje powietrza,

ryba wody... Ach, jaki piękny wieczór!... – dodał po chwili. – Jestem dziś podniecony jak rzadko. Ale... co panu jest, panie Wokulski?...

– Trochę zmęczyłem się – odparł głucho Wokulski. – Może byśmy siedli, choćby o! tu...

Usiedli na stoku wzgórza, na granicy Łazienek. Ochocki oparł brodę na kolanach i wpadł w zadumę, Wokulski przypatrywał mu się z uczuciem, w którym podziw mieszał się z nienawiścią.

„Głupi czy przebiegły?... Po co on mi to wszystko opowiada?” – myślał Wokulski.

Musiał jednak przyznać, że gadulstwo Ochockiego miało te same cechy szczeroci i rozrzucenia, jak jego ruchy i cała wreszcie osoba. Spotkali się pierwszy raz i już Ochocki tak z nim rozmawiał, jak gdyby znali się od dzieci.

„Skończę z nim” – rzekł do siebie Wokulski i głęboko odetchnąwszy spytał głośno:

– Zatem żeni się pan, panie Ochocki?...

– Chybabym zwariował – mruknął młody człowiek wzruszając ramionami.

– Jak to?... Przecież kuzynka pańska podoba się panu?

– I nawet bardzo, ale to jeszcze nie wszystko. Ożeniłbym się z nią, gdybym miał pewność, że już nic w nauce nie zrobię...

W sercu Wokulskiego obok nienawiści i podziwu błysnęła radość. W tej chwili Ochocki przetarł czoło jak zbudzony ze snu i patrząc na Wokulskiego nagle rzekł:

– Ale, ale... Nawet zapomniałem, że mam ważny interes do

pana...

„Czego on chce?...” – pomyślał Wokulski podziwiając w duszy mądre spojrzenie swego rywala i nagłą zmianę tonu. Zdawało się, że przez jego usta przemówił inny człowiek.

– Chcę zadać panu pytanie... nie... dwa pytania, bardzo poufne, a może nawet drażliwe – mówił Ochocki. – Czy nie obrazi się pan?...

– Słucham – odparł Wokulski.

Gdyby stał na szafocie, nie doznałby tak strasznych wrażeń jak w tej chwili. Był pewny, że chodzi o pannę Izabelę i że w tym samym miejscu zdecydują się jego losy.

– Pan był przyrodnikiem? – spytał Ochocki.

– Tak.

– I w dodatku przyrodnikiem entuzjastą. Wiem, co pan przeszedł, od dawna szanuję pana z tego powodu... To za mało; powiem więcej... Od roku wspomnienie o trudnościach, z jakimi szamotał się pan, dodawało mi otuchy... Mówiłem sobie: zrobię przynajmniej to, co ten człowiek, a ponieważ nie mam takich przeszkód, więc – zajdę dalej od niego...

Wokulski słuchając myślał, że marzy albo że rozmawia z wariatem.

– Skąd pan to wie?... – spytał Ochockiego.

– Od doktora Szumana.

– Ach, od Szumana. Ale do czego to wszystko prowadzi?...

– Zaraz powiem – odparł Ochocki. – Byłeś pan przyrodnikiem entuzjastą i... w rezultacie rzuciłeś pan nauki

przyrodnicze. Otóż, w którym roku życia osłabnął pański zapach w tym kierunku?...

Wokulski poczuł jakby uderzenie toporem w głowę. Pytanie było tak przykre i niespodziewane, że przez chwilę nie tylko nie umiał odpowiedzieć, ale nawet zebrać myśli.

Ochocki powtórzył, bystro przypatrując się swemu towarzyszowi.

– W którym roku?... – rzekł Wokulski. – W zeszłym roku... Dziś mam czterdziesty szósty rok...

– A zatem ja do kompletnego ochłodzenia się mam jeszcze przeszło piętnaście lat. To mi trochę dodaje odwagi... – rzekł jakby do siebie Ochocki.

I znowu po chwili dodał:

– To jedno pytanie, a teraz drugie, ale – nie obraż się pan. W którym roku życia zaczynają mężczyźnie obojętnieć kobiety?

...

Drugi cios. Był moment, że Wokulski chciał schwycić młodzieńca za gardło i udusić. Opamiętał się jednak i odparł ze słabym uśmiechem:

– Myślę, że one nigdy nie obojętnieją... Owszem, coraz wydają się droższymi...

– Źle! – szepnął Ochocki. – Ha, zobaczymy, kto mocniejszy.

– Kobiety, panie Ochocki.

– Jak dla kogo, panie – odpowiedział młody człowiek wpadając znowu w zamyślenie.

I zaczął mówić jakby do siebie.

– Kobiety, ważna rzecz. Kochałem się już, zaraz, ileż to? ... Cztery... sześć... ze siedem, tak, siedem razy... Zabiera to dużo czasu i napędza desperackie myśli... Głupia rzecz, miłość... Poznajesz, kochasz, cierpisz... Potem jesteś znudzony albo zdradzony... Tak, dwa razy byłem znudzony, a pięć razy zdradzony... Potem znajdujesz nową kobietę, doskonalszą od innych – a potem ona robi to samo, co mniej doskonałe... Ach, jakież podły gatunek zwierząt te baby!... Bawią się nami, choć ograniczony ich mózg nawet nie jest w stanie nas pojąć... No, prawda, że i tygrys może bawić się człowiekiem... Podłe, ale miłe... Mniejsza o nie! A tymczasem gdy raz opanuje człowieka idea, już go nie opuszcza i nie zdradza nigdy...

Położył rękę na ramieniu Wokulskiego i patrząc mu w oczy jakimś rozstrzelonym i rozmarzonym wzrokiem spytał:

– Wszakże pan myślał kiedyś o machinach latających?... Nie o kierowaniu balonami, które są lżejsze od powietrza, bo to błazeństwo, ale – o locie maszyny ciężkiej, napętnionej i obwarowanej jak pancernik?... Czy pan rozumie, jaki nastąpiłby przewrót w świecie po podobnym wynalazku?... Nie ma fortec, armii, granic... Znikają narody, lecz za to w nadziemskich budowlach przychodzą na świat istoty podobne do aniołów lub starożytnych bogów... Już ujarzmiliśmy wiatr, ciepło, światło, piorun... Czy więc nie sądzisz pan, że nadeszła pora nam samym wyzwolić się z oków ciężkości?... To idea leżąca dziś w duchu czasu... Inni już pracują nad nią; mnie ona dopiero nasycza, ale od stóp do głów... Co mnie ciotka

z jej radami i prawidłami dobrego tonu!... Co mnie żeniaczka, kobiety, a nawet mikroskopy, stosy i lampy elektryczne?... Oszaleję albo... przypnę ludzkości skrzydła...

– A gdybyś pan je nawet przypiął, to co?... – spytał Wokulski.

– Sława, jakiej nie osiągnął jeszcze żaden człowiek – odparł Ochocki. – To moja żona, to moja kobieta... Bądź pan zdrow, muszę iść...

Uściskał Wokulskiemu rękę, zbiegł ze wzgórza i zniknął między drzewami.

Na Ogród Botaniczny i na Łazienki zapadał już mrok.

„Wariat czy geniusz?... – szepnął Wokulski czując, że sam jest w najwyższym stopniu rozstrojony. – A jeżeli geniusz?...”

Wstał i poszedł w głąb ogrodu, między spacerujących ludzi. Zdawało mu się, że nad pagórkiem, z którego uciekł, unosi się jakaś święta groza.

W Ogrodzie Botanicznym było prawie ciasno; na każdej ulicy tłoczyły się kolumny, gromady, a przynajmniej szeregi spacerujących; każda ławka ugiwała się pod ciżbą osób. Zastępowano Wokulskiemu drogę, deptano po piętach, potrącano łokciami; rozmawiano i śmiano się ze wszystkich stron. Wzdłuż Alei Ujazdowskiej, pod murem Belwederskiego ogrodu, pod sztachetami od strony szpitala, na ulicach najmniej uczęszczanych, nawet na zagrodzonych ścieżkach, wszędzie było pełno i wesoło. Im więcej ciemniało w naturze, tym gęściej i hałaśliwiej robiło się między ludźmi.

„Zaczyna mi już braknąć miejsca na świecie!...” – szepnął.

Przeszedł do Łazienek i tu znalazł spokojniejsze ustronie. Na niebie zaiskrzyło się kilka gwiazd, przez powietrze, od Alei, ciągnął szmer przechodniów, a od stawu wilgoć. Czasem nad głową przeleciał mu huczny chrabąszcz albo cicho przemknął nietoperz; w głębi parku kwilił żałośnie jakiś ptak, na próżno wzywający towarzysza; na stawie rozlegał się daleki plusk wiosła i śmiechy młodych kobiet.

Naprzeciw zobaczył parę ludzi pochylonych ku sobie i szepczących. Ustąpili mu z drogi i ukryli się w cieniu drzew. Opanował go żal i szyderstwo.

„Oto są szczęśliwi zakochani! – pomyślał. – Szepczą i uciekają jak złodzieje... Pięknie urządzony świat, co?... Ciekawym, o ile byłoby lepiej, gdyby władał nim Lucyfer?... A gdyby mi zastąpił drogę jaki bandyta i zabił w tym kącie?...”

I wyobrażał sobie, jaki to przyjemny musi być chłód noża białego w rozgorączkowane serce.

„Na nieszczęście – westchnął – dziś nie wolno zabijać innych, tylko siebie można; byle od razu i dobrze. No!...”

Wspomnienie o tak niezawodnym środku ucieczki uspokoiło go. Stopniowo pograżał się w jakimś uroczystym nastroju; zdawało mu się, że nadchodzi moment, w którym powinien zrobić rachunek sumienia czy też ogólny bilans życia.

„Gdybym był najwyższym sędzią – myślał – i gdyby spytano mnie, kto jest wart panny Izabeli: Ochocki czy Wokulski, musiałbym przyznać, że – Ochocki... O osiemnaście lat młodszy ode mnie (osiemnaście lat!...) i taki piękny... W dwudziestym

ósmym roku życia skończył dwa fakultety (ja w tym wieku ledwie zaczynałem się uczyć...) i już zrobił trzy wynalazki (ja żadnego!) A nad to wszystko jest naczyniem, w którym wylega się wielka idea... Dziwaczna to rzecz: machina latająca, ale faktem jest, że on znalazł dla niej genialny i jedynie możliwy punkt wyjścia. Machina latająca musi być cięższa, nie zaś jak balon lżejsza od powietrza; boć wszystko, co prawidłowo lata, poczynawszy od muchy, skończywszy na olbrzymim sępie, jest od powietrza cięższe. Ma prawdziwy punkt wyjścia, ma twórczy umysł, czego dowiódł bodajby swoim mikroskopem i lampą; któż wie, zatem, czy nie uda mu się zbudować maszyny latającej? A w takim razie będzie większym dla ludzkości od Newtona i Napoleona razem wziętych... I ja mam z nim współzawodniczyć?... A jeżeli stanie kiedy kwestia: który z nas dwu powinien się usunąć, czyliż będę się wahał?... Cóż to za piekło powiedzieć sobie, że muszę moją nicość złożyć na ofiarę człowiekowi ostatecznie takiemu jak ja, śmiertelnemu, ulegającemu chorobom i omyłkom, a nade wszystko – tak naiwnemu... Boć to jeszcze dzieciak, co on mi nie wygadywał? ...”

Dziwny traf. Gdy Wokulski był subiektem w sklepie kolonialnym, marzył o *perpetuum mobile*³⁷⁷, maszynie, która by się sama poruszała. Gdy zaś wstąpiwszy do Szkoły

³⁷⁷ *perpetuum mobile* (łac: wiecznie będące w ruchu) – maszyna, która wbrew zasadom fizyki byłaby w wiecznym ruchu bez zasilania jej nową energią; przedmiot bezowocnych wysiłków wielu wynalazców. [przypis redakcyjny]

Przygotowawczej poznał, że taka machina jest niedorzecznością, wówczas najtajniejszym i najulubieńszym jego pragnieniem było – wynaleźć sposób kierowania balonami. To, co dla Wokulskiego było tylko fantastycznym cieniem, błakającym się po fałszywych drogach, w Ochockim przybrało już formę praktycznego zagadnienia.

„Cóż to za okrucieństwo losów! – myślał z goryczą. – Dwom ludziom dano prawie te same aspiracje, tylko jeden urodził się o osiemnaście lat wcześniej, drugi później; jeden w nędzy, drugi w dostatku; jeden nie mógł wdrapać się na pierwsze piętro wiedzy, drugi lekkim krokiem przeszedł dwa piętra... Jego nie zepchną z drogi burze polityczne, tak jak mnie; jemu nie przeszkodzi miłość, którą traktuje jak zabawkę; podczas gdy dla mnie, który sześć lat spędziłem na pustyni, uczucie to jest niebem i zbawieniem... Więcej nawet!... No i on triumfuje nade mną na każdym polu, choć przecież ja mam te same uczucia, tę samą świadomość położenia, a pracę z pewnością większą...”

Wokulski dobrze znał ludzi i często porównywał się z nimi. Lecz gdziekolwiek był, wszędzie widział się trochę lepszym od innych. Czy jako subiekt, który spędzał noce nad książką, czy jako student, który przez nędzę szedł do wiedzy, czy jako żołnierz pod deszczem kul, czy jako wygnaniec, który w śniegiem zasypanej lepiance pracował nad nauką – zawsze miał w duszy ideę sięgającą poza kilka lat naprzód. Inni żyli z dnia na dzień, dla swego żołądka albo kieszeni.

I dopiero dziś spotkał człowieka wyższego od siebie, wariata,

który chce budować maszyny latające!...

„A ja czy dzisiaj nie mam idei, dla której pracuję przeszło rok, zdobyłem majątek, pomagam ludziom i zmuszam ich do szacunku?...”

„Tak, ale miłość to uczucie osobiste; wszystkie zasługi towarzyszące jej są jak ryby zaplątane w odmet morskiego cyklonu. Gdyby na świecie zniknęła jedna kobieta, a w tobie pamięć o niej, czymże byś został?... Zwyczajnym kapitalistą, który z nudów grywa w karty w resursie. A tymczasem Ochocki ma ideę, która będzie rwała go zawsze naprzód, chyba że umysł mu zgaśnie...”

„Dobrze, a jeżeli on nic nie zrobi i zamiast zbudować maszynę latającą pójdzie do szpitala wariatów?... Ja tymczasem faktycznie coś zrobię, a mikroskop, stos czy nawet lampa elektryczna z pewnością nie znaczą więcej od setek ludzi, którym ja daję byt. Skądże więc we mnie ta ultrachrześcijańska pokora?... Co kto robi, jeszcze nie wiadomo. Ja tymczasem jestem dziś człowiek czynu, a on marzyciel... Zaczekajmy z rok...”

Rok! Wokulski wstrząsnął się. Zdawało mu się, że w końcu drogi nazwanej rokiem widzi tylko niezmierną otchłań, która pochłania wszystko, ale nie mieści w sobie nic...

„Więc nic... nic!...”

Instynktownie rozejrzał się. Był w głębi łaźienkowskiego parku, na jakiejś ulicy, do której żaden szmer nie dolatywał. Nawet gęstwina ogromnych drzew stała cicho.

– Która godzina? – zapytał go nagle jakiś głos zachrypnięty.

– Godzina?...

Wokulski przetarł oczy. Przed nim, z mroku, wynurzył się obdarty człowiek.

– Kiedy grzecznie pytają, to grzecznie trzeba odpowiadać – rzekł człowiek i podszedł bliżej.

– Zabij mnie, to sam zobaczysz – odparł Wokulski.

Obdarty człowiek cofnął się. Na lewo od drogi widać było parę ludzkich cieni.

– Głupcy! – zawołał Wokulski idąc naprzód – mam złoty zegarek i kilkaset rubli gotówką... Bronić się nie będę, no!...

Cienie usunęły się między drzewa i któryś rzekł zniżonym głosem:

– Taki to, psiakrew, zejdzie³⁷⁸, gdzie go nie posieją...

– Bydłęta!... tchórze!... – krzyczał Wokulski prawie nieprzytomny.

Odpowiedział mu tętent uciekających.

Wokulski zebrał myśli.

„Gdzie ja jestem?... Jużci, w Łazienkach, ale w którym miejscu?... Trzeba iść w drugą stronę...”

Obrócił się parę razy i już nie wiedział, dokąd idzie. Serce zaczęło mu bić gwałtownie, zimny pot wystąpił na czoło, pierwszy raz w życiu uczuł obawę nocy i zbłąkania...

Przez parę minut biegł bez celu, prawie bez tchu; dzikie myśli wirowały mu w głowie. Wreszcie na lewo zobaczył mur, a dalej budynek.

³⁷⁸ *zejdzie* – tu: *wzejdzie*. [przypis edytorski]

„Aha, Pomarańczarnia³⁷⁹...”

Potem doszedł do jakiegoś mostka, odpoczął i oparłszy się na barierze myślał:

„Więc do tego doszedłem?... Niebezpieczny rywal... rozbite nerwy... Zdaje mi się, że już dziś mógłbym napisać ostatni akt tej komedii!...”

Prosta droga doprowadziła go do stawu, później do łazienkowskiego pałacu. We dwadzieścia minut był w Alejach Ujazdowskich i siadł w przejeżdżającą dorożkę; w kwadrans później znalazł się we własnym mieszkaniu.

Na widok światła i ulicznego ruchu odzyskał wesołość; nawet uśmiechał się i szeptał:

„Cóż znowu za przywidzenia?... Jakiś Ochocki... samobójstwo!... Ach, głupota... Dostałem się przecież między arystokrację, a co będzie dalej – zobaczymy...”

Gdy wszedł do gabinetu, służący oddał mu list pisany na jego własnym papierze przez panią Meliton.

– Ta pani była tu dziś dwa razy³⁸⁰ – rzekł wierny sługa. – Raz o piąty, drugi raz o ósmy...

³⁷⁹ *Pomarańczarnia* – mowa tu o Pomarańczarni Nowej, zbudowanej w latach 1869–1870, zawierającej wiele odmian drzew pomarańczowych przeflancowanych wtedy z ogrodu w Nieborowie. [przypis redakcyjny]

³⁸⁰ *dwa razy* – służący Wokulskiego w obawie przed gwarowym mazurzeniem „szadzi”, tj. wymawia sz, ż, cz, zamiast s, z, c. [przypis redakcyjny]

XII. Wędrówki za cudzymi interesami

Wokulski powoli otwierał list pani Meliton przypominając sobie niedawne wypadki. Zdawało się mu, że w nie oświetlonej części gabinetu jeszcze widzi ciemną gęstwinę łazienkowych drzew, niewyraźne sylwetki obdartusów, którzy mu zastąpili drogę, a później wzgórek ze studnią, gdzie Ochocki zwierzał mu się ze swych pomysłów. Lecz gdy spojrzał na światło, mgliste obrazy zniknęły. Widział lampę z zielonym daszkiem, stos papierów, brązy stojące na biurku i chwilami myślał, że Ochocki ze swymi machinami latającymi i jego własna rozpacz były tylko snem.

„Co on za geniusz? – mówił do siebie Wokulski – to zwyczajny marzyciel!... I panna Izabela taka sama kobieta jak inne... Wyjdzie za mnie – dobrze; nie wyjdzie – to przecież nie umrę.”

Rozłożył list i czytał:

„Panie! Ważna wiadomość: za kilka dni Łęckim sprzedają kamienicę, a jedynym kupcem będzie baronowa Krzeszowska, ich kuzynka i nieprzyjaciółka. Wiem z pewnością, że zapłaci za dom tylko sześćdziesiąt tysięcy rubli; a w takim razie resztką posagu panny Izabeli, w kwocie trzydziestu tysięcy rubli, przepadnie. Chwila jest bardzo pomyślna, gdyż panna Izabela, postawiona między biedą, a wyjściem za marszałka, chętnie zgodzi się na każdą inną kombinację. Domyślam się, że tym razem nie postąpisz Pan z nastroczającą się okazją jak z weksłami

Łęckiego, które podarłeś w moich oczach. Pamiętaj Pan: kobiety tak lubią być ściskane, że dla spotęgowania efektu trzeba je niekiedy przydeptać nogą. Im zrobisz Pan to bezwzględniej, tym pewniej cię pokocha. Pamiętaj Pan!...

Zresztą możesz Pan sprawić Beli małą przyjemność. Baron Krzeszowski przyciśnięty potrzebą sprzedał własnej żonie swoją ulubioną klacz, która w tych dniach ma się ścigać i na którą wiele rachował. O ile znam stosunki, Bela byłaby szczerze kontenta, gdyby ani baron, ani jego żona nie posiadali tej klaczy w dniu wyścigów. Baron byłby zawstydzony, że sprzedał klacz, a baronowa zrozpaczona, gdyby klacz wygrawszy komu innemu przyniosła zysk. Bardzo subtelne są te wielkoświatowe komeraże³⁸¹, ale spróbuj je Pan zużytkować. Okazja zaś następuje się, gdyż, o ilem słyszała, niejaki Maruszewicz, przyjaciel obojga Krzeszowskich, ma Panu zaproponować kupno tej klaczy. Pamiętaj Pan, że kobiety są niewolnicami tylko tych, którzy potrafią je mocno trzymać i dogadzać ich kaprysom.

Doprawdy, zaczynam wierzyć, że urodziłeś się Pan pod szczęśliwą gwiazdą. Szczerze życzliwa.

A. M.”

Wokulski głęboko odetchnął; obie wiadomości były ważne. Drugi raz przeczytał list podziwiając szorstki styl pani Meliton i uśmiechając się przy uwagach, jakie robiła nad swoją płcią. Mocno trzymać ludzi czy okoliczności to leżało w naturze Wokulskiego; wszystko i wszystkich chwyciłby za kark,

³⁸¹ *komeraże* – plotki, intrygi. [przypis redakcyjny]

wyjawszy – pannę Izabelę. Ona jedna była istotą, której wobec siebie chciał zostawić absolutną wolność, jeżeli nie panowanie.

Mimo woli spojrzął na bok; służący stał przy drzwiach.

– Idź spać – rzekł.

– Żeraż pójdę, tylko był tu jeszcze pan – odparł służący.

– Jaki pan?

– Żosztawił bilet, leży na biurku.

Na biurku leżał bilet Maruszewicza.

– Aha!... Cóż ten pan mówił?

– On niby, żeby tak, to nicz nie mówił. Tylko pytał się: kiedy pan jeszt w domu? A ja powiedziałem: koło dziesiąty ż rana, i wtedy on powiedział, że przyjdzie jutro o dziesiąty, ino na minutkę.

– Dobrze, dobranoc ci!

– Upadam do nóg, proszę łaski pana.

Służący wyszedł, Wokulski czuł się zupełnie otrzeźwiony. Ochocki i jego latające maszyny zmały mu w oczach. Miał znowu energię jak wówczas, kiedy wyjeżdżał do Bułgarii. Wtedy szedł po majątek, a dziś ma okazję rzucić jego część dla panny Izabeli. Kłuły go wyrazy listu pani Meliton: „postawiona między biedą i wyjściem za marszałka...” Otóż ona nigdy nie znajdzie się w tym położeniu... A wydzwignie ją nie jakiś tam Ochocki, za pomocą swojej maszyny, ale on... Czuł w sobie taką siłę, iż gdyby w tej chwili sufit z dwoma piętrami spadł mu na głowę, chyba utrzymałby go.

Wydobył z biurka swój notatnik i począł rachować:

„Klacz wyścigowa – głupstwo... Wydam najwyżej tysiąc rubli, z których wróci się przynajmniej część... Dom rs. 60 000, posag panny Izabeli rs. 30 000, razem rs. 90 000. Bagatela... prawie trzecia część mego majątku... W każdym razie za dom wróci mi się ze 60 000 albo i więcej... No!... trzeba skłonić Łęckiego, ażeby te 30 000 mnie powierzył; będę mu płacił 5000 rubli rocznie jako dywidendę³⁸²... Chyba im wystarczy? ... Konia oddam berejterowi³⁸³, niech on zajmie się puszczaniem go na wyścigi... O dziesiątej będzie u mnie Maruszewicz, o jedenastej pojedę do adwokata... Pieniądze dostanę na ósmy procent – 7200 rubli rocznie; a że mam na pewno piętnaście procent... No i dom coś przynosi... A co powiedzą moi wspólnicy?... Ach, dużo mnie to obchodzi!... Mam 45 000 rubli rocznie, ubędzie 12–13 000 rubli, zostanie 32 000 rubli... Żona moja nudzić by się nie powinna... W ciągu roku wycofam się z tej kamienicy, choćby ze stratą 30 000 rubli... Wreszcie to nie jest strata, to jej posag...”

Północ. Wokulski zaczął się rozbierać. Pod wpływem jasno określonego celu uspokoiły się rozstrojone nerwy. Zgasił światło, położył się i patrząc na firanki, którymi bujał wiatr wpadający przez otwarte okno, zasnął jak kamień.

Wstał o siódmej rano tak rześki i wesoły, że zwróciło to uwagę służącego, który zaczął kręcić się po pokoju.

– Czegóż to chcesz? – zapytał Wokulski.

³⁸² *dywidenda* – zysk. [przypis redakcyjny]

³⁸³ *berejter* – ujeżdżacz koni. [przypis redakcyjny]

- Ja nicz. Ino, proszę pana, stróż chce, ale nie śmi prosić, żeby pan pofatygował się i potrzymał mu dziecko do krztu.
- A a a!... A pytał się, czy ja chcę, żeby on miał dziecko?
- Nie pytał się, bo pan był wtedy na wojnie.
- No dobrze. Będę jego kumem.
- To może by mnie pan teraz podarował sztary szurdut, bo jakże ja będę na krzcinach?
- Dobrze, weź ten surdut.
- A reperaczyja?...
- O, głupi jesteś, nie nudź mnie... Każ zreperować, choć nie wiem co...
- Bo ja chciałbym, proszę pana, aksamitny kołmirz.
- Przyszyj sobie aksamitny kołnierz i idź do diabła.
- Czałkiem beż potrzeby gniewa się pan, bo przecie to dla pańskiego honoru, nie dla mego – odparł służący i wychodząc trzasnął drzwiami.
- Czuł, że jego pan jest w wyjątkowo dobrym usposobieniu.
- Ubrawszy się Wokulski usiadł do rachunków pijąc przy tym czystą herbatę. Po ukończeniu ich napisał depeszę do Moskwy o asygnację³⁸⁴ na sto tysięcy rubli i drugą do ajenta w Wiedniu, ażeby wstrzymał pewne obstalunki.
- Na kilka minut przed dziesiątą wszedł Maruszewicz. Młody człowiek wydawał się jeszcze bardziej zniszczonym i onieśmielonym aniżeli wczoraj.

³⁸⁴ *asygnacja* – tu: piśmienne zlecenie, upoważniające do podjęcia pieniędzy.
[przypis redakcyjny]

– Pozwoli pan – odezwał się Maruszewicz po kilku słowach powitania – że od razu położę karty na stół... Chodzi o oryginalną propozycję...

– Słucham najoryginalniejszej...

– Pani baronowa Krzeszowska (jestem przyjacielem obojga baronostwa) – mówił zniszczony młodzieniec – pragnie zbyć klacz wyścigową. Zaraz pomyślałem, że pan przy swoich stosunkach może życzyłby sobie posiadać podobnego konia... Jest ogromna szansa wygranej, gdyż biegają prócz niej w wyścigu tylko dwa konie, znacznie słabsze...

– Dlaczegoż pani baronowa sama nie puszcza tej klaczy?

– Ona?... Ona jest śmiertelną nieprzyjaciółką wyścigów!

– Po cóż więc kupiła klacz wyścigową?

– Dla dwu przyczyn – odparł młody człowiek. – Naprzód baron, potrzebując pieniędzy na pokrycie długu honorowego³⁸⁵, oświadczył, że zastrzeli się, jeżeli nie dostanie ośmiuset rubli, choćby za swoją ukochaną klacz, a po wtóre, baronowa nie życzy sobie, aby jej mąż przyjmował udział w wyścigach. Więc kupiła klacz, ale dziś biedaczka choruje ze wstydu i rozpacz i chciałaby pozbyć się jej za jakąkolwiek bądź cenę.

– Mianowicie?

– Osiemset rubli – odparł młody człowiek, spuszczać oczy.

– Gdzie jest koń?

³⁸⁵ *dług honorowy* – w ówczesnej obyczajowości szlacheckiej: dług wynikający z przegranej w karty. [przypis redakcyjny]

– W maneżu³⁸⁶ Millera.

– A dokumenta?

– Oto są – odpowiedział już weselej młody człowiek wydobywając paczkę papierów z bocznej kieszeni surduta.

– Możemy zaraz skończyć? – spytał Wokulski przeglądając papiery.

– Natychmiast.

– Po obiedzie pójdziemy obejrzeć konia?

– O, naturalnie...

– Niech pan pisze kwit – rzekł Wokulski i wydobył pieniądze z biurka.

– Na osiemset?... naturalnie!... – mówił młody człowiek.

Szybko wziął papier i pióro i zaczął pisać. Wokulski zauważył, że młodzieńcowi trochę drżały ręce i twarz mu się mieniła.

Kwit był napisany według wszelkich form. Wokulski położył osiem sturubłówek i schował papiery. W chwilę później młody człowiek, ciągle zmieszany, opuścił gabinet; zbiegając zaś ze schodów, myślał:

„Podły jestem, tak, podły... Ale ostatecznie za kilka dni zwrócę babie dwieście rubli i powiem, że dołożył je Wokulski poznawszy bliżej zalety konia. Oni przecież nie zetkną się, ani baron z żoną, ani ten... kupczyk z nimi... Kwit kazał sobie pisać... wyborny!... Jak to znać geszefciarza³⁸⁷ i parweniusza...

³⁸⁶ *maneż* – ujeżdżalnia. [przypis redakcyjny]

³⁸⁷ *geszefciarz* – pogardliwie: człowiek ustawicznie goniący za zyskownymi, a nie zawsze uczciwymi interesami. [przypis redakcyjny]

O! strasznie jestem ukarany za moją lekkomyślność...”

O jedynastej Wokulski wyszedł na ulicę z zamiarem udania się do adwokata.

Ledwie jednak stanął przed bramą, wnet trzech dorożkarze na widok jasnego paltota i białego kapelusza współcześnie zacięli konie. Jeden wjechał drugiemu dyszlem w otwarty powóz, trzeci zaś chcąc ich wyminąć o mało nie rozbił tragarza niosącego ciężką szafę. Wszczął się hałas, bitwa na baty, świstanie policjantów, zbiegowisko i w rezultacie – dwaj najgorętsi dorożkarze sami siebie własnymi powozami odwieźli do cyrkułu.

„Zła wróżba – pomyślał Wokulski i nagle uderzył się w czoło. – Pyszny interes! – mówił w sobie – idę do adwokata, ażeby mi kupił dom a nie wiem, ani jak dom wygląda, ani nawet gdzie leży.”

Wrócił na powrót do swego mieszkania i w kapeluszu na głowie, z laską pod pachą, począł przerzucać kalendarz. Szczęściem słyszał, że dom Łęckich³⁸⁸ znajduje się gdzieś w okolicach Alei Jerozolimskiej; pomimo to upłynęło kilka minut, nim odszukał ulicę i numer.

„Ładnie bym się zarekomendował adwokatowi! – myślał schodząc ze schodów. – Jednego dnia namawiam ludzi, aby mi powierzyli kapitały, a drugiego kupuję kota w worku. Naturalnie,

³⁸⁸ *dom Łęckich* – wg S. Godlewskiego prawdopodobnie opisuje tu Prus dom, przy ul. Kruczej 26, który podobnie jak prawie cała ulica uległ zniszczeniu w czasie powstania warszawskiego. Na odbudowanej obecnie ulicy Kruczej mieszczą się głównie gmachy urzędów i instytucji. [przypis redakcyjny]

że od razu skompromitowałbym albo siebie, albo... pannę Izabelę.”

Skoczył w przejeżdżającą dorożkę i kazał skrócić ku Alei Jerozolimskiej. Na rogu wysiadł i poszedł piechotą w jedną z poprzecznych ulic.

Dzień był piękny, niebo prawie bez obłoku, bruk bez kurzu. Okna domów pootwierane, niektóre dopiero myto; figlarny wiatr miotał spódnicami pokojówek, przy czym można było spostrzec, że warszawska służba łatwiej odważa się myć okna na trzecim piętrze aniżeli własne nogi. Z wielu mieszkań odzywały się fortepiany, z wielu podwórek katarynki albo monotonne nawoływania piaskarzy, szczotkarzy, tandeciarzy i im podobnych przedsiębiorców. Tu i owdzie pod bramą ziewał stróż odziany w niebieską bluzę; kilka psów goniło się po ulicy, którą nikt nie przejeżdżał; małe dzieci bawiły się odzieraniami kory z młodych kasztanów, którym jeszcze nie zdążyły pociemnieć jasnozielone liście.

W ogóle ulica przedstawiała się czysto, spokojnie i wesoło. Na drugim jej końcu widać nawet było odrobinę horyzontu i kępę drzew; lecz wiejski ten pejzaż, nieestosowny dla Warszawy, zasłanianio teraz rusztowaniami i ścianą z cegły.

Idąc prawym chodnikiem dostrzegł Wokulski na lewo, mniej więcej w połowie ulicy, dom niezwykle żółtej barwy. Warszawa posiada bardzo wiele żółtych domów; jest to chyba najżółciejsze miasto pod słońcem. Ta jednak kamienica wydawała się żółciejszą od innych i na wystawie przedmiotów żółtych (jakiej

zapewne doczekamy się kiedyś) otrzymałaby pierwszą nagrodę.

Podszedłszy bliżej Wokulski przekonał się, że nie tylko on zwrócił uwagę na szczególną kamienicę; nawet psy, częściej tu niż na jakimkolwiek innym murze, składały wizytowe bilety.

„Do licha! – szepnął – zdaje mi się, że to właśnie jest ów dom...”

Istotnie, była to kamienica Łęckich.

Zaczął się przypatrywać. Dom był trzypiętrowy; miał parę żelaznych balkonów i każde piętro zbudowane w innym stylu. Za to w architekturze bramy panował tylko jeden motyw, mianowicie: wachlarz. Górna część wrót miała formę rozłożonego wachlarza, którym mogłaby się chłodzić przedpotopowa olbrzymka. Na obu skrzydłach bramy były wyrzeźbione ogromne prostokąty, które w rogach również ozdobiono do połowy otwartymi wachlarzami. Najcenniejszym jednak upiększeniem bramy były umieszczone w pośrodku jej skrzydeł dwie rzeźby przedstawiające główki gwoździ, ale tak wielkich, jakby nimi była przytwierdzona brama do kamienicy, a kamienica do Warszawy.

Prawdziwą osobliwość stanowiła sień wjazdowa posiadająca bardzo lichą podłogę, ale za to bardzo ładne krajobrazy na ścianach. Było tam tyle wzgórz, lasów, skał i potoków, że mieszkańcy domu śmiało mogli nie wyjeżdżać na letnie mieszkania.

Podwórko, otoczone ze wszystkich stron trzypiętrowymi oficynami, wyglądało jak dno obszernej studni, napętnionej

wonnym powietrzem. W każdym rogu były drzwi, a w jednym aż dwoje drzwi; pod oknem mieszkania stróża znajdował się śmietnik i wodociąg. Wokulski mimochodem spojrzął w klatkę głównych schodów, do których prowadziły szklane drzwi. Schody zdawały się być mocno brudnymi; za to obok znajdowała się nisza, a w niej – nimfa z dzbankiem nad głową i utraconym nosem. Ponieważ dzbanek miał zabarwienie amarantowe, twarz nimfy żółte, piersi zielone, a nogi niebieskie, można było odgadnąć, że nimfa stoi naprzeciw okna posiadającego kolorowe szyby.

„No, tak!...” – mruknął Wokulski tonem, który nie zdradzał zbyt wielkiego zachwytu.

W tej chwili z prawej oficyny wyszła piękna kobieta z małą dziewczynką.

– Teraz, proszę mamy, pójdziemy do ogrodu? – pytało dziecko.

– Nie, kochanie. Teraz pójdziemy do sklepu, a do ogrodu po obiedzie – odpowiedziała pani bardzo przyjemnym głosem.

Była to wysoka szatynka z szarymi oczami, o klasycznych rysach³⁸⁹. Spojrzeli na siebie oboje z Wokulskim i – dama zarumieniła się.

„Skąd ja ją znam?” – pomyślał Wokulski wychodząc z bramy na ulicę.

Dama obejrzała się, lecz spostrzegłszy go odwróciła głowę.

³⁸⁹ *klasyczne rysy* – rysy idealnej piękności według starożytnych wzorów greckich.
[przypis redakcyjny]

„Tak – myślał – widziałem ją w kwietniu na grobach, a później w sklepie. Nawet Rzecki zwracał mi na nią uwagę i mówił, że ma śliczne nogi. Istotnie ładne.”

Cofnął się znowu w bramę i począł czytać spis mieszkańców.

„Co?... Baronowa Krzeszowska na drugim piętrze!... Co?... co?... Maruszewicz w lewej oficynie na pierwszym?, Szczególny zbieg okoliczności. Trzecie piętro od frontu studenci... Ale kto może być ta piękność? Prawa oficyna, pierwsze piętro – Jadwiga Misiewicz, emerytka, i Helena Stawska z córeczką. Z pewnością ona.”

Wszedł na podwórko i oglądał się. Prawie wszystkie okna były otwarte. W tylnej oficynie na dole była pralnia zatytułowana paryską; na trzecim piętrze było słychać kucie szewskiego młotka, poniżej na gziemsie gruchało parę gołębi, a na drugim piętrze tej samej oficyny od kilku minut rozlegały się miarowe dźwięki fortepianu i krzykliwy sopran śpiewający gamę:

– A!... a!... a!... a!... a!... a!... a!... a!...

Wysoko nad sobą, na trzecim piętrze, Wokulski usłyszał silny bas męski, który mówił:

– O! znowu zażyła kussiny³⁹⁰... Już z niej wyłazi soliter... Marysiu!... chodź no do nas...

Jednocześnie z okna na drugim piętrze wychyliła się głowa kobiety wołającej:

– Marysiu!... wracaj mi zaraz do domu... Marysiu!...

³⁹⁰ *kussina* – lekarstwo na tasiemce wyrabiane ze sproszkowanych kwiatów krzewu kusso. [przypis redakcyjny]

„Słowo daję, że to pani Krzeszowska” – szepnął Wokulski.

W tej chwili usłyszał charakterystyczny szelest: z trzeciego piętra padł strumień wody, trafił na wychyloną głowę pani Krzeszowskiej i rozprysnął się po podwórku.

– Marysiu!... chodź do nas... – wołał bas.

– Nikczemnicy!... – odpowiedziała pani Krzeszowska odwracając twarz w górę.

Nowy strumień wody lunął z trzeciego piętra i zatamował jej mowę. Zarazem wychylił się stamtąd młody człowiek z czarnym zarostem i zobaczywszy cofającą się fizjognomię pani Krzeszowskiej zawołał pięknym basem:

– Ach, to pani dobrodziejka!... Bardzo przepraszam...

Odpowiedział mu z mieszkania pani Krzeszowskiej spazmatyczny płacz niewieści:

– O, ja nieszczęśliwa!... Przysięgnę, że to on, nikczemnik, nasadził na mnie tych bandytów... Wywdzięcza mi się, że go wydobyła z nędzy!... Żem kupiła jego konia!...

Tymczasem na dole praczki prały bieliznę, na trzecim piętrze szewc kuł, a na drugim w tylnej oficynie dźwięczał fortepian i rozlegała się wrzaskliwa gama:

– A!... a!... a!... a!... a!... a!... a!... a!...

„Wesoły dom, nie ma co...” – szepnął Wokulski otrzepując krople wody, które mu spadły na rękaw.

Wyszedł z podwórza na ulicę i jeszcze raz obejrzawszy nieruchomość, której miał zostać panem, skrzył w Aleję Jerozolimską. Tu wziął dorożkę i pojechał do adwokata.

W przedpokoju adwokata zastał paru obdartych Żydków i starą kobietę w chustce na głowie. Przez otwarte drzwi na lewo widać było szafy wypełnione aktami, trzech dependentów³⁹¹ szybko piszących i kilku gości z waszecia³⁹², z których jeden miał fizjognomię kryminalną, a reszta bardzo znudzone.

Stary lokaj z siwymi wąsami i podejrzliwym wejrzeniem zdjął z Wokulskiego palto i zapytał:

– Wielmożny pan na dłuższy interes?

– Na krótszy.

Wprowadził Wokulskiego do sali na prawo.

– Jak mam zameldować?

Wokulski podał bilet i został sam. W sali były sprzęty kryte amarantowym utrechtem jak w wagonach pierwszej klasy – kilka ozdobnych szaf z pięknie oprawnymi książkami, które tak wyglądały, jakby ich nigdy nie czytano – na stole zaś parę ilustracji i albumów, które zdaje się, oglądali wszyscy. W jednym rogu sali stał gipsowy posąg bogini Temidy³⁹³ z mosiężnymi wagami i brudnymi kolanami.

– Pan mecenas prosi!... – odezwał się służący przez uchylone drzwi.

Gabinet znakomitego adwokata miał sprzęty kryte brązową skórą, w oknach brązowego koloru firanki, a na ściennych obiciach brązowe desenie. Sam gospodarz odziany był

³⁹¹ *dependent* – praktykant u adwokata lub notariusza. [przypis redakcyjny]

³⁹² *z waszecia* – zaściankowo lub drobnomieszczkańsko [przypis redakcyjny]

³⁹³ Temida – w mitologii greckiej bogini sprawiedliwości. [przypis redakcyjny]

w brązowy surdut i trzymał w ręku bardzo długi cybuch, u góry zakończony funtowym bursztynem i piórkiem.

– Byłem pewny, że dziś powitam szanownego pana u siebie – rzekł adwokat podsuwając Wokulskiemu fotel na kółkach i prostując nogą dywan, który się nieco zmarszczył. – Jednym wyrazem – ciągnął adwokat – możemy rachować na jakieś trzysta tysięcy rubli udziałów w naszej spółce. A że do rejenta pójdziemy jak najrychlej i gotówkę ściągniemy co do grosza, w tym może pan rachować na mnie...

Wszystko to mówił akcentując ważniejsze wyrazy, ścisnął Wokulskiego za rękę i obserwował go spod oka.

– A tak... spółka!... – powtórzył Wokulski usiadłszy na fotelu. – To rzecz tych panów, ile zbiorą gotówki.

– No, zawsze kapitał... – wtrącił adwokat.

– Mam go bez spółki.

– Dowód zaufania...

– Wystarcza mi własne.

Adwokat umilkł i pośpiesznie zaczął ssać dym z piórka.

– Mam prośbę do mecenasa – rzekł po chwili Wokulski.

Adwokat utopił w nim spojrzenie pragnąc odgadnąć: co to za prośba? Od natury jej bowiem zależał sposób słuchania. Widocznie jednak nie odkrył nic groźnego, gdyż jego fizjognomia przybrała wyraz poważnej, lecz serdecznej życzliwości.

– Chcę kupić kamienicę – ciągnął Wokulski.

– Już?... – spytał mecenas podnosząc brwi i schylając głowę.

– Winszuję, bardzo winszuję... Dom handlowy nie na próżno nazywa się domem... Kamienica dla kupca jest jak strzemień dla jeźdźcy; pewniejsi siedzi na interesach. Handel nie oparty na tak realnej podstawie, jaką jest dom, jest tylko kramarstwem. O jakąż to chodzi kamienicę, jeżeli szanowny pan raczysz mnie już zaszczycać swoim zaufaniem?

– Ma być w tych dniach licytowany dom pana Łęckiego...

– Znam – przerwał adwokat. – Mury wcale dobre, rzeczy drewniane należałoby stopniowo zmienić, w rezerwie ogród... Licytuje baronowa Krzeszowska do sześćdziesięciu tysięcy rubli, konkurentów zapewne nie będzie, kupimy najwyżej za sześćdziesiąt tysięcy rubli.

– Choćby za dziewięćdziesiąt tysięcy, a nawet i więcej – wtrącił Wokulski.

– Po co?... – skoczył na fotelu adwokat. – Baronowa poza sześćdziesiąt tysięcy nie wyjdzie, domów nikt dziś nie kupuje... Wcale dobry interes...

– Dla mnie będzie dobrym nawet za dziewięćdziesiąt tysięcy.

– Ale lepszym za sześćdziesiąt pięć tysięcy...

– Nie chcę obdzierać mego przyszłego współnika.

– Wspólnika?... – zawołał adwokat. – Ależ szanowny pan Łęcki jest stanowczym bankrutem; po prostu skrzywdziłbyś go pan, naddając mu jakieś kilka tysięcy rubli. Znam pogląd jego siostry, hrabiny, na tę sprawę... W chwili gdy pan Łęcki zostanie bez grosza przy duszy, jego urocza córka, którą wszyscy uwielbiamy, wyjdzie za barona albo marszałka...

Oczy Wokulskiego tak dziko błysnęły, że adwokat umilkł. Przypatrywał mu się, rozmyślał... Nagle uderzył się ręką w czoło.

– Szanowny pan – rzekł – jesteś zdecydowany dać dziewięćdziesiąt tysięcy rubli za tę rudę?...

– Tak – odparł głucho Wokulski.

– Sześćdziesiąt od dziewięćdziesięciu... posag panny Izabeli... – mruknął adwokat. – Aha!...

Fizjognomia i cała postawa jego zmieniła się do niepoznania. Pociągnął z wielkiego bursztynu ogromny kłęb dymu, rozparł się na fotelu i trzęsąc ręką w stronę Wokulskiego mówił:

– Rozumiemy się, panie Wokulski. Wyznam ci, że jeszcze przed pięcioma minutami podejrzewałem cię, sam nie wiem o co, bo interesa twoje są czyste. Ale w tej chwili, wierz mi, masz we mnie tylko człowieka życzliwego i... sprzymierzeńca...

– Teraz ja pana nie rozumiem – szepnął spuszcżając oczy Wokulski.

Adwokatowi na policzkach wystąpiły ceglaste rumieńce. Zadzwoił – wszedł służący.

– Nie wpuszczać tu nikogo, dopóki nie zawołam – rzekł.

– Słucham pana mecenasa – odparł markotny lokaj.

Znowu zostali we dwu.

– Panie... Stanisławie – zaczął adwokat. – Pan wie, co to jest nasza arystokracja i jej dodatki?... Jest to parę tysięcy ludzi, którzy wysysają cały kraj, topią pieniądze za granicą, przywożą stamtąd najgorsze nałogi, zarażają nimi klasy średnie, niby to

zdrowe, i – sami giną bez ratunku: ekonomicznie, fizjologicznie i moralnie. Gdyby zmusić ich do pracy, gdyby *skrzyżować* z innymi warstwami, może... byłby z tego jaki pożytek, bo jużci są to organizacje subtelniejsze od naszych. Rozumie pan... *skrzyżować*, ale... nie wyrzucać na podtrzymanie ich trzydziestu tysięcy rubli. Otóż do *skrzyżowania* pomagam panu, ale do strwonienia trzydziestu tysięcy rubli – nie!...

– Nic nie rozumiem pana – odparł cicho Wokulski.

– Rozumiesz, tylko nie ufasz mi. Wielka to cnota nieufność, leczyc z niej pana nie będę. Tyle ci powiem: Łęcki-bankrut może zostać... krewnym nawet kupca, a tym bardziej kupca-szlachcica. Ale Łęcki z trzydziestoma tysiącami rubli w kieszeni!

...

– Panie mecenasie – przerwał Wokulski – czy zechce pan w moim imieniu stanąć do licytacji tego domu?

– Stanę, lecz ponad to, co da pani Krzeszowska, postąpię najwyżej parę tysięcy. Wybacz pan, panie Wokulski, ale sam z sobą licytować się nie będę.

– A jeżeli znajdzie się trzeci licytant?

– Ha! w takim razie i jego zdystansuję, ażeby dogodzić pańskiemu kaprysowi.

Wokulski wstał.

– Dziękuję panu – rzekł – za parę słów szerszych. Ma pan rację, ale i ja mam moje racje... Pieniądze przyniosę panu jutro; teraz – do widzenia...

– Żal mi pana – odpowiedział adwokat ściskając go za rękę.

– Dlaczegoż to?

– Dlatego, panie, że kto chce zdobyć, musi zwyciężyć, zdusić przeciwnika, nie zaś karmić go z własnej spiżarni. Popelniasz pan błąd, który cię raczej odsunie, aniżeli zbliży do celu.

– Myli się pan.

– Romantyk!... romantyk!... – powtarzał adwokat z uśmiechem.

Wokulski wybiegł z domu adwokata i wsiadłszy w dorożkę kazał się wieźć w stronę ulicy Elektoralnej³⁹⁴. Był zirytowany tym, że adwokat odkrył jego tajemnicę, i tym, że krytykował jego metodę postępowania. Naturalnie, że kto chce zdobyć, musi zdusić przeciwnika; ależ tu zdobyczą miała być panna Izabela!...

Wysiadł przed niepozornym sklepikiem, nad którym wisiał czarny szyld z żółtawym napisem: „Kantor wekslu³⁹⁵ i loterii S. Szlangbauma.”

Sklep był otwarty; za kontuarem, obitym blachą i od publiczności oddzielonym drucianą siatką, siedział stary Żyd z łysą głową i siwą brodą, jakby przylepioną do „Kuriera”.

– Dzień dobry, panie Szlangbaum! – zawołał Wokulski.

Żyd podniósł głowę i z czoła zsunął okulary na oczy.

– Ach, to pan dobrodziej?... – odparł ściskając go za rękę. – Co to, czy już i pan potrzebuje pieniędzy?...

– Nie – odpowiedział Wokulski rzucając się na wyplatane

³⁹⁴ ulica Elektoralna – ulica w zachodniej części Warszawy, do II wojny światowej zamieszkiwana przeważnie przez ludność żydowską. [przypis redakcyjny]

³⁹⁵ *Kantor wekslu* – biuro wymiany waluty. [przypis redakcyjny]

krzesło przed kontuarem. A ponieważ wstyd mu było od razu objaśnić, po co przyszedł, więc spytał:

– Cóż słysząc, panie Szlangbaum?

– Źle! – odpowiedział starzec. – Na Żydów zaczyna się prześladowanie³⁹⁶. Może to i dobrze. Jak nas będą kopać i pluć, i dręczyć, wtedy może upamiętają się i te młode Żydki, co jak mój Henryk poubierali się w surduty i nie zachowują swoje religie.

– Kto was prześladowuje! – odparł Wokulski.

– Pan chce dowody?... – spytał Żyd. – Ma pan dowód w ten „Kurieru”. Ja onegdaj posłałem do nich szaradę. Pan zgaduje szarady?... Posłałem taką:

*Pierwsze i drugie – to zwierz kopytkowy,
Pierwsze i trzecie – ozdabia damskie głowy;
Wszystkie razem na wojnie strasznie goni,
Niech nas Pan Bóg od tego zabroni.*

Pan wie, co to?... Pierwsze i drugie – to jest: *ko–za*; pierwsze i trzecie – to jest *ko–ki*, a wszystkie – to są: *Ko–za–ki*. A pan wie, co oni mi odpisali?... Zaraz...

Podniósł „Kurier” i czytał:

³⁹⁶ *Na Żydów zaczyna się prześladowanie* – w latach tych antysemityzm wzmocnił się znacznie na tle konkurencji ekonomicznej. W r. 1876 ukazała się broszura Jana Jeleńskiego: „Niemcy, Żydzi i my”, która w ciągu kilku lat osiągnęła cztery wydania. W r. 1882 tenże Jeleński zaczyna wydawać pierwsze pismo antysemityczne pt. „Rola”. W r. 1881 dochodzi w Warszawie do rozruchów antyżydowskich, które powtórzyły się dwa lata później. [przypis redakcyjny]

– „Odpowiedzie od redakcje. *Panu W. W. Encyklopedie* większe Orgelbranda³⁹⁷...” Nie to... „*Panu Motylkowi. Frak* kładzie się...” Nie to... A, jest!... „*Panu S. Szlangbaumowi: Pańska szarada polityczna nie jest gramatyczna.*” – Proszę pana: co tu jest z polityki? Żebym ja napisał szaradę o Dizraeli³⁹⁸ albo o Bismarck, to byłaby polityka, ale o Kozaki to przecie nie jest polityka, tylko wojskowość.

– Ale gdzież w tym prześladowanie Żydów? – spytał Wokulski.

– Zaraz powiem. Pan sam musiał bronić od prześladowcy mego Henryka; ja to wszystko wiem, choć nie on mi mówił. A teraz o szaradę. Jak ja pół roku temu odniosłem moją szaradę do pana Szymanowskiego³⁹⁹, to on mnie powiedział: „Panie Szlangbaum, my te szarade drukować nie będziemy, ale ja panu radzę, co lepiej byś pan pisał szarade, aniżeli brał procentów.” A ja mówię: „Panie redaktorze, jak mnie pan da tyle za szarady, co ja mam z procenty, to ja będę pisał.” A pan Szymanowski na to: „My, panie Szlangbaum, nie mamy takie pieniądze, żeby za pańskie szarady płacić.” To powiedział sam pan Szymanowski,

³⁹⁷ „*Encyklopedia większa*” Orgelbranda – dwudziestoośmiotomowa encyklopedia wydana w latach 1859–1868 przez S. Orgelbranda w Warszawie. [przypis redakcyjny]

³⁹⁸ *Dizraeli* – właściwie Beniamin Disraeli (1804–1881), polityk angielski, przywódca konserwatystów, w tym czasie premier i kierownik polityki zagranicznej Wielkiej Brytanii. [przypis redakcyjny]

³⁹⁹ Szymanowski Wacław (1821–1886) – literat i dziennikarz, redaktor zachowawczego „*Kuriera Warszawskiego*”, przeciwnik pozytywizmu. [przypis redakcyjny]

słyszysz pan? Nu, a oni mnie dzisiaj piszą w „Kurierku”, że to niepolitycznie i niegramatycznie!... Jeszcze pół roku temu gadali inaczej. A co teraz drukują w gazety na Żydków.

Wokulski słuchał historii o prześladowaniu Żydów patrząc na ścianę, gdzie wisiała tabelka loteryjna, i bębniąc palcami w kontuar. Ale myślał o czym innym i wahał się.

– Więc ciągle zajmujesz się szaradami, panie Szlangbaum? – spytał.

– Co to ja!... – odparł stary Żyd. – Ale ja, panie, mam po Henryku wnuczka, co mu dopiero dziewięć lat, i niech no pan słucha, jaki on do mnie w tamten tydzień list napisał. „Mój dziadku – on pisał, ten mały Michaś – ja potrzebuje takie szarade:

Pierwsze znaczy dół, drugie – przeczenie.

Wszystko razem kortowe odzienie.

A jak dziadzio – on pisał, Michaś – zgadnie, to niech mi dziadzio przysze⁴⁰⁰ sześć rubli na ten kortowy interes.” Ja się rozpląkałem, panie Wokulski, jakim przeczytałem. Bo ten *pierwszy*, dół, to znaczy: *spód*, a przeczenie to jest nie – a *wszystko* razem to są *spodnie*. Ja się spłakałem, panie Wokulski, co takie mądre dziecko przez upartość Henryka chodzi bez spodnie. Ale ja mu odpisałem: „Mój kochaneczku. Bardzo jestem kontent, że ty od dziadziusia nauczyłeś się układać

⁴⁰⁰ *przysze* – dziś: *przyśle*. [przypis edytorski]

szarady. Ale żebyś ty jeszcze nauczył się oszczędności, to ja tobie na te kortowe odzienie⁴⁰¹ posyłam tylko cztery ruble. A jak ty się będziesz dobrze uczył, to ja tobie po wakacje sprawię takie szarade:

Pierwsze znaczy po niemiecku usta, *drugie* godzina.

Wszystkie kupuje się dziecku – jak do gimnazje chodzić zaczyna.”

To znaczy: *mund–ur*; pan od razu zgadł, panie Wokulski?

– Więc i cała pańska rodzina bawi się szaradami? – wtrącił Wokulski.

– Nie tylko moja – odpowiedział Szlangbaum. – U nas, panie, niby u Żydów, jak się młodzi zejdą, to oni nie zajmują się, jak u państwo, tańcami, komplementami, ubiorami, głupstwami, ale oni albo robią rachunki, albo oglądają uczone książki, jeden przed drugim zdaje egzamin albo rozwiązują sobie szarady, rebusy, szachowe zadanie. U nas ciągle jest zajęty rozum i dlatego Żydzi mają rozum, i dlatego, niech się pan nie obrazi, oni cały świat zawojują. U państwa wszystko się robi przez te sercowe gorączki i przez wojne, a u nas tylko przez mądrość i cierpliwość.

⁴⁰¹ *kortowe odzienie* – kort: tkanina wełniana, rodzaj sukna. [przypis redakcyjny]

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.